

HERMAN
MELVILLE

OSZUST



**HERMAN
MELVILLE**

oszust

Przełożył,
postowiem i przypisami
opatrzył
Adam Szostkiewicz

WYDAWNICTWO LITERACKIE

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	
Niemowa wchodzi na pokład parowca płynącego po Missisipi.....	
ROZDZIAŁ II	
Który pokazuje, iż różni ludzie mają różne dusze.....	
ROZDZIAŁ III	
W którym pojawiają się rozmaite postaci.....	
ROZDZIAŁ IV	
W którym odnowiona zostaje stara znajomość	
ROZDZIAŁ V	
Dla człowieka z krepą być wielkim mędrcom czy być wielkim prostakiem to jedno i to samo.....	
ROZDZIAŁ VI	
Na którego początku niektórzy pasażerowie okazują się głusi na głos miłosierdzia	
ROZDZIAŁ VII	
Dżentelmen ze złotymi guzikami	
ROZDZIAŁ VIII	
Miłosierna dama	
ROZDZIAŁ IX	
Dwóch dżentelmenów ubija niewielki interes.....	
ROZDZIAŁ X	
W kajucie.....	
ROZDZIAŁ XI	
Tylko strona lub dwie	
ROZDZIAŁ XII	
Opowieść o nieszczęsnym człowieku, z której można wywnioskować, czy słusznie nadano mu takie miano	
ROZDZIAŁ XIII	
Człowiek w podróżnej czapce przejawia sporą dozę człowieczeństwa, czyniąc to w sposób, który uważa za jak najbardziej logiczny u optymistów	
ROZDZIAŁ XIV	
Wart rozważenia przez tych, dla których może się okazać wartym rozważenia.....	
ROZDZIAŁ XV	
Starego kutwę udaje się w końcu – po stosownym rzeczy przedstawieniu – nakłonić, żeby odważył się wyłożyć pieniądze	
ROZDZIAŁ XVI	
Pewnego chorego człowieka udaje się – po niejakej zwłoce – nakłonić, by został pacjentem...	
ROZDZIAŁ XVII	
Na końcu którego zielarz okazuje się zdolnym do przebaczenia krzywd	
ROZDZIAŁ XVIII	
Dochodzenie w sprawie prawdziwego charakteru zielarza	
ROZDZIAŁ XIX	
Najemnik.....	
ROZDZIAŁ XX	
Ponownie zjawia się ktoś, kogo można było zapamiętać	
ROZDZIAŁ XXI	
Ciężki przypadek	
ROZDZIAŁ XXII	
W duchu uprzejmych dysput tuskulańskich	
ROZDZIAŁ XXIII	

W którym okazuje się, jak potężny wpływ ma na Missourijczyka sceneria naturalna, bo oto na widok okolic Cairo doznaje on nawrotu zimnicy	
ROZDZIAŁ XXIV	
Filantrop podejmuje się nawrócić mizantropa, lecz udaje mu się tylko zbić jego argumenty	
ROZDZIAŁ XXV	
Kosmopolita zawiera znajomość	
ROZDZIAŁ XXVI	
Zawierający metafizykę nienawiści do Indian, wyłożoną zgodnie z poglądami kogoś wyraźnie mniej przychylnie niż Rousseau usposobionego do dzikich.....	
ROZDZIAŁ XXVII	
Kilka słów o człowieku wątpliwej obyczajności, zasługującym chyba wszelako na szacunek owego wybitnego angielskiego moralisty, który powiedział, że podoba mu się człowiek zdolny do nienawiści	
ROZDZIAŁ XXVIII	
Kwestie sporne związane z nieboszczykiem Johnem Moredockiem	
ROZDZIAŁ XXIX	
Wesoła kompania.....	
ROZDZIAŁ XXX	
Który zawiera poetycką pochwałę prasy, w dalszym zaś ciągu zawiera rozmowę, jaka wywiązała się z jej powodu	
ROZDZIAŁ XXXI	
Metamorfoza zadziwiająca bardziej niż wszelkie metamorfozy Owidiusza.....	
ROZDZIAŁ XXXII	
Z którego wynika, że czasy czarów i czarodziejów jeszcze nie minęły	
ROZDZIAŁ XXXIII	
Który wart jest tyle, ile tylko wart się może okazać.....	
ROZDZIAŁ XXXIV	
W którym kosmopolita przedstawia historię dżentelmena – szaleńca	
ROZDZIAŁ XXXV	
W którym kosmopolita daje uderzający dowód szczerości swej natury	
ROZDZIAŁ XXXVI	
W którym kosmopolita zostaje zagadnięty przez mistyka, po czym wywiązuje się taka mniej więcej rozmowa, jakiej można się było spodziewać	
ROZDZIAŁ XXXVII	
Mistrz-mistik przedstawia ucznia-praktykanta	
ROZDZIAŁ XXXVIII	
Uczeń prostuje się i zgadza wystąpić w roli interlokutora	
ROZDZIAŁ XXXIX	
Domniemani przyjaciele	
ROZDZIAŁ XL	
Którego treść stanowi historia Chińskiego Astra opowiedziana przez kogoś, komu jej morał – lecz nie styl – przypadł do gustu	
ROZDZIAŁ XLI	
Zakończony odrzuceniem hipotezy	
ROZDZIAŁ XLII	
Zaraz po ostatniej scenie kosmopolita wchodzi do zakładu balwierza, z błogosławieństwem na ustach	
ROZDZIAŁ XLIII	
Bardzo uroczy	
ROZDZIAŁ XLIV	
W którym dwa ostatnie słowa poprzedniego rozdziału stanowią przedmiot rozważań, jakie z pewnością zaciekawiają w mniejszym lub większym stopniu tych czytelników, co poświęcą im uwagę	
ROZDZIAŁ XLV	
Kosmopolicie przybywa odwagi	
OD TŁUMACZA	

ROZDZIAŁ I

Niemowa wchodzi na pokład parowca płynącego po Missisipi

O wschodzie słońca któregoś pierwszego kwietnia pojawił się na nadbrzeżu St. Louis, równie niespodzianie jak Manco Capac¹ nad jeziorem Titicaca, pewien człowiek w odzieniu kremowej barwy.

Policzki miał blade, podbródek porośnięty meszkiem, włosy jasne, czapkę z białego futra o długim, kręconym włosie. Nie miał ze sobą ni kuferka, ni walizy, ni sakwojaża, ani tobołka. Nie podążał za nim żaden tragarz. Nie towarzyszyli mu przyjaciele. Wzruszenia ramion, chichoty, szepty, osłupienie tłumu wskazywały jasno, że był on, w najgłębszym tego słowa znaczeniu, człowiekiem obcym.

Wstąpił też zaraz na pokład cieszącego się powodzeniem parowca *Fidèle*, który udawał się w rejs do Nowego Orleanu. Popatrywano nań, choć bez pozdrowień, on zaś z miną nie dopraszającą się względów ni ich unikającą, krocząc równo ścieżką obowiązku, co wiodła go przez pustkowia i miasta, szedł bez wahania po dolnym pokładzie, aż natknął się na afisz nie opodal biura kapitana. Afisz ów obiecywał nagrodę za pojmanie tajemniczego oszusta, świeżo ponoć przybyłego ze Wschodu, w swej profesji nieomal geniusza, jak na to wyglądało, lubo skąd się owa genialność brała, afisz nie wyjaśniał, dostarczając tylko szczegółowego opisu owego oryginała.

Wokół niego skupił się tłum ludzi, jakby to był afisz teatralny, wśród nich podejrzani kawalerowie z wzrokiem najwyraźniej utkwionym w wielkich literach lub gorączkowo liter tych poszukującym zza odgradzających ich od afisza okryć. Wszelako co się tyczy ich palców, owiane były legendą, choć gdy nadarzyła się sposobność, jeden z owych panów pokazał kawałeczek ręki, nabywając od innego jegomościa, oficjalnie wędrownego handlarza pasami na pieniądze, jego popularny środek zabezpieczenia gotówki, gdy tymczasem inny domokrażca, kuty na cztery nogi oszust, zachwalał głośno w gęstej ciżbie żywoty Measana – bandyty z Ohio, Murrela – pirata z Missisipi, i braci Harpe – zbirów z okolic Green River w Kentucky, kreatur raz na zawsze wraz z podobnymi sobie ongiś wytępionych, po których – jak po tropionych w tych samych okolicach stadach wilków – prawie nie było komu przejąć sukcesji, co mogłoby się zdawać powodem do niczym nie zmąconej radości, i takowym się też wydaje wszystkim prócz tych, którzy uważają, że na nowych terenach, gdzie wybito do nogi wilki, namnoży się lisów.

Przystanąwszy w owym miejscu, ów nieznajomy przybysz, któremu udało się utorować sobie drogę aż pod sam afisz, wydobył niewielką tabliczkę i skreślił na niej kilka wyrazów, by potem wyciągnąć ją przed siebie na wysokość afisza w ten sposób, że każdy, kto czytał ogłoszenie, mógł także przeczytać słowa na tabliczce. Brzmiały one:

¹ Manco Capac – inkaski władca Peru, zm. 1545 po kilkuletniej wojnie partyzanckiej z hiszpańskimi konkwistadorami.

MIŁOŚĆ NIE PAMIĘTA ZŁEGO²

Jeśli dla zajęcia miejsca pod afiszem nie do uniknięcia była odrobina wytrwałości, by nie rzec – uporu, w swej bierności wszakże łagodnego, przecież nie z najwyższym zachwytem odniósł się tłum do owego jawnego natręta; przyjrząwszy mu się uważniej i nie dostrzegłszy u niego żadnych oznak władzy, a raczej coś całkiem przeciwnego – miał wygląd szczególnie niewinny, wręcz niestosowny dla miejsca i czasu, skłoniono się ku temu, by pomyśleć to samo o tym, co napisał, krótko: wzięwszy go za jakiegoś dziwnego prostaczka, całkiem nieszkodliwego, jeżeli się do niczego nie wtrąca, lecz nie całkiem sympatycznego w roli intruza – bez większych skrupułów zepchnięto go na bok, ktoś natomiast mniej uprzejmy od innych, mający więcej z żartownisia, niedostrzegalnym a zręcznym ruchem spłaszczył mu na głowie jego futrzaną czapkę. Nie poprawiając jej, nieznajomy odwrócił się spokojnie i znów napisawszy coś na tabliczce, wyciągnął ją ponownie przed siebie:

MIŁOŚĆ CIERPLIWA JEST, ŁASKAWA JEST

Rozsierdzony jego, jak się wydawało, uporem tłum powtórnie zepchnął go na bok nie bez wyzwisk i kuksańców, przyjętych bez gniewu. Atoli, jak gdyby w końcu śmiertelnie utrudzony mozolnymi próbami narzucenia swej obecności zapalczywym charakterem, nieznajomy jął z wolna zbierać się do odejścia, przedtem jednak zmieniwszy napis na następujący:

MIŁOŚĆ WSZYSTKO ZNOSI

Trzymając tabliczkę jak tarczę przed sobą, obrzucany spojrzeniami i drwinami, krążył wolno po statku, a potem wykonawszy zwrot zmienił napis na:

MIŁOŚĆ WSZYSTKIEMU WIERZY

a następnie:

MIŁOŚĆ NIGDY NIE USTAJE

Wyraz „miłość”³ pozostawał od początku nie starty, podobnie jak wyryte po lewej stronie cyfry daty, skądinąd dla wygody nie wypełnione.

Dla niektórych obserwatorów niesamowitość, jeśli nie obłąkanie, nieznajomego potęgował fakt jego niemoty, a może także i odmienność jego postępowania od – mieszczących się zupełnie w zwyczajnym i zrozumiałym porządku rzeczy – czynności okrętowego golibrody, którego kwaterę pod palarnią, a naprzeciwko baru, dzieliło dwoje drzwi od biura kapitana. Jak gdyby długi, szeroki, kryty pokład, zabudowany po obu stronach pomieszczeniami o wyglądzie sklepów, był jakimś bazarem czy podcieniami w Konstantynopolu, gdzie wykonuje się więcej niż jeden zawód, ów rzeczny golibroda w

² Świętego Pawła *I List do Koryntian*, rozdział 13, przekład zespołowy wg: Nowy Testament, wyd. Pallotinum, Warszawa – Poznań 1971.

³ ang. *charity* – miłosierdzie, także dobroczynność

fartuchu i kapciach, choć na razie w nie najlepszym humorze, bo być może dopiero co wstał był z łóżka, otworzył podwoje swego zakładu i jął przed nim robić porządki. Z pośpiechem człowieka interesu, spuściwszy z trzaskiem okiennice i wystawiwszy pochylony na kształt palmy swój ozdobny słupek w żelaznej oprawie, nie zważając zbytnio na łokcie i stopy tłumu, zakończył czynności, każąc ludziom stać spokojnie w większym oddaleniu, a sam wskoczywszy na zydeł, zawiesił nad drzwiami, na specjalnym gwoździu, jaskrawo iluminowany znak z tektury, umiejętnie przez siebie wykonany, na którym złočila się podobizna brzytwy rozwartej do golenia, jak również, dla dobra ogółu, widniały słowa nierzadko oglądane na lądzie, a zdobiące nie tylko zakłady fryzjerskie:

KREDYTU NIE UDZIELA SIĘ

Napis ów, choć właściwie nie mniej natrętny niż całkiem odmienne napisy nieznajomego, nie wywoływał, jak się zdaje, stosownych drwin czy zaskoczenia, tym bardziej zaś oburzenia, nie mówiąc już o tym, że sądząc z pozorów, nie zjednywał jego autorowi miana prostaczka.

Tymczasem człowiek z tabliczką nieprzerwanie krążył powoli po statku, przy czym nie obeszło się bez zamiany niektórych spojrzeń na drwiny, niektórych drwin na szturchnięcia, niektórych zaś szturchnięć na uderzenia pięścią. Nagle, a właśnie się wtedy odwracał, zawołało nań z tyłu dwóch tragarzy niosących wielki kufer. Kiedy jednak wezwanie, choć głośne, nie odniosło skutku, przypadkowo, a może wręcz przeciwnie, zrzucili swoje brzemie na niego, omal go nie przewracając, on zaś szybkim ruchem ciała, niesamowitym bełkotem i gwałtowną gestykulacją palców niechcący zdradził, że nie tylko jest niemy, lecz także głuchy.

Potem zaś, jakby jednak trochę poruszony dotychczasowym traktowaniem, ruszył naprzód i usadowił się w ustronnym miejscu forkaasztelu, u stóp trapu wiodącego na górny pokład, po którym schodzili i wchodzili członkowie załogi, co jakiś czas kończący pełnienie obowiązków.

To, że nieznajomy podróżny zajął owo skromne miejsce, wskazywało jasno, iż choć zdawał się prostakiem, miał pewną świadomość, gdzie się znajduje, mimo że podróżować na pokładzie mógł częściowo dla wygody. Podobnie z tego, że był bez bagaży, mogło wynikać, iż celem jego podróży jest któraś z owych małych przystani, położonych o kilka godzin rejsu od St. Louis. Wszelako, choć nie miał przed sobą długiej drogi, zdawał się przecież przybywać z bardzo daleka.

Mimo że jego kremowe odzienie nie było brudne ni w nieładzie, wyglądało jednak na wymięte, prawie wyświechtane, jakby podróżując dniem i nocą z dalekiej krainy za preriami nieznajomy od dawna nie cieszył się odpoczynkiem w łożu. Minę miał zarazem łagodną i znużoną, od chwili zaś gdy usiadł, jego twarz coraz bardziej jęła przybierać wyraz roztargniony i senny. Stopniowo zapadał w drzemkę; zwiesił jasnłosą głowę, łagodny jak baranek rozluźnił członki i wpół oparłszy się o podnóże trapu, legł nieruchomo podobny do śnieżnego puchu marcowego, co spadłszy po cichutku nocą, zadziwia łagodną bielą ogorzałego gospodarza spozierającego o świtanie z progu domostwa.

ROZDZIAŁ II

Który pokazuje, iż różni ludzie mają różne dusze

- Co za dziwak!
- Biedaczyna!
- Kto to może być?
- Kaspar Hauser.
- Coś takiego!
- Niepospolita twarz.
- Nawiedzony z Utah.
- Szarlatan!
- Wcielenie niewinności.
- Coś znaczy.
- Wywoływacz duchów.
- Kretyn.
- Żal patrzeć.
- Próbuje wzbudzić ciekawość.
- Strzeżcie się go.
- Ani chybi złodziej.
- Endymion za białego dnia.
- Zbiegły więzień, śmiertelnie zmęczony pościgiem.
- Jakub śpiący w Luz.

Takie to epitety, wzajem sobie przeczące, wygłaszało lub wypowiadało w myśli mieszane towarzystwo, zebrane na pobliskim balkonie umieszczonym w poprzek przedniego końca górnego pokładu, które nie było świadkiem wcześniejszych wydarzeń.

Tymczasem, podobny do zakłętego człowieka w grobie, beztriosko nieświadom całej paplaniny, cyzelowanej bądź roztrajkotanej, głuchoniemy spał nadal spokojnie, statek zaś odbijał już od brzegu.

Wielki kanał żeglugowy Ving King Czing w Królestwie Kwiatów przypomina częściowo Missisipi, tam gdzie rozlana szeroko rzeka płynie pomiędzy niskimi, porośniętymi gąszczem winorośli brzegami, płaskimi jak flisackie ścieżki, unosząc wielkie, wywrotne parowce, udekorowane i wylakierowane wewnątrz niczym cesarskie dżonki.

Ze swym wielkim białym kadłubem o dwóch rzędach małych okien podobnych do otworów strzelniczych, przebitych wysoko nad linią zanurzenia, *Fidèle* mogła wszakże zostać z oddalenia wzięta za jakąś pobieloną wapnem fortecę na pływającej wyspie.

Pasażerowie czyniący gwar na pokładzie wydają się kupcami na giełdzie, z niewidocznych pomieszczeń zaś dobiega coś na kształt brzęczenia pszczoł na plastrze miodu. Wspaniałe promenady, sklepione salony, długie galerie, nasłonecznione balkony, sekretne przejścia, pokoje weselne, luksusowe kabiny liczne jak przegródki gołębnika i miejsca ustronne podobne tajnym szufladom w sekretarzyku stwarzają równie dobre warunki dla życia publicznego, jak i dla odcięcia się od gwaru świata. Licytator, tak samo

swobodnie jak fałszerz pieniędzy, mógłby gdzieś tutaj uprawiać swój proceder.

Mimo że trasa jego podróży, licząca 1200 mil, rozciąga się od krainy jabłek do kraju pomarańczy, to jednak jak każdy mały prom, z przystanią na lewym i na prawym brzegu, wielka *Fidèle* wciąż przyjmuje dodatkowych pasażerów w zamian za schodzących z pokładu, tak że choć zawsze pełna nieznanych ludzi, ustawicznie zwiększa jeszcze ich liczbę lub zastępuje owych nieznajomych jeszcze bardziej obcymi nieznajomymi, podobnie jak źródła Rio Janeiro, zasilane z gór Cocovarde, wiecznie obfitują w nieznane wody, nigdy wszakże w te same co wszędzie wód owych cząsteczki.

Choć dotychczas, jak zauważono, człowiek w kremowych barwach bynajmniej nie uszedł uwagi, przecież zakradłszy się cichaczem w swe ustronie i zapadłszy tam w sen, z którego się nie budził, zdawał się wyjednać dla siebie łaskę zapomnienia, dar, jakiego rzadko odmawia się tak pokornie jak on proszącym. Tłumy gapiów na brzegu pozostały w wielkiej oddali, widziane jak przez mgłę tłoczyły się niby jaskółki pod okapem, uwagę pasażerów przykuły zaś wkrótce wystrzelające stromo wysokie urwiska i wieże śrutownicze na brzegu Missouri, jak również prostoduszni z wyglądu Missouryjczycy i zwaliści Kentuckijczycy wśród ciżby na pokładzie.

Niebawem – statek przybijał do brzegu na krótko dwa czy trzy razy – ostatnie ulotne wspomnienie śpiącego rozwiało się, on sam zaś, całkiem to możliwe, obudził się i zszedł na ląd; tłum natomiast, jak to zwykle bywa, jął się rozpadać na rozmaite gromady i gromadki, które niekiedy rozpadały się znowu na grupki po cztery, trzy i dwie osoby, czy wręcz na pojedynczych ludzi, mimo woli poddając się owemu naturalnemu prawu, zgodnie z którym rozkład sądzony jest tak samo masie, jak – z upływem czasu – jej poszczególnym składnikom.

Jak wśród pielgrzymów do Canterbury u Chaucera bądź u owych pątników Orientu przepływających się Morzem Czerwonym w stronę Mekki w miesiącu święta, na różnorodności tu nie zbywało. Tubylcy wszelkich odmian i obcokrajowcy, ludzie interesu i rozpustnicy, bywalcy salonów i drwale z leśnej głuszy, łowcy majątków ziemskich i poszukiwacze sławy, łowcy posagów, poszukiwacze złota, łowcy bawołów, łowcy pszczoł, poszukiwacze szczęścia, poszukiwacze prawdy, i jeszcze od nich wszystkich chytrzejsi łowcy owych wszystkich łowców. Piękne damy w pantofelkach i Indianki w mokasynach, spekulanci z Północy i filozofowie ze Wschodu; Anglicy, Irlandczycy, Niemcy, Szkoci, Duńczycy, handlarze z Santa Fe w pasiastych ponchach i fircyki z Broadwayu w fularach ze złotogłowiu; doskonałej prezencji przewoźnicy z Kentucky i podobni z wyglądu do Japończyków plantatorzy bawełny znad Missisipi; kwakrzy w pełnej gali i żołnierze Armii Stanów Zjednoczonych w pełnym umundurowaniu swoich regimentów; niewolnicy, czarni, mieszańcy pół- i ćwierćkrwi; młodzi hiszpańscy Kreole-modnisie i staroświeccy francuscy Żydzi; mormoni i papiści, Krezusi i Łazarze; żartownisie i żałobnicy, wstrzemięźliwi i hulaki, diakoni i szulerzy; surowi baptyści i glinojady⁴, szczerzący zęby Murzyni i wodzowie Siuksów o powadze arcykapłanów. Jednym słowem, pstry parlament, sabat wszelkich odmian owego wielokształtnego gatunku pielgrzymów, zwanego człowiekiem.

Jak sosna, buk, brzoza, jesion, modrzew, tsuga⁵, świerk, lipa, klon splatają się

⁴ ang. *clay-eaters* – wspomina o nich *Słownik Amerykański* Bartletta. Wg relacji Idy May (1860) są to niezwykle ubodzy ludzie zamieszkujący na niektórych obszarach południowych Stanów, którzy dla zabicia i oszukania głodu mieli jeść gliniastą ziemię, obficie tam występującą. Budzili też pogardę u Murzynów.

⁵ świerk kanadyjski

listowiem w prawdziwej puszczy, tak owe rozmaite gatunki śmiertelników mieszały się w różnaitości twarzy i odzienia. Tatarska jakby malowniczość, jakaś pogańska pewność siebie i rozpasanie. Tu królował zuchwały i wszechjednoczący duch Zachodu, którego symbolem jest sama Missisipi, co łącząc w sobie strumienie z najodleglejszych i krańcowo różnych stron, zlewa je na chybił trafił w jeden kosmopolityczny i pewny siebie nurt.

ROZDZIAŁ III

W którym pojawiają się rozmaite postaci

W przedniej części statku osobą budzącą czas jakiś pewne zainteresowanie był groteskowy Murzyn-kaleka, odziany w zgrzebne płótno stary przesiewacz węgla z tamburynem w ręku, który skutkiem jakiejś kontuzji nóg skurczył się do rozmiarów psa nowofundlandzkiego. Wełną czarnych, poskręcanych włosów i dobroduszną, pocziwą czarną twarzą ocierał się o górne partie bioder podróżnych, wlokąc nogi po pokładzie i grając jak umiał na swym instrumencie, wywoływał przecież uśmiech na najbardziej nawet poważnych obliczach. Osobliwie było patrzeć, jak mimo że szpetny, ubogi i bezdomny, znosił los pogodnie, budząc wesołość u niektórych z tłumu, co nie potrafili się cieszyć własnym trzosem, ogniskiem domowym, drgnieniami serca, całą swą majątnością, wliczając w to zdrowe członki.

– Jak cię zwa, staruszku? – zagadnął poganiacz bydła o pąsowej twarzy, kładąc wielką czerwoną rękę na wełnistej czuprynie kaleki, jakby to był kędzierzawy łeb czarnego wołka.

– Zowią mnie Czarną Gwineą.

– A kto jest twoim panem, Gwineo?

– Jestem pies bezpieczeństwa.

– Wolny pies, hę? Cóż, żal mi ciebie, Gwineo. Bezpańskim psom kiepsko się powodzi.

– O, tak, dobry panie, o, tak. Ale zerknijcie no na te kulasy, panie. Który z dżentelmenów chciałby być ich właścicielem?

– A gdzie mieszkasz?

– Jak wybrzeże długie, dobry panie, tyle że teraz jadę odwiedzić brata przy jednej przystani. A tak to głównie przemieszkuję w mieście.

– W St. Louis, co? A gdzie tam sypiasz po nocach?

– Przy piecu jednego zacnego piekarza, dobry panie.

– Przy piecu? Czyim to, jeśli łaska? Rad bym wiedzieć, który to piekarz wypieka w swym piecu taki czarny chleb prócz białych bułeczek? Kimże jest ten tak miłosierny piekarz, proszę ciebie?

– Otóż i on – uśmiechnięty od ucha do ucha Murzyn podniósł tamburyn wysoko nad głowę.

– Słońce jest tym piekarzem, co?

– Tak, panie. Nim biedny stary czarnuch ułoży się do snu na chodniku, ten dobry piekarz wygrzewa mu kamienie w mieście.

– Ale tak może być tylko letnią porą, staruszk. A zimą, gdy nadchodzą z brzękiem i grzechotem lodowaci Kozacy? A zimą, staruszk?

– Zimą stary biedny czarnuch okropnie się trzęsie, mój dobry panie. Och, nie mów mi o zimie, panie – odrzekł drżąc na samo wspomnienie i powłókł się ku najgęstszej ciżbie, podobny do na wpół zamarznętej czarnej owcy, co toruje sobie drogę do przytulnego legowiska w samym środku białego stada.

Jak dotąd nie uzbierał wiele grosza, a mniej uprzejmi podróżni spośród znajdujących się w tej części statku, przywykły w końcu do jego dziwnego wyglądu, jeśli tracić dlań zainteresowanie, gdy nagle w dwójnasób rozbudził ich pierwotną ciekawość; uciekły się do fortelu, przypadkiem albo i umyślnie rodził szczególną pokusę zarazem odwrócenia uwagi i okazania miłosierdzia, choć bardziej jeszcze niż kalekie nogi sprowadzało go to do poziomu psa. Krótka mówiąc, jak z wyglądu psa przypominał, tak teraz na wesołą modłę zaczęto się z nim jak z psem obchodzić. Wciąż powłócząc nogami, przystawał to tu, to tam wśród tłumu, odrzucając w tył głowę i rozwierając usta na podobieństwo słonia, któremu w menażerii rzucają jabłka. Rozstępując się przed nim, ludzie grali z nim w łapanie grosików, przy czym usta kaleki były w tej grze zarazem celem i sakiewką, on zaś sam każdego umiejętnie schwytanego przez siebie miedziaka witał brawurowym uderzeniem w tamburyn. Przyjmować jałmużnę to ciężka próba, atoli jeszcze cięższą próbą być musi, gdy obowiązani jesteśmy okazywać szczęśliwość i wdzięczność, przyjmując jałmużnę; Murzyn jednak, jakiegokolwiek były jego sekretne uczucia, dławił je w sobie, zatrzymując każdego miedziaka w ustach. Był przy tym cały czas właściwie uśmiechnięty i zadrzał tylko raz czy dwa, a to wtedy, gdy niektóre monety, ciśnięte przez co bardziej rozbawionych jałmużników, lądowały kłopotliwie blisko zębów. Że nie okazywał wtedy wielkiej radości, było spowodowane tym, iż ciśnięte w ten sposób grosiki okazywały się guzikami.

Gdy owa zabawa w dobroczynność trwała jeszcze w najlepsze, jakiś chromy osobnik o świdrujących oczach i kwaśnym obliczu – mógł to być zwolniony urzędnik celny, który, pozbawiony raptem odpowiednich środków utrzymania, jął się wreszcie mścić na władzach i rodzaju ludzkim, stając się przykrym dla otoczenia, albowiem podejrzewał albo nienawidził wszystkiego i wszystkich – ów prymitywny nieszczęśnik, poczyniwszy kilka nędznych uwag pod adresem Murzyna, jął gderać coś o tym, że jego kalectwo to blaga, za którą kryje się interes. Słowa te podziałały bezzwłocznie jak kubeł zimnej wody na dobrotliwe swawole uczestników zabawy.

To jednak, że podejrzenia owe wysunął osobnik, który sam się poruszał na drewnianej nodze, nie zdawało się dziwić nikogo z obecnych. Izby kalecy mieli być spośród wszystkich ludzi najbardziej koleżeńscy lub przynajmniej aby się powstrzymali od rozrywania towarzysza niedoli na strzępy, krótko mówiąc – izby mieli okazać odrobinę współczucia we wspólnym nieszczęściu, nie przyszło na myśl temu towarzystwu.

Tymczasem twarz Murzyna, na której malowało się wcześniej coś więcej niżli cierpliwa dobroduszość, przybrała wyraz najgłębszej rozpacz, znamionujący wielkie utrapienie ducha. Zepchnięta dotąd do poziomu zwierzęcia, owa fizjonomia psa nowofundlandzkiego przybrała teraz wyraz biernej bezradności, jak gdyby instynkt był jej podpowiedział, iż słusność czy niesłusność mogą mieć niewiele wspólnego z jakimikolwiek nastrojami, którym mogą się oddawać osobnicy o niepospolitej inteligencji.

Wszelako instynkt, lubo znający się na rzeczy, jest przecież nauczycielem, który zajmuje miejsce poniżej rozumu, co sam przemawia doniosłymi słowami Lizandra, po tym jak w komedii Puk uczynił zeń mędrca swym zaklęciem:

A przeto, mimo że tak raptownie może ulec zmianie nastawienie ludzi, to nie zawsze nastrój, lecz i pogłębiony osąd – jak w wypadku Lizandra czy powyższym – kieruje nimi.

Tak, jeśli się przyglądać Murzynowi całkiem zaintrygowani, gdy – ośmielony takim dowodem skuteczności swych słów – człowiek z drewnianą nogą pokuśtykał żwawo w jego stronę i z miną pedla byłby – ażeby dowieść na miejscu rzekomego oszustwa – zdarł z Murzyna odzienie, a potem przepędził go precz, został jednak powstrzymany przez krzyk tłumu, który wziął teraz stronę biedaka, choć przedtem zwrócił się był prawie w całości przeciw niemu. Toteż człowiek z drewnianą nogą został zmuszony do wycofania się, reszta zaś, stwierdziwszy, iż stała się wyłącznym sędzią w tej sprawie, nie mogła nie skorzystać ze sposobności odegrania tej roli. Nie dlatego, że jest ludzką słabością rozkoszować się sądzeniem kogoś przed oblicze sądu pozwanego – a kimś takim był teraz niechybnie ów nieszczęsny Murzyn – lecz dlatego, iż dziwnie wyostrza to ludzką zdolność postrzegania, gdy zamiast trzymać się z boku, dopuszczając, żeby widok surowości, z jaką obchodzi się z rzekomym winowajcą jakiś pierwszy lepszy sędzia, poruszył uczucia dla bliźnich – tłum uznaje się nagle za sędziego w danej sprawie, jak zdarzyło się onegdaj w Arkansas, gdzie pewnego człowieka uznano na mocy prawa winnym mordem, lecz że wyrok ten ludzie znaleźli niesprawiedliwym, człek ów został uratowany od śmierci, po czym dotychczasowi obrońcy sami jęli go badać, uznali, jak się okazało, za bardziej obciążonego winą, niżli uczynił to sąd, i przystąpili do egzekucji. Tym to sposobem widok szubienicy z człowiekiem powieszonym przez własnych obrońców stał się prawdziwą przestrogą.

Do takiej wszakże skrajności, czy czegoś do niej podobnego, tłum na statku się nie posunął, zadowolony się tymczasem jawnym przesłuchaniem Murzyna, od którego zażądano jakiegoś papieru poświadczającego czarno na białym, że jego kalectwo jest prawdziwe.

– Nie, nie, biedny stary czarnuch nie ma takich drogocennych papierów! – wyjącał kaleka w odpowiedzi.

– Ale czy nie ma tu nikogo, kto mógłby rzec słówko w twej obronie? – spytał świeżo przybyły z innej części statku młody duchowny Kościoła episkopalnego w długiej, dopasowanej czarnej szacie; drobnej budowy, lecz męskiego wyglądu, twarz miał czystą, oczy błękitne, jego powierzchowność określały zgodne rządy niewinności, wrażliwości i przytomności umysłu.

– O tak, o tak, szanowny panie – odrzekł skwapliwie, jak gdyby jego pamięć, przed chwilą jeszcze zlodowaciała od chłodu miłosierdzia, równie niespodzianie stopniała teraz pod wpływem pierwszego życzliwego słowa podobnego odwilży. – O tak, tak, jest tu na pokładzie jeden bardzo dobry, bardzo zacny pan z krepą przy kapeluszu, jest też dżentelmen w burym palcie i białym krawacie, co mnie dobrze zna, i jeden taki dżentelmen z dużą książką, i zielarz, i pan w modrej kamizeli, i pan z mosiężnym talerzem, i pan w liliowym przyodziewku, i jeden pan żołnierz, i jeszcze dużo, dużo dobrych, zacnych panów, co mnie znają i rzekną słówko w mej obronie, niech ich Bóg błogosławi. Tak, oni mnie znają tak samo dobrze, jak biedny stary czarnuch zna samego siebie, niech go Bóg ma w opiece! Idźżeż ich poszukać – dodał – i niech zaraz przyjdą, żeby wam wszystkim, szanowni państwo, pokazać, że biedny stary czarnuch naprawdę

⁶ William Szekspir. *Sen nocy letniej*, akt II, scena II, przeł. Leon Ulrich.

zasługuje na wasze zaufanie, łaskawi panowie.

– Ale jakim cudem odszukamy tych wszystkich ludzi w takim wielkim tłumie? – brzmiało pytanie kolejnego świadka wydarzeń, z parasolem w ręku. Był to człek w średnim wieku, z wyglądu prowincjonalny kupiec, który – choć z natury obdarzony dobrym samopoczuciem – stał się co najmniej ostrożny pod wpływem nienaturalnie złego humoru zwolnionego z pracy celnika.

– Kimże to jesteście, byśmy mieli ich szukać? – zawtórował z nutą przygany w głosie młody duchowny. – Pójdę odszukać jednego z nich na początek – dodał szybko i z dostojnym pośpiechem, dostosowując uczynki do słów, jął się oddalać.

– Z motyką na słońce! – wychrypiał człek z drewnianą nogą, przybliżając się znowu. – Ani jednego z nich nie ma na tym statku. Czyż pierwszy lepszy żebraczyna miał kiedykolwiek tak znakomitych przyjaciół, i to bez liku? Jeżeli tylko zechce, może chodzić całkiem szybko, o niebo szybciej ode mnie, ale łągać potrafi jeszcze szybciej. To jakiś biały kombinator, powykręcany i pomalowany na przynętę. On i jego kamraci to wszystko lipa.

– Czyż nie ma w tobie ani krzty miłosierdzia, przyjacielu? – spytał stłumionym głosem, co w szczególny sposób kontrastował z jego nieujarzmioną osobą, pastor metodysta i podszedł bliżej. Był to człek wysoki, muskularny, o wojowniczym wyglądem, Tennesyjczyk z urodzenia, który podczas wojny meksykańskiej zaciągnął się na ochotnika jako kapelan ochotniczego regimentu strzelców.

– Co innego miłosierdzie, co innego prawda – odparł ten z drewnianą nogą. – Powiadam wam, że to łobuz.

– Czemuż jednak, przyjacielu, nie tłumaczyć tego biedaczyny z większym miłosierdziem? – zapytał podobny do żołnierza metodysta, z coraz większym trudem zachowując pokojowe nastawienie wobec tego, który w tak niewielkim stopniu zdawał się być uprawnionym do opryskliwości. – Wygląda na uczciwego, nieprawdaż?

– Co innego wygląd, co innego fakty – rzucił tamten oschle. – A co do tłumaczenia, czymże tłumaczyć łobuza, jak nie tym, że łobuz?

– Nie bądźże jak oset⁷ – nalegał metodysta, mniej już jednak cierpliwie. – Odrobinę miłosierdzia, człowiecze.

– Zabierze sobie swoje miłosierdzie, gdzie jego miejsce: do nieba! – warknął tamten szatańskim głosem. – Tu na ziemi prawdziwe miłosierdzie chodzi ślepe, fałszywe zaś ciągle knuje. Kierując się miłosierdziem, litościwy głupiec sądzi, że ten, co go zdradza pocaunkiem, jest w nim zakochany, a miłosierny nikczemnik składa przed sądem miłosierne zeznania na korzyść kamrata.

– Ani chybi, przyjacielu – odparł czcigodny metodysta, z wielkim wysiłkiem powstrzymując rosnące oburzenie. – Ani chybi zapominasz o sobie, mówiąc delikatnie. Odnieś to do siebie samego – ciągnął z pozornym spokojem, drżąc niemal z oburzenia. – Założmy teraz, że nie okazałbym wcale miłosierdzia, sądząc cię według twych własnych słów. Jak myślisz, za jakiegóż to bezlitosnego niegodziwca uznałbym ciebie?

– Niewątpliwie – odpowiedział szczerząc zęby człowiek z drewnianą nogą – za jednego z tych bezlitosnych ludzi którzy utracili pobożność w taki sam prawie sposób, w jaki szachraj traci uczciwość.

– A mianowicie, przyjacielu? – duchowny starał się poskromić swą wrodzoną grzeszną

⁷ *Canada thistle* (*cirsium arvense*) – chwast rosnący w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych

naturę, jakby to był dog angielski, co się wpił w jego szyję.

– Niech cię o to głowa nie boli! – odparł tamten z drwiną. – Wszak nie wszystkie konie są bez skazy, tak samo jak nie wszyscy ludzie są dobrzy. A kiedy bliżej się nim zająć, to niektóre rzeczy okazują się zaraźliwe. Jeśli ty mnie znajdziesz cnotliwym oszustem, ja uznam ciebie za dobrotliwego mędrca.

– To insynuacja.

– Zbity z pantałyku, wychodzisz na większego głupca.

– Nicponiu! – wykrzyknął duchowny, kipiąc prawie z oburzenia. – Bezbożny grzeszniku! Gdyby nie miłosierdzie, zwymyślałbym cię, jak na to zasługujesz.

– Doprawdy? – rzucił z drwiącym uśmieszkiem człowiek z drewnianą nogą.

– Ano. Nauczę cię miłosierdzia od razu tutaj – ryknął sprowokowany metodysta, chwytając raptem nieznośnego oponenta za kołnierz wyświechtanego płaszcza i potrząsając nim, aż drewniana noga zadudniła o pokład jak kręgle. – Wziąłeś mnie za takiego, co nie walczy, no nie? Myślałeś, ty nędzny tchórze, że możesz bezkarnie używać sobie na chrześcijaninie. Poznasz swój błąd! – tu nastąpiło kolejne tęgie potrząśnięcie.

– Dobrze powiedziane, jeszcze lepiej wykonane, żołnierzu Kościoła! – krzyknął ktoś.

– Biały kołnierzyk przeciwko doczesnemu światu! – wykrzyknął ktoś inny.

– Brawo, brawo! – krzyczano chóralnie z podobnym entuzjazmem, biorąc stronę śmiałego orędownika miłosierdzia.

– Głupcy! – ryknął z gniewem w stronę ciżby człowiek z drewnianą nogą, wrywając się metodyście. – Stado głupców! Pod komendą kapitana głupców na tym statku głupców!

Z takimi to okrzykami na ustach, po których nastąpiły czcze pogrożki pod adresem upominającego, człek ów – słuszną ofiarą sprawiedliwości – pokuśtykał dalej, uznawszy, iż dalszy spór z taką hałastrą jest dlań uwłaczający. Lecz za pogardę odplacono mu zawiązką, ścigając go gwizdami, w czym dzielny metodysta nie wziął udziału, zadowolony się reprimendą, gdyż (pomijając głębsze powody) zbyt był wielkoduszny na to. Wskazując w stronę oddalającego się, tak zawziętego w uporze człowieka rzekł:

– Oto odchodzi, powłócząc swą jedyną nogą, która symbolizuje jednostronność jego zapatrywań na człowieka.

– Zaufajcie tylko malowanemu oszustowi – odkrzyknął tamten z oddalenia, pokazując na czarnego kalekę – a ja się już pomszczę.

– Ale my nie będziemy mu ufali – odkrzyknął ktoś.

– Tym lepiej! – roześmiał się tamten. – Słuchajcie, wy tam! – dorzucił zatrzymując się raptem. – Słuchajcie no, nazwano mnie ostem. Bardzo dobrze. I to nielichym: jeszcze lepiej. I niezgorzej wytrzesiono tu między wami ten oset: to najlepsze ze wszystkiego. Kto śmie zaprzeczyć, że wytrzesiono także trochę nasion; czyż nie zakiełkują? A kiedy zakwitną, czyż nie zetniecie młodych ostów i czyż nie wzrosną jeszcze bujniej? To dla nich zachęta i pochlebstwo. A kiedy od moich ostów pękać już będą wasze zagrody, no to co wtedy; będziecie musieli porzucić swoje domy!

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał prowincjonalny kupiec, wytrzeszczając oczy.

– Nic takiego, tropiony wilk wyje na odchodnym – odrzekł metodysta. – Złość, dużo złości, która jest kulawym dziecięciem złego serca tego niedowiarka. To uczyniło zeń szaleńca. Podejrzewam, że to grzesznik z natury. O, przyjaciele – wznosił ręce jak na kazalnicy – o, najmilsi, jakąż przestrogą jest dla nas to żałosne widowisko w postaci

owego szaleńca. Wyciągnijmy morał z tej nauki, a czyż nie brzmi on tak: jeśli prócz braku zaufania do Opatrzności jest cokolwiek, przed czym człowieka ma strzec modlitwa, to przed brakiem zaufania do człowieka. Odwiedzałem domy wariatów, wypełnione tragicznymi melancholikami, i widziałem, czym się kończy podejrzliwość. Widziałem cynika, który w swym ponurym obłędzie mamrotał coś w kącie; stał tam jak wryty latami ze zwieszoną głową, kłusując własne wargi, istny szakał, a z kąta naprzeciwko co chwila wykrzykiwał się w jego stronę inny wariat.

– Co to za przykład – szepnął ktoś.

– Tymon by się przestraszył – brzmiała odpowiedź.

– Ooo... dobrzy panowie, czy nie macie za grosz zaufania do biednego starego czarnucha? – wyjęczał powracając Murzyn, który w czasie ostatnich wydarzeń rzucił się przerażony do ucieczki.

– Zaufania do ciebie? – zawtórował ów, co szeptał; nastrój raptownie zmienił się, jakby zgęstniał. – To się jeszcze zobaczy.

– Coś ci powiem, Murzynie – rzekł podobnie zmienionym tonem ten, co odpowiedział był szepjącemu. – Ten tam – wskazał w stronę drewnianej nogi – to niewątpliwie niezgorszy gbur i nie chciałbym być podobny do niego, ale to nie znaczy, że ty absolutnie nie jesteś jakimś czarnym Jeremiaszem Oszustowskim⁸.

– To nic a nic nie ufacie biednemu staremu czarnuchowi?

– Nim zaczniemy ci ufać – rzekł ktoś trzeci – poczekamy, co też nam powie ów dżentelmen, który poszedł szukać jednego z twych przyjaciół, co by się ujął za tobą.

– W takim razie – powiedział ktoś czwarty – będziemy tu pewnikiem czekali do Bożego Narodzenia. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy więcej nie ujrzeli tego dżentelmena. Jakiś czas będzie szukał na próżno, potem stwierdzi, że zrobiono zeń głupca, i nie wróci do nas po prostu ze wstydu. W rzeczy samej i ja miałem niejaki wyrzuty sumienia względem tego czarnucha. Jest w nim coś niesamowitego.

Murzyn raz jeszcze jęknął i odwracając się w rozpacz od ostatniego mówcy w błagalnym geście chwycił za rąbek szaty metodysty. Lecz i w tym roznamiętnionym przedtem orędowniku zaszła jakaś zmiana. Z miną niepewną i zakłopotaną wodził w milczeniu wzrokiem po suplikancie, wobec którego w jakiś dziwny sposób, może pod wpływem instynktu, odżyła ogólna nieufność – i to ze zdwojoną siłą.

– Nic a nic nie ufacie biednemu staremu czarnuchowi – jęknął znowu Murzyn i wypuściwszy z ręki skraj szaty, obracał się wkoło z błagalną miną.

– Owszem, mój biedaku. Ja mam do ciebie zaufanie – wykrzyknął wspomniany już kupiec z prowincji, któremu Murzyn, niemal na kolanach błagający o litość, wydał się tak ludzki, że przemówiło to na jego korzyść. – A oto mały dowód mego zaufania. – Ścisnąwszy pod pachą parasol i zanurzony dłoń w kieszeni, wyłowił z niej sakiewkę, a także, przypadkowo, swą handlową wizytówkę, która nie zauważona spadła na pokład. – Proszę, proszę, mój biedaku – ciągnął dalej wyjmując pół dolara.

Twarz kaleki zajaśniała – wdzięczna nie mniej za dobroć, jak za monetę – niby wypolerowany miedziany rondel; zbliżywszy się do ofiarodawcy z wyciągniętą ręką Murzyn przyjął jałmużnę, kikutem następując zarazem, jakby nieświadomie, na bilet

⁸ Jeremiah Diddler, jeden z bohaterów farsy J. Kennedy'ego *Raising the Wind* (1803), oszust i pieczeniarsz. Ang. *diddle* – wystrychnąć kogoś na dudka, okpić, oszukać.

wizytowy.

Spełniony wbrew ogólnym nastrojom dobry uczynek kupca nie pozostał chyba bez nieprzyjaznej odpowiedzi tłumu, albowiem zdawał się zawierać w sobie coś z przygany. Znowu, i to z większą niżli kiedykolwiek zawziętością, podniósł się krzyk na Murzyna, on zaś ponownie jął lamentować i jęczeć błagalnie, powtarzając między innymi, że jego przyjaciele, których częściową listę już przedstawił, wstawiliby się z własnej woli za nim, gdyby tylko ktoś ich odszukał.

– A czemu sam ich nie poszukasz? – zapytał gburowaty przewoźnik.

– Jakże mam ich sam odnaleźć? Przyjaciele biednego starego, kulawego czarnucha muszą przyjść do niego. Och, gdzie się podział ten dobry człowiek z krepą przy kapeluszu, przyjaciel czarnucha?

W tejsze chwili steward uderzył w dzwon pokładowy, wzywając wszystkich, którzy nie posiadali jeszcze biletu, by stawili się w biurze kapitana; wezwanie rychło przerzedziło tłum wokół czarnego kaleki, który zostawszy sam zginął z oczu, mając prawdopodobnie to samo co reszta do załatwienia.

ROZDZIAŁ IV

W którym odnowiona zostaje stara znajomość

– Moje uszanowanie, panie Roberts!

– Hę?

– Pan mnie nie zna?

– Na pewno nie.

Tłum przy biurze kapitańskim stopniał po pewnym czasie, powyższe spotkanie zaś miało miejsce na jednym z bocznych balkonów na rufie, pomiędzy człowiekiem w schludnej, budzącej szacunek, choć wcale nie rzucającej się w oczy żałobie oraz z długą wstęgą krepy przy kapeluszu – i wspomnianym wyżej prowincjonalnym kupcem, którego ów pierwszy zaczął niczym starego znajomego.

– Czyż to możliwe, drogi panie – mówił dalej mężczyzna w żałobie – żebyś nie przypominał sobie mojej twarzy? Tymczasem ja przypominam sobie pana tak dokładnie, jakby to nie pół wieku, lecz pół godziny minęło, odkąd widziałem pana po raz ostatni. Czy teraz pan sobie mnie nie przypomniał? Proszę się lepiej przypatrzeć.

– Uczciwie mówiąc, muszę zaoponować – odrzekł szczerze zakłopotany kupiec. – Jak mi Bóg miły, nie znam pana, naprawdę. Ale niech pan zostanie – dodał szybko, nie bez satysfakcji, spoglądając na krepę przy kapeluszu nieznanego. – Niech pan zostanie. Tak, wydaje mi się, choć nie mam przyjemności znać pana osobiście, ale jestem całkiem pewien, że przynajmniej słyszałem o panu, i to całkiem niedawno. To chyba między innymi o panu wspominał tu na statku pewien biedny Murzyn.

– A, ten kaleka. Biedaczyna, znam go dobrze. Znaleźli mnie. Powiedziałem, co mogłem, i chyba ich nieufność ziałała. Wolałbym jednak móc oddać jakąś bardziej

namacalną przysługę. A propos, drogi panie – dodał – bo mnie to uderzyło; pozwól spytać, czy okoliczność, iż ktoś, choćby najniższego stanu, odnosi się z uszanowaniem do drugiego człowieka, nawet najbardziej dotkniętego nieszczęściem – nie dowodzi w mniejszym czy większym stopniu moralnych zalet tego ostatniego?

Pocziwy kupiec spojrział zaskoczony.

– Nadal mnie pan sobie nie przypomina?

– Nadal prawda każe mi powiedzieć, że nie, mimo największych wysiłków – brzmiała szczerza, choć udzielona z ociąganiem, odpowiedź.

– Czyżbym się aż tak zmienił? Niech mi się pan przypatrzy. A może to ja jestem w błędzie? Pan Henry Roberts, spedytor z Wheeling w Pensylwanii? Jeśli używa pan handlowych biletów wizytowych, błagam: jeśli posiada pan taki przy sobie, niechże pan spojrzy na wizytówkę i sprawdzi, czy nie jest pan człowiekiem, za jakiego pana biorę.

– A po co? – kupiec był chyba odrobinę rozdrażniony. – Mam nadzieję, że wiem, kim jestem.

– Wszakże niektórzy sądzą, że niełatwo jest poznać samego siebie. Któż to wie, drogi panie, może przez chwilę wziął pan siebie za kogoś innego? Nie takie rzeczy się już zdarzały.

Pocziwy kupiec łypnął okiem.

– Przechodząc do szczegółów, drogi panie. Spotkałem pana około sześciu lat temu w kantorze Spółki Braci Brades, jak mi się zdaje. Udawałem się w interesach do Filadelfii. Brade senior przedstawił nas sobie, pamięta pan, potem pogawędziliśmy o interesach. Następnie nakłonił mnie pan do pójścia z panem na podwieczorek w gronie rodzinnym. Czyś pan zapomniał o dzbanku na kawę i o tym, com mówił o Charlottcie Wertera, o chlebie i maśle oraz o znakomitej dykteryjce, jaką pan opowiedział o wałkoniach? Ze sto razy jeszcze śmiałem się na jej wspomnienie. Musi pan przynajmniej przypominać sobie moje nazwisko: Ringman, John Ringman.

– Wałkonie? Zaproszenie na podwieczorek? Ringman? Ringman? Ring? Ring?

– Och, proszę pana – westchnieniu towarzyszył smutny uśmiech – niech pan tym „ring”, „ring” nie zagłusza zmiany. Widzę, że ma pan słabą pamięć, panie Roberts. Ale proszę zaufać mojej, jest dokładna.

– Cóż, prawdę mówiąc, z moją pamięcią nie jest najlepiej – brzmiała uczciwa odpowiedź. – A jednak – dodał zakłopotany – mimo to...

– Ach, proszę pana, wystarczy, że jest tak, jak mówię. Niewątpliwie znamy się całkiem nieźle.

– Ale nie podoba mi się, że to pozostaje w absolutnej sprzeczności z tym, co sam pamiętam. Ja...

– Lecz czyż nie przyznał pan, drogi panie, że pańska pamięć jest troszkę niedokładna? A czyż ci, którzy mają niedokładną pamięć, nie powinni choć trochę zaufać mniej niedokładnej pamięci innych ludzi?

– Ależ ja nie mam o tej przyjacielskiej pogawędce i tym podwieczorku najmniejszego...

– Rozumiem, rozumiem: całkiem wymazane z tablicy. Proszę pana! – tu nagle olśnienie. – Czy z sześć lat temu nie uległ pan przypadkiem kontuzji głowy? Zaskakujące są skutki takiego wypadku. Nie tylko brak świadomości wydarzeń, jakie zaszły

bezpośrednio po kontuzji, lecz również – rzecz dziwna – zupełne i nieodwracalne zapomnienie wydarzeń obejmujących dłuższy lub krótszy okres bezpośrednio przed kontuzją, czyli z czasu, kiedy umysł doskonale zdawał sobie z nich sprawę i w pełni rozporządzał zdolnością ich utrwalenia w pamięci, co też w rzeczywistości uczynił, jednak nadaremno, kontuzja bowiem wszystko potem zniszczyła.

Kupiec wzdrygnął się najpierw, potem jednak słuchał ze zdwojoną ciekawością. Tamten ciągnął dalej:

– Kiedy byłem małym chłopcem, kopnął mnie koń i leżałem długo nieprzytomny. A gdy przyszedłem do siebie, pustka w głowie! Nie miałem zielonego pojęcia, jak znalazłem się w pobliżu konia, co to był za koń i gdzie się znajdował, ani nawet, czy to w ogóle koń był winien wszystkiemu. Za znajomość wszelkich szczegółów tego wydarzenia winien jestem wdzięczność jedynie moim przyjaciółom, na których słowach – czyż muszę to mówić – polegam w zupełności, boć przecie coś musiało zajść, a czemuż mieliby mnie oszukiwać? Widzi pan, umysł jest giętki, jednak trzeba trochę czasu, ażeby obrazy, jakie giętoko wchłonie on w siebie, stwardniały i upiekły się, odciskając się tym samym w pamięci, bo inaczej przygoda w rodzaju mojej zetrze je w okamgnieniu, jakby ich nigdy nie było. Jesteśmy tylko gliną, szanowny panie, gliną garncarza, jak powiada zacna księga, gliną kruchą i zanadto podatną. Ale nie będę filozofował. Proszę mi powiedzieć, czy nieszczęśliwym zrzędzeniem losu nie doznał pan w czasie, o którym mówię, wstrząśnienia mózgu? Jeśli tak, z przyjemnością podejmę bardziej szczegółową próbę wypełnienia luki w pańskiej pamięci, tyczącej się okoliczności naszego spotkania.

Rosnąca ciekawość, jaką zdradzał kupiec, nie malała w miarę, jak tamten ciągnął wywód. Po chwili wahania, w rzeczy samej było to coś więcej niżli wahanie, wyznał on, iż jakkolwiek nie doznał nigdy urazu tego rodzaju, to jednak mniej więcej w tym czasie, o którym była mowa, zmogła go była gorączka mózgu, powodując na dłuższy czas zupełną utratę przytomności. Mówił jeszcze, gdy nieznajomy wykrzyknął wielce ożywiony:

– A widzi pan, nie całkiem się myliłem! Wszystko przez tę gorączkę mózgu.

– Tak, ale...

– Proszę mi wybaczyć, panie Roberts – przerwał mu rozmówca z szacunkiem – ale czasu jest mało, a ja mam panu coś poufnego i niezwykłego do powiedzenia. Niech pan pozwoli.

Pan Roberts, człek zacny, nie mógł nie pozwolić i obaj dżentelmeni odeszli w milczeniu w bardziej ustronne miejsce. Człowiek z krepą jął się raptem zachowywać z niemal bolesną powagą. Owładnęło nim coś, co nazwać by można spazmami. Zdawał się walczyć z jakimś tłumionym w sobie złowrogim musiem. Podjął jedną czy dwie próby odezwania się, lecz słowa jakby więzły mu w gardle. Jego towarzysz, najzwyczajniej w świecie zdziwiony, zatrzymał się zastanawiając, co też się stanie. Nareszcie, opanowawszy się z trudem, tamten przemówił względnie spokojnie:

– Jeśli dobrze pamiętam, pan jest masonem, panie Roberts?

– Tak, tak.

Odwracając wzrok na chwilę, jakby dla ochłonięcia z ponownego wzruszenia, nieznajomy chwycił kupca za rękę. – Czyż nie pożyczysz pan zatem bratu szylinga, jeśli się znalazł w potrzebie?

Kupiec drgnął, jak gdyby gotując się do ucieczki.

– Panie Roberts, chcę wierzyć, że nie jest pan jednym z tych ludzi interesu, co to za

wszelką cenę nie chcą mieć nic wspólnego z ofiarami losu. Na Boga, niech mnie pan nie opuszcza! Coś mi leży na sercu. Znalazłem się w opałach, wśród obcych, całkiem obcych ludzi. Potrzebuję przyjaciela, któremu mogę zaufać. Pańska twarz, panie Roberts, jest pierwszą znajomą twarzą, jaką widzę od wielu tygodni.

Wybuch ów musiał być tak gwałtowny, a rozmowa tak się różniła od scenerii wokoło, iż kupiec, mimo że nie zwykł być bardzo niedyskretny, nie był przecież aż tak nieludzki, by pozostać całkiem niewzruszonym.

Tamten, wciąż drżąc, ciągnął dalej:

– Nie muszę panu mówić, jak rani to mą duszę, że po serdecznym powitaniu zmuszony byłem wypowiedzieć słowa, jakie przed chwilą pan usłyszał. Wiem, czym ryzykuję w pańskich oczach. Ale nic na to nie poradzę: mus nie dba o prawa ani o ryzyko. Jesteśmy, drogi panie, masonami; odsuńmy się o krok jeszcze – opowiem panu o sobie.

I zaczął niskim, stłumionym głosem. Sądząc po minie słuchacza, musiała to być szczególnie ciekawa opowieść o nieszczęściach, przed którymi ani uczciwość, ani przezorność, ni energia, geniusz czy pobożność nie mogły być obroną.

Z każdym wyznaniem współczucie kupca rosło. Współczucie, nie politowanie. Słuchając opowieści, wydobył z portfela banknot, lecz po chwili, na wieść o jeszcze większym nieszczęściu, zmienił go na inny, chyba większej wartości, który, gdy opowieść dobiegła końca, z miną w wyszukany sposób odzegnującą się od rozdawania jałmużny wręczył nieznajomemu. Ten zaś, z miną w wyszukany sposób odzegnującą się od przyjmowania jałmużny, włożył banknot do kieszeni.

Otrzymawszy wsparcie, nieznajomy jął zachowywać się tak nienagannie, że – w tych okolicznościach – prawie że oziębło. Wypowiedziawszy kilka zdań niezbyt ciepłych, ale i nie całkiem niestosownych, oddalił się, złożony ukłon, który miał w sobie tyle nieskalanej niezależności, jak gdyby nie wiadomo jak dotkliwie nieszczęścia nie mogły urazić poczucia jego godności, a wdzięczność – choćby i najgłębsza – nie mogła upokorzyć dżentelmena.

Było go jeszcze wcale dobrze widać, kiedy zatrzymał się, jakby dla namysłu, po czym spiesznym krokiem wrócił do kupca.

– Przypomniało mi się, że prezes Spółki Węglowej w Black Rapids, który dokonuje także cesji⁹, akurat znajduje się na tym statku. Został wezwany do stawienia się przed sądem jako świadek w sprawie o akcje, która jest na wokandzie w Kentucky, i ma przy sobie księgę cesji. Od jakiegoś miesiąca, ulegając panice wywołanej przez chytrych siewców niepokoju, niektórzy łatwowierni udziałowcy wyprzedają swe akcje. Spółka, aby udaremnić zamysły panikarzy, tak wszystkim pokierowała – poinformowana wcześniej o ich planach – żeby dostać w ręce owe spisane na straty akcje, albowiem stoi na stanowisku, że ponieważ panika musi być fałszywa, jej siewcy nie mogą na tym zyskać. Doszły mnie słuchy, iż owa firma jest obecnie gotowa, acz bez entuzjazmu, ponownie rozprowadzić swe akcje. Że zaś kupiła je po obniżonej cenie, będzie je teraz sprzedawała podług parytetu, chociaż przed paniką żądano za nie znacznie więcej. Zamiary spółki nie są powszechnie znane, o czym świadczy fakt, iż jej kapitał akcyjny nadal figuruje w cesjale pod nazwą firmy, stanowiąc dla kogoś, kto dysponuje gotówką, rzadką sposobność ulokowania pieniędzy. Albowiem, jako że panika z dnia na dzień maleje, lada moment

⁹ ang. *transfer-agent* – urzędnik lub firma (np. bank) zajmujący się dokonywaniem przelewów, czyli cesji z tytułu własności (np. akcji lub obligacji)

stanie się jasne, skąd się wzięła. Zaufanie zostanie w dwójnasób przywrócone, nastąpi reakcja: spadek wartości akcji spowoduje obecnie jej wzrost, większy, niż gdyby żadnego zgoła spadku nie odnotowano, udziałowcy zaś tak się zabezpieczą, by nie lękać się powtórnej katastrofy.

Przysłuchując się wpierw z ciekawością, potem z wielką uwagą, kupiec odpowiedział, że już jakiś czas temu słyszał był od swych przyjaciół, zajmujących się takimi sprawami, o tej spółce. Wyrażali się o niej dobrze, ale nic nie wiedział o ostatnich fluktuacjach. Dodał, że nie jest spekulantem, stąd też unika jakichkolwiek operacji tego rodzaju, lecz gdy chodzi o sprawę powyższą, odczuwa coś na kształt pokusy. – Jak pan sądzi – zakończył – czy w razie potrzeby dałoby się tu na statku zawrzeć transakcję z tym człowiekiem? Pan go zna?

– Osobiście nie. Przypadkiem tylko usłyszałem, że znajduje się wśród pasażerów. Poza tym, choć to może niezupełnie stosowna okazja, ów dżentelmen nie miałby chyba nic przeciwko małej transakcyjce na statku. Wie pan, nad brzegami Missisipi z interesami nie robi się tyle ceregieli, co na Wschodzie.

– To prawda – odrzekł kupiec i spuściwszy na chwilę wzrok w zamyśleniu, szybko uniósł głowę i odezwał się mniej życzliwie, niż to miał w zwyczaju: – Jeśli to istotnie taka rzadka okazja, to czemu na pierwszą wieść o niej nie skorzystał z niej pan? Nie skorzystał dla siebie?

– Ja? Gdybyż to tylko było możliwe!

Powiedziane to zostało nie bez pewnego poruszenia i nie bez pewnego zakłopotania.

– Ach, tak. Zapomniałem – wycofał się kupiec.

Nieznajomy przyglądał mu się teraz w łagodnym skupieniu, ani trochę nie zażenowany, tym bardziej że przybrał obecnie wygląd nie tylko kogoś stojącego wyżej, lecz także poniekąd udzielającego reprimendy, co wyglądało o tyle dziwnie, że to obdarowany zachowywał się w ten sposób wobec dobroczyńcy. Jakkolwiek nie całkiem licowało to z obdarowanym, nie towarzyszył temu jednak nawet cień zarozumiałości, lecz raczej rodzaj bolesnej sumienności, jakby powodowało nim wyłącznie rozeznanie, na co sam sobie zasłużył. Na koniec przemówił:

– Upominać człowieka bez grosza za to, że nie skorzystał natychmiast z możliwości ulokowania gotówki... nie, to przez zapomnienie. Miłosierdzie przypisze to jakimś szczególnie trwałym skutkom owej nieszczęsnej gorączki mózgu, która jeszcze poważniej zmąciła pamięć pana, panie Roberts, gdy chodzi o bardziej odległe w czasie wydarzenia.

– Jeśli o to idzie – powiedział ożywiwszy się kupiec – to ja nie...

– Pan wybaczy, ale musi pan przyznać, że wzbiera w nim niemila, choć mglista, nieufność. O, jakże płytką, a mimo to subtelną rzeczą są podejrzenia, które czasem mogą się zakraść do najbardziej ludzkich serc i najmądrzejszych głów. Ale dość tego. Drogi panie, zwróciłem pańską uwagę na te akcje po to, by w jakiś sposób wyrazić podziękowanie za pańską dobroć. Staram się tylko okazać wdzięczność; jeśli nic panu po moich informacjach, powinien pan pamiętać o pobudkach.

Skłonił się i odszedł, ostatecznie pozostawiając Roberta z niejakimi wyrzutami sumienia, wyrzucał on sobie bowiem, iż na chwilę dopuścił do siebie krzywdzące myśli o człowieku, który – było to oczywiste – posiadał takie poczucie godności własnej, że nie pozwoliłoby mu ono pomyśleć czegoś podobnego.

ROZDZIAŁ V

Dla człowieka z krepą być wielkim mędrcom czy być wielkim prostakiem to jedno i to samo

– Cóż, na świecie nie brakuje smutku, ale jest i dobroć. A dobroć nie jest też naiwnością ani odrobinę bardziej, niż jest nią smutek. Kochany pocziwina. Biedne bijące serce!

Był to człowiek z krepą, który niedawno porzucił towarzystwo kupca; mamrotał do siebie z ręką przyciśniętą do boku na podobieństwo kogoś chorującego na serce.

Zdawało się, że rozmyślanie na temat doznanej życzliwości i jego także nieco rozrzewniło, może zanadto w porównaniu z tym, czego można się było spodziewać po człowieku, którego wyjątkowe poczucie własnej godności mogło się – w godzinie potrzeby i wobec okazywanej pomocy – niektórym wydawać do pewnego stopnia czymś zbliżonym do dumy, i to dumy nie na miejscu; duma zaś bez względu na okoliczności rzadko umie współczuć. Wszelako prawdą jest może, iż ci, którzy najmniej dotknięci zostali tą grzeszną ułomnością – pomijając ich nieczułość wobec dobroci – są niekiedy ludźmi mogącymi za sprawą przemożnego zmysłu przyzwoitości wydawać się zimnymi, jeśli nie zgoła niewdzięcznymi, w obliczu okazywanej im przychylności. Mieć bowiem w takiej chwili usta pełne ciepłych, egzaltowanych słów i z głębi serca płynących uroczyстых zapewnień to odgrywać scenę; mało zaś jest rzeczy, których dobrze wychowani ludzie nie znoszą bardziej od tego. Wydawałoby się więc, że świat nie przepada za egzaltacją, lecz taki nie jest, albowiem świat, który sam jest egzaltowany, nie ma nic przeciwko egzaltowanym scenom i egzaltowanym ludziom: ależ proszę bardzo, byle tylko tam, gdzie ich miejsce: na scenie teatru. Spójrzcie, jakże smutnego dzieła dokonali ci, co nie zdając sobie z tego sprawy wybuchają irlandzkim entuzjazmem i irlandzką szczerością wobec dobroczyńcy, którego – jeśli to człek rozumny i cieszący się powszechnym szacunkiem, a także pełen dobroci – może to przecież mniej lub bardziej zirytować; jeśli natomiast będzie to natura nerwowa i kapryśna, to człowiek taki gotów pomyśleć tak bardzo niepochlebnie o beneficjancie zadającym mu ból swą wdzięcznością, jakby był on winien czegoś zgoła przeciwnego, nie zaś jedynie niedyskrecji. Beneficjanci wszakże, którzy nie są tacy głupi, choć możliwe, że odczuwają to samo, jak nie więcej, nigdy nie zadają takiego bólu ani też nie są skłonni narażać się na ryzyko postąpienia w ten sposób. I tych mądrych jest większość. Z czego widać, jak lekkomyślne są te osoby, które z braku zbyt natrętnych przejawów wdzięczności utyskują, że niewiele już pozostało jej na świecie, gdy tymczasem prawda jest taka, że jest jej tyle samo co skromności, ponieważ jednak obie te cnoty wolą pozostawać w cieniu, przeważnie też nie rzucają się w oczy.

Zacząło się od tego, żeby – jeśli to niezbędne – wyjaśnić przyczynę zmiany nastroju u człowieka z krepą, który zrzuciwszy ukradkiem zimną szatę dostojności i rozluźniwszy w ten sposób więzy krępujące jego prawdziwą naturę, zamienił się niemal w jakąś inną istotę. W owym stonowanym nastroju rozrzewnienia była także domieszka melancholii, melancholii całkiem nie skrywanej: fakt ten – jakkolwiek nie dający się pogodzić z dobrym wychowaniem – jeszcze bardziej świadczył o jego egzaltacji, nikt bowiem nie wie, jak się to dzieje, lecz zdarza się czasem, że tam, gdzie jest egzaltacja, jest i melancholia.

Tak to stał pochylony nad burtą i pogrążony w myślach, nie zwracając zupełnie uwagi na inną zadumaną postać w pobliżu. Był to młody dżentelmen o łabędziej szyi okolonej

kołnierzem damskiej jakby bluzki, odrzuconym do tyłu i związanym czarną wstążką. Sądząc po kwadratowej, wykonanej w kształcie tabliczki broszce, osobliwie pokrytej greckimi literami, sprawiał on wrażenie studenta – całkiem możliwe, że drugiego kursu – odbywającego chyba pierwszą swą większą podróż. W ręce miał niewielką książkę oprawioną, na rzymską modłę, w cienki pergamin.

Młodzieniec ów przysłuchiwał się i przyglądał swemu pomrukującemu pod nosem sąsiadowi z niejakim zdziwieniem, by nie rzec, z ciekawością. Że jednak był z natury skromny – rzadkość wśród studentów – nie odzywał się; tymczasem tamten spotęgował jeszcze jego nieśmiałość przerzucając się z monologu na dialog, będący osobliwą mieszaniną zażyłości i patosu.

– A któż to taki? Nie słyszałeś mych słów, młody przyjacielu, nieprawdaż? Ach! Ty także wyglądasz na zasmuconego. Czyżby moja melancholia była zaraźliwa?

– Proszę pana... – wymamrotał tamten.

– Za pozwoleniem – ciągnął z przyjaznym rozżaleniem w głosie człowiek z krepą, sunąc z wolna wzdłuż balustrady. – Za pozwoleniem, mój młody przyjacielu, cóż to za księgę trzymasz w dłoni? Pozwól, że spojrzę – łagodnie wyjął mu z rąk książkę. – Tacyt! – Otworzył na chybił trafił, jął czytać: „Przede mną czas ponury i haniebny”. – Drogi młodzieńcze – dotknął ostrzegawczo jego ramienia – niech pan nie czyta tej książki. To trucizna moralna. Nawet gdyby słowa Tacyta były prawdą, to taka prawda działałaby jak kłamstwo, a przeto byłaby i tak trucizną, trucizną moralną. Za dobrze znam tego Tacyta. Za mych czasów studenckich niemal udało mu się uczynić ze mnie zgorzkniałego cynika. Tak: zacząłem odwijać kołnierz i obnosić się wszędzie z pogardliwie ponurą miną.

– Ależ ja, proszę pana...

– Wierzaj mi. Możliwe, mój młody przyjacielu, że sądzisz, iż Tacyt, tak jak ja, jest tylko melancholikiem, lecz on jest czymś więcej: jest szpetny. Ogromna różnica, młody panie, istnieje między poglądami melancholika a poglądami szpetnymi. Te pierwsze mogą jednak uważać świat za piękny, drugie nie. Pierwsze dają się pogodzić z życzliwością, drugie nie. Pierwsze mogą pogłębiać przenikliwość sądów, drugie je spłaszczają. Skończ z Tacytem. Frenolog, mój młody przyjacielu, powiedziałby, że masz dobrze wykształconą, dużą czaszkę, ale twój duży mózg zamknięty w ciasnocie owych szpetnych poglądów Tacyta będzie jeszcze bardziej wygłodniały, tak jak wielki wół na okrojonej łące. I nie łudź się, jak to bywa u was, studentów, że przyjęcie tych właśnie szpetnych poglądów odkryje przed tobą samo przez się głębsze znaczenie głębszych książek. Skończ z Tacytem. Jego subtelności są fałszem. Do niego, z jego podwójnie wyrafinowaną anatomią natury ludzkiej, mogą się odnosić słowa Pisma: „Jest człowiek przenikliwy, i tenże bywa oszukany”. Skończ z Tacytem. A teraz pozwól, że wyrzucę tę książkę za burtę.

– Doprawdy, panie, ja... ja...

– Ani słowa. Akurat znam treść twoich myśli, i właśnie do nich odnoszą się moje słowa. Tak, dowiesz się ode mnie, że choć dużo jest na świecie rzeczy smutnych, nikczemność – czyli ohyda – świata jest niewielka. Jest wiele powodów, by litować się nad człowiekiem, mało zaś, żeby mu nie ufać. Ja sam zaznałem nieszczęścia i wciąż cierpię niedolę. Czyż jednak stałem się dlatego cynikiem? Nie, nie: tylko liche piwo kwaśnieje. Mym bliźnim winien jestem ukojenie. Cokolwiek tedy przecierpiałem, wzmacnia to tylko moją ufność do rodzaju ludzkiego. A zatem – w jego głosie brzmiał triumf – czy pozwolisz mi teraz utopić tę książkę?

– Doprawdy, panie, ja...

– Rozumiem. Rozumiem. Ale przecież czytasz Tacyta, żeby ci pomógł przeniknąć naturę ludzką, jakby do prawdy można było dojść przez paszkwil. Młody przyjacielu: jeśli twym celem jest poznanie natury człowieka, rzuć precz Tacyta i podąż na północ ku cmentarzom Auburn i Greenwood.

– Na Boga! Ja... ja...

– O nie, ja wiem wszystko. Ale nosisz ze sobą Tacyta, płytkiego Tacyta. A cóż ja noszę ze sobą? Spójrz – wydobyl książkę niewielkiego formatu – Akenside’a *Rozkosze wyobraźni*. Któregoś dnia to przeczytasz. Bez względu na nasz los powinniśmy czytać książki pełne pogody ducha i wesołe, budzące miłość i zaufanie. Ale Tacyt! Od dawna jestem przekonany, że ta cała klasyka jest zakałą uczelni, gdzież bowiem – nie mówiąc już o niemoralności Owidiusza, Horacego, Anakreonta i tak dalej, oraz o niebezpiecznej teologii Ajschylosa i innych – można odnaleźć poglądy równie obraźliwe dla natury ludzkiej, co u Tukidydesa, Juwenala, Lukiana, zwłaszcza zaś u Tacyta? Gdy pomyślę, że odkąd tylko odrodziła się nauka, owi klasycy byli ulubieńcami kolejnych pokoleń studentów i ludzi miłujących wiedzę, drzę na myśl o pokładach herezji, jakie, nie zauważone, musiały się nagromadzić i tłą się od stuleci w sercu chrześcijańskiego świata. Ale Tacyt – Tacyt jest najbardziej zdumiewającym przykładem heretyka: do takich jak on nie mam za grosz zaufania. I jak na urągowisko ktoś taki cieszy się reputacją mędrca, dzieło Tukidydesa zaś otacza estyma podręcznika mężów stanu! Ale Tacyt: nienawidzę Tacyta, choć – jak sądzę – nie jest to nienawiść grzeszna, lecz sprawiedliwa. Sam pozbawiony ufności, zabija ją u wszystkich swych czytelników. Zabija ufność ojcowską, na której – jak mi Bóg miły – światu nie zbywa. Czyś bowiem, mój drogi młody przyjacielu, mimo żeś stosunkowo niezbyt doświadczony, nigdy nie zauważył, jak mało jest, jak bardzo mało jest zaufania na świecie? Mam na myśli stosunki między ludźmi, ściślej zaś między nieznanymi. To najsmutniejszy fakt na tym smutnym świecie. Zaufanie! Czasami jestem bardzo bliski myśli, że ufność zbiegła, że jest ona nową Astreą, która wyemigrowała, znikła, odeszła raz na zawsze.

Po czym przysunął się jeszcze bliżej i z najłagodniejszą miną pod słońcem, drząc, podniósł wzrok na rozmówcę: – Czy teraz, mój drogi młody panie, czy w takich właśnie okolicznościach nie mógłbyś – tytułem próby – po prostu okazać mi zaufania?

Jak widzieliśmy, nasz student drugiego kursu od samego początku zmagał się z ciągle rosnącym zakłopotaniem, którego źródłem były chyba owe tak dziwne wywody nieznanego – wywody tak stanowcze i obszernie. Na próżno usiłował się kilkakrotnie wyrwać spod uroku, próbując się pożegnać lub wyrazić dezaprobatę. Na próżno. W jakiś tajemniczy sposób nieznanemu go zafascynował. Trudno się tedy dziwić, że nie potrafił odpowiedzieć na apel doń skierowany, lecz będąc człowiekiem z natury skromnym – jak już wspomniano – oddalił się raptownie, zasmuconemu zaś nieznanemu pozostało tylko odejść w przeciwną stronę.

ROZDZIAŁ VI

Na którego początku niektórzy pasażerowie okazują się głusi na głos miłosierdzia

– Tfu! Czemuż to kapitan toleruje na pokładzie tych żebraków?

Słowa te wysapał rozdrażnionym głosem zamożny dżentelmen w rubinowej kamizelce z aksamitu, o rubinowym licu, z laską zwieńczoną rubinem w ręce, do mężczyzny w szarym surducie i białym krawacie, który wkrótce po opisanej ostatnio rozmowie zagadnął go był o datek na schronisko dla wdów i sierot, niedawno założone wśród Seminolów. Na pierwszy rzut oka człowiek ten mógł sprawiać wrażenie – podobnie jak mężczyzna z krepą – jednego z mniej nieokrzesanych dzieci nieszczęścia, lecz bliższa obserwacja pozwalała stwierdzić, że na jego obliczu malowało się mało smutku, dużo zaś świętości.

Dodawszy jeszcze kilka słów oburzenia, zamożny dżentelmen oddalił się pospiesznie. Mimo to człowiek odziany na szaro, choć odepchnięty, i to po grubiańsku, nie robił wyrzutów; czas jakiś pozostał w chłodzie osamotnienia, które znosił cierpliwie, z obliczem nie pozbawionym oznak tajonej, acz czystej ufności.

Nareszcie zbliżył się jakiś starszy jegomość, nieco otyły, którego także poproszono o datek.

– Słuchaj no, ty – zatrzymał się nagle z nachmurzoną miną. – Słuchaj no, ty – wypięte brzuszysko kołysało się jak balon – słuchaj no, prosisz o pieniądze dla innych, a gębę masz długą jak moje ramię. Posłuchaj dobrze: jest coś takiego jak powaga, która u przestępców po wyroku może być nieklamana, ale są trzy rodzaje ponurej miny: trawionego smutkiem, człeka o zapadłych policzkach i oszusta. Sam wiesz najlepiej, którego rodzaju jest twoja.

– Niechaj niebiosa przydadzą ci miłosierdzia, panie.

– A tobie, panie, niechaj ujmą obłudy.

Co powiedziawszy, starszy jegomość o zatwardziałym sercu ruszył dalej.

Tamten stał dalej osamotniony, gdy tymczasem ów wcześniej przedstawiony młody duchowny, który akurat tamtędy przechodził, spostrzegł go przypadkiem i zdaje się coś sobie nagle przypomniawszy, pospieszył do niego ze słowami: – Przepraszam, ale właśnie od niedawna wszędzie pana szukam.

– Mnie? – zagadnięty był zdumiony, że można szukać kogoś tak mało ważnego.

– Tak, pana. Czy wiadomo panu cokolwiek o kalekim Murzynie płynącym tym statkiem? Jest czy nie jest tym, czym być się wydaje?

– Ach, biedny Gwinea! Czy księdzu też nie dowierzają? Przecież natura uczyniła z księdza żywy dowód prawdziwości jego twierdzeń!

– A zatem pan zna go naprawdę i jest to człek uczciwy? Co za ulga to usłyszeć: co za wielka ulga. A teraz chodźmy go poszukać i zobaczymy, co się da zrobić.

– Jeszcze jeden przykład na to, że zaufanie może się spóźnić. Z przykrością muszę księdzu powiedzieć, że podczas ostatniego postoju ja sam osobiście – zauważywszy go akurat na deskach pomostu – pomogłem kalece zejść na brzeg. Nie było czasu na rozmowy, trzeba było pomóc. Może księdzu o tym nie mówił, ale jego brat mieszka w tej okolicy.

– Doprawdy żałuję, że odszedł, nim go powtórnie zobaczyłem; żałuję może bardziej,

niż byłby pan gotów sądzić. Wkrótce po opuszczeniu St. Louis znajdował się on na pokładzie dziobowym, tam też go zobaczyłem wraz z tyłu innymi i uwierzyłem mu – do tego stopnia, że aby przekonać tych, którzy mu nie ufali, na jego usilną prośbę udałem się na pana poszukiwanie, jako że był pan jedną z kilku osób, o których wspomniał i których wygląd zewnętrzny mniej lub bardziej dokładnie opisał, mówiąc, że z pewnością wstawilyby się za nim. Gdy jednak mimo pilnych poszukiwań nie znalazłem pana ani nie zauważyłem nigdzie nikogo z wyliczonych przez niego osób, nasunęły się wątpliwości, ale wątpliwości zrodzone wprost – inaczej myśleć nie mogę – z uprzedniego braku zaufania, objawionego w okrutny sposób przez kogoś innego. Pewnym jest wszakże, że zacząłem mieć podejrzenia.

– Ha, ha, ha!

Zabrzmiało to raczej jak jęk niż jak śmiech, śmiechem wszakże być chyba miało.

Odwrócili się obaj i młody duchowny wzdrygnął się na widok człowieka z drewnianą nogą, który stał tuż za nim, posepnie poważny jak sędzia kryminalny, z plasterem gorczycznym na plecach. W tym wypadku ów plaster gorczyczny mógł być pamiątką po bolesnej odprawie i upokorzeniach, jakich niedawno był zaznał.

– Nie pomyślelibyście, że to ja się śmiałem, nieprawdaż?

– Ale z kogóż to się śmiałeś, a właściwie próbowałeś się śmiać? – spytał młody duchowny czerwieniejąc. – Ze mnie?

– Ani z księdza, ani z nikogo w promieniu tysiąca mil. Ale ksiądz mi może nie wierzy.

– Może by i nie wierzył, gdyby był z natury podejrzliwy – wtrącił spokojnie mężczyzna odziany na szaro. – Głupota człowieka podejrzliwego w tym się między innymi przejawia, że wyobraża on sobie, iż każdy nieznanomy, choćby najbardziej roztargniony, który mijając go uśmiecha się do siebie lub gestykułuje w cokolwiek osobliwy sposób, wyśmiewa się z niego w duchu. W zależności od nastroju człowiekowi podejrzliwemu gesty całej ulicy, którą właśnie idzie, mogą się wydawać szyderczą pantomimą wymierzoną bezpośrednio w niego. Krótko mówiąc, człek podejrzliwy sam sobie wymierza kopniaka.

– Na tym, kto to potrafi zrobić, inni na pewno nie zedrą zelówek! – powiedział drewnianonogi siląc się na dowcip. Jeszcze bardziej wijąc się i szczerząc zęby w uśmiechu, zwrócił się jednak wprost do młodego duchownego: – Ksiądz dalej myśli, że to z księdza się śmiałem przed chwilą. Na dowód, że się ksiądz myli, powiem wam, z czego się śmiałem. Będzie to historia, która mi się akurat wtedy przypomniała.

Po czym, niby jeżozwierz, nie szczędząc złośliwych szczegółów nie nadających się do powtórzenia, opowiedział ową historię, która w wersji łagodnej brzmiałaby mniej więcej następująco:

Pewnego Francuza z Nowego Orleanu, człeka niemłodego, ze szczupłym raczej trzosem, acz nieszczupłej budowy, który wybrał się pewnego wieczoru do teatru, tak bardzo urzekła postać wiernej żony, przedstawionej z wielkim prawdopodobieństwem, że postanowił poślubić taką jak ona. No i poślubił – śliczną dziewczynę z Tennessee, która najpierw zwróciła jego uwagę swym liberalnym charakterem, następnie zaś została mu polecona przez swego krewnego ze względu na jej równie liberalne wykształcenie i usposobienie. Pochwały, choć wielkie, nie okazały się przesadne. Wkrótce bowiem potwierdziły je aż nadto szeptane pogłoski, iż dama owa była liberalna do przesady. I choć z różnych wydarzeń, które większość świeżo ożenionych starych kawalerów uznałaby za niemal przesadzające sprawę, zdawano staremu Francuzowi niezwłocznie relację, tak

wielkie było jego zaufanie, że nie dawał wiary ani jednemu słowu swych przyjaciół, dopóki nie przybył któregoś nocy niespodzianie z podróży i nie natknął się, wchodząc do mieszkania, na obcego mężczyznę, który wypadł z alkowy. – Nędznik! – wykrzyknął – teraz zacznę mieć podejrzenia.

Opowiedziawszy swą historię, człowiek z drewnianą nogą odchylił głowę i wydał z siebie długi, świszczący-chrapliwy i szyderczy jęk, równie nieznośny jak gwizd pary uchodzącej pod wysokim ciśnieniem z kotła; co uczyniwszy, pokuśtykał dalej.

– Kim jest ten kpiarz? – spytał człowiek odziany na szaro tonem nie pozbawionym ciepła. – Kim jest ten człowiek, który w taki sposób mówi prawdę, że nawet gdyby miał ją na języku, to brzmiałaby ona prawie tak samo obraźliwie jak kłamstwo – któż to jest?

– To ten, o którym wspomniałem panu, że się obnosił ze swymi podejrzeniami wobec Murzyna – odrzekł młody duchowny, już uspokojony – krótko mówiąc, osobnik, któremu przypisuję wywołanie mojej podejrzliwości, utrzymywał, jakoby Gwinea był jakowymś białym łajdakiem, powykęcany i wymalowanym na przynętę. Tak właśnie mówił.

– Niepodobna! Czyż mógłby być aż tak przewrotny? Błagam, niech ksiądz go zawoła i pozwoli mi go spytać, czy mówił poważnie.

Tamten zgodził się i wysłuchawszy niemało zgryźliwych uwag, nakłonił w końcu jednonogiego, by wrócił na chwilę. Wówczas mężczyzna odziany na szaro zwrócił się doń tymi słowy: – Ten czcigodny dżentelmen powiedział mi, szanowny panie, że uważa pan pewnego kalekę, biednego Murzyna, za przemyślnego oszusta. Otóż nie jest tak, bym nie zdawał sobie sprawy, że są na tym świecie ludzie, którzy nie potrafiąc dostarczyć lepszego dowodu swej mądrości, znajdują dziwną rozkosz w demonstrowaniu tego, czego, jak sądzą, dowiedzieli się dzięki swej przenikliwości o rodzaju ludzkim z pomocą nieżyczliwych wobec niego podejrzeń. Mam nadzieję, że pan do nich nie należy. Krótko mówiąc: może zechciałby mi pan teraz powiedzieć, czy pańskie mniemanie dotyczące owego Murzyna jest czy też nie jest li tylko żartem. Byłby pan tak dobry?

– Nie, nie będę tak dobry, tylko tak okrutny.

– Proszę postąpić wedle własnego uznania.

– Cóż, jest on właśnie tym, czym powiedziałem.

– Białym udającym czarnego?

– Otóż to!

Człowiek odziany na szaro spojrział na młodego duchownego, po czym szepnął doń cicho:

– Ksiądz przedstawił tego oto człowieka jako osobę szalenie podejrzliwą, gdy tymczasem cechuje go szczególna łatwowierność. – Po czym rzekł głośno: – Niech mi pan powie, czy naprawdę sądzi pan, że biały mógłby tak doskonale udawać czarnego? Osobiście uważam, że byłoby to całkiem niezłe aktorstwo.

– Niewiele lepsze niż czyjekolwiek inne.

– Jakże to? Czyż cały świat uprawia aktorstwo? A ja na przykład, czy jestem aktorem? Lub mój tu szanowny przyjaciel, czy też jest wykonawcą roli?

– Owszem, czyż obaj nie wykonujecie aktów? Czynić coś to wykonywać akty, a zatem ktokolwiek działa, jest aktorem.

– Żartowniś. Raz jeszcze pytam: jak biały mógłby się tak bardzo upodobnić do czarnego?

– Pan nigdy chyba nie widział śpiewaków przebranych za Murzynów.

– Owszem, ale oni lubią przesadzać z czernidłem, będąc przykładem na stare powiedzenie, równie trafne, co i miłosierne, że „nie taki diabeł czarny, jakim go malują”. Ale członki, jeśli to nie kaleka, jakżeby potrafił tak poskręcać członki swego ciała?

– A jak to robią inni obłudni żebracy? Nietrudno spostrzec, że są podwinięte.

– Zatem oczywiste oszustwo?

– Dla bystrego oka – człowiek z drewnianą nogą łypnął przeraźliwie własnym, świdrującym.

– No cóż, gdzie Gwinea? – spytał człowiek odziany na szaro. – Gdzież on? Odnajdźmy go natychmiast, aby ponad wszelką wątpliwość odrzucić tę krzywdzącą hipotezę.

– Uczynicie to! – krzyknął jednooki. – Właśnie przyszła mi ochota, żeby go odnaleźć i zostawić mu na farbie ślady mych palców, tak jak lew zostawia ślady własnych pazurów na Kafrze. Przedtem nie pozwolili mi go tknąć. Tak, odszukajcie go: najpierw poleci czupryna, potem on.

– Pan zapomniał – rzekł młody duchowny do człowieka odzianego na szaro – że osobiście pomógł pan zejść biednemu Gwinei na ląd.

– Pomogłem, pomogłem: jaka szkoda! Ale niech pan słuca – zwrócił się do tamtego. – Chyba uda mi się bez namacalnego dowodu przekonać pana o pańskiej pomyłce. Bo niech pan sam powie, czy rozsądnie jest przypuszczać, że człowiek z głową na karku, zdolny do tego, by, jak pan twierdzi, grać taką rolę, narażałby się na wszystkie te przykrości i niebezpieczeństwa dla tych kilku nędznych miedziaków, bo, jak słyszę, tyle właśnie dostał za wszystko, co wycierpiał, o ile wycierpiał?

– Oto argument nie do odparcia! – powiedział młody duchowny, rzucając wyzywające spojrzenie w stronę jednonogiego.

– Para złotodziobów! A więc sądzicie, że tylko pieniądze są pobudką cierpień i hazardu, oszustw i zuchwalstwa na tym świecie. Ileż to pieniędzy zarobił diabeł na tym, że nabrał Ewę?

Co powiedziawszy, znów oddalił się kuśtykając, nie omieszkał także powtórzyć swych nieznośnych szyderstw.

Człowiek odziany na szaro stał milcząc i spoglądał przez chwilę za nim, po czym powiedział do swego towarzysza: – Zły to człek, człek niebezpieczny; każda chrześcijańska wspólnota musiałaby go wykluczyć. I to właśnie za jego sprawą zrodziły się w księdzu podejrzenia? Ach, powinniśmy zamknąć uszy przed podejrzliwością, a otwierać je tylko na głos jej przeciwieństwa.

– Gdybym był dziś rano postąpił wedle wysuniętej przez pana zasady, oszczędziłbym sobie tego, co w tej chwili czuję. Żeby jednemu człowiekowi, i to z jedną nogą, było dane tyle złej mocy! Jedno jego cierpkie słowo przesyciło podobnym kwasem – bo tak się, z tego, co wiem, stało – pełne słodczy nastawienie sporej grupy osób. Lecz, jak już wspominałem, w moim wypadku jego złorzeczenia wówczas nie zdały się na nic; było tak jak teraz – dopiero później zaczęły skutkować i muszę wyznać, że jest to dla mnie zagadką.

– A nie powinno. Na umysły ludzkie duch podejrzliwości działa podobnie jak niektóre mikstury: przenika do nich i może mimo to przez czas jakiś, dłuższy lub krótszy, spoczywać w bezruchu, tym bardziej jednak oplakane bywają skutki jego działania.

- Nieprzyjemne rozwiązanie, bo jeśli ten siewca zniszczenia znów zatrął mnie swym jadem, jakże mogę być pewny, że będę trwale wolny od jego skutków?
- Nie może ksiądz być, ale może z tym walczyć.
- Jak?
- Tłumiąc najmniejszy objaw podejrzliwości każdego rodzaju, jaki tylko odtąd u księdza pojawi się z jakiegokolwiek powodu.
- Tak uczynię. – Po czym dodał, jakby do siebie: – Zaiste, zaiste, to moja wina, że okazałem bierność wobec poczynań jednonogiego. Sumienie robi mi wyrzuty. Biedny Murzyn. Czy pan go może czasami odwiedzić?
- Nie, raczej rzadko, tak się jednak składa, że z racji mych obowiązków udam się za kilka dni w okolice, w jakich się obecnie znajduje. Poczciwy Gwinea, wdzięczna dusza, na pewno zechce mnie odwiedzić.
- A więc pan jesteś jego dobrodziejem?
- Dobrodziejem? Tego nie powiedziałem. Znam go, ot i wszystko.
- Weź ten datek. Przekaż go Gwinei, gdy będziesz go widział. Powiedz, że to od kogoś, kto całkowicie wierzy w jego uczciwość i szczerze żałuje, że dopuścił do siebie, jakkolwiek przelotnie, myśl przeciwną.
- Przyjmuję w depozyt. A nawiasem mówiąc, skoro ksiądz jest człowiekiem zaiste tak miłosiernym, to z pewnością zechce złożyć datek na schronisko dla wdów i sierot u Seminolów.
- Nie słyszałem o takim zakładzie.
- Dopiero co powstał.
- Gdy po chwili zwłoki duchowny wsuwał niezdecydowanie rękę do kieszeni, nagle dostrzegł coś takiego w wyrazie twarzy swego towarzysza, że zaczął się mu przyglądać badawczo, niemal z przerażeniem.
- No cóż – uśmiechnął się tamten blado – jeśli owa subtelna trucizna, o której przed chwilą rozmawialiśmy, tak szybko zaczyna działać, na nic moja prośba. Żegnam.
- Skądże! – ksiądz poczuł się lekko dotknięty. – Pan mnie krzywdzi; miast dopuszczać do siebie świeże podejrzenia, wolałbym naprawić szkodę, jaką wyrządziły poprzednie. Proszę, to dla waszego schroniska. Niedużo, lecz każdy grosz się przyda. Pan oczywiście ma jakieś papiery?
- Oczywiście – człowiek w szarym odzieniu wydobyl notatnik i ołówek. – Zaraz zapiszę nazwisko i kwotę. Publikujemy te nazwiska. A teraz proszę pozwolić, że opowiem krótko historię naszego schroniska, którego powstanie miało charakter opatrnościowy.

ROZDZIAŁ VII

Dżentelmen ze złotymi guzikami

W ciekawym miejscu opowiadania, i to w momencie gdy jego narratorowi zadawano właśnie z wielkim zainteresowaniem, wręcz z natarczywością, pytania miejsca tego

dotyczące, nagle odwrócił on swą uwagę zarówno od pytań, jak i opowieści, spostrzegłszy pewnego dżentelmena, który stał w zasięgu wzroku od samego początku, nie będąc wszakże – jak się wydawało – aż do owej chwili przezeń zauważonym.

– Proszę wybaczyć – rzekł powstając – ale widzę tam kogoś, kto na pewno zechce ofiarować datek, i to spory. Proszę mi nie mieć za złe, że księdza opuszczę.

– Ruszaj: obowiązek na pierwszym miejscu – brzmiała skrupulatna odpowiedź.

Nieznajomy był człowiekiem o więcej niż ujmującym wyglądzie. Stał na osobności i odpoczywał, a mimo to sam jego widok kazał człowiekowi odzianemu na szaro przerwać opowieść, zwabiwszy go prawie tak samo, jak pokryty bujnym listowiem, samotnie rosnący na łące wiąz wabi o południu żeńca, by porzucił swe snopy i przyszedł prosić o jałmużnę cienia.

Zważywszy jednak, że dobroć nie jest czymś aż tak rzadkim pośród ludzi – na świecie wyraz ten jest dobrze znany; występuje on w każdym języku – należało się dziwić, że tym, co tak wyróżniało owego nieznanego spośród tłumu, nadając mu jakby wygląd cudzoziemca – u niektórych zaś wywołując wrażenie, że opis tej postaci jest mało prawdziwy – było tylko przejawienie się tej tak powszechnej cechy. Wydawało się, że nieznanomy ma tyle dobroci, sprzymierzonej z taką przychylnością losu, iż niepodobna, aby z własnego swego doświadczenia mógł znać zło fizyczne bądź moralne; co się zaś tyczy wiedzy na jego temat lub domysłów, że istnieje ono w jakimś poważniejszym stopniu (jeżeli istnieje rzeczywiście), w oparciu o obserwacje lub filozofię, to do tych rzeczy jego natura – za sprawą przeciwieństwa zła – nie była dobrze przygotowana, albo też była od nich całkowicie wolna. Poza tym mógł mieć pięćdziesiąt pięć, a może sześćdziesiąt lat, był wysoki, rumiany, zażywny, lecz nie tęgi, w doskonałej formie, zważywszy zaś na czas i miejsce, nie mówiąc już o jego wieku, ubrany z dziwnie odświętną, dbałą o szczegół elegancją. Poły surduta miał od wewnątrz podszyte białym atłasem, co mogło wyglądać szczególnie niestosownie, gdyby nie to, że przypominało mniej okaz sztuki krawieckiej, bardziej zaś jakby symbol, że się tak wyrażę – symbol mimowolny tego, iż dobre wrażenie, jakie sprawiał, nie dotyczyło tylko sfery zewnętrznej; o nie, pod wspaniałą podszewką znajdowało się jeszcze wspanialsze podbicie. Jedną jego dłoń opinała biała rękawiczka z kozłej skóry, lecz dłoń druga, nie urękawiczniona, lśniła nie mniej biało. Że zaś *Fidèle*, jak prawie wszystkie parowce, była tu i ówdzie przyprószona sadzą, co dotyczyło zwłaszcza pokładowych balustrad, zakrawało na cud, iż w takich warunkach dłonie te zachowały nienaganną czystość. Wystarczyło jednak chwilę je poobserwować, by zauważyć, że starają się niczego nie dotykać, słowem, można było zauważyć przybocznego sługę, Murzyna, któremu natura zafarbowała ręce na czarno, w tym samym celu może, w jakim młynarze noszą się na biało. To właśnie ręce tego murzyńskiego sługi wykonywały większość manipulacji za swego pana, musząc stykać się z brudem na jego rachunek, ale bez szkody dla niego. A gdyby jeszcze dżentelmen, z taką samą nieskazitelnością skutków, jakie to dlań pociąga, mógł także grzeszyć przez zastępcę, jakaż by to była potworność! Ale nie wolno, żeby tak było, a nawet gdyby było wolno, żaden rozumny moralista nie obwieściłby tego.

Istnieje tedy powód, by twierdzić, że ów dżentelmen był człowiekiem, który, podobnie jak pewien prokurator Judei, umiał zachować czyste ręce i któremu nigdy w życiu nie przytrafiło się otrzymać znieczeka kukuśnika od spieszącego się malarza pokojowego albo od zamiatacza; słowem, człowiek, którego wielkie szczęście polegało na tym, że był takim dobrym człowiekiem.

Nie znaczy to wcale, że wyglądał, jakby był kimś pokroju Wilberforce'a¹⁰, tak niepospolitych zalet chyba nie miał. Nic w jego sposobie bycia nie świadczyło o jego sprawiedliwości, lecz tylko o dobroci, mimo iż być dobrym to znacznie mniej, niż być sprawiedliwym, i choć istnieje różnica między jednym a drugim, to przecież należy mieć nadzieję, że nie aż tak głęboka, ażeby człowiek sprawiedliwy nie mógł być człowiekiem dobrym. Co prawda z kazalnicy bardzo trafnie przekonywało się i przekonuje, że człowiekowi, który jest tylko dobry, to znaczy, dobry wyłącznie z natury, tak jeszcze daleko do tego, by tym samym był sprawiedliwym, że nic oprócz całkowitej przemiany i nawrócenia takim go nie może uczynić – czemu nikt uczciwy, znający dobrze dzieje ludzkiej prawości, na pewno nie zaprzeczy. Niemniej jednak, skoro sam święty Paweł, zgadzając się w pewnym sensie z owym rozróżnieniem z kazalnicy, choć nie całkiem z wyciągniętym wnioskiem, a także dając całkiem jasno do zrozumienia, która z owych dwóch cech cieszy się bardziej jego apostołską sympatią, skoro więc, jak powiadam, święty Paweł wypowiedział owe ważne słowa, że „ledwie by kto umarł za sprawiedliwego; wszakże za dobrego snadź by się kto umrzeć ważył”¹¹, a zatem kiedy powtarzamy, że ów dżentelmen był tylko dobrym człowiekiem, to bez względu na to, co by mu jeszcze mogli zarzucać surowi mentorzy, nie wolno porzucać nadziei, że w każdym razie jego dobroć nie będzie mu poczytana za zbrodnię. Bez względu na okoliczności nikt, nawet człowiek sprawiedliwy, nie uważałby za rzecz całkowicie słuszną, aby uwięzić owego dżentelmena za owo przestępstwo, choć mógłby je uznać za niezwykle; tym bardziej zaś, dopóki nie było wszystkiego wiadomo, zawsze istniała możliwość, że ów dżentelmen mógł być przecież równie niewinny tej zbrodni, jak sam ów sprawiedliwy.

Miło było popatrzeć, jak dobry człowiek przyjmował pozdrowienie człowieka sprawiedliwego, to znaczy mężczyzny odzianego na szaro, który mu wyraźnie ustępował zarówno w hierarchii społecznej, jak i wzrostem. Znów na podobieństwo łaskawego wiążu, dobry człowiek jak gdyby rozpostarł nad suplikantem baldachim dobroci, wszakże nie z próżnej łaskawości, lecz z ową zawsze jednaką uprzejmością prawdziwego majestatu, który umie być życzliwy dla wszystkich, nie zniżając się przy tym.

Na prośbę o datek dla wdów i sierot Seminolów dżentelmen ów, zadawszy jedno czy dwa pytania i otrzymawszy na nie niezwłocznie odpowiedź, zareagował wyciągnięciem grubego portfela w starym pojemnym stylu, wykonanego z dużą fachowością z delikatnego zielonego francuskiego marokinu i przewiązanego jedwabiem tego samego koloru, że nie wspomnę szeleszczących ze świeżości banknotów, prosto z banku, nie pobrudzonych jeszcze przez skąpców. Był to dochód, dochód uczciwy, póki pieniądze te trzymano z dala od brudu tego świata. Włożywszy trzy takie dziewiczo czyste banknoty do rąk suplikanta, wyraził nadzieję, że ten nie będzie miał mu za złe, iż datek jest skromny; szczerze bowiem mówiąc – wreszcie wyjaśniło się, dlaczego jest tak ubrany – płynął niedaleko, do gaju biesiadnego nad rzeką, aby uczestniczyć w zaślubinach swej siostrzenicy i dlatego miał przy sobie niewiele pieniędzy.

Tamten sposobił się właśnie, by mu odpowiedzieć, gdy ów dżentelmen grzecznie go powstrzymał: wdzięczność należy się drugiej stronie. Dla niego dobroczynność nie jest wysiłkiem, tylko – w pewnym sensie – luksusem, na który zbytnio może sobie pozwalać, za co też strofuje go czasem jego rządca żartowniś.

Wywiązała się następnie ogólnikowa rozmowa o zorganizowanych formach

¹⁰ William Wilberforce (1759 – 1833) – brytyjski mąż stanu, filantrop i literat.

¹¹ Świętego Pawła *List do Rzymian* 5, 7

dobroczynności, podczas której dżentelmen ów wyraził ubolewanie, że choć stowarzyszenia dobroczynne występują tak licznie, nie potrafią – rozrzucone po całym kraju – połączyć się dla wspólnego działania, choć przecież udało się to już poszczególnym członkom tworzącym owe stowarzyszenia. Uważał, że przyniosłoby to podobne korzyści w większej skali. W istocie skutki przystąpienia do takiej federacji mogłyby się okazać równie korzystne, co skutki politycznej federacji stanów.

Wpływ, jaki rzucona przezeń myśl wywarła na jego dotąd powściągliwego towarzysza rozmowy, mógłby stanowić ilustrację owego znanego twierdzenia Sokratesa, że dusza jest harmonią. Albowiem tak jak dźwięk fletu, obojętne, w jakiej tonacji, ma – powiadają – wywołać słyszalny odzew odpowiedniej struny każdej dobrze nastrojonej harfy w zasięgu głosu, podobnie i w nim drgnęła jakowaś struna, i to bardzo żywo.

Mówiąc nawiasem, owo ożywienie mogło się wydawać mniej lub bardziej sprzeczne z charakterem mężczyzny odzianego na szaro, zważywszy jego niezbyt żwawe zachowanie przy pierwszej prezentacji, gdyby nie to, że w niektórych późniejszych dialogach po części dostarczył on był dowodu, iż w wypadku niektórych natur statecznie powściągliwa mina wcale nie musi świadczyć o braku wewnętrznej treści, lecz przeciwnie; bywa dowodem, że treść ta istnieje jest jej mnóstwo, bo nie roztrwoniona, i że będzie ją można tym skuteczniej wykorzystać, gdy nadarzy się po temu sposobność. Słowa, jakie wypowie teraz mężczyzna odziany na szaro, będą kolejną – być może nieco wstrząsającą – ilustracją prawdziwości (lub tego, co się nią wydaje) powyższych uwag.

– Szanowny panie – rzekł z zapałem – oto jestem. Projekt zbliżony do pańskiego został przeze mnie przedstawiony na Targach Światowych w Londynie.

– Na Targach Światowych? – Pan – tam...? Jakże to, jeśli łaska?

– Proszę mi najpierw pozwolić...

– Niechże mi pan w pierw powie, co pana sprowadziło na Targi?

– Pojechałem, żeby zademonstrować fotel inwalidzki własnego pomysłu.

– A więc nie zawsze pracowałeś pan w branży dobroczynnej?

– Czyż łagodzenie ludzkich cierpień nie jest dobroczynnością? Jestem, zawsze byłem i mam nadzieję – zawsze będę w branży dobroczynnej, jak pan to określa. Dobroczynność wszakże to nie szpilka, którą tu trzeba obdarzyć główką, a tam – zaostrzyć. Dobroczynność jest zajęciem, do którego nadaje się każdy dobry fachowiec, obojętne, jakiej branży. Wymyśliłem swój fotel Proteusza w przerwach uzyskanych kosztem snu i posiłków.

– Niech pan z łaski swojej opisz ten fotel Proteusza.

– Mój fotel Proteusza tyle ma wszędzie połączeń, zawiasów i rączek, jest tak giętki, sprężysty i podatny na najlżejsze dotknięcie, że w którymś z mogących się bez końca zmieniać ustawień oparcia, siedzenia, podnóżka i poręczy nawet najbardziej niespokojne ciało, ciało najbardziej nawet udręczone, ba! chciałem prawie dodać: najbardziej udręczone sumienie – musi gdzieś i jakoś znaleźć wytchnienie. Uważając, że moim obowiązkiem wobec cierpiącej ludzkości jest jak najwięcej osób poinformować o tym urządzeniu, uciułałem potrzebną sumę i wyruszyłem na Targi Światowe.

– Słusznieś pan postąpił. W jaki jednak sposób przyszedł panu do głowy tamten projekt?

– Miałem właśnie mówić. Stwierdziwszy, że mój wynalazek został należycie ustawiony i umieszczony w katalogu, oddałem się rozmyślaniom nad miejscem, w jakim się

znalazłem. Kiedym tak dumał nad owym olśniewającym popisem wszelakich kunsztów i umiejętności, a także nad wzruszającym zgromadzeniem narodów, i gdym oto uświadomił sobie, że jestem świadkiem dumy całego świata pyszniącego się szklaną budowlą – doznałem głębokiego wrażenia kruchości majestatu świata. I powiedziałem do siebie: Przekonam się, czy wśród tej całej próżności znajdzie się sposobność, by odnieść jakąś większą korzyść niżli ta, której to wszystko służy. Niechże dla sprawy o zasięgu światowym uczynione zostanie coś na miarę świata. Słowem – pod wrażeniem owego miejsca własnym sumptem wydałem na Targach Światowych mą broszurę kreślącą projekt Światowego Stowarzyszenia Dobroczynności.

– Świetny pomysł. Ale proszę o szczegóły.

– Ma to być Stowarzyszenie, w którego skład wejdą delegaci wszystkich istniejących instytucji i misji dobroczynnych. Celem Stowarzyszenia będzie uporządkowanie światowej działalności dobroczynnej. Wymaga to odejścia od obecnej zasady dobrowolnych i przygodnych datków, a także tego, by rządy nadały Stowarzyszeniu prawo nałożenia na całą ludzkość jednorazowego podatku na cele dobroczynne, raz w roku. Tak jak za cesarza Augusta: cały świat staje do opodatkowania. Podatek ten powinien przypominać podatek dochodowy w Anglii, ale także – jak wcześniej wspomniałem – winien łączyć w sobie wszelkie możliwe podatki na cele dobroczynne, jak się to dzieje tu, w Ameryce, gdzie urzędnicy sumują podatek stanowy, podatek okręgowy, podatek powiatowy i pogłówny w jedno. Zgodnie z moimi wyliczeniami, starannie przeprowadzonymi, podatek ten pozwoliłby zebrać rocznie fundusze w wysokości prawie ośmiuset milionów. O tym, na co i w jaki sposób byłyby one co roku przeznaczane, decydowałoby ogólne zgromadzenie delegatów poszczególnych stowarzyszeń i misji. Szacuję, że w ciągu czternastu lat wydano by na działalność dobroczynną kwotę jedenastu miliardów dwustu milionów, co pozwoliłoby rozwiązać Stowarzyszenie, gdyż rozsądne wydatkowanie takiej sumy musiałyby doprowadzić do całkowitego zniknięcia ubóstwa i ciemnoty z powierzchni ziemi.

– Jedenaście miliardów dwieście milionów! A wszystko dzięki temu, że puściłoby się w obieg kapelusze, że tak powiem.

– Owszem. Nie jestem Fourierem, którego pomysłów nie da się wcielić w życie, tylko filantropem i finansistą propagującym snadną do wykonania filantropię i także finanse.

– Snadną do wykonania?

– Tak jest. Jedenaście miliardów dwieście milionów: tego może się przestraszyć tylko filantrop-detalista. Lecz cóż to jest ledwie osiemset milionów rocznie w ciągu czternastu lat! A osiemset milionów daje w przeliczeniu na jednego mieszkańca tej planety przeciętnie zaledwie jednego jedynego dolara rocznie! Czyż znajdzie się ktoś, nawet wśród Turków czy Dajaków, kto by odmówił jednego dolara na słodki cel dobroczynności? Osiemset milionów! Ludzkość wydaje każdego roku większe sumy, i to nie tylko na błahostki, lecz także na zadawanie cierpienia. Niech pan pomyśli o tej ociekającej krwią rozrzutnicy, wojnie. Byłżeby rodzaj ludzki aż tak głupim, tak nikczemnym, żeby – kiedy już mu się tę rzecz zademonstrowało – nie przeznaczyć nadwyżki dochodów na błogosławieństwo dla świata, zamiast na jego przekleństwo, i żeby nie naprawić w ten sposób swego postępowania? Osiemset milionów! Nie muszą zarobić tych pieniędzy, bo już je mają: muszą tylko przeznaczyć je na dobro zamiast na zło. Na dodatek nie wymaga to prawie żadnych wyrzeczeń. W istocie nie zbiednieliby przez to ani o centa w ogólnym obrachunku, przeciwnie – staliby się na pewno lepsi i szczęśliwsi. Czyż nie tak? Musi pan przyznać, że ludzkość nie jest przecież szalona, mój

projekt zaś jest wykonalny. Jakaż bowiem istota – prócz szaleńca – wolałaby czynić zło zamiast dobra, jeśli jest rzeczą oczywistą, iż skutki jej postępowania muszą się na niej odbić?

– Sposób, w jaki pan rozumuje – rzekł zacny dżentelmen, poprawiając złote guziki u rękawów – wydaje się całkiem rozsądny, lecz nie zda się na nic w odniesieniu do ludzi.

– Tedy ludzie nie są istotami czyniącymi użytek z rozumu, skoro rozum na nic się tu nie zda.

– To już inna sprawa. Swoją drogą, z tego, co pan wspomniał o spisie powszechnym na całym świecie, wynikałoby, że zgodnie z pańskim zakrojonym na skalę światową planem ubodzy mają się w równym co bogacze stopniu przyczynić do zmniejszenia nędzy, poganie zaś w równym stopniu co chrześcijanie do nawrócenia się świata pogańskiego. Jakże to?

– Ależ to są – pan wybaczy – wykręty! Żaden filantrop nie lubi natykać się na sprzeciw krętaczy.

– Cóż, nie będę się więcej sprzeczał. Jeśli jednak rozumiem właściwie pański plan, to przecież nie zawiera on nic szczególnie nowego, tyle tylko, że zakłada spotęgowanie środków, jakie miałyby zostać uruchomione.

– Spotęgowanie i przydanie energii. Przede wszystkim zreformowałbym działalność misji. Ożywiłbym misje duchem Wall Street.

– Duchem Wall Street?

– Tak. Jeżeli bowiem niektóre cele duchowe są – jak widać – osiągalne jedynie przy pomocy środków świeckich, to planiści spraw duchowych nie powinni lekceważyć przykładu działań świeckich w planach dotyczących spraw duchowych. Krótko mówiąc, nawracanie pogan – w tym przynajmniej stopniu, w jakim zależy ono od wysiłków ludzkich – byłoby przedmiotem umowy, jaką światowa dobroczynność zawierałaby ze stającymi do przetargu. Tyle a tyle za nawrócenie Indii, tyle a tyle za Borneo, tyle a tyle za Afrykę. Dopuszczenie konkurencji byłoby dodatkowym bodźcem. Nie byłoby letargu, jaki rodzi monopol. Nie powinniśmy mieć domów misyjnych ani schronisk, o których jakkolwiek oszczerca mógłby choćby z najmniejszą dozą prawdy powiedzieć, że zurzędniczały do tego stopnia, iż zamieniły się w rodzaj urzędu celnego. Jednak głównie idzie o to, by zastosować ową dźwignię Archimedesesa w postaci potęgi pieniądza.

– Ma pan na myśli tych osiemset milionów?

– Owszem. Uważa pan, takie kapanie drobnych kwot w imię polepszenia świata to tyle co nic. Jestem za tym, żeby wyświadczyć światu dobro raz na zawsze i więcej do tego nie wracać. Niechże pan tylko pomyśli, szanowny panie, o kłębiącym się mrowiu pogan chińskich. Tutejsi ludzie nie mają o tym pojęcia. Mroźnym rankiem na ulicach Hongkongu człowiek napotyka tylu martwych pogańskich nędzarzy, co zwarzonych mrozem strączków grochu w skrzyni. Istota nieśmiertelna wyróżnia się w Chinach równie mało jak płatek śniegu w śnieżnej zamieci. Cóż to jest tuzin albo dwa tuziny misjonarzy na tylu ludzi? Toż to szczypta tabaki na krakena¹². Jestem za tym, żeby wysłać hurtem dziesięć tysięcy misjonarzy i nawrócić Chińczyków *en masse* – w ciągu sześciu miesięcy od chwili ich przybycia. Wówczas sprawa zostanie zamknięta i będzie można zająć się czymś innym.

¹² legendarny potwór morski wywołujący silne prądy morskie u wybrzeży Norwegii

– Obawiam się, że przemawia przez pana zbyt ni entuzjazm.

– Filantrop musi być entuzjastą, bo czyż bez entuzjazmu osiągnięto kiedykolwiek coś prócz pospolitości? A proszę się teraz zastanowić nad ubogimi w Londynie. Cóż znaczy dla tego tłumu nędzarzy, że od czasu do czasu trafi się im kawałek pieczeni i bochenek chleba? Jestem za tym, żeby im przyznać na początek dwadzieścia tysięcy wołów i sto tysięcy beczek mąki. Wówczas ich los naprawdę się poprawi i żaden z nędzarzy londyńskich nie zazna więcej głodu. I tak ze wszystkim.

– Mniemam, że tym, co łączy ogólny plan pański z rzeczami, o jakich pan właśnie mówił, jest to, iż są one raczej przykładem cudu, którego ziszczenia należałoby pragnąć, niżli cudu, który się wydarzy.

– Czyżby minęła epoka cudów? Czyżby świat tak się już postarzał? Czyż jest bezpłodny? Niech pan przypomni sobie Sarę.

– Tedy jestem Abrahamem, co to prawuje się z aniołem – tu człowiek z krepą się uśmiechnął. – Co się wszelako tyczy pańskiego projektu w ogólności, wydaje mi się, że cechuje go niejaka zuchwałość.

– Jeżeli jednak zuchwałości owej towarzyszyłaby współmierna z nią roztropność wykonania – cóż wtedy?

– Ale! Czyżbyś pan naprawdę wierzył, że ta pańska światowa dobroczynność zacznie kiedyś działać?

– Ufam, że zacznie.

– Chyba jednak jest to ufność przesadna.

– Dziwne słowa jak na chrześcijanina!

– Proszę wszakże pomyśleć o przeszkodach!

– O przeszkodach? Ufam, że pokonam przeszkody, nawet gigantyczne. Tak: ufam w światową dobroczynność do tego stopnia, że ponieważ nikt lepszy nie zgłasza się na to miejsce, mianowałem sam siebie tymczasowym skarbnikiem i przyjmę z radością wszelkie datki, które na razie przeznaczone zostaną na odbicie dodatkowego miliona egzemplarzy mego prospektu.

Rozmowa toczyła się dalej; człowiek odziany na szaro objawił ducha życzliwości, który – pomny na milenijną obietnicę – zawędrował do wszystkich krajów na kuli ziemskiej niczym pracowity duch gospodarza, co poruszony myślą o zbliżającej się porze siewu odwiedza podczas marcowych dumań przy kominku każdy zakątek pól uprawnych. W człowieku odzianym na szaro dotknięta została główna struna i wydawało się, że nigdy już nie przestanie wibrować. Nie był to także człowiek pozbawiony daru wymowy; jego gesty były Pięćdziesiątnicą dalszych gestów, a umiejętność przekonywania nawet serca z granitu mogłaby skruszyć w proch.

Dziwne tedy, że jego słuchacz – człek, wydawałoby się, wyjątkowej dobroci serca – wykazał odporność na taką elokwencję, choć – jak się rzekło – nie na usilne prośby. Albowiem, posłuchawszy jeszcze przez chwilę z grzecznym niedowierzaniem, dzentelmen ów – gdy parowiec przybył do miejsca będącego celem jego podróży – z miną na poły rozbawioną, na poły zaś pełną współczucia wsunął następny banknot w dłonie wynalazcy – do końca miłosierny, choćby tylko względem porywów entuzjazmu.

ROZDZIAŁ VIII

Miłosierna dama

Jeśli pijak w przypiływie trzeźwości jest najbardziej markotnym wśród śmiertelników stworzeniem, to entuzjasta w przypiływie rozsądku nie jest wśród nich najweselszym. Bez uszczerbku zresztą dla jego znacznie wydoskonalonej zdolności pojmowania – jeżeli bowiem w swych porywach osiągnął szczyty szaleństwa, to jego przygnębienie stanowi tylko skrajny przejaw umysłowego zdrowia. Sądząc z pozorów, coś podobnego działo się teraz z człowiekiem odzianym na szaro. Towarzystwo było dlań podnietą do życia, samotny – pogrążał się w letargu. Samotność, tak jak wichur dmący z głębi tysiąca mil morskiej pustki, nie była dlań niczym krzepiącym, podobnie jak dla sędziwych odludków. Krótko mówiąc, pozostawiony samemu sobie i pozbawiony kogokolwiek, kto wywabiłby zeń utajoną flegmę, niepostrzeżenie przybrał ponownie pierwotny wygląd, na który składała się mieszanina oswiałej pokory i przesadnej skromności.

Wkrótce potem wszedł on opieszale do salonu dla dam, jakby w ospałym poszukiwaniu jakiejś osoby, rzuciwszy wszakże wkoło kilka zawiedzionych spojrzeń, usadowił się na sofie z wyrazem melancholijnego wyczerpania i przygnębienia na twarzy.

Na drugim końcu sofy siedziała pulchna, miła osoba, której wygląd zdawał się podpowiadać, że jeśli ma ona jakikolwiek słaby punkt, z pewnością nie jest nim jej wspaniałe serce. Sądząc po sukni w barwach ni to brzasku, ni zmroku – była to wdowa, u której dopiero co wykluła się barwa żałoby. Trzymała w ręce mały złocony Nowy Testament, którego lekturze przed chwilą się oddawała. Przerwawszy czytanie, pogrążyła się w zadumie, przytrzymując dłonią książkę otwartą na trzynastym rozdziale Pierwszego Listu do Koryntian, który być może dlatego przykuł jej uwagę, że była świadkiem sceny z udzielającym napomnień niemową i jego tabliczką.

Jej wzrok nie spoczywał już na świętej stronicy, lecz tak samo jak wieczorną porą wzgórza na zachodzie lśnią jeszcze blaskiem, choć słońce już zaszło – jej zamyślona twarz zachowała wyraz czułości, mimo że nauczyciela pokryła już niepamięć.

Wyraz twarzy nieznanego był zaś taki, że wnet przyciągnął jej spojrzenie, które pozostało jednak nie odwzajemnione. Ona zaś przypatrywała mu się dalej, nieco natarczywie, aż książeczka wypadła jej z rąk. Nieznajomy podniósł i zwrócił tomik. Odbyło się to w sposób pozbawiony naruszającej prywatność grzeczności, jedynie życzliwie i bez żadnych upiększeń. W oczach damy zapaliły się iskry. Wyraźnie było widać, że w tej akurat chwili nie jest mu nieprzychylna. Wkrótce też nieznanomy pochylił się w jej stronę i szepnął cichym, smutnym, pełnym uszanowania głosem:

– Madame, proszę wybaczyć moją śmiałość, lecz jest coś w pani twarzy, co mnie dziwnie pociąga. Niech mi wolno będzie zapytać, czy jesteś, pani, siostrą Kościoła?

– Ależ... doprawdy... pan...

Zaniepokojony jej zakłopotaniem pospieszył je uśmierzyć, co mu się jednak chyba nie udało.

– Brat czuje się tutaj bardzo samotny – rzekł spoglądając na wystrojone w brokaty damy w głębi salonu. – Nie mogę znaleźć żadnej pokrewnej duszy. Może to źle – wiem, że to źle – ale nie potrafię zmusić się do tego, żeby beztrąsko przestawać z ludźmi tego świata. Wolę towarzystwo, choćby i milczące, cieszącego się poważaniem brata albo siostry. A propos, pozwolę sobie spytać panią, madame, czy ma pani ufność?

- Doprawdy, panie... ależ... doprawdy... ja...
- Czy na przykład mogłaby pani mnie obdarzyć zaufaniem?
- Zaiste, panie... w takim stopniu, w jakim byłoby mądrze obdarzyć nim... osobę obcą... by nie powiedzieć: całkowicie obcą – odrzekła dama, ciągle jeszcze bardzo skrzępowana w swej uprzejmości, i choć ciałem odrobinę się odsunęła, sercem zbliżyła się bardzo we wręcz przeciwną stronę. Naturalne zmagania miłosierdzia z ostrożnością.
- Całkowicie obcą! – westchnął. – Och, któż pragnąłby być obcym? Na próżno się błąkam po świecie: nikt nie chce mieć do mnie zaufania.
- Pan wzbudza moją ciekawość – powiedziała zacna dama, lekko zaskoczona. – Czy mogę panu w jakiś sposób pomóc?
- Nikt, kto nie ma do mnie zaufania, nie może mi pomóc.
- Lecz ja... mam... przynajmniej o tyle... to znaczy...
- Nie, nie! Nie ma pani, ani odrobiny. Proszę wybaczyć, ale ja to widzę. Wcale mi pani nie ufa. Jakiż głupiec ze mnie, że o nie zabiegam!
- Jesteś pan niesprawiedliwym – rzekła dama z tym większą ciekawością – ale może to za sprawą jakichś przykrych doświadczeń jest pan niesłusznie uprzedzonym. Nie znaczy to, że pana krytykuję. Proszę mi wierzyć: ja... tak, tak... mogę powiedzieć... że... że...
- Że ma pani do mnie zaufanie? Proszę o dowód. Niech mi pani ofiaruje dwadzieścia dolarów.
- Dwadzieścia dolarów!
- A nie mówiłem, madame: za grosz zaufania.
- Dama poczuła się bardzo dotknięta. Siedziała przeżywając mękę niepokoju i nie wiedziała, co począć. Rozpoczęła dwadzieścia różnych zdań, przerywając przy pierwszej sylabie. Wreszcie, zrozpaczona, wyrzuciła z siebie: – Niech mi pan powie, na co panu dwadzieścia dolarów?
- Jak to? Czyżbym nie... – rzucił spojrzenie na jej półżalobę – na wdowy i sieroty. Jestem wędrownym ajentem założonego niedawno wśród Seminolów przytułku dla wdów i sierot.
- Czemuż to nie powiedział mi pan tego wcześniej? Wcale się jednak nie uspokoiła. – Biedni Indianie, tak okrutnie wykorzystywani... Proszę, proszę... jakże mogłam się wahać. Tak mi przykro, ale to się więcej nie powtórzy.
- Proszę się tym nie zamartwiać, madame – powiedział zwijając banknoty. – Przyznaję, że to drobna suma, lecz – wydobyl ołówek i notatnik – choć tutaj zapisuję jedynie kwotę, mam jeszcze drugi rejestr, gdzie odnotowuję motywy. Żegnam panią: nie brak pani ufności. O tak, mogłaby pani powiedzieć do mnie to samo, co Apostoł powiedział do Koryntian: „Cieszę się, że we wszystkim mogę wam ufać”¹³.

¹³ Świętego Pawła *I List do Koryntian* 7, 16

ROZDZIAŁ IX

Dwóch dżentelmenów ubija niewielki interes

– Za pozwoleniem, czyś pan nie widział gdzieś tutaj dżentelmena z krepą, dość ponurego z wyglądu? Gdzie też mógł się podziać? Rozmawiałem z nim nie dalej jak dwadzieścia minut temu.

Powyższe słowa żwawy, rumianolicy mężczyzna w podróźnej czapie z chwostem, dźwigający pod pachą księgę podobną do rejestru, skierował do poznanego przez nas wcześniej studenta, zagadnąwszy go znienacka przy nadburciu, w które to miejsce był on powrócił wkrótce po swym odejściu, o czym opowiedziano już w jednym z poprzednich rozdziałów.

– Widziałeś go pan?

Młodzieniec, któremu jowialna beztroska nieznajomego pozwoliła się otrząsnąć z widocznej nieśmiałości, odpowiedział nadzwyczaj skwapliwie:

– Owszem, człowiek z krepą był tu niedawno.

– Dość ponury?

– A także, powiedziałbym, odrobinę niespełna rozumu.

– To był on. Obawiam się, że od nieszczęść pomieszało mu się w głowie. Mów pan szybko, dokąd poszedł?

– Ba! W tym samym kierunku, skąd pan przyszedł: tam, w stronę schodni.

– Czyżby? Tedy jegomość w szarym surducie, którego właśnie spotkał, miał słuszność: musiał zejść na ląd. Fatalnie!

Skubiąc nerwowo chwost u swej czapy, która opadła mu na bokobrody, ciągnął dalej: – „Cóż, bardzo żałuję. Miałem coś dla niego. Podszedł bliżej: – Widzi pan, zwrócił się do mnie z prośbą o zapomogę. Nie, wyrządzam mu krzywdę: to nie to, ale zaczął się spoufalać, pan rozumiesz. Byłem wówczas akurat bardzo zajęty, no i odmówiłem, i to, obawiam się, dość niegrzecznie: w sposób zimny, ponury i nieczuły. W każdym razie nie minęły trzy minuty, jak poczułem wyrzuty sumienia, którym towarzyszyło nieodwołalne postanowienie, by wręczyć owemu nieszczęśnikowi banknot dziesięciodolarowy. Pan się uśmiecha. Tak, może to i przesąd, ale nic na to nie poradzę. Dzięki Bogu, wolno mi mieć słabą stronę. Zresztą – podjął natychmiast wątek – nasze interesy rozwijały się ostatnio tak pomyślnie, mówiąc „nasze” mam na myśli Spółkę Węglową Black Rapids, że zważywszy na zamożność mojej firmy i moją, wyłożenie raz czy drugi pewnej sumy pieniędzy na dobroczynność jest sprawą uczciwości, nie uważasz pan?

– Jeśli dobrze rozumiem – rzekł student bez cienia zakłopotania – jest pan oficjalnie związany ze Spółką Węglową Black Rapids?

– Owszem. Jestem jej prezesem i agentem do spraw cesji.

– Doprawdy?

– Tak, ale czemu pan pyta? Chciałby pan dokonać lokaty?

- Pan sprzedaje akcje?
- Może i dałoby się coś nabyć. Lecz po co pan pyta? Chcesz pan dokonać lokaty?
- Przypuśćmy, że tak – odrzekł tamten ze stoickim spokojem. – A czy mógłbym załatwić z panem całą rzecz na miejscu?
- Na Boga! – żwawy mężczyzna obrzucił studenta zdumionym spojrzeniem. – Z pana doprawdy urodzony człowiek interesu. Gotowym się pana przestraszyć.
- Całkiem niepotrzebnie. A więc mógłby mi pan odsprzedać część akcji?
- Nie wiem, nie wiem. W rzeczy samej, jest trochę udziałów na specjalnych warunkach, które wniosła Spółka, ale to z pewnością za mało, żeby zamienić ten statek w jej biuro. Niech się pan lepiej wstrzyma z kupnem akcji. A zatem – ciągnął dalej z obojętną miną – widział pan tego biedaka, o którym wspomniałem?
- Niechaj ów nieszczęśnik podąży w swoją stronę. Cóż to za wielką księgę ma pan z sobą?
- To księga przelewów. Mam się z nią stawić przed sądem.
- „Spółka Węglowa Black Rapids” – przeczytał student pozłacany napis na grzbiecie. – Wiele o niej słyszałem. A nie ma pan przypadkiem jakiegoś sprawozdania o stanie pańskiej spółki?
- Niedawno zostało wydrukowane.
- Proszę mi wybaczyć, ale jestem z natury dociekliwy. Ma pan przy sobie jakiś egzemplarz?
- Powtarzam panu, że nie sędzę, iżby należało czynić z tego statku biuro Spółki. Czyś pan przyszedł z pomocą tamtemu biedakowi?
- Niech ten nieszczęśnik sam sobie pomoże. Poproszę o sprawozdanie.
- Ależ pan jesteś prawdziwy człowiek interesu, trudno zaprzeczyć. Proszę – wręczył mu niewielką broszurę.
- Młodzieniec ze znawstwem odwracał stronicę.
- Nienawidzę ludzi podejrzliwych – rzekł prezes, przyglądając się mu – ale muszę powiedzieć, że lubię patrzeć na ludzi ostrożnych.
- Pod tym względem zadowolę pana – student zwrócił z ociąganiem broszurkę – gdyż, jak już powiedziałem, jestem z natury dociekliwy, a także przezorny. Nie dam się zwieść żadnym pozorom. Pańskie sprawozdanie – dodał – wygląda znakomicie, ale, za pozwoleniem, czy ostatnio nie było jakichś kłopotów z akcjami pańskiej spółki? Tendencja spadkowa? Czy akcjonariusze nie mieli powodu do przygnębienia?
- Owszem, wystąpiła zniżka. Ale jak do niej doszło? Kto ją spowodował? Niedźwiedzie, czyli giełdciarze spekulujący na zniżkę, proszę pana. To tylko ich pomruki spowodowały tę zniżkę – obłudne pomruki niedźwiedzi.
- Jak to – obłudne?
- A tak, bo ci spekulanci to najwięksi pod słońcem obłudnicy: obłudnicy na opak, którzy budzą to, co ciemne, zamiast tego, co jasne; osobnicy karmiący się nie tyle depresją, ile fikcją depresji; profesorowie nikczemnej sztuki fabrykowania depresji, fałszywi Jeremiasze, zwodniczy Heraklitowie, co wieczorem, kiedy ponury dzień dobiega końca, wracają do domu niczym oszukańczy Łazarze wśród żebraków, by cieszyć się z zysków, jakie im przyniosły ich rzekome rany na głowach. Łotry!

– Pana ci spekulanci irytują?

– Jeśli mnie irytują, to nie dlatego, że mi się przypominają ich niecne fortele względem naszych akcji, ale raczej dlatego, że jestem przeświadczony, iż ci właśnie burzyciele ufności i ponurzy filozofowie od papierów wartościowych – na wskroś przeżarci fałszem – są przecież prawdziwym symbolem wszystkich prawie burzycieli ufności i ponurych filozofów na całym świecie. To typy, które w każdej dziedzinie – w obrocie akcjami, w polityce, w handlu zbożem, w moralności, w metafizyce, w religii – sieją swymi wymysłami szalony popłoch tam, gdzie królowała jasność i spokój, mając przy tym na względzie jedynie jakowąś ukrytą korzyść. Ten zewłok wszelkiego nieszczęścia, z jakim obnosi się taki filozof-ponurak – toż to tylko maska obłudy.

– Nawet mi się to podoba – wycedził przemądrzale młodzieniec. – Nie lubię tych ponuraków tak samo jak wszyscy. Człowiek siedzi sobie na kanapie po kolacji z szampanem, pali cygaro z własnej plantacji, a tu zjawia się taki ponury typ, co potrafi zanudzić na śmierć!

– Pan mu mówi, że to wszystko bzdury, nieprawdaż?

– Mówię mu, że to sprzeczne z naturą. Powiadam: jesteś całkiem szczęśliwy, i wiesz o tym dobrze. Wszyscy inni są tak samo szczęśliwi jak i ty – i o tym też wiesz, po śmierci zaś też będziemy wszyscy szczęśliwi – i o tym wiesz również. Ale nie: ty wolisz się dąsać.

– A wie pan, skąd u takiego typu biorą się te dąsy? Nie z życia, bo to często odludek albo człek zbyt młody, żeby zdążył coś niecoś zobaczyć ze świata. Nie, to się bierze u niego z oglądania niektórych starych sztuk w teatrze albo ze starych ksiąg znalezionych na strychu. Założę się dziesięć przeciwko jednemu, że przytaszczył z licytacji pokryty pleśnią egzemplarz Seneki i jał się w domu napychać tym zatęchłym sianem, a teraz sądzi, że gderanie przydaje mądrości i świetności starożytnych i że wynosi go hen ponad bliźnich.

– Otóż to – potwierdził młodzieniec. – Żyję już trochę na tym świecie i nieraz spotykałem takiego, co tak krakał, powtarzając tylko za innymi. Dziwna rzecz, swoją drogą, że ten człowiek z krepą, o którego pan pytał, wziął mnie, zdaje się, za jakiegoś sentymentalnego mięczaka tylko dlatego, że się nie odzywałem. Pomyślał – bo miałem przy sobie egzemplarz Tacyta – że czytam go nie dlatego, iż to gawędziarz, tylko dlatego, że ponury. Cóż, pozwoliłem mu się wygadać. Owszem, moim zachowaniem dostroiłem się do niego.

– Tego właśnie nie powinien pan być czynić. Nieszczęsny człowieku, wystrychnąłeś go pan na dudka.

– Jeśli tak się stało, jego wina. Ale ja lubię takich, którym się wiedzie, takich, którzy mają dobre samopoczucie, którzy mówią swobodnie i w przekonaniu, że szczęście im sprzyja, tak jak pan. Tacy są zwykle uczciwi. A teraz proszę słuchać: tak się składa, że mam trochę zbędnego grosza i dlatego...

– ...odegra pan brata tamtego biedaka?

– Niechże ów nieszczęśnik sam sobie będzie bratem. Po kiego licha wlecze pan go wszędzie z sobą? Można by pomyśleć, że jest panu całkiem obojętne, czy wpisze pan do swojej księgi jakieś cesje albo pozbędzie się chociaż kilku akcji. Jakby interesowało pana coś zgoła innego. Słuchaj pan: chcę ulokować pewną sumę.

– Zaraz, zaraz! Ktoś nadchodzi z wielkim hałasem... chodźmy tędy, tędy...

I człowiek z księgą z bezceremonialną uprzejmością powiódł swego towarzysza w

ustronne miejsce, położone z dala od wzmagających się na zewnątrz hałasów.

Zawarłszy transakcje, wyszli stamtąd obaj i przechadzali się po pokładzie.

– A teraz proszę mi powiedzieć – rzekł człek z księgą – jak to możliwe, żeby taki młody dżentelmen jak pan, sprawiający na pierwszy rzut oka wrażenie statecznego miłośnika studiów, parał się akcjami i innymi tego rodzaju rzeczami?

– Istnieją na świecie pewne typowe dla studentów drugiego kursu omyłki – wycedził student drugiego kursu, umyślnie poprawiając kołnierzyk koszuli. – Jedną z poważniejszych jest potoczne mniemanie o naturze współczesnych uczonych, a także o charakterze ich statecznego usposobienia.

– Ano właśnie, ano właśnie. Zaiste, całkiem to nowa karta w księdze mego życiowego doświadczenia.

– Jedynie doświadczenie – zauważył przenikliwie student drugiego kursu – jest prawdziwym nauczycielem.

– A zatem jestem pańskim uczniem, bo potrafię wytrzymać czyjeś spekulacje tylko pod warunkiem, że przemawia przez niego doświadczenie.

– Moimi spekulacjami, szanowny panie – rzekł oschle student prostujące się – rządzi głównie maksyma lorda Bacona. Uprawiam spekulacje tylko w tych dziedzinach filozofii, które trafiają do przekonania moim interesom i memu sercu. Za pozwoleniem, może słyszał pan jeszcze o jakichś innych przyzwoitych akcjach?

– Chyba nie byłby pan zainteresowany Nowym Jeruzalemem?

– Nowym Jeruzalemem?

– Tak nazywa się nowe, kwitnące miasto w północnej Minnesocie. Założyli je mormońscy uciekinierzy, stąd nazwa. Położone jest nad Missisipi. Proszę bardzo: oto mapa: – wydobył zwój. – Niech pan patrzy: to budynki użyteczności publicznej... tu jest przystań... tu park... za parkiem ogród botaniczny... a ta kropka tutaj oznacza fontannę. Na pewno spostrzegł pan dwadzieścia gwiazdek. Oznaczają sale wykładowe. Stoją tam katedry z najtwardszego gwajaku.

– I te wszystkie budynki już stoją?

– Wszystkie, na mą wiarę.

– A te kwadraciki na obrzeżach to akweny?

– Akweny w mieście Nowe Jeruzalem? Tam jest tylko ład stały. Ale pan chyba nie chce wykupić udziału?

– Nie sądzę, bym musiał się z tego szczegółowo tłumaczyć – jak mawiają studenci prawa – ziewnął akademik.

– Bardzo pan roztropny. Ale nie wiem, czy się pan także całkiem nie myli. Ja w każdym razie wolałbym mieć jeden pański udział w spółce węglowej niżli dwa udziały Nowego Jeruzalem, choć – zważywszy, że tę osadę założyli uciekinierzy, którzy nago przepłynęli z przeciwległego brzegu – jest to miejsce budzące podziw. Tak jest: podziw! Na Boga! Muszę już iść! Aha, gdyby przypadkiem napotkał pan gdzieś tamtego nieszczęśnika...

– Tobym – dokończył student z tłumionym zniecierpliwieniem – wezwał kogo z obsługi i kazał wyrzucić go razem z jego nieszczęściem za burtę.

– Ha, ha! Gdyby trafił się tu teraz jakiś ponury filozof, jakiś teolog-spekulant, co to nie przepuści żadnej sposobności, żeby powarczeć na podłość natury ludzkiej (choć po

prawdzie zależy mu tylko na tłustej prebendzie, jaką otrzymują w darze wyznawcy Ariamiusa), toby się w pańskich słowach dopatrywał oznak twardnienia serca i mięknięcia mózgu. Taki by z tego wyprowadził dziwaczny wniosek. Ale to przecież nic innego, jak tylko kaprys wesołego, choć z pozoru oschłego usposobienia, przyzna pan. Do widzenia.

ROZDZIAŁ X

W kajucie

Taborety, kozetki, sofy, kanapy, otomany zajęte były przez gromadki ludzi starych i młodych, uczonych i prostych, trzymających w rękach karty upstrzone znaczkami wina, dzwonnka, czerwieni i żółdzia. Ulubione gry to wist, *cribbage* i poker. Takich, co rozparli się w fotelach lub przechadzali pośród przykrytych marmurem stolików, rozbawieni widokiem grających, było stosunkowo niewielu; zamiast wziąć karty do ręki, przeważnie trzymali ręce w kieszeniach. Byli to być może owi filozofowie. Ten i ów pochylił się tymczasem nad niewielkim arkuszem zawierającym anonimowy utwór poetycki o dość rozwlekłym tytule:

ODA

NA BRAK WIARY W CZŁOWIEKA

CZEGO SMUTNYM DOWODEM

SĄ USTAWICZNE PORAŻKI

JAKIMI KOŃCZĄ SIĘ BEZINTERESOWNE WYSIŁKI

CZŁOWIEKA BY ZJEDNAĆ SOBIE ZAUFANIE

Liczne egzemplarze zaścielające podłogę czyniły wrażenie, jakby zrzucano je z balonu. A znalazły się tam w ten oto sposób: niemłody już człowiek, ubrany w strój kwakra, przeszedł spokojnie przez kajutę i prawie tak samo jak owi handlarze książkami na kolei żelaznej, którzy ofertę sprzedaży poprzedzają hałaśliwym zachwalaniem wprost lub pośrednio swojego towaru – porozdawał bez słowa ody pasażerom, którzy przyjrzeni się im pobieżnie, po czym prawie wszyscy cisnęli je z pogardą na ziemię, uznawszy niewątpliwie za plód chorego umysłu jakiegoś wędrownego rapsoda.

Wkrótce potem pojawił się czerstwy mężczyzna w podróźnej czapce, z księgą pod pachą, który stąpając lekko krążył tam i z powrotem i rozglądał się ożywiony wokół siebie z rodzajem tęskno-radosnego poczucia wspólnoty, jakby dając wyraz swej dogłębnie towarzyskiej naturze chciał powiedzieć: „Ach, moi drodzy! Jakże pragnąłbym znać się osobiście z każdym synem waszych matek, bo jakże cudny jest, o bracia moi, ten nasz świat, jakże cudne można zawrzeć na nim znajomości i och! jakże kochanymi, jak szczęśliwymi stworzeniami jesteśmy my wszyscy!”

I jakby już rzeczywiście wyśpiewał był swą piosnkę, jał rozmawiać z rozpartymi w fotelach nieznanymi jak z braćmi, wymieniając z każdym po kilka uprzejmych zdań.

– Za pozwoleniem: cóż to takiego? – zapytał jednego z dopiero co zagadniętych: drobnego, wysuszonego człowieczka, który wyglądał, jakby nigdy w życiu nie jadł obiadu.

– Jest to oda, dość dziwaczna – brzmiała odpowiedź. – Jedna z tych, które widzi pan

porozrzucane na podłódze.

– Nie zauważyłem. Niech no spojrzę – podniósł jedną z ziemi i obejrzał uważnie. – No cóż, ładne to, rzewne, szczególnie początek:

Biada człowiekowi, bo ma prawie za nic
Serdeczne zawierzenie i ufność bez granic.

Gdyby tak istotnie było, to naprawdę biada człowiekowi. Bardzo to gładkie w czytaniu, proszę pana. Wzniosłe piękne. Ale czy podziela pan to odczucie?

– Jeśli o to idzie – odrzekł wysuszony jegomość – to uważam to za zupełnie dziwactwo. Muszę jednak niemal ze wstydem wyznać, że poruszyło to moje myśli, a także, owszem, uczucia. W tej chwili czuję się poniekąd tak, jakby przepełniała mnie ufność i serdeczność. Nie wiem, czym kiedykolwiek w życiu tak się czułem. Z natury jestem człowiekiem o stępionej wrażliwości, lecz ta oda działa na mnie trochę tak jak kazanie, które swym biadaniem nad tym, że na śmierć ugrzązłem w przewinach i grzechach, pobudza mnie do życia wypełnionego czynieniem dobra.

– Rad to słyszę. Mam nadzieję, że pan wydobrzeje, jak mówią lekarze. Ale kto rozsypał tu te ody?

– Nie umiem powiedzieć. Jestem tu od niedawna.

– No bo chyba nie anioł? Ale powiada pan, że czuje się rześko, a zatem zróbmy to co inni: zagrajmy w karty.

– Dzięki. Nie grywam w karty.

– A może buteleczkę wina?

– Dzięki. Nie pijam wina.

– Cygaro?

– Dzięki. Nie palę cygar.

– To może opowie pan coś ciekawego?

– Prawdę mówiąc, nie znam chyba żadnej ciekawej historii.

– Wobec tego odnoszę wrażenie, że owa rześkość, jaka się wedle słów pańskich w panu obudziła, przypomina energię wodną w krainie pozbawionej młynów. Niechże pan lepiej zwawo spróbuje sił w kartach. Na początek zagramy o tak małą sumę, jak pan sobie będzie życzył, byleby tylko pozwoliła uczynić grę ciekawą.

– Doprawdy, proszę mi wybaczyć, ale jakoś nie mam zaufania do kart.

– Co takiego? Nie ma pan zaufania do kart? Wesołych kart? Raz jeden wypadnie mi więc przyłączyć się do naszego smutnego Filomela:

Biada człowiekowi, bo ma prawie za nic
Serdeczne zawierzenie i ufność bez granic.

Żegnam!

Pokręciwszy się tu i ówdzie i pogwarzywszy z tym i owym, człek z księgą – zda się, już zmęczony – jął się rozglądać za miejscem do siedzenia. Wypatrzywszy wolną kozetkę stojącą po ścianą, opadł na nią i tak jak jego przygodny sąsiad – tak się złożyło, że był nim ów zacny kupiec – stracił rychło wszelkie zainteresowanie sceną rozgrywającą się tuż

przed nim: oto do partii wista zasiadło dwóch żółtobladych, lekkomyślnych, pozbawionych ogłady młodzieniaszków, jeden w czerwonym, drugi w zielonym fularze; ich przeciwnikami byli dwaj uprzejmi, poważni, przystojni i opanowani mężczyźni w średnim wieku, gustownie odziani w rodzaj czerni znamionującej wolny zawód – najwidoczniej dwóch znakomitych doktorów prawa cywilnego.

Zacny kupiec, przyjrząwszy się pierwszej nowemu przybyszowi, który zajął miejsce obok niego, pochylił się wkrótce w jego stronę i szepnął zza zmiętego egzemplarza ody, który trzymał w ręku:

– Nie podoba mi się tamtych dwóch, a panu?

– Skądże – brzmiała wyszeptana odpowiedź. – Te kolorowe fulary nie są w najlepszym guście, w każdym razie nie w moim, ale mój gust nie może być regułą dla wszystkich.

– Pan mnie źle rozumiał. Chodzi mi o tę drugą parę. Nie mówię też o ubraniu, tylko o wyrazie twarzy. Przyznaję, że wiem o ludziach tego pokroju tyle, com wyczytał o nich w gazetach, lecz ci dwaj to ani chybi szulerzy...

– Oby podstępny i szukający dziury w całym duch trzymał się od nas z dala, drogi panie.

– Zaiste. Nie chciałbym szukać dziury w całym: jest mi to raczej obce. A jednak, najogólniej mówiąc, trudno tych dwóch młodzieńców uznać za nowicjuszy, a para ich przeciwników to może jeszcze coś gorszego.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że kolorowe fulary okażą się tak niezdarne, że przegrają, ciemne zaś – tak zręczne, że będą oszukiwały? Żółć maści pańską wyobraźnię. Dajże pan temu pokój. Niewielki zysk z tego, żeś pan czytał tę odę, którą trzyma pan w ręce. Widać wiek i dotychczasowe przeżycia nie uczyniły pana człowiekiem doświadczonym życiowo. Wykładnia świeża i wolna od przesądów kazałaby nam widzieć w tych czterech graczach – właściwie zaś we wszystkich graczach wypełniających tę kajutę – ludzi, co grają w taką grę, w której każdy uczestnik postępuje uczciwie i żaden nie przegra.

– Niepodobna, żeby pan naprawdę tak sądził, bo chyba nie wynaleziono jeszcze na świecie takich gier, w których każdy wygrywa.

– Ejże, ejże! – przybysz opadł wygodnie na siedzenie i powiódł wzrokiem po grających. – Co trzeba było zapłacić, zapłacone; żołądek dopisuje; trosk, znoju, ubóstwa, zmartwień – ani śladu. Człek siedzi sobie na kanapie z popuszczonym pasem: czemuż nie poddać się wesoło własnemu losowi, miast zrzędliwie przypinać łąty błogosławionym wyrokom Fortuny, pani tego świata?

Zacny kupiec, usłyszawszy te słowa, długo i z natężeniem wpatrywał się w przestrzeń, po czym potarłszy czoło pogrążył się w zadumie. I choć pierwszej okazał pewne zaniepokojenie, potem odzyskał spokój, wreszcie zaś ponownie przemówił do swego towarzysza:

– No cóż, wiem, że niekiedy dobrze jest odegnać od siebie skryte myśli. Sam nie wiem, czemu, wydaje mi się jednak, że pewna mglista nieufność towarzyszy nieodłącznie przeważającej większości skrytych wyobrażeń, jakie ludzie wyrabiają sobie o pewnych swych bliźnich i o pewnych rzeczach. Wystarczy wszakże tylko odrzucić od siebie owe mgliste wyobrażenia, a rychło sam ich związek z wyobrażeniami innych ludzi zaczyna zanikać, lub przynajmniej się zmienia.

– Tak więc sądzi pan, że zrobiłem dla pana dobry uczynek? Być może. Tylko proszę mi

nie dziękować, proszę nie dziękować. Jeśli wypowiadając przypadkowo w czasie przeznaczonym na życie towarzyskie pewne słowa, czynię dobro temu czy owemu – jest to tylko wpływ mimowolny: ot, świętojańskie drzewo sycące słodyczą rosnące pod nim zioła. To żadna zasługa, tylko przypadek, szczęśliwy przypadek wywołujący ozdrowieńczy skutek. Pojmuje pan?

Zacny kupiec przyjrzał się mu ponownie, po czym obaj powtórnie zamilkli.

Ponieważ z księgą, która spoczywała u niego na podołku, było jej właścicielowi dosyć niewygodnie – położył ją on na kozetce pomiędzy sobą a sąsiadem, w taki wszakże sposób, że przez przypadek wystawił na pokaz napis umieszczony na jej grzbiecie: Spółka Węglowa Black Rapids. Zacny kupiec, człek prawy aż do przesady, musiał się mocno natrudzić, by go nie przeczytać, bo gdyby umyślnie nie odwrócił był odeń wzroku, napis ów znalazłby się wprost przed jego oczyma. Wtem nieznamy, jak gdyby coś sobie właśnie przypomniał, poderwał się z miejsca i jął się oddalać, zapomniawszy w pośpiechu zabrać swoją księgę. Kupiec natychmiast podniósł ją z kozetki, pospieszył za właścicielem i grzecznie mu ją zwrócił, nie zdołał wszakże przy tej sposobności nie rzucić okiem przez przypadek na część napisu.

– Bardzo, bardzo dziękuję łaskawemu panu – rzekł tamten odbierając księgę i już chciał iść dalej, gdy kupiec odezwał się tymi słowy: – Proszę wybaczyć, że zapytam, czy nie jest pan jakoś związany z tą... z tą spółką węglową, o której słyszałem?

– Istnieje niejedna spółka węglowa, o której mógł pan słyszeć, łaskawy panie – uśmiechnął się tamten i zamilkł z wyrazem wielkodusznie powściąganego, bolesnego zniecierpliwienia.

– Wszakże przede wszystkim jest pan związany z jedną: ze spółką Black Rapids, nieprawdaż?

– Jak pan do tego doszedł?

– Cóż, proszę pana, słyszałem wiele interesującego o pańskiej spółce.

– Od kogo, jeśli łaska?

– Od niejakiego Ringmana.

– Nie znam. Z pewnością jednak jest mnóstwo osób, które wiedzą o naszej spółce, a o których nie wie ona sama. Podobnie ktoś może znać daną osobę, choć ona sama go nie zna. Dawno pan zna tego Ringmana? Przypuszczam, że to stara znajomość. Proszę jednak wybaczyć: muszę pana pożegnać.

– Proszę nie odchodzić, łaskawco... te akcje.

– Akcje?

– Może to trochę wbrew zasadom, proszę pana, ale...

– Boże! Chyba nie zamierza pan ubić ze mną jakiegoś interesu! Nikt panu nie uwierzyłby moich urzędowych uprawnień. Choćby ta księga cesji – trzymał ją w ten sposób, żeby było widać napis. – Skąd pan może wiedzieć, czy nie jest podrobiona? Nie zna mnie pan, więc jakże może mi pan ufać?

– Mogę – uśmiechnął się chytrze zacny kupiec – bo gdyby był pan kimś innym, niż pan jest, jak wierzę, prawie na pewno nie podważałby pan w ten sposób czyjegóż zaufania do siebie.

– Ale pan nie poddał mej księgi żadnym oględzinom.

– A po co? Przecież ja już wierzę, że jej treść odpowiada napisowi na grzbiecie.

– Lepiej niech pan do niej zajrzy. Niewykluczone, że nasuną się panu wątpliwości.

– Może i się nasuną, ale przecież i tak nie zdobędę pewności. Jakże bowiem mógłbym sądzić, że zbadanie tej księgi pozwoli mi dowiedzieć się czegokolwiek ponad to, co wiem w chwili obecnej, bo jeżeli jest to księga prawdziwa, to uważam, że prawdziwa jest ona już w tej chwili, a jeśli jest inaczej, to i tak nigdy nie widziałem prawdziwej i nie wiem, jak powinna wyglądać.

– Logiki pańskiego wyводу nie będę podważał, podziwiam tylko szczerze pańską ufność, mimo że swawolnego użyłem sposobu, by ją wydobyć na jaw. Dość jednak. Chodźmy do tego tam stołu. Jeśli jest coś, w czym mógłbym panu pomóc jako osoba prywatna bądź z racji mego stanowiska – czekam na łaskawe rozkazy szanownego pana.

ROZDZIAŁ XI

Tylko strona lub dwie

Ubiwszy interes, obaj panowie pozostali na swych miejscach i pograżyli się w zażyłej rozmowie, która stopniowo przerodziła się w ów intymny rodzaj życzliwego milczenia, będącego dla niczym nie zmaconej przychylności źródłem najwyższej rozkoszy i wysubtelnienia. Jest towarzyskim przesądem mniemanie, że prawdziwa życzliwość wymaga od nas, byśmy bez przerwy wypowiadali życzliwe słowa; bynajmniej też nie wymaga ona, byśmy ustawicznie spełniali dobre uczynki. Prawdziwa życzliwość – tak jak prawdziwa wiara – jest w pewien sposób niezawisła od postępków.

Wreszcie zacny kupiec, którego zamyślane spojrzenie spoczęło na rozbawionych stolikach w oddali – rozwiął urok milczenia. Stwierdził, że na podstawie widowiska, które mają przed sobą, trudno byłoby przewidzieć, jakie widoki mogłyby objawić inne pomieszczenia na statku. Dla przykładu wspomniał o przygodnie napotkanym – ledwie godzinę czy dwie wcześniej – starym pokurczonym kutwie, odzianym w znoszony, skurczony moleskin¹⁴. Inwalida ów leżał wyciągnięty na gołych deskach w pomieszczeniu dla emigrantów, czepiając się kurczowo życia i pieniędzy, a przecież życie pragnęło usilnie się zeń wydostać, co do pieniędzy natomiast, to zadręczała go obawa, że może je utracić za przyczyną nagłej śmierci lub jakowegoś pozbawionego skrupułów złodziejaska. I choć jego życie wisiało na włosku, los zaś jego sakiewki był równie niepewny – myśli i pragnienia owego człowieka krążyły wyłącznie wokół nich, gdyż jego umysł, co i tak nigdy przecież nie wyszedł poza utarty szablon, na koniec zaćmił się do reszty. Zaćmienie owo było tak wielkie, że nie dowierzał niczemu, nawet swym pergaminowym papierom wartościowym, które dla lepszego ich zabezpieczenia przed zębem czasu poupychał ciasno niczym brzoskwinie w spirytusie i zapieczętował w blaszanym pojemniku po alkoholu.

Zacny kupiec snuł swą opowieść, dodając ciągle nowe, równie przygnębiające szczegóły. Jego wesoły towarzysz nie przeczył, że istnieje taki punkt widzenia, dla którego tak skrajny przypadek braku zaufania nosi rysy równie niemile przez umysł ludzki widziane, jak niechętnie widzielibyśmy po sutej kolacji wino i oliwki. Wskazywał jednak

¹⁴ futro z kretów

na pewne okoliczności brak ten wyrównujące, ogólnie zaś rzecz biorąc, zganił swego towarzysza za okazanie tego, co w dobroduszny i określny sposób nazwał zaprawioną odrobiną żółci czułościowością. Dodał także, że – jak powiedział Szekspir – są i otręby, i mąka w naturze,¹⁵ a jeśli się dobrze zastanowić, to otrębów nie ma co potępiać.

Kupiec nie był skłonny podważać słuszności słów Szekspira, trudno jednak było mu przyznać, że mogą się one odnosić i do tego przypadku, a jeszcze trudniej było mu się zgodzić z takim komentarzem. Kiedy zatem po dalszej, powściągliwej wymianie zdań dotyczącej owego zasługującego na litość skąpca stwierdził, że nie mogą dojść w pełni do porozumienia – przytoczył inny przykład: murzyńskiego kaleki. Aliści jego towarzysz napomknął, że być może rzekome udręki owego rzekomego nieszczęśnika istnieją raczej w wyobraźni obserwatora, niż są udziałem obserwowanego. Niczego o owym kalece nie wiedział i nigdy go nie widział, a jednak śmiało przypuszczać, że gdyby tylko można było zajrzeć mu do serca, okazałoby się, że jest tak samo szczęśliwy jak większość ludzi, a nawet równie szczęśliwy jak sam mówiący. Dodał, że Murzyni to z natury wyjątkowo wesoła rasa; czy ktoś słyszał o urodzonym w Afryce Zimmermannie lub Torquemadzie? Nawet z religii przegnali wszelką posępność: tańczą podczas swych radosnych obrzędów i – jeśli tak można się wyrazić – wycinają hołubce. Niepodobna tedy, aby jakiegokolwiek Murzyna – choćby nawet z wyroku Fortuny miał kikuty zamiast nóg – można było pozbawić jego tryskającej śmiechem filozofii.

Choć znów zbity z tropu, zacny kupiec nie ustępował i odważył się sięgnąć jeszcze po trzeci przykład – człowieka z krepą – przystępując do opowiedzenia jego dziejów. Opowieść tę usłyszał od samego jej bohatera, pewien zaś, spotkany już później, dżentelmen ubrany na szaro potwierdził ją i uzupełnił. Kupiec nie taił szczegółów ujawnionych przez owego pana, których pierwszy jego rozmówca przez delikatność nie mógł wspomnieć.

Ponieważ jednak zacny kupiec potrafił oddać sprawiedliwość raczej sobie niż opowieści o niej, odważymy się przedstawić tę historię nie jego słowami, nie naruszając wszakże w niczym jej wymowy.

ROZDZIAŁ XII

Opowieść o nieszczęsnym człowieku, z której można wynioskować, czy słusznie nadano mu takie miano

Okazuje się, że ów nieszczęśnik miał za żonę jedną z tych ponad miarę ziejących nienawiścią natur, które metafizycznemu miłośnikowi naszego gatunku każą niemal wątpić, czy ludzkie kształty stanowią we wszystkich wypadkach rozstrzygający dowód człowieczeństwa, bo może niekiedy oznaczają tylko nie związany żadną obietnicą, marny przybytek cielesny. Wówczas trzeba by dla własnej obrony – raz na zawsze wymazawszy z pamięci sentencję Trazeusza (niezbyt zrozumiałą, jeśli zważyć, że jej autor sam był człowiekiem wielkiej dobroci) głoszącą, iż „kto nienawidzi przywar, ten nienawidzi rodzaju ludzkiego” – trzymać się rozsądnej maksymy, że tylko ludzie dobrzy są istotami

¹⁵ William Szekspir, *Cymbelin*, akt IV, scena II, przeł. Leon Ulrich.

ludzkimi.

Goneryla była młoda, gibka, trzymała się prosto, zbyt prosto jak na kobietę, cerę miała różową i byłaby to cera pełna uroku, gdyby nie pewna jej twardość i spieczenie przywołujące na myśl kolor wyjętych z pieca wyrobów garncarza. Włosy miała barwy głębokiej, soczystej, kasztanowej, a nosiła je ułożone wokół głowy w gęste, krótkie loki. Indiańskie cechy jej figury podkreślała także szczupła kibić, usta zaś byłyby bardzo ładne, gdyby nie ślad wąsów. Koniec końców, wygląd miała taki – aż pomocą przychodziła mu także toaleta – że z pewnej odległości można było ją uznać nawet za dość ładną, choć dziwna to była uroda, podobna do piękna kaktusa.

Na szczęście dla Goneryli co osobliwsze właściwości zdradzała nie tyle jej powłoka cielesna, ile raczej jej charakter i gust. Nie bardzo wiadomo, jak wyjawic, że choć odczuwała wrodzony wstręt do piersi kurczęcia, kremu z jaj i mleka, brzoskwiń i winogron, umiała przecież przyrządzić potajemnie całkiem znośną przekąskę z sucharów i dziczyzny. Lubiła cytryny, ze słodczy zaś uwielbiała tylko suszone laseczki „modrej gliny”, które nosiła po kryjomu w kieszeni. Przy tym wszystkim zaś, niczym żona Indianina, cieszyła się mocnym, niezawodnym zdrowiem, a duch jej i wola były równie nieugięte. Niektóre inne cechy łączyły ją z dzikusami. Była gibka, a mimo to uwielbiała leżenie do góry brzuchem, choć potrafiła także wykazać stoicką cierpliwość. Była też małomówna. Od wczesnego ranka aż do godziny trzeciej po południu odzywała się rzadko. Wedle tego, co mówiono, tyle właśnie musiało upłynąć czasu, nim odtajała na tyle, że mogła nawiązać przynajmniej słowną łączność z istotami ludzkimi. Podczas owych godzin zajmowała się głównie patrzeniem, nie przestając spozierać wielkimi, metalicznymi oczyma, które jej wrogowie uważali za tak samo zimne jak ślepiea mątwy. Ona sama jednakże sądziła, że podobne są do oczu gazeli, albowiem Goneryla nie pozbawiona była próżności. Ci, którzy uważali, że znają ją najlepiej, zastanawiali się częstokroć, jaką przyjemność mogła taka istota czerpać z życia. Zapominali przy tym, że niektóre natury mogą osiągnąć szczęście w ten bardzo prosty sposób, że zadają ból ludziom dookoła. Ci, którzy ucierpieli z powodu dziwnej natury Goneryli, mogli byli wyrokować – z przesadą, do jakiej skłaniają się ludzie ogarnięci nienawiścią – że ma ona w sobie coś z ropuchy, lecz nawet najgorsi jej oszczercy nie byli nigdy w stanie oskarżyć jej – z najmniejszym choćby pozorem słuszności – o to, że się płaszczy. Posiadała ona cnotę duchowej niezawisłości w szerokim tego słowa znaczeniu. Goneryla uważała za pochlebstwo pośrednie choćby chwalenie osób nieobecnych, nawet jeżeli na to zasługiwały, za uczciwość natomiast rzucanie ludziom w twarz przypisywanych im wad. Mówiono, że to złośliwość, z pewnością jednak nie była to namiętność. Namiętność jest rzeczą ludzką. Niczym sztylet z sopla lodu, Goneryla za jednym zamachem zadawała cios i przeszywała ofiarę na wskroś – tak w każdym razie powiadali ludzie. Widząc zaś, jak za sprawą jej czarów prostolinijność i niewinność zmieniają się, udręczone, w żalną nerwowość, żuła tylko ukradkiem swoją „modrą glinę” – tak twierdził ten sam miarodajny świadek – a obecni przy tym odnosili wrażenie, że w głębi duszy chichoce. Te właściwości jej natury były dziwne i niemiłe, ale istniała ponoć jeszcze inna, prawdziwie niepojęta. Oto w towarzystwie innych ludzi miała ona osobliwy zwyczaj dotykania – jak gdyby przypadkiem – ramienia lub dłoni urodziwych młodych mężczyzn; jak się zdaje, czerpała z tego tajemną rozkosz. Pozostawało wszakże zupełną zagadką, czy brało się to stąd, że odczuwała wówczas ludzkie zadowolenie, jakie sprawia tak zwane dotknięcie diabła, czy też z czegoś innego, może mniej zadziwiającego, choć równie godnego politowania.

Czyż trzeba mówić, jakie katusze przeżywał ów nieszczęśnik, kiedy pochłonięty rozmową w towarzystwie dostrzegł nagle, jak jego Goneryla rozdaje swoje tajemnicze dotknięcia, osobliwie zaś wówczas, gdy osoba dotknięta sprawiała wrażenie głęboko przejętej owym niesamowitym postępkim, jednakże dobre maniery zabraniały jej poddać natychmiast to tajemnicze zdarzenie osądowi obecnych. Nigdy też w takim wypadku nasz nieszczęśnik nie zdobył się na to, żeby spojrzeć potem w oczy obdarzonemu dotknięciem młodemu dżentelmenowi, gdyż lękał się upokorzenia, jakiego musiałby zaznać, zobaczywszy na jego twarzy minę będącą mieszaniną kpiny i politowania. Drżąc na całym ciele wolał zatem obchodzić takiego jegomościa z daleka. Tak więc dotknięcie Goneryli działało na jej męża w ten sam budzący grozę sposób co pogańskie tabu. Tymczasem Goneryla nie znosiła strofowania. W sprzyjających zatem okolicznościach jej mąż ośmielał się – w sposób ostrożny i raczej delikatny – nawiązywać podczas prowadzonych z nią na osobności rozmów do owej budzącej zastrzeżenia skłonności – pośrednio tylko i bardzo łagodnie. Zgadywała, w czym rzecz. Lecz we właściwy sobie beznamiętny sposób oświadczała mu, że nie jest to rzeczą rozumną opowiadać swe sny, zwłaszcza głupie, jeśli jednak ten nieszczęśny człowiek chciałby po małżeńsku zabawiać swą duszę podobnymi chimerymi, to z pewnością dostarczą mu one sporo małżeńskiej uciechy. Wszystko to było smutne – wręcz ściskające za serce – lecz ów nieszczęśnik może i zniósłby tę próbę, tak skrupulatnie dotrzymywał przysięgi, że w złym i dobrym będzie kochał i wielbił swoją oblubienicę, póki mu jej nie poskąpią miłosierne niebiosy. Potem wszakże, na domiar wszystkiego, wstąpił w nią demon zazdrości, demon zimny, gliniasty i durny, bo żaden inny nie mógłby jej posiadać. Przedmiotem owej obłąkańczej zazdrości stało się jej własne dziecko – siedmioletnia dziewczynka, jedyna pociecha i ulubienica ojca. Kiedy więc zobaczył on, jak Goneryla umyślnie i wymyślnie zadręcza to niewinne stworzenie, później zaś obłudnie odgrywa przed nią kochającą matkę – dał upust długotrwałym, cierpliwie znoszonym przez siebie cierpieniom. Ponieważ wiedział, że jego żona do niczego się nie przyzna ani się nie poprawi, całkiem możliwe zaś, że będzie jeszcze gorsza – uznał za swój ojcowski obowiązek, by odebrać jej dziecko, a że kochał swą córkę, nie mógł tego uczynić inaczej, jak tylko udając się wraz z nią na rodzinne wygnanie. I choć przyszło mu to z wielkim trudem, tak właśnie postąpił. Wówczas wszystkie kobiety z sąsiedztwa, które dotąd nie darzyły bynajmniej pani Goneryli podziwem, wybuchły oburzeniem na męża, który bez podania przyczyn ważył się rozmyślnie porzucić własną małżonkę, zadając jej przy tym tym większy ból, że pozbawił ją pociechy, jaką byłoby pozostawienie przy niej jej córeczki. Poza tym własna godność i chrześcijańskie miłosierdzie względem Goneryli kazały nieszczęśnikowi zachowywać długi czas milczenie. Źle się stało, że je przerwał. Kiedy bowiem, doprowadzony do rozpacz, napomknął coś o prawdziwym przebiegu wydarzeń, nie znalazł się nikt, kto by mu uwierzył, Goneryla natomiast twierdziła, że wszystko, co mówił, jest złośliwym wymysłem. Niebawem – za radą pewnych bojowniczek o prawa dla kobiet – pokrzywdzona żona wniosła sprawę do sądu. Dzięki zdolnemu adwokatowi i zebranych zeznaniom świadków udało się jej nie tylko odzyskać opiekę nad dzieckiem, lecz także otrzymała odszkodowanie z tytułu porzucenia w takiej wysokości, że nasz nieszczęśnik pozostał bez grosza (tak twierdził). Zjednawszy sobie sympatię prawników, doprowadziła również i do tego, że sąd wydał orzeczenie złą sławą okrywające dobre imię jej męża. Cała sprawa stała się jeszcze bardziej godną ubolewania przez to, że ów nieszczęśnik sądził, iż najmądrzejszym – a i najbardziej godnym chrześcijanina – sposobem zachowania się przed sądem, który pozwoliłby zarazem nie rozminąć się z prawdą, będzie powołać się na chorobę umysłową Goneryli, gdyż wówczas mógłby – siebie wystawiając na mniejsze upokorzenie, ją zaś na mniejszą hańbę –

wyjawić we własnej obronie owe dziwactwa, które zmusiły go do porzucenia uciech stanu małżeńskiego. Tymczasem kosztowało go wiele zachodu, by ów zarzut nie odbił się fatalnie na nim samym, zwłaszcza po tym, jak wspomniał o tajemniczych dotknięciach swej żony. Próżno jego adwokat, usiłując wskazać, u kogo właściwie należałoby doszukiwać się oznak obłąkania, dowodził, że twierdzenie, iż ktoś taki jak Goneryla jest umysłowo zdrowy, równałoby się spotwarzeniu rodzaju niewieściego. Na koniec nieszczęśnik jął się domyślać, że w zamiarach Goneryli leżało uczynienie z niego nieuleczalnego wariata. Wówczas uciekł i odtąd stał się niewinnym banitą, co błąka się po ogromnej dolinie Missisipi, nosząc na kapeluszu krepę po utraconej Goneryli. Ujrawszy bowiem w gazecie jej nekrolog, bez chwili wahania zastosował się do obowiązujących w takich wypadkach form żałoby. Próbował też od pewnego już czasu zgromadzić taką sumę pieniędzy, która pozwoliłaby mu powrócić do dziecka, lecz jak dotąd miał ich jeszcze zbyt mało.

Wszystko to, od samego początku, musiało – zdaniem zacnego kupca – stanowić dla owego nieszczęsnego człowieka bardzo ciężkie przeżycie.

ROZDZIAŁ XIII

Człowiek w podróźnej czapce przejawia sporą dozę człowieczeństwa, czyniąc to w sposób, który uważa za jak najbardziej logiczny u optymistów

Ileś lat temu pewien poważny amerykański uczony podczas swego pobytu w Londynie zauważył na wydanym tamże przyjęciu jakiegoś fanfaron – bo takim mu się wydał – z nedorzeczną kokardą w klapie. Jegomość ów, sypiąc ku podziwowi tych, którzy skłonni byli go podziwiać, dowcipnymi powiedzonkami, kręcił się po całym salonie. Wielką wzbudził pogardę u uczonego, kiedy jednak niedługo potem tenże znalazł się był akurat w tym samym kącie co ów zarozumiały fircyk, wdał się z nim w rozmowę. Przytomność umysłu tego błazna nieco go zaskoczyła, ale osłupiał zupełnie, kiedy pewien znajomy szepnął mu potem na ucho, że ów pyszałek to prawie równie wybitny uczony co on sam, był to bowiem ni mniej, ni więcej, tylko Sir Humphrey Davy¹⁶.

Powyższa anegdota została przytoczona po to, by z góry uprzedzić tych czytelników, których beztroska lekkomyślność – lub też coś, co za nią mogłoby uchodzić – przejawiana dotąd przez człowieka w podróźnej czapce mogła skusić do powzięcia o nim mniej lub bardziej pochopnego sądu. Chodzi bowiem o to, żeby nie okazało się – kiedy ci właśnie czytelnicy przekonają się (a stwierdzą to wkrótce), że tenże sam osobnik potrafi prowadzić filozoficzną i wielce uczoną dysputę, i to nie w ten sposób, że wypowie mimochodem jakieś jedno czy dwa zdania, lecz rozprawiając do rzeczy przez całe niemal posiedzenie – żeby więc nie okazało się wówczas, iż tak jak ów amerykański uczony są wielce zaskoczeni i że na dodatek zaskoczenia tego nie da się pogodzić z dobrym mniemaniem, jakie mieli wcześniej o swej przenikliwości.

Gdy opowieść kupca dobiegła końca, jego słuchacz nie przeczył, że wywarła ona na

¹⁶ Sir Humphrey Davy (1778 – 1829) – chemik brytyjski.

nim pewne wrażenie. Miał nadzieję, że nie jest całkiem pozbawiony uczuć, na jakie zasługiwał ów nieszczęśnik. Usilnie pragnął się dowiedzieć, w jakim stanie ducha znosił on swe domniemane nieszczęścia. Załamał się czy zachował ufność?

Kupiec nie zrozumiał może dokładnie znaczenia i wagi drugiej części owego pytania i odrzekł, że jeśli idzie o to, czy ów nieszczęsny człowiek poddał się biernie utrapieniom, jakie zesłał mu los – to może odpowiedzieć, że istotnie popadł on w rezygnację, ale nawet wówczas mógł być przykładem, gdyż – o ile wiadomo – nie tylko powstrzymał się od stronniczych rozważań o ludzkiej dobroci i ludzkiej sprawiedliwości, lecz można było także zauważyć u niego nastroj niczym nie skalanej ufności, niekiedy zaś powściąganą wesołość.

Jego rozmówca zauważył wtedy, że ponieważ domniemane przeżycia owego nieszczęśnika trudno uznać za możliwe do pogodzenia z takim spojrzeniem na naturę ludzką, które czyni ją lepszą, niż jest w istocie – szlachetności jego duszy, a także jego pobożności należało przypisać, że w tak, zdawałoby się, zniechęcających do filantropii okolicznościach człowiek ten nie przeszedł w chwili rozdrażnienia do obozu mizantropów. Był również przekonany, że w wypadku tego człowieka ostateczny skutek wszystkich jego przeżyć będzie dobroczynnie odwrotny: nie tylko nie podważą ufności, jaką pokłada on w bliźnich, lecz jeszcze bardziej utwierdzą ją i wzmocnią. Byłoby to jeszcze bardziej pewne, gdyby ten nieszczęśnik przekonał się w końcu (a zapewne prędzej czy później się przekona), że Goneryła w doprowadzeniu jego umysłu do rozstroju odegrała rolę pod pewnymi względami mało szlachetną. Tak czy owak, miłosierdzie nakazywało uznać opis owej damy za mniej lub bardziej przesadny, a zatem krzywdzący. W istocie u niewiasty owej pewne wady mieszały się zapewne z niektórymi zaletami. Kiedy jednak wady te wyszły na jaw, jej mąż – nie znający się na naturze kobiecej – próbował postępować z nią wedle zasad rozumu, zamiast użyć środków znacznie bardziej trafiających do przekonania, toteż nie zdołał jej przekonać ani też zawrócić ze złej drogi. To, że od niej odszedł, wydaje się w tych okolicznościach aktem porywczosci. Krótko mówiąc, drobne winy istniały najpewniej po obu stronach, jednak więcej niż równoważyły je wielkie zalety i nie należało się spieszyć z osądem.

Kiedy kupiec – o dziwo – sprzeciwił się tak beznamietnym i bezstronnym poglądom i ponownie – nie bez gniewu – jął się uzalać nad owym nieszczęśnikiem, jego towarzysz pohamował go, mówiąc całkiem poważnym tonem, że skargi te na nic się nie zdadzą, gdyż dopuszczać możliwość istnienia – choćby nawet w najbardziej niezwykłym i wyjątkowym wypadku – niczym nie uzasadnionego nieszczęścia, zwłaszcza jeżeli miałyby ono być skutkiem nie natrafiających na żadne przeszkody knowań nikczemników, otóż zakładać taką możliwość byłoby, najoględniej mówiąc, rzeczą nieroztropną, a to dlatego, że u niektórych ludzi przypuszczenie takie mogłoby bardzo niekorzystnie oddziaływać na ich najistotniejsze przekonania. Nie znaczy to, że owe przekonania muszą być podatne na podobne wpływy. Skoro bowiem zwykle przypadki życiowe nie mogą z natury rzeczy wyglądać ciągle jednakowo ani wciąż mówić o jednym i tym samym, niczym flagi na wietrze wiejącym w jednym tylko kierunku, to wynika z tego, że gdyby przekonanie o istnieniu Opatrzności w jakikolwiek sposób zależało od tak zmiennych rzeczy jak bieg powszednich zdarzeń, musiałoby ono podlegać wahaniom w stopniu zbliżonym do wahań na giełdzie podczas długiej wojny o niepewnym wyniku, w każdym razie u ludzi myślących. W tym miejscu zerknął na swą księgę cesji i po chwili milczenia ciągnął dalej: Prawidłowy pogląd na Naturę Boską – podobnie zresztą rzecz się ma z naturą ludzką – opiera się mniej na doświadczeniu, bardziej zaś na intuicji, i wykracza poza strefy

klimatyczne.

Gdy teraz z kolei kupiec z całego serca zgodził się z tym wywodem – bo też będąc człowiekiem rozumnym, a także religijnym, inaczej postąpić nie mógł – jego towarzysz wyraził zadowolenie, że przecież w czasach odnoszących się z pewnym niedowierzaniem do tych zagadnień spotkał oto kogoś, kto dzielił wraz z nim, niemal co do joty, owo jakże słuszne i wzniosłe przeświadczenie.

Daleki był wszakże od tego, by w ciasnocie umysłu zaprzeczać, iż filozofia – w odpowiednio ograniczonym zakresie – może być dozwolona. Mniemał tylko, że byłoby rzeczą co najmniej pożądaną, iżby dysputa filozoficzna, której przedmiot stanowiłby na przykład przypadek podobny do przypadku owego domniemanego nieszczęśnika, była tak bardzo ufilozoficzniona, że nie mogłaby dostarczyć argumentów tym, którym odmówiono łaski światła prawdy. Gdybyśmy bowiem przyjęli, że przypadek tego rodzaju ma w sobie coś z tajemnicy, ludzie ci mogliby się w tym dopatrzeć cichego poniechania całego zagadnienia. Co się zaś tyczy pozornej zgody, zezwalającej niekiedy, przez pewien czas, ludziom złym triumfować nad dobrymi (a można było domyślać się, że tak właśnie rzecz się miała z Gonerylą i jej nieszczęsnym mężem) – byłoby może nierozsądnie kłaść w polemice zbyt wielki nacisk na naukę o przyszłej zapłacie, która będzie pomstą za bezkarność w tym życiu. Bo choć dla ludzi o zdrowych zasadach nauka ta zawiera prawdę i przynosi im dostateczną pociechę, to jednak u ludzi zepsutych polemiczna o niej wzmianka może tylko zrodzić powierzchowne a szkodliwe mniemanie, że głosić tę naukę to tyle co głosić, że Opatrzności teraz nie ma, tylko dopiero będzie. Krótko mówiąc, dla wszelkich malkontentów, a także dla wszystkich pozostałych ludzi byłoby najlepiej, gdyby każdy, kto tylko posiada światło prawdy, okopał się w szanćcach ufności i nie ulegał niebezpiecznej pokusie potyczek na otwartym polu rozumu. Mniemał przeto, że nie jest wskazanym, iżby człowiek uczciwy oddawał się ponad stosowną miarę – nawet w skrytości własnych myśli lub wspólnie z pokrewną sobie duszą – filozofowaniu, a tym bardziej żeby pozwalał sobie na współczucie, gdyż mogłoby to wywołać nieroztropny nawyk myślenia i doznawania uczuć, który mógłby go niespodziewanie zdradzić w nie sprzyjających okolicznościach. Zaiste, porządny człowiek niczego nie powinien wystrzegać się bardziej – na osobności lub wśród ludzi – niż podyktowanego uczuciem ujawniania wrodzonych odruchów serca, gdyż w niektórych wypadkach nie są one tym, czym być by mogły, jak z powagą upomniano o tym ludzi.

Ale czy przypadkiem nie przybrał zbyt oschłego tonu? Kupiec – wcielenie dobroci – uważał inaczej i stwierdził, że byłby ogromnie rad, mogąc posilać się takimi owocami przez cały boży dzień. Czuł się tak, jakby siedział u stóp dojrzałej kazalnicy, a jest to miejsce lepsze niż pod dojrzałą brzoskwinia.

Jego rozmówca ucieszył się, kiedy się przekonał, że – jak się tego obawiał – nie mówi rzeczy nudnych. Wolał jednak, by nie uważano go za prawdziwego kaznodzieję, tylko nadal za podobnego innym wesołego kompana. Dlatego też, przydając swemu zachowaniu jeszcze więcej towarzyskości, powrócił do sprawy owego nieszczęśnika. Przyjmijmy najgorszą możliwość: przypuśćmy, że jego Goneryła była istotnie Gonerylą¹⁷. Jakież to szczęście pozbyć się w końcu takiej kobiety, zarówno w życiu, jak i podług prawa! Gdyby znał osobiście owego nieszczęśnika, zamiast współczuć, złożyłby mu gratulacje! Zaiste, wielkie szczęście miał ów nieszczęśnik. Nie zawaha się nazwać go prawdziwym szczęściarzem!

¹⁷ Tak nazywała się jedna z dwóch niedobrych córek szekspirowskiego króla Lira.

Kupiec odrzekł na to, że żywi gorącą nadzieję, iż tak jest w rzeczywistości, w każdym zaś razie ze wszystkich sił stara się pocieszyć siebie przekonaniem, że jeśli ów nieszczęśnik nie zaznał szczęścia na tym świecie, to przynajmniej znajdzie je na tamtym.

Szczęśliwość naszego nieszczęśnika na tym i na tamtym świecie nie wzbudziła zastrzeżeń u człowieka z księgą. Rozkazawszy zatem przynieść sobie szampana, zaprosił kupca do jego wypicia pod swawolnym pretekstem, iż bez względu na wszelkie ponure myśli, jakie mogły przyjść mu do głowy w związku ze sprawą owego nieszczęsnego człowieka, strużka szampana i tak zapieni się ochoczo.

Milczący, zadumani, wysączyli powoli po parę kieliszków. Wyraziste oblicze kupca oblał na koniec rumieniec, jego oczy nabrały wilgotnego blasku, usta zaś drżały jak u obdarzonej fantazją, wrażliwej kobiety. Nie przeniknąwszy ani odrobinę do głowy, wino uderzyło mu przeciw do serca i stamtąd też zaczęło wieszczyć. – Ach! – wykrzyknął odsuwając od siebie kieliszek. – Dobrą rzeczą jest wino, i dobrą rzeczą jest ufność, ale czyż wino i ufność zdołają przeniknąć przez te wszystkie kamienne pokłady bezwzględnych rozważań, a ich ciepłe różowe krople czyż zdołają przesączyć się do wnętrza zimnej jaskini prawdy? Dla *prawdy* nie masz pocieszenia. Czuła fantazja, której przewodzi drogie miłosierdzie i którą nęci słodka nadzieja, próbuje tego dokonać, lecz na próżno. Same tylko marzenia i ideały wybuchają nam w rękach i nie zostaje po nich nic prócz oparzeń.

– Jakże to! Jakże?! – zdumiał się tamten niewymownie. – Na Boga! Jeśli prawdą jest, że *in vino veritas*, to mimo całej tej wspaniałej ufności, o jakiej pan mnie zapewniałeś, muszę teraz stwierdzić, że podszyta jest ona w panu niedowierzaniem, głęboką nieufnością, która wybucha oto w panu z tysiąckrotną siłą, niby bunt w Irlandii! Że też wino, zacne wino, doprowadziło do czegoś podobnego! Jak mi Bóg miły – powiedział na poły żartem, na poły z powagą, chowając butelkę – więcej pan pił nie będzie. Wino po to jest, żeby się nim serce radowało, a nie smuciło, i żeby ufność rosła, a nie malała.

Słyszając te drwiny, które w tych okolicznościach stanowiły najboleśniejszą przyganę, kupiec – zawstydzony i niemal całkowicie zbity z tropu – wodził wkoło wzrokiem. Z mieniącą się twarzą wymamrotał, że tak samo prawie jak jego towarzysz dziwi się słowom, które wyrwały się mu z ust. Nie pojmował, jak to mogło się stać, i zupełnie nie wiedział, czym tłumaczyć, że wystrzelił z taką nieproszoną śpiewką. Szampan nie mógł z tym mieć nic wspólnego, bo czuł, że mu nie poszedł do głowy. Wpływ, jaki miało na niego wino, porównałby raczej do skutków, jakie powoduje białko kurze wlane do kawy: klaruje ono i rozjaśnia.

– Rozjaśnia? Może i rozjaśnia, ale nie jak białko kawę, tylko raczej tak, jak rozjaśnia się czarny piec, kiedy w nim mocno napalić. Żałuję, żem poprosił o szampana. Niewskazany jest dla ludzi z pańskim temperamentem. Ale pozwoli pan, że spytam, czy już pan przyszedł do siebie? Odzyskał pan ufność?

– Mam nadzieję, że tak. Chyba muszę odpowiedzieć twierdząco. Odbyliśmy jednak bardzo długą rozmowę i chyba powinienem odpocząć.

Co powiedziawszy, kupiec powstał z miejsca, pożegnał się i odszedł od stołu z miną kogoś, kto został upokorzony przez własną zacną uczciwość, która skłoniła go – w odpowiedzi na przypadkową podniętę – do szalonego wyjawienia przed samym sobą i przed innymi dziwacznymi i nie dających się wytłumaczyć kaprysów skrytych na samym dnie serca.

ROZDZIAŁ XIV

Wart rozważenia przez tych, dla których może się okazać wartym rozważenia

Skoro poprzedni rozdział zaczął się od napomnienia wybiegającego w przód, to niniejszy powinien zawierać napomnienie sięgające wstecz.

Niektórzy mogą być trochę zaskoczeni, że ktoś tak pełen ufności, jakim aż do chwili nagłego przyływu porywczności wydawał się być kupiec, zdolny był objawić wówczas tak głębokie rozgoryczenie. Można się w tym doszukiwać sprzeczności. Ale czy wolno winić za to autora? Prawda, można twierdzić, że pisarz o nic bardziej nie powinien się troszczyć – bo też mądry czytelnik na nic bardziej nie zwróci uwagi – niż o to, by w opisie każdej postaci zachowana została spoistość. Choć na pierwszy rzut oka może się to wydawać całkiem rozsądnym, to jednak po dokładniejszym rozpatrzeniu tej sprawy możemy dojść do wniosku, że jest trochę inaczej. Jakże to bowiem pogodzić z innym wymaganiami – a przypisuje się mu równie wielkie znaczenie – tym mianowicie, żeby pisarstwo oparte na faktach, mimo że we wszelkim pisarstwie dopuszcza się zawsze pewien element zmyślenia, nigdy nie popadało z nimi w sprzeczność? A czyż nie jest faktem, że w prawdziwym życiu osoba całkowicie pozbawiona sprzeczności należy do rzadkości? Jeśli tak, to niechęć czytelników do książek przeciwnego rodzaju trudno tłumaczyć ich nieprawdziwością. Wynika ona raczej z kłopotów, jakie nasuwa ich zrozumienie. Jeśli jednak często bywa tak, że najbardziej przenikliwy mędrzec musi się bardzo natrudzić, nim zrozumie żywego człowieka, to czyż od tych, którzy mędrkami nie są, wolno oczekiwać, że bez najmniejszych kłopotów rozszyfrują owe ledwie zarysowane widma, które przemykają po stronicach niczym cienie po murze? Pisarstwo, w którym każdą postać można zrozumieć od pierwszej chwili, ponieważ jest spoista – albo ukazuje ją jedynie częściowo, nadając owym częściom pozór całości, albo też nie ma nic wspólnego z prawdą o rzeczywistości. Tymczasem pisarz, który kreśli postać w ten sposób, że zwykłemu odbiorcy może się wydawać, iż pomiędzy jej poszczególnymi składnikami zachodzi taka sama sprzeczność, jak pomiędzy częściami, z których składa się latająca wiewiórka, albo że w różnych okresach tak bardzo różni się ona od samej siebie, jak bardzo różni się motyl od gąsienicy, która się weń przeistacza – otóż pisarz taki, postępując w powyższy sposób, wcale nie musi fałszować faktów, lecz może być im wierny.

Gdyby sądzić wedle rozumu, żaden pisarz nie stworzył tak niespójnych postaci jak sama natura. Trzeba nie lada bystrości, żeby czytelnik bezbłędnie potrafił odróżnić w powieści sprzeczności wyobraźni od sprzeczności otaczającego nas życia. Jedyнным przewodnikiem jest tu doświadczenie, ale ponieważ człowiek nie może w swoim życiu pomieścić wszystkiego, co istnieje, byłoby niemądrze w każdym wypadku polegać na doświadczeniu. Kiedy po raz pierwszy sprowadzono do Anglii wypchany okaz australijskiego dziobaka, przyrodnicy – powołując się na swoją systematykę gatunków – twierdzili, że takie stworzenie w rzeczywistości nie istnieje, dziób zaś został mu z pewnością sztucznie doczepiony.

Niechże jednak natura stwarza sobie, skoro potrafi, swoje dziobaki ku zakłopotaniu przyrodników, na cóż wszakże pomniejsi pisarze mieliby bałamucić czytelników swymi podobnymi do dziobaków postaciami? Autorowie winni zawsze przedstawiać naturę ludzką w sposób przejrzysty, a nie zagmatwany, i znakomita większość powieściopisarzy istotnie tak postępuje. Bywa niekiedy, że uważa się to za zaszczyt, jaki wyświadczają oni

swym bliźnim. Można wszakże powątpiewać, czy rzeczywiście jest to zaszczyt, a nie coś przeciwnego, bo przecież jeżeli toń natury ludzkiej tak łatwo dałoby się przeniknąć wzrokiem, to może z tego wynikać albo że jest ona tak niezwykle czysta, albo też tak bardzo płytka. Jakkolwiek by było, należałoby raczej mniemać, że ten, kto biorąc pod uwagę sprzeczności natury ludzkiej, powiada o niej to samo, co ze względu na cechującą ją kontrasty powiada o Naturze Boskiej, czyli, że jest ona niepoznawalną – daje tym samym lepszy dowód jej zrozumienia niż ten, kto ukazuje ją zawsze w jasnym świetle, pozwalając stąd wyciągnąć wniosek, że najwyraźniej wie o niej wszystko.

I choć istnieje uprzedzenie do niespoistych postaci literackich, może mieć ono i odwrotny skutek, gdy za sprawą kunsztu pisarza to, co pierwiej wyglądało na brak spoistości, okazuje się później pełną harmonią. Wielcy mistrzowie w tym właśnie celują najbardziej. Wywołują zdumienie pogmatwaniem danej postaci, by następnie wzbudzić tym większy zachwyt szczęśliwym rozwikłaniem całej gmatwaniny. W ten oto sposób obnażają oni – bywa niekiedy, że potrafią to pojąć nawet pensjonarki – owe najgłębsze powikłania ducha, który zgodnie z wolą swego Stwórcy jest dziełem przerażającym i wspaniałym jednocześnie.

Coś podobnego mówi się w każdym razie o niektórych powieściach psychologicznych; czy słusznie – roztrząsać tego nie będziemy. Skorośmy jednak dotknęli tej kwestii, zauważmy, że może zastanawiać, iż wszelkie wybryki geniuszu, których celem było objaśnienie natury ludzkiej wedle ustalonych raz na zawsze zasad, zostały przez najmądrzejszych sędziów z pogardą wykluczone spośród dyscyplin naukowych: chiromancja, fizjonomika, frenologia, psychologia. Także fakt, że w ciągu całych dziejów najwybitniejsze umysły wyznawały tak bardzo sprzeczne poglądy na naturę ludzką, pozwala przypuszczać, że w tym i w innych przedmiotach panuje dość powszechna i dogłębna nieświadomość. Zabrzmiałoby to tym bardziej prawdopodobnie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że rozmiłowany w wiedzy młodzieniec, który długo ślęczał nad najlepszymi powieściami zawierającymi pono prawdziwy wizerunek natury ludzkiej, nadal będzie mimo to narażony na zagubienie się w rzeczywistym świecie. A przecież gdyby znalazł w nich prawdziwy tegoż świata opis, powinien sobie w życiu radzić mniej więcej tak, jak obcy przybysz radzi sobie w Bostonie, trzymając w ręce mapę tego miasta. Choćby ulice były bardzo kręte, choćby musiał bardzo często przystawać, dzięki swej mapie nie zabłąka się przecież całkiem beznadziejnie. Nie będzie trafnym względem tego porównania zarzut, że zakręty miejskich ulic są zawsze takie same, natomiast meandry natury ludzkiej podlegają zmianom. Zasadnicze cechy natury ludzkiej są dziś takie same jak tysiąc lat temu. Zmienia się tylko wyraz, jaki przybierają, ale nie ich charakter.

Podobnie jednak jak na przekór wszelkiemu zniechęceniu niektórzy matematycy wciąż nie tracą nadziei, że odnajdą sposób na ścisłe oznaczenie długości geograficznej, również najbardziej gorliwi psychologowie snują – pomimo wcześniejszych niepowodzeń – ciągle rachuby związane z jakowąś niezawodną metodą zgłębienia człowieczego serca.

Wszelako dosyć już powiedziano na obronę wszystkiego, co mogłoby się w postaci kupca wydawać niejasne albo niedorzeczne, pozostaje zatem powrócić tylko do naszej komedii, a raczej przejść od komedii myśli do komedii czynu.

ROZDZIAŁ XV

Starego kutwę udaje się w końcu – po stosownym rzeczy przedstawieniu – nakłonić, żeby odważył się wyłożyć pieniądze

Po odejściu kupca jego towarzysz pozostał jeszcze czas jakiś na swoim miejscu, przybrawszy minę kogoś, kto po odbyciu rozmowy z wybitnym człowiekiem zastanawia się nad tym, co od niego usłyszał, choćby nawet nie sięgało to wyżyn intelektu, gdyż nie chce z jego słów uronić niczego wartościowego i cieszy się, jeśli zdoła zaczerpnąć z nich jakąkolwiek wzmiankę, która nie tylko utwierdza go w jego rozumieniu cnoty, lecz także może posłużyć mu za wskazówkę w cnotliwym postępowaniu.

Rychło też wzrok mu się rozjaśnił, jak gdyby właśnie odnalazł taką wskazówkę. Powstał z miejsca, trzymając księgę w ręce, opuścił kajutę i wszedł w rodzaj wąskiego, ciemnego korytarza prowadzącego boczną drogą do mniej ozdobnego i wesołego ustronia, mianowicie do pomieszczeń dla emigrantów. Ponieważ jednak parowiec płynął teraz w dół rzeki, były one prawie puste. Okienka w burcie zostały zasłonięte, toteż w pomieszczeniu owym było ciemno i ponuro. Wszechobecne niemal mroki rozświetlało jednak tu i ówdzie skąpe światło padające w nieregularnych odstępach z wąskich, dziwacznych okienek w suficie. Światło wszakże wydawało się tam raczej nie bardzo potrzebnym, bo miejsce owo przeznaczone było głównie na nocny spoczynek, a nie na pobyt dzienny – ot, sosnowa spalnia z kojami z sękatych sosnowych desek, bez pościeli. Podobnie jak gniazda w geometrycznych osadach zamieszkiwanych wspólnie przez pingwiny i pelikany, koje te rozmieszczone były z filadelfijską regularnością, lecz niczym gniazdo-kolebka ptaka kacyka były to koje wiszące, na dodatek zaś miały po trzy piętra. Wystarczy opisać jedną, by wyrobić sobie pojęcie o wszystkich.

Cztery zwisające w dół sznury, przymocowane do sufitu, przechodziły przez wywiercone otwory w rogach trzech nie heblowanych desek, które spoczywały na rozmieszczonych poziomo, w równych odstępach, supłach zawiązanych na sznurach, przy czym najniżej położona deska znajdowała się zaledwie o kilka cali nad podłogą, cała zaś konstrukcja do złudzenia przypominała sznurową biblioteczkę, tyle tylko, że zamiast przywierać mocno do ściany, huśtała się tam i z powrotem przy najlżejszym nawet poruszeniu, a już szczególnie żywo, kiedy wgramolił się na nią niedoświadczony emigrant, usiłując wyciągnąć się na niej: wówczas rozhuśtywała się tak mocno, że żółtodziób lądował nieomal na ziemi. Toteż ktoś bardziej doświadczony mógł srodze ucierpieć, szukając wytchnienia na najwyższym piętrze koi, jeżeli miejsce pod nim wybrał sobie ktoś zgoła początkujący. Bywało, że tłum ubogich emigrantów, którzy spłoszeni nagłą ulewą zaczęli nocą zajmować owe kacykowe kołyski, powodował przez swą nieznamość ich osobliwych właściwości taki harmider rozhuśtanej stolarki i podnosił przy tym taką wrzawę, że wydawało się, iż to jakiś nieszczęsny statek roztrzaskał się o skałę i wraz z całą załogą idzie właśnie na dno. Łóżka takie musiał wymyślić jakiś złośliwy wróg ubogich podróżnych, by pozbawić ich spokoju, który winien poprzedzać drzemkę, a także jej towarzyszyć. Były to łoża prokrustowe, gdzie na twardych deskach widać się skromność i uczciwość, wołając wciąż o chwilę wytchnienia, lecz jedyną odpowiedzią jest udręka. Och, gdybyż ktoś sam sobie zrobił taką koję, a nie kazał sobie ją

zrobić, może wówczas należałoby mu powiedzieć (choć byłoby to okrutne): Na tym właśnie masz leżeć!

I choć miejsce owo przypominało czyściec, obcy przybysz posuwał się w głąb i niczym Orfeusz schodzący wesoło w czeluście Tartaru nucił pod nosem urywek z jakowejś opery.

Wtem dał się słyszeć szelest, potem skrzywienie, jedna z kolebek zakołysała się w mrocznym kącie, coś na kształt zmarszczonej płetwy pingwina wysunęło się błagalnie z ciemności i rozległ się jakby jęk biblijnego bogacza: – Wody, wody!

Był to kutwa, o którym opowiadał kupiec.

Nieznajomy podbiegł do niego tak chyżo, jak siostra miłosierdzia:

– Ach, mój biedny panie! Czym mogę ci służyć?

– Uch, uch! Wody!

Tamten wybiegł, zdobył gdzieś szklanekę wody, wrócił i przyłożył ją do ust cierpiącego, podtrzymując mu głowę podczas picia: – Że też mogli pozwolić, żebyś, mój biedny panie, leżał tu usychając z pragnienia!

Kutwa był chudy i stary. Jego ciało przypominało wyglądem solonego dorsza i było wyschnięte na wióry, głowę miał taką, jakby wystrugał ją z sęka jaki głupek, usta płaskie i cienkie jak ość, wciśnięte między krogulczy nos i podbródek, jego twarz raz wydawała się twarzą sknery, drugi raz – imbecyla. Nie odpowiedział. Oczy miał zamknięte, policzek przywierał do starego białego futra z kretów zrolowanego pod głową, niczym pomarszczone jabłko na brzegu przykrytym brudnym śniegiem.

Kiedy wreszcie siły mu wróciły, nachylił się w stronę swego wspomóżyciela i kaszląc złowieszczo powiedział: – Jestem starym, nieszczęsnym, biednym żebraczną, niewartym funta kłaków. Jak mogę się panu odwdzięczyć?

– Obdarzając mnie swym zaufaniem.

– Zaufaniem! – pisnął starzec zmienionym głosem. Wyrko zakołysało się. – Niewiele mi go zostało w moim wieku, ale niech pan bierze te nędzne resztki, proszę bardzo.

– Nędzne czy nie, ale pan daje. Świetnie. A teraz niech mi pan da sto dolarów.

Kutwa wpadł w popłoch. Jego dłonie powędrowały po omacku w kierunku bioder, po czym pofrunęły chyżo w górę pod poduszkę z kretów, gdzie zacisnęły się wokół czegoś i znieruchomiały. Przy tym starzec mamrotał do siebie od rzeczy: – Zaufanie? Bzdura, bzdura! Zaufanie? Lipa, mrzonki! Zaufanie? Podstęp, zdrada! Sto dolarów? Do stu diabłów!

Czas jakiś leżał, wyczerpany, w milczeniu, po czym drżąc uniósł się znowu i przemówił głosem, któremu uszczypliwość przydała chwilowo siły: – Sto dolarów? Dość to wysoka cena za zaufanie. Ale czyż nie widzi pan, że jestem starym, biednym szczurem, co zdycha w drewnianej skrzyni? Pan mi oddałeś przysługę, ale ja, przeklęty, mogę panu tylko wykasłać moje podziękowanie: uch, uch, uch!

Tym razem targnął nim tak potężny atak kaszlu, że wstrząsnął nawet deskami, które rozhuśtały starca, jakby był kamieniem w procy sposobionej do strzału.

– Uch, uch, uch!

– Przerażliwy ten pański kaszel. Szkoda, że nie ma tu mego znajomego, który leczy ziołami. Pudełeczko jego „Życiodajnego wszechbalsamu” dobrze by panu zrobiło.

– Uch, uch, uch!

– Postaram się go odszukać. Jest gdzieś na pokładzie. Widziałem długi tabaczkowy surdut, w jakim chodzi. Proszę mi wierzyć: ma najlepsze leki na świecie.

– Uch, uch, uch!

– Ach, jakże panu współczuję.

– Nie wątpię – pisał tamten – ale idź pan ze swoim miłosierdziem na pokład. Paradują po nim pawie z pękata kabzą, które nie zanoszą się kaszlem tu na dole, w ciemności i osamotnieniu, tak jak ja, biedny starzec. Niech pan patrzy, jakimże jestem nędzarzem, jak obłazi ze mnie skóra, jak dławia mnie szpony grobowego kaszlu. Uch, uch, uch!

– Powtarzam, że bardzo panu współczuję, nie tylko z powodu kaszlu, lecz także pańskiego ubóstwa. A zatem nie będzie pan mógł skorzystać z tej wyjątkowej sposobności. Gdybyś pan rozporządzał wymienioną kwotą, byłbym w stanie korzystnie ją dla pana ulokować. Z potrójnym zyskiem. Chodzi jednak o zaufanie: obawiam się, że nawet gdyby miał pan tę szacowną gotówkę, to zabrakłoby panu jeszcze szacowniejszej ufności, o jakiej mówię.

– Uch, uch, uch! – dźwignął się starzec. – A to co znowu? Jakże to? Więc pan nie chce tych pieniędzy dla siebie?

– Szanowny i drogi panie, jak może mi pan przypisywać tak niedorzeczne samolubstwo? Miałżebym obcego człowieka nagabywać o sto dolarów tylko dla własnej korzyści? Jeszcze nie oszalałem.

– Jakże to? – kutwa był całkiem oszołomiony. – A więc pan za darmo ugania się po świecie, żeby lokować pieniądze innych ludzi z korzyścią dla nich?

– Na tym polega mój skromny zawód. Nie żyję dla siebie, ale świat nie chce okazać mi zaufania, choć wiele by na tym zyskał.

– Lecz – starcowi kręciło się w głowie – cóż pan takiego robi z pieniędzmi otrzymanymi od innych ludzi? Uch, uch! O jakim zysku pan mówi?

– Gdybym panu odpowiedział na to pytanie, byłbym zrujnowany. Byle kto zabrałby się za to samo, a to już byłaby przesada. Sekret i tajemnica: moja rola polega tylko na tym, żeby pozyskać pańskie zaufanie, a pańska na tym, żeby w stosownym czasie przyjąć je z powrotem wraz z potrójnym zyskiem w nagrodę.

– Co takiego? – tępota umysłowa znów brała górę u starca. – A poręczenie, poręczenie? – zaniepokoiło się znowu skapstwo.

– Najlepszą rękojmnią uczciwości jest uczciwe oblicze.

– Ale ja pańskiego nie widzę – powiedział starzec, wytrzeszczając oczy w ciemności.

Ten ostatni przebłysk zdrowego rozsądku kosztował go tyle, że kutwa śliniąc się znowu jął bełkotać od rzeczy, tym razem wszakże na modłę rachmistrza. Leżąc z przymkniętymi oczyma mamrotał do siebie: „Sto i sto, dwieście i dwieście, trzysta i trzysta”. Otworzył oczy popatrzał z wysiłkiem i z jeszcze większym wysiłkiem powiedział:

– Trochę tu ciemno, prawda? Uch, uch! Ale z tego, co mogą dojrzeć moje kiepskie oczy, wyglądasz pan na uczciwego.

– Miło mi usłyszeć.

– Jeżeli więc, jeśli okazałbym panu – usiłował się podnieść, jednak na próżno, tak był wyczerpany ekscytacją – jeśli zatem miałbym panu okazać...

– Żadnych „jeśli”. Albo pełne zaufanie, albo nic. Bóg mi świadkiem, że nie będę tolerował ufających połowicznie.

Wyrzekł te słowa z miną obojętną i pełną wyższości, sprawiając wrażenie gotowego do odejścia.

– Zaczekaj, zaczekaj, przyjacielu! Wybacz mi, ale na starość nie da się uniknąć pewnej podejrzliwości, naprawdę nie da się tego uniknąć. Uch, uch, uch! Jakiż jestem stary i niedołączny! Powinienem mieć jakiego opiekuna. Powiedz mi, czy jeżeli...

– Jeżeli? Ani słowa więcej!

– Czekaj! Jak szybko – uch, uch! – potroiłyby się moje pieniądze, przyjacielu? Jak szybko?

– Pan mi nie zaufa. Żegnam!

– Stój, stój – kutwa opadł bezradnie jak dziecko na posłanie. – Zaufam, zaufam. Przyjacielu, pomóż mi przezwyciężyć nieufność!

Ze starej sakiewki z kozłej skóry wydobyl drżącymi palcami dziesięć głęboko schowanych dziesięciodolarówek. Monety były tak wytarte, że przypominały dziesięć rogowych guzików. Wręczył je nieznajomemu na poły z ociąganiem, na poły ochoczo.

– Nie wiem, czy powinienem przyjąć tak wąty dowód zaufania – rzekł ów człowiek, biorąc złoto – bo to przecież zaufanie okazane za pięć dwunasta, zaufanie przykutego do łoża, schorzałe zaufanie łoża śmierci. A mnie trzeba zdrowej ufności zdrowych ludzi przy zdrowych zmysłach. Ale niech tam. Już dobrze. Żegnam!

– Wróć! Wróć: gdzie kwit, kwit dla mnie! Uch, uch, uch! Coś ty za jeden? Co ja zrobiłem! Dokąd idziesz? Złoto, moje złoto! Uch, uch, uch!

Na nic się jednak nie zdał ten ostatni już przebłysk rozumu, bo nieznajomy był już niestety zbyt daleko, wkoło zaś nie było nikogo, kto mógłby dosłyszeć tak słabe wołanie.

ROZDZIAŁ XVI

Pewnego chorego człowieka udaje się – po niejkiej zwłóce – nakłonić, by został pacjentem

Niebo błękitnieje, urwiska porastają kwieciem. Bystra Missisipi rozlewa się szerzej, toczy swe wody połyskując i szemrząc. W ślad za statkiem tworzą się wszędzie potężne wiry. Słońce, złocisty huzar, wyszło ze swego namiotu, rozsiewając nad światem blask hełmu. Wszystko, co tworzy krajobraz, ożywia się od ciepła. Mknie Dedalowa łódź niczym senna zjawa.

Aliści wciśnięty w ką, otulony szczelnie szalem, siedzi pewien w niczym nie biorący udziału człowiek, którego słońce odwiedziło, ale nie rozgrzało. Podobny jest do rośliny, której czas już minął, choć pąki jeszcze kwitną, a nasiona kipią życiem. Na stołku po jego lewej stronie siedzi nieznajomy w tabaczkowym surducie z wyłożonym kołnierzem, wymachując ręką w geście perswazji. Z jego oczu bije blask nadziei. Niełatwo jednak obudzić nadzieję w człowieku, jeśli trwające od dawna dolegliwości pogrążyły go w rozpacz.

Ów chory człowiek musiał właśnie udzielić zniecierpliwionej, gderliwej odpowiedzi słowem lub spojrzeniem, tamten jednak – choć z wyrazem niezadowolenia na twarzy –

mówił dalej:

– Tylko niech pan nie sądzi, że zachwalając moją metodę leczenia lekceważę metody innych. Kiedy jednak człowiek jest głęboko przekonany, że prawda jest po jego stronie, a nie gdzie indziej, niełatwo mu być miłosiernym. Nie dlatego, że przeszkadza mu w tym irytacja, lecz przez wzgląd na sumienie. Albowiem miłosierdzie rodzi tolerancję, czyli swoisty rodzaj przyzwolenia, a zatem jak gdyby zachętę. Jeśli zaś do czegoś się zachęca, to tym samym udziela się temu poparcia. Czyż jednak należy popierać nieprawdę? I choć ze względu na dobro świata odmawiam poparcia dla sprawy lekarzy leczących minerałami, gotów jestem widzieć w nich nie umyślnych szkodników, lecz zbłąkanych dobrych Samarytanów. Proszę pana, czy takie stanowisko zająłby bezczelny konkurent i oszust?

Chory człowiek, z którego uszły wszystkie siły, nie odpowiedział słowem ani gestem, mienił się tylko niby mim na twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Błagam, niech pan stąd odejdzie. Czyż kogokolwiek wyleczyło kiedyś gadanie?”

Tamten jednak, widząc nawykły do stanów podobnego przygnębienia u ludzi, ciągnął dalej, grzecznie, ale stanowczo:

– Powiada pan, że za poradą znakomitego fizjologa z Louisville zażywał pan nalewki z żelaza. W jakim celu? Ażeby odnowić zapas zużytej energii. W jaki sposób? Cóż... u zdrowych osobników żelazo naturalne występuje w krwi, żelazo zaś w sztabie jest mocne, ergo – żelazo stanowi źródło wigoru zwierzęcego. Ale panu właśnie wigoru niedostaje, stąd wniosek, że powodem jest brak żelaza. A zatem trzeba panu zaaplikować żelazo i stąd pańska tynktura. Otóż co się tyczy teorii – zmilczę. Przez skromność jednak zakładając, że jest zgodna z prawdą, i tak jak zwykły człowiek, rozpatrując ją od strony praktyki, z szacunkiem zadałbym pańskiemu sławnemu fizjologowi następujące pytanie: „Szanowny panie – powiedziałbym – to prawda, że w wyniku procesów naturalnych martwe substancje przyjęte w postaci pokarmu nabierają żywotności. Czy jest jednak możliwe, żeby martwa substancja była zdolna w jakichkolwiek okolicznościach do przekazywania życia, zachowując jednocześnie bez zmian wszystkie własności substancji martwej? Jeżeli nic nie może połączyć się z żywym ciałem inaczej jak tylko drogą asymilacji, a oznacza to, że w następstwie dana rzecz przekształca się w coś innego (przykładem może być lampa, która asymiluje naftę pod postacią płomienia) – to czy wedle tego poglądu jest rzeczą możliwą, że jeśli Calvin Edson będzie urządził sobie ucztę z sadła, to przybędzie mu sadła? To znaczy: czy sadło na stole będzie sadłem również w kościach? Jeżeli tak, wówczas, szanowny panie, żelazo w ampułce będzie żelazem również w żyłach”. Czy taka konkluzja może świadczyć o zbytnej pewności siebie?

Lecz chory człowiek znów jął się tylko mienić gwałtownie na twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Błagam, niech mnie pan zostawi w spokoju. Na cóż zdadzą się bolesne słowa przywodzące na myśl daremność tego, czego daremności zbyt już boleśnie dowiodły męki mego ciała?”

Nieznajomy wszakże, jak gdyby nie dostrzegłszy wcale tej zbolącej miny, ciągnął dalej:

– Ale to wyobrażenie, że nauka może względem organizmu odegrać rolę rolnika, wedle własnego upodobania czyniąc zeń żywą glebę, nie jest chyba tak osobliwe jak inny wymysł: że mianowicie nauka w czasach dzisiejszych tak jest biegłą, iż w wypadku podobnych do pana suchotników potrafi – dzięki przepisaniu inhalacji stosownych waporów – dokonać aktu najwyższej wszechmocy i wionąć w martwą nieomal garść prochu tchnienie życia. Bo czyż nie mówił mi pan, biedaku, że na polecenie wybitnego

chemika z Baltimore przez trzy tygodnie nie wsiadł pan ani razu do powozu bez respiratora, że codziennie spędzał pan pewien czas usadowiony w swego rodzaju gazomierzu, wdychając wapory pochodzące ze spalania odurzających substancji? Tak jakby ta wymyślona przez człowieka atmosfera mogła być antidotum na zatrucie naturalnego powietrza stworzonego przez Boga. Ach, czyż można się dziwić, że od tak dawna wysuwa się przeciwko nauce zarzut ateizmu? To właśnie dlatego głównie występuję przeciwko lekarzom praktykującym leczenie chemiczne: to oni są autorami podobnych wynalazków. Czegóż bowiem innego dowodzą te ich wynalazki, jeśli nie pychy zrodzonej z ludzkich umiejętności, która wydaje się trudna do pogodzenia z pełną czci uległością wobec Potęgi najwyższej? Choćbym się nie wiadomo jak starał wyzbyć tej myśli, ci lekarze chemiczni ze swymi tynkturami, oparami, kosztami do ognia koksowego, tajemniczymi zaklęciami i tak będą mi się ciągle wydawali czarownikami faraona, daremnie usiłującymi ujarzmić wolę niebios. Dniem i nocą, na ile tylko pozwala mi moje miłosierdzie, wstawiam się za nimi, prosząc, by niebiosa nie zapałały gniewem w swym własnym języku i nie zemściły się za te ich wynalazki. Niepowetowana to szkoda, żeś pan trafił do rąk tym Egipcjanom.

Lecz odpowiedzią znów była tylko owa mina zdająca się mówić: „Błagam, niech mnie pan zostawi w spokoju. Znachorzy i oburzenie na znachorów: jedno i drugie na nic się nie zda”.

Tamten wszelako raz jeszcze podjął wątek: – Co innego my, lekarze leczący ziołami! Nie rościmy sobie do niczego pretensji, nie robimy żadnych wynalazków, tylko z kijem w dłoni przemierzamy leśne polany i wzgórza, i wędrując tak pośród przyrody pokornie poszukujemy jej leków. My, prawdziwi lekarze indiańscy, choć nie uczeni w nazwach, przecież nieobca jest nam esencja rzeczy – jesteśmy dziedzicami mędrca Salomona, który znał wszelkie rośliny, od libańskiego cedru po hizop rosnący na murze. Tak Salomon był pierwszym spośród zielarzy, co nie znaczy, że zalety ziół były nie znane i nie doceniane jeszcze dawniej. Czyż bowiem nie napisano, że księżycową nocą

„Medea nazbierała zaczarowanego ziela
Co odmłodziło starego Jazona”?

Ach, gdybyś tylko miał pan ufność, byłbyś nowym Jazonem, a ja – twoją Medeą. Jestem pewien, że kilka zaledwie flaszeczek mego „Życiodajnego wszechbalsamu” przywróciłoby panu siły.

I oto nadmiar oburzenia i odrazy wywołał skutek obiecywany po balsamie. Podobny do trupa człowiek drgnął, budząc się z długotrwałej niemocy, i głosem przypominającym dźwięk powietrza z trudem torującego sobie drogę przez labirynt pokruszonych plastrów miodu zawołał: – Precz! Wszyscyście tacy sami. Biada wam, że zwiecie się lekarzami, że budzicie marzenie o niosących pomoc. Lata całe byłem dla takich eksperymentatorów aptecznym słojem, do którego splukiwali wyniki swoich eksperymentów, ażebym teraz, powleczone trupio siną skórą, stał się tym, co ten słój zawiera. Precz! Nienawidzę was.

– Nie przystoi memu człowieczeństwu, bym miał poczytać sobie za obrazę brak zaufania spowodowany aż nadto gorzkimi doświadczeniami w obcowaniu ze zdrajcami. A jednak proszę pozwolić, by ktoś, kto nie jest całkiem pozbawiony uczuć...

– Precz! Dokładnie takim samym głosem przemawiał do mnie – nie dalej jak sześć miesięcy temu – ten niemiecki lekarz kurujący wodą, od którego właśnie wracam o sześć miesięcy i sześćdziesiąt ataków bólu bliższy grobu.

– Kuracja wodna? Och, nieszczęsne złudzenia pełnego dobrej woli Preisnitza! – Szanowny panie, proszę mi uwierzyć, że...

– Precz!

– Na Boga! Inwalida nie może zawsze robić, co mu się podoba. Proszę, szanowny panie, niechże się pan zastanowi, jak niewczesna jest podejrzliwość u człowieka w pańskim położeniu. Pan taki słaby, a czyż w porze słabości nie czas okazać zaufanie? Tak: kiedy za przyczyną słabości zewsząd ogarnia nas rozpacz, najwyższy czas, by odzyskać siły dzięki ufności.

Przybrawszy łagodniejszy wyraz twarzy, chory człowiek rzucił rozmówcy długie, błagalne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Ufności musi towarzyszyć nadzieja, a jakże tu mówić o nadziei?”

Zielarz wydobyl z kieszeni surduta zapieczętowane papierowe pudełko i wyciągając je ku niemu powiedział uroczyście:

– Proszę nie odmawiać. Może to ostatnia już

szansa uratowania pańskiego zdrowia. Niechże zada pan sobie ten trud i wzbudzi ufność, niechże ją pan wskrzesi choćby z popiołów w imię życia, powiadam panu: niech ją pan wzbudzi w sobie i wskrzesi.

Tamten zadrzał, zamilkł, odzyskawszy zaś po części panowanie nad sobą, spytał o składniki owego leku.

– Zioła.

– Jakie zioła? Jakie ich istotne właściwości? I dlaczego właśnie te, a nie inne?

– To musi pozostać tajemnicą.

– Więc zabierajże je pan z powrotem.

Przyglądając się spokojnie owej pozbawionej soków życia, żalosnej postaci stojącej przed nim, zielarz milczał czas jakiś, po czym powiedział: – Rezygnuję.

– Jakże to?

– Pan jesteś człowiekiem chorym, a do tego filozofem.

– Tym drugim na pewno nie jestem.

– Ależ pytać o składniki i powód ich zastosowania to cecha filozofa, tak samo jak wniosek jest karą głupca. Chorego filozofa nie da się uleczyć.

– Czemu?

– Bo brak mu ufności.

– Dlaczego ma to powodować, że się go nie da uleczyć?

– Bo albo z pogardą odtrąca lek, albo – jeśli go zażyje – lek okazuje się niewypałem, choć podany nieokrzesanemu prostaczkowi, gdyby ten znalazł się w podobnych opałach, działałby cuda. Żadną miarą nie jestem materialistą, lecz tak już jest, że duch w taki sposób wywiera wpływ na ciało, iż jeśli brak mu ufności, to i ciało jej nie ma.

I znów wydało się, że chory człowiek jest poruszony. Wyglądał tak, jakby zastanawiał się, co też na to wszystko można powiedzieć. Wreszcie rzekł: „Pan mówi o ufności. A jak się to dzieje, że kiedy zielarz sam znajdzie się w opłakanym stanie, wówczas on, który z największą pewnością siebie przepisywał leki innym, najmniejszą stanowczość wykazuje wtedy, gdy musi przepisać coś samemu sobie: czyżby tak mało miał zaufania do samego siebie?”

– Lecz pokłada ufność w koledze, którego wzywa do siebie. I za to, że tak czyni, nie sposób go ganić, ponieważ on wie, iż jeśli zległo ciało, duch nie może trzymać się prosto. Owszem, w takich chwilach zielarz rzeczywiście nie dowierza sobie, lecz ufa ciągle swej sztuce.

Wiedza chorego nie dawała podstaw, by temu zaprzeczyć. Nie wyglądał jednak na zasmuconego z tej przyczyny; rad dałby się przekonać w taki sposób, który czyniłby zadość jego woli.

– A zatem dajesz mi pan nadzieję? – podniósł zapadnięte oczy.

– Nadzieja jest współmierna z ufnością. Ile mi dajesz ufności, tyle samo daję ci nadziei. Na tym – powiedział podnosząc ku niebu pudełko – bym polegał, jeśli wszystko od tego by zależało. To produkt natury.

– Natury!

– Dlaczego pan się wzdrygnął?

– Nie wiem – odrzekł suchotnik, jakby przeszły go ciarki – ale słyszałem o książce pod tytułem „Choroba natury”.

– Trudno mi się zgodzić z takim tytułem: jest podejrzenie naukowe. „Choroba natury”? To brzmi tak, jakby natura, Boska natura, była czymś innym niż samym zdrowiem, jakby to natura ustanowiła choroby! A czyż nie mówiłem wcześniej o kierunku, w jakim zmierza nauka, owo zakazane drzewo? Drogi panie, jeśli przypomniawszy sobie ten tytuł, wpadł pan w przygnębienie, proszę je oddalić od siebie. Wierzaj mi pan: natura to zdrowie, gdyż zdrowie jest rzeczą dobrą, natura zaś nie może powodować niczego złego. Tak samo jak nie może popełnić błędu. Niech się pan zwróci w stronę natury, a wydobrzeje pan. Powtarzam: ten lek jest produktem samej natury.

I znów chory człowiek, chcąc pozostać w zgodzie z własnym sumieniem, nie mógł zaprzeczyć słowom zielarza. Ale też i nie wydawał się pałać zbyt wielką ochotą, by to uczynić (inaczej niż poprzednio), tym bardziej że jego wrażliwość kazała mu przypuszczać, iż trudno byłoby mu postąpić w ten sposób, nie okazując zarazem pewnego rodzaju bezbożności, jaka musiałaby się z zaprzeczeniem wiązać. Również i jego serce nie pozbawione było uczucia wdzięczności, gdyż skoro wszystkie pełne nadziei słowa zielarza przenikał duch głęboko przeciwny bezbożności, nasz chory człowiek otrzymywał w ich postaci rękojmię nie tylko medyczną, lecz także doktrynalną.

– Więc pan naprawdę uważa – powiedział gorączkowo – że jeśli zażyję to lekarstwo – machinalnie sięgnął po pudełko – to odzyskam zdrowie?

– Nie chciałbym podsycać złudnych nadziei – odrzekł tamten, oddając lekarstwo do rąk chorego. – Będę z panem szczery. Choć szczerść nie zawsze jest słabością lekarza mineralnego, zielarz musi być szczery, inaczej szkoda gadać. Otóż w pańskim przypadku, drogi panie, leku radykalnego, czyli – pojmujesz pan – takiego, który przywróciłby panu siły, otóż takiego leku nie obiecuję i obiecać nie mogę.

– Och, wcale pan nie musi! Niech mi pan tylko przywróci tę zdolność, bym mógł być dla ludzi czymś innym, niż tylko ciężarem, o który trzeba się troszczyć; dla siebie zaś bym mógł być czymś innym, niż tylko źródłem ciągłego utrapienia. Ulecz mnie pan tylko z tej nieszczęsnej słabości i spraw, bym mógł przechadzać się w słońcu nie ściągając na siebie much, jakby wabionych zapowiedzią bliskiego rozkładu. O nic więcej nie proszę.

– Nie jest to prośba wygórowana. Mądry z pana człowiek, nie na darmo pan cierpiął. Myślę, że ta skromna prośba może być spełniona. Ale proszę pamiętać, że nie spełni się

ona jutro ani za tydzień, może nawet nie za miesiąc, tylko kiedyś w przyszłości: nie umiem powiedzieć, kiedy, bo nie jestem prorokiem ani szarlatanem. Jeśli jednak, zgodnie z przepisem użycia znajdującym się w pańskim pudełku, będzie pan zażywał mój lek regularnie i nie wyznaczy pan sobie daty jego odstawienia w bliższym lub dalszym czasie, to może pan ze spokojem oczekiwać pomyślnego skutku. Powtarzam jednak: trzeba, by miał pan ufność.

Chory odrzekł rozgorączkowany, że już ma ufność i że będzie się godzinami modlił, aby mieć jej jeszcze więcej. Ogarnięty zaś raptem dziwnym przygnębieniem – jak się to zdarza niektórym ułomnym – dodał: – Ale dla kogoś takiego jak ja to takie trudne, takie trudne. Najufniejsze nadzieje tylekroć mnie zawiodły i tak często przysięgałem sobie, że już nigdy, przenigdy nie dam im wiary. Och – załamał ręce – gdyby pan wiedział, gdyby pan wiedział...

– Wiem to jedno, że słuszna ufność zawsze przynosi jakiś owoc. Ale szkoda czasu: bierze pan ten medykament czy nie bierze?

– Biorę – chory zacisnął palce na pudełku. – Ile?

– Ile pan tylko potrafi obudzić w sercu i w niebiosach.

– Słucham? Mówię o cenie tego leku.

– Sądziłem, że miał pan na myśli ufność, że chciał się pan dowiedzieć, ile powinien mieć pan ufności. Lek jest po pół dolara za flaszeczkę. W pudełku ma pan sześć flaszeczek.

Otrzymał zapłatę.

– Ponieważ, szanowny panie – rzekł zielarz – pilne sprawy każą mi teraz odejść i może nigdy już pana nie zobaczę...

Przerwał, gdyż chory pobladł na twarzy.

– Proszę mi wybaczyć – wykrzyknął – że wyraziłem się tak nieroztropnie: „nigdy już pana nie zobaczę”. Miałem na względzie wyłącznie siebie, jednak zapomniałem, że może być pan na to wyczulony. Powtarzam zatem, że jest możliwe, iż nieprędko spotkamy się powtórnie, gdyby zaś zaszła potrzeba zdobycia następnego pudełka mego leku, to można tego dokonać jedynie drogą zakupu, narażając się tym samym na niebezpieczeństwo, że nabędzie pan całkiem inną, pozbawioną właściwości leczniczych miksturę. „Życiodajny wszechbalsam” jest bowiem tak popularny – a cieszy się powodzeniem nie dzięki łatwowierności prostaczków, tylko dzięki zaufaniu ludzi mądrych – że niektórzy chytry wynalazcy nie próżnują. Nie powiedziałbym jednak wcale, że zdają sobie sprawę z opłakanych skutków, jakie ponoszą ich ofiary. Zabójcy i mordercy – oto jak zwą niektórzy owych wynalazców, lecz nie ja, mord bowiem – jeżeli zbrodnia ma się ziścić – wywodzi się z serca, pobudki zaś tych ludzi wywodzą się z trzosa. Gdyby nie żyli w ubóstwie, pewno nie czyniliby wcale tego, co czynią. Dobro pospólne nakazuje wszakże, abym nie pozwolił im w ten przemyślny sposób zarabiać na życie. Słowem: zabezpieczyłem się przed nimi. Jeśli zdejmie pan z którejkolwiek z moich flaszeczek papierową osłonę i spojrzy na nią pod światło, zobaczy pan znak wodny w postaci wydrukowanego dużymi literami napisu „zaufanie”. Słowo to jest dewizą mego lekarstwa, a pragnąłbym gorąco, żeby stało się także dewizą całego świata. Jeżeli na opakowaniu nie ma tego znaku, oznacza to, że lek jest podrobiony. W wypadku jakichkolwiek wątpliwości proszę przesłać opakowanie pod tym adresem – wręczył choremu bilecik – a odpowiem odwrotną pocztą.

Chory słuchał początkowo z miną wyrażającą żywe zainteresowanie, lecz stopniowo –

podczas gdy zielarz ciągle jeszcze mówił – popadał znowu w osobliwe przygnębienie, aż w końcu przybrał wygląd człowieka do cna nieszczęśliwego.

– I cóż pan powiesz? – zapytał zielarz.

– Kazał mi pan mieć ufność, bo bez ufności się nie obejdzie, a teraz prawi mi pan o podejrliwości. Ach, prawda sama wyjdzie na jaw.

– Mówiąc, że trzeba, by miał pan ufność, i to bezwzględna, myślałem o ufności pokładanej w prawdziwym, nie podrobionym leku, a także w mej prawdziwej osobie.

– Kiedy jednak pana przy tym nie będzie, a ja będę kupował rzekomo pańskie flaszeczki, czyż mogę mieć wówczas bezwzględne do nich zaufanie?

– Musi pan zbadać każdą z nich i zaufać tylko prawdziwym.

– Powątpiewać, podejrzewać, sprawdzać, musieć wciąż wykonywać całą tę męczącą pracę – jakże to sprzeczne z ufnością! Zła to rzecz!

– Ze złego pochodzi dobre. Podejrliwość to etap na drodze ku ufności. Czyż nasza rozmowa tego nie dowiodła? Lecz ma pan schrypnięty głos: nie powinienem był panu pozwolić tyle mówić. Ma pan swój lek, odchodzę. A, jeszcze chwilę! Kiedy dowiem się, że cieszy się pan znowu zdrowiem, nie zamierzam – jak to czynią niektórzy – chełpić się i przechwalać. Składając hołd Temu, któremu należy się wszelka cześć i chwała, powiem tylko za Japyksem, owym pobożnym zielarzem u Wergila, który z pomocą niewidzialnej, acz skuteczną pomoc niosącej Wenus naturalnymi lekami wyleczył był ranę Eneasza:

Nie kunszt żaden, Eneju, i nie moja dłoń cię
Leczy: większy bóg większe dzieła znaczy tobie!¹⁸

ROZDZIAŁ XVII

Na końcu którego zielarz okazuje się zdolnym do przebaczenia krzywd

W pomieszczeniu przed kajutą pewna liczba czcigodnie wyglądających ludzi płci obojga – pasażerów, którzy weszli na pokład podczas rejsu – siedziała obojętnie, pogrążona we wstydlwym milczeniu.

Dzierżąc wysoko uniesioną, małą czworokątną butelkę, opatrzoną owalną, grawerowaną podobizną oblicza przepelnionego łagodnym współczuciem, niczym oblicze malowanej przez papistę Madonny – zielarz przechadzał się pośród owych osób i z miejską ogładą zwracał się raz do tej, to znowu do innej z nich mówiąc:

– Panie i panowie! Trzymam oto w ręce uśmierzac bólu „Samarytanin”, po trzykroć błogosławione odkrycie tegoż bezinteresownego przyjaciela ludzkości, którego podobiznę oglądacie. Czysty wyciąg roślinny. Niezawodnie usuwa najdotkliwszy ból w niecałych dziesięć minut. Pięćset dolarów odszkodowania w razie zawodu. Szczególnie skuteczny przy chorobie serca i bolesnych kurczach twarzy. Proszę się dobrze przyjrzeć twarzy tego

¹⁸ Publiusz Wergiliusz Maro, *Eneida*, ks. XII, w. 428 – 429, przeł. Tadeusz Karyłowski.

oddanego bez reszty przyjaciela ludzkości. Cena: zaledwie pięćdziesiąt centów.

Na próżno. Rzuciwszy pierwiej przelotne spojrzenie, jego słuchacze – zdający się cieszyć doskonałym zdrowiem – miast wyrazić zachętę wobec okazanej im grzeczności, sprawiali raczej wrażenie grzecznością tą zniecierpliwionych. I może tylko nieśmiałość lub niejaki wzgląd na jego uczucia powstrzymywały ich od powiedzenia mu tego. Nie zważając jednak na chłodne przyjęcie albo też miłosiernie przymykając na nie oczy, zielarz podjął wątek jeszcze przymilniej niż dotąd: „Niech mi wolno będzie wyrazić pewne przypuszczenie. Czy udzielacie mi państwo swego łaskawego pozwolenia?”

Nie znalazł się nikt na tyle miły, by choć słówkiem odpowiedzieć na tę skromną prośbę.

– No cóż – powiedział zielarz z rezygnacją – milczenie nie oznacza w każdym razie odmowy, a może oznaczać zgodę. Oto moje przypuszczenie: możliwe, że któraś z obecnych tu pań ma u siebie w domu bliską sobie osobę, przykutą do łóżka na skutek dolegliwości kręgosłupa. Czyż owej cierpiącej osobie można ofiarować w darze coś bardziej stosownego niż ta gustowna buteleczka mojego uśmierzacza bólu?

Ponownie rozejrzał się wkoło, ale potraktowano go tak jak przedtem. Te twarze, którym jednako obce były sympatia i zdziwienie, zdawały się cierpliwie powtarzać: „Jesteśmy w podróży, toteż musimy być przygotowani, że napotkamy – nie tracąc z tego powodu głowy – wielu zabawnych głupców i jeszcze więcej zabawnych szarlatanów”.

– Panie i panowie! – zielarz pełnym szacunku wzrokiem wpatrywał się w ich twarze, na których malowało się błogie zadowolenie z siebie. – Pozwolą państwo łaskawie, że ośmielę się wyrazić jeszcze jedno skromne przypuszczenie. Oto ono: mało jest ludzi, wijących się dziś z bólu na łóżku, którzy swego czasu nie siedzieliby w fotelu, zdrowi i szczęśliwi. Uśmierzacz bólu „Samarytanin” jest jedynym balsamem na to, czego każda żywa istota – kto wie, czy i nie ktoś z tu obecnych – może dziś lub jutro paść ofiarą. Słowem: o, Szczęście na prawo ode mnie i ty, Bezpieczeństwo na lewo ode mnie – pytam was, czy podobna, byście wielbiły Opatrzność, a nie uważały przy tym, że mądrze jest się zabezpieczyć? (uniósł wysoko butelkę).

Nie jest rzeczą jasną, czy i jaki bezpośredni skutek mogły być odnieść powyższe słowa. Albowiem właśnie wtedy statek dobił do pozbawionej zabudowań przystani, która wyglądała tak, jakby została wydarta puszczy wskutek obsunięcia się ziemi. W głąb lasu wiodła jedna jedyna droga, wąska i otoczona z obu stron ścianą piętrzącego się, ciemnego i skłębionego listowia. Otwierała się ona przed wzrokiem niczym przepaścista gardziel jakiejś miejskiej ulicy, ot, choćby nawiedzanej przez ducha Cock Lane w Londynie. Stamtąd to wynurzył się, przemaszerował wzdłuż przystani, po czym zgarbiwszy swą rozłożystą postać w korytarzu, wkroczył do antykajuty – stawiając tak ciężkie kroki, że zdawało się, że kieszenie wypełnia mu ołów – jakowyś kaleki Tytan odziany w samodział. Jego zwisająca broda połyskiwała czarno jak mech w stanie Carolina i ociekała rosą cyprysów, a śniade, zagadkowe oblicze tego olbrzyma podobne było do krainy rudy żelaza w pochmurny dzień. W jednej ręce dzierżył ciężki kostur z nadbagennej dębiny, drugą prowadził drobną dziewczynkę w mokasynach – całkiem możliwe, że była to jego córka, choć wyraźnie zrodzona z obcej matki, być może Kreolki lub nawet Indianki z plemienia Komanczów. Oczy miała ogromne i atramentowo czarne jak stawy u wodospadów wśród górskich sosen. Indiański koc, zafarbowany na pomarańczowo i ozdobiony na brzegach ołowianymi frędzlami, ochronił ją zapewne owego poranka od ulewnego deszczu. Jej ciało drżało – wyglądała jak mała, nerwowa Kasandra.

Gdy tylko zielarz spostrzegł ową parę, rozpogodził się i rozłożywszy ramiona gestem gospodarza podszedł w ich stronę, po czym biorąc ociągające się dziecko za rączkę powiedział swobodnie: „Cóż to, majowa królewno, wybrałaś się w podróż? Bardzo się cieszę. Jakie śliczne mokasyny. Przyjemnie się w nich tańczy”.

A potem zanucił dla żartu:

Oj, baju, baju, grał kot przy ruczaju,
A krówka skakała przez księżyc.
Ćwir, ćwir, chodź, chodź, mój wróbelku!

Wesołe powitanie nie wywołało wcale wesołości u dziecka, nie ucieszyło także ani nie zjednało ojca, raczej przydało śmiertelnej powadze malującej się na jego strapionym obliczu pogardliwego uśmiechu.

Zielarz spoważniał i przemówił do nieznanego tonem mężczyzny załatwiającego interes. Zmiana ta, choć mogła sprawiać wrażenie odrobinę niespodziewanej, nie wyglądała na wymuszoną. W istocie miała ona okazać, iż niedawny brak powagi był nie tyle nawykiem natury, ile figlarną łaskawością poczciwego serca.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł – ale jeśli się nie mylę, rozmawiałem już kiedyś z panem, na statku w Kentucky, nieprawdaż?

– Ze mną nigdy – brzmiała odpowiedź wypowiedziana tak tubalnym i odczłowieczonym głosem, że zdawało się, iż dobiega on z dna jakiegoś opuszczonego szybu węglowego.

– O! Lecz czy mylę się i w tym także, że – opuścił wzrok na kostur z nadbagiennej dębiny – pan odrobinę chroma?

– Nigdy w życiu nie byłem kulawy.

– Doprawdy? Wydaje mi się, że spostrzegłem utykanie, lekkie utykanie. Znam się trochę na tych rzeczach i domyślam się, że ukrytą przyczyną tego chromania może być tkwiąca w ciele kula. Taka kula, jakimi strzelali niekiedy dragoni podczas wojny meksykańskiej, wie pan. Ciężki los! – westchnął. – Któż by współczuł, jeśli prawie nie widać!... Coś panu upadło?

Nie wiadomo dlaczego nieznanomy zgiął się ku ziemi. Mogło się wydawać, że chce coś podnieść, gdyby nie to, że zastygłszy jakby w tej niewygodnej pozycji, przez czas jakiś nie zmieniał położenia ciała, tylko nachylony całą wysoką postacią trwał tak niczym grotmaszt poddający się podmuchowi wiatru lub jak Adam kulący się przed piorunem.

Dzieweczka pociągnęła go za rękę. Wówczas przebiegła przezeń jakby fala i wyprostował się. Przez chwilę patrzył na zielarza, lecz zaraz – czy to z poruszenia, czy z odrazy, a może z obu tych przyczyn – odwrócił wzrok i nic nie powiedział. Wciąż zgarbiony, usadowił się wreszcie, biorąc dziecko między kolana. Jego potężne dłonie drżały, twarz zaś miał ciągle odwróconą. Dziewczynka utkwiała w pełnym współczucia obliczu zielarza spojrzenie, które wyrażało wstręt pomieszany ze smutkiem.

Zielarz przyglądał się chwilę, po czym rzekł:

– Pan na pewno odczuwa gdzieś bóle, silne bóle. U ludzi o mocnej budowie ból jest najsilniejszy. Proszę spróbować mego specyfiku – uniósł butelkę. – Niech się pan tylko dobrze przypatrzy temu przyjacielowi ludzkości. Proszę mi wierzyć: to niezawodne lekarstwo na wszelki ból, jaki istnieje na świecie. Nie popatrz pan?

– Nie – wykrztusił olbrzym.

– Świetnie. Baw się dobrze, mała majowa królewno.

Po czym, jak gdyby nikomu nie chciał się ze swym lekiem narzucać, oddalił się grzecznie, zachwalając dalej swój towar, tym razem wszakże nie na darmo. Nowo przybyły – nie z łądu, lecz z innej części statku – chorowity młodzieniec, zadawszy najpierw kilka pytań, nabył jedną buteleczkę. Wówczas zgromadzone tam towarzystwo jakby zaczęło się budzić ze snu. Łuski obojętności, a może uprzedzenia, spadły owym ludziom z oczu i oto zaczęli się jakby domyślać, że w ich zasięgu znalazło się coś przydatnego, co można by kupić.

Zielarz, dziesięciokroć gorliwiej uprzejmy niż zwykle, dokonywał swych dobroczynnych transakcji, za każdym razem nie omieszkawszy zachwalić swego towaru, gdy raptem smagły wielkolud, który siedział w pewnym oddaleniu, odezwał się tymi słowami:

– Co też powiedział pan na ostatku?

Pytanie to zostało zadane głosem donośnym, podobnym do odgłosu wielkiego zegara, owego ogłuszającego napomniela, kiedy wybija godzinę pierwszą, a owo uderzenie, choć pojedyncze, odróżnia się dobitnie od wrzawy dzwonnicy.

Wszelki ruch zamarł. Ręce wyciągnięte po specyfik zielarza cofnęły się, oczy zaś zwróciły się w stronę, skąd dobiegło pytanie. Lecz zielarz, niczym nie speszony, podnosząc głos z jeszcze większym niż zwykle spokojem odrzekł:

– Powiedziałem, i skoro pan sobie tego życzy, powtarzam to z radością, że uśmierzac bólu „Samarytanin”, który trzymam w ręce, wyleczy lub złagodzi wszelkiego rodzaju boleści w ciągu dziesięciu minut od chwili zażycia.

– Czy prowadzi on do utraty czucia?

– Bynajmniej. Nie najmniejszą jego zaletą jest to, iż nie jest środkiem odurzającym. Usuwa ból, nie naruszając zdolności odczuwania.

– Kłamca! Niektóre rodzaje bólu można uśmierzyć wyłącznie poprzez znieczulenie zmysłów. Nie da się ich wyleczyć inaczej niż doprowadzając do śmierci.

Smagły olbrzym nie odezwał się więcej ani słowem, bo też nie zależało mu już na ograniczeniu rynku zbytu zielarza. Przypatrzywszy się chwilę z mieszaniną podziwu i konsternacji na twarzach nieokrzesanemu mówcy, całe towarzystwo wymieniło w milczeniu spojrzenia wyrażające wzajemne współczucie związane z niemiłym przeświadczeniem. Ci, którzy dokonali zakupu, wyglądali na zakłopotanych lub zawstydzonych. Małeńki człowieczek sprawiający wrażenie cynika, z rzadką obwisłą brodą, o twarzy, na której wciąż tliło się jeszcze coś w rodzaju szyderczego uśmiechu, usadowił się samotnie w kącie, skąd miał dobry widok na wszystko, i przysłonił oblicze zrudziałym kapeluszem.

Lecz zielarz, przechodząc do porządku nad ową repliką, mimo że była tak bardzo grubiańska, powrócił znowu do wygłaszania swych panegiryków, czyniąc to tonem bardziej niż kiedykolwiek pewnym siebie. Posunął się tym razem tak daleko, że oświadczył, iż jego specyfik jest niekiedy równie skuteczny w wypadku cierpień duchowych, co i fizycznych. Ścisłej: w wypadkach kiedy – na mocy współodczuwania – oba te rodzaje bólu współdziałają z sobą aż do osiągnięcia podwojonego punktu szczytowego, otóż w takich wypadkach – mówił – lekarstwo daje bardzo dobre rezultaty. Przytoczył przykład: zaledwie trzy buteleczki, zażyte z ufnością, wyleczyły pewną wdowę

z Luizjany (która spędziła trzy bezsenne tygodnie w zaciemnionym pokoju) z neurotycznego smutku po utracie męża i dziecka, wymiecionych spośród żyjących w ciągu jednej nocy przez ostatnią zarazę. Na dowód wydobyl drukowane zaświadczenie opatrzone stosownym podpisem.

Kiedy czytał je na głos, nagły cios zadany z boku powalił go niemal na ziemię.

Sprawcą uderzenia był olbrzym, który z twarzą wykrzywioną grymasem hipochondrycznej manii wykrzyknął:

– Ty profanie rzępolący na strunach serca! Ty zmij!

Może byłby powiedział coś więcej, ale nie pozwolił mu na to napad konwulsji, toteż bez słowa postawił dziewczynkę na nogi i chwiejnym krokiem wyszedł wraz z nią z kajuty.

– Za nic ma dobre obyczaje! Stracony dla ludzkości! – krzyknął zielarz, z trudem wracając do siebie. Po chwili zaś – poddawszy swój siniec oględzinom i nie omieszkawszy przy tym zaaplikować sobie zewnętrznie swego specyfiku – powiedział głośno do siebie:

– Nie, nie. Nie będę szukał zadośćuczynienia. Niewinność jest moim zadośćuczynieniem. Ale – tu zwrócił się do wszystkich obecnych – jeśli gniew, z jakim uderzył mnie ten człowiek, nie wywołuje u mnie gniewu, to czyż jego złośliwa podejrzliwość musi i w was obudzić podejrzliwość? Żywię najgłębszą nadzieję – podniósł dumnie zarazem głos i rękę – przez szacunek dla ludzkości żywię nadzieję, iż pomimo tej tchórzliwej napaści zaufanie wszystkich moich słuchaczy, jakie pokładają oni w uśmierzaczu bólu „Samarytanin”, nie dozna żadnego uszczerbku!

Choć jednak odniósł był kontuzję, a pomimo to zachował cierpliwość – wzbudził równie mało współczucia, jak mało zachwyty wzbudziły jego krasomówcze popisy. Wszakże, do końca patetyczny, perorował dalej, nie zrażony chłodem wiejącym od tych ludzi. Wtem przerwał i jakby w odpowiedzi na nagłe wezwanie z zewnątrz powiedział pospiesznie: – Idę, już idę. Zdradzając wszelkie oznaki nagłego pośpiechu, zielarz opuścił kajutę.

ROZDZIAŁ XVIII

Dochodzenie w sprawie prawdziwego charakteru zielarza

– Nieprędko ujrzymy znowu tego jegomościa – zauważył pewien dżentelmen o kasztanowatych włosach, zwracając się do swego sąsiada z zakrzywionym nosem. – Pierwszy raz widzę spekulanta działającego tak zupełnie bez maski.

– Czy jednak sądzi pan, że to uczciwe demaskować w ten sposób spekulanta?

– Uczciwe? To jest słuszne.

– Przypuśćmy, że po giełdzie paryskiej przechadzały się Asmodeusz, rozdając karteczki ujawniające prawdziwe zamysły wszystkich obecnych tam spekulantów. Byłoby to uczciwe ze strony Asmodeusza? A może to są „zbyt obcesowe rozważania”, jak powiedział Hamlet?

– Tym się zajmować nie będziemy. Skoro jednak przyznajesz pan, że to łotr...

– Tego nie mówię. A jeśli powiedział, to wycofuję. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nie był łotrem, albo tylko troszkę. Jakże ma pan dowody przeciwko niemu?

– Mam dowody, że naciąga ludzi.

– Wiele powszechnie szanowanych osób czyni to samo. Również wielu takich, co nie są skończonymi łotrami.

– A o tym tutaj cóż pan powiesz?

– Przypuszczam, że w głębi serca nie całkiem jest łotrem i że sam jest jedną z ofiar swoich oszustw. Nie widział pan, że nasz przyjaciel znachor sam sobie zaaplikował swój szarlatański środek? To fanatyk, a właściwie głupiec, choć co do skutków – łajdak.

Pochyliwszy się i utkwivszy wzrok w podłodze, dżentelmen o kasztanowatych włosach wodził po niej czas jakiś swą laską. Wreszcie podniósł oczy i rzekł:

– Nie mogę pojąć, jakim sposobem możesz pan twierdzić, że to głupiec. Jak on się wysławia! Potoczyście, akuratnie, ze swadą!

– Chytry głupiec zawsze tak właśnie się wyraża. Trzeba być chytrym głupcem, żeby tak mleć jęzorem.

Rozmowa toczyła się dalej mniej więcej w tym samym duchu. Dżentelmen z zakrzywionym nosem mówił ze swadą, znakomicie, pragnąc dowieść, że nie inaczej wypowiada się zawsze chytry głupiec. Wkrótce też jego przemowa osiągnęła ten skutek, że niemal przekonał swego rozmówcę.

W chwilę później powrócił ów osobnik, który zgodnie z przepowiednią dżentelmena o kasztanowatych włosach miał się więcej nie pokazać. Stanął w korytarzu i spytał wyraźnie: – Czy jest tutaj agent przytułku dla wdów i sierot seminolskich?

Nikt nie odpowiedział.

– A może jest tu agent lub członek jakiegokolwiek dobroczynnej instytucji?

Wyglądało na to, że nie było tam nikogo, kto potrafiłby udzielić jakiejś odpowiedzi albo uważałby, że warto było odpowiadać.

– Gdyby był tu ktoś taki, mam dla niego dwa dolary.

Wzbudziło to pewne zaciekawienie.

– Wywołano mnie nagle i zapomniałem o tym spośród moich licznych obowiązków. Ten, kto sprzedaje uśmierzacz bólu „Samarytanin”, winien natychmiast przeznaczyć połowę zysków ze sprzedaży na jakiś cel dobroczynny. Zebrani tutaj nabyli ode mnie osiem buteleczek. Tak więc cztery półdolarówki idą na dobroczynność. Kto weźmie te pieniądze jako pośrednik?

Jedna czy dwie pary stóp zaszurały po podłodze, jakby ich właściciele coś zaswędziało, nikt jednak nie ruszył się z miejsca.

– Czyżby nieśmiałość brała górę nad powinnością? A więc powtarzam: jeśli znajduje się tu ktokolwiek – mąż czy niewiasta – kto miałby jakikolwiek związek z obojętnie jaką instytucją dobroczynną, niechże się zbliży. Gdyby osoba taka nie miała akurat przy sobie żadnego poświadczenia stwierdzającego taki związek – nie szkodzi. Bogu dzięki nie jestem człowiekiem z natury podejrzliwym i zaufam każdemu, kto tylko zechce wziąć pieniądze.

Niewiasta o przesadnie poważnym wyglądzie, w sukni raczej mało gustownej i

pomiętej, uniosła wówczas woalkę i wstała, lecz – poczuwszy na sobie spojrzenie wszystkich – uznała po chwili namysłu, że lepiej będzie usiąść z powrotem.

– Czy można uwierzyć, żeby wśród zebranych tu chrześcijan nie znalazła się ani jedna miłosierna osoba? Mam na myśli osobę związaną z jakąkolwiek instytucją dobroczynną. Czyżby zatem nie było tu także nikogo, komu należy okazać miłosierdzie?

Wówczas wyglądająca na nieszczęśliwą kobieta w schludnej, acz znoszonej żałobie skryła twarz za nędznym zawiniątkiem, po czym dało się słyszeć szlochanie. Zielarz, tak jakby nie widział jej ani nie słyszał, przemówił znowu, tym razem nie bez czułości:

– Czyżby nie było tu nikogo, kto potrzebowałby pomocy i kto przyjmując pomoc nie czułby, że w swoim czasie dał lub uczynił więcej, niż ktokolwiek będzie mógł dać lub uczynić dla niego? Czyż nie ma tu takiej niewiasty lub takiego męża?

Szlochanie kobiety rozległo się jeszcze głośniejsze, choć starała się je stłumić. Uwaga niemal wszystkich obecnych skupiła się na niej, a tymczasem mężczyzna o wyglądzie wyrobnika, z białym bandażem na twarzy zasłaniającym mu część nosa, siedzący z powodu upału w samej czerwonej flanelowej koszuli, z przerzuconym przez ramię płaszczem, którego pocerowane mankiety zwisały ku ziemi – otóż mężczyzna ów szurając nogami powstał z miejsca i krokiem przywodzącym na myśl chód skutych kajdanami więźniów zbliżył się do zielarza jako ten, kto spełnia wymienione przezeń warunki.

– Biedny ranny huzar! – westchnął zielarz i wsypał monety do dłoni podobnej do skorupy mięczaka, po czym odwrócił się i odszedł.

Obdarowany jałmużną również chciał już odejść, kiedy dżentelmen o kasztanowatych włosach powiedział do niego:

– Nie lękajcie się, człowieku, ale chciałbym obejrzeć te monety. Tak, tak: prawdziwe srebro, szczerze srebro. Naści, zabieraj, co twoje. A jak się już bandażujesz, to czemu nie cały? Słyszysz? Zrób sobie jedną wielką szramę na nosie i wynoś się precz.

Człek ten musiał być wyrozumiały albo też tak wzburzony, że bał się zaufać swemu głosowi, bo wycofał się w milczeniu, choć nie bez pośpiechu.

– Dziwne – powiedział dżentelmen o kasztanowatych włosach, zwracając się do swego kompana – pieniądze były prawdziwe.

– Ano właśnie! I gdzie jest pański łotr nad łotry? Czyż to łotrostwo – przeznaczyć połowę dochodów na dobroczynność? Powtarzam, że to głupiec.

– Inni powiedzieliby pewno, że to oryginał i geniusz.

– Tak, oryginał w swoim szaleństwie. Geniusz? Ten jego geniusz to brak piątej klepki, co w dzisiejszych czasach nie jest czymś szczególnie oryginalnym.

– A może to łajdak, głupiec i geniusz jednocześnie?

– Najmocniej przepraszam – słowa te wypowiedział trzeci osobnik, człowiek z twarzą plotkarza, który przysłuchiwał się ich rozmowie – widzę, że ten jegomość wprawił panów jakby w zakłopotanie, co mię wcale nie dziwi.

– Wiesz pan coś o nim? – zapytał krzywonosy dżentelmen.

– Nie, ale go o coś podejrzewam.

– Podejrzenia. Nam potrzebna jest wiedza.

– Cóż, najpierw podejrzewaj, później się dowiaduj. Prawdziwą wiedzę osiąga się tylko przez podejrzenia lub przez objawienie. To moja максима.

– Wszelako – rzekł dżentelmen o kasztanowatych włosach – mądry człowiek niektóre rzeczy zachowa dla siebie, tym bardziej zaś podejrzania, a w każdym razie będzie postępował w ten sposób, aż nie przybiorą one kształtu dojrzałej wiedzy.

– Słyszał pan, jak postępuje mądry człowiek? – spytał krzywonosy, zwracając się do nowego rozmówcy. – A teraz mów pan, co podejrzewasz w wypadku tego typu.

– Moja przebiegłość każe mi podejrzewać go o to – brzmiała skwapliwa, odpowiedź – że jest jednym z emisariuszy jezuickich, którzy grasują po całym naszym kraju. Ludzie ci, ażeby jak najlepiej spełnić swoje tajne zamierzenia, przywdziewają – tak mi opowiadano – najdziwaczniejsze przebrania, niekiedy zgoła niedorzeczne.

Słowa te, choć w istocie wywołały z jakiegoś powodu błazeński uśmieszek na twarzy dżentelmena z zakrzywionym nosem, wprowadziły do rozmowy trzeci punkt widzenia, zamieniając ją w ten sposób w rodzaj trójstronnego pojedynku, ale bo też i ostateczny wynik tejże rozmowy okazał się trojaki.

ROZDZIAŁ XIX

Najemnik

– Meksyk? Molino del Rey?¹⁹ Resaca de la Palma?

– Resaca de la Grób!

Tymczasem zielarz, który pozostawił swą reputację pod opieką jej samej, gdyż – jak to często bywa – wcale nie podejrzewał, że stała się ona przedmiotem dyskusji, powędrował na przednią część statku, gdzie spostrzegł osobliwą postać odzianą w brudny, stary mundur wojskowy. Oblicze miał ów człek zarazem groźne i pomarszczone, jego dotknięte paraliżem, splątane nogi zwisały sztywno niczym sople lodu pomiędzy kulami z nie heblowanego drewna, całe zaś wyprężone ciało kołysało się wahadłowym ruchem na kształt wielkiego okrętowego barometru o kardanowym zawieszeniu, poddane poruszeniom statku. Kaleka, kołysząc się, spoglądał ku ziemi. Mogło się wydawać, że pogrążony jest w czarnej melancholii.

Poruszony jego widokiem – domyślając się także, że ma oto przed sobą jakiegoś sponiewieranego przez los bohatera meksykańskich pól bitewnych – zielarz zagadnął go życzliwie przytoczonymi wcześniej słowami i otrzymał powyższą, dość przecież niejasną odpowiedź. Udzieliwszy zielarzowi – z miną po części ponurą, po części zaś zgryźliwą – owej odpowiedzi, kaleka umyślnym szarpnięciem nasilił kołysanie ciała (czynił tak wówczas, gdy ogarniało go wzburzenie). Można by pomyśleć, że to jakowaś nawałnica rozkołysała raptem statek razem z jego barometrem.

– Grób? Przyjacielu! – wykrzyknął zielarz, lekko zaskoczony. – Czyżbyś zstąpił do krainy umarłych? Sądziłem, że mam przed sobą okrytego bliznami weterana, szlachetne dziecko wojny, co chwalebnie cierpiało za ukochaną ojczyznę. Ale zdaje się, żeś ty Łazarz.

– Tak, ten pokryty wrzodami.

¹⁹ Molino del Rey, Resaca de la Palma, Buena Vista – miejsca bitew podczas wojny Stanów Zjednoczonych z Meksykiem (1846 – 48)

– Ach, ten *drugi* Łazarz. Nie wiedziałem jednak, że któryś z nich służył kiedyś w wojsku – spojrzał na rozłożący się mundur kaleki.

– Już wystarczy. Dość żartów.

– Przyjacielu – rzekł zielarz z przyganą w głosie – źle mnie sądzisz. Z zasady witam ludzi nieszczęśliwych miłym słowem, żeby skuteczniej odwieść ich myśli od ich utrapień. Lekarz, który jest jednocześnie mądry i życzliwy ludziom, rzadko boleje jawnie nad swoim pacjentem. Ale nic to: jestem zielarzem i naturalnym nastawiaczem kości. Może i mam gorący temperament, ale chyba mogę coś dla ciebie zrobić. A teraz podnieś wzrok. Opowiedz mi o sobie. Nim wynajdę dla ciebie lekarstwo, muszę się dowiedzieć wszystkiego o tobie.

– Nie potrafisz mi pomóc – odrzekł gburowato kaleka. – Idź sobie.

– Zdaje się, że cierpisz niedostatek...

– Nie cierpię, w każdym razie nie dzisiaj. Stać mnie na opłacenie podróży.

– Nastawiaczowi złamanych kości naprawdę miło to usłyszeć. Lecz pospieszyłeś się z odpowiedzią. Ubolewałem nie dlatego, że niedostaje ci gotówki, tylko ufności. Uważasz, że nastawiacz kości nic ci nie pomoże. No cóż, przypuśćmy, że masz słuszność, ale czy to ci przeszkadza w opowiedzeniu mu o sobie? Mój przyjacielu, jesteś znakomitym przykładem człowieka, który doświadczył przeciwności losu. Powiedz mi zatem – na mój prywatny użytek – w jaki sposób zdołałeś bez pomocy owego prześwietnego kaleki Epikteta zachować w niedoli tę godną bohatera zimną krew?

Usłyszawszy te słowa, kaleka utkwiał w swym rozmówcy drwiące spojrzenie człowieka zaprawionego i zhardziałego w nieszczęściu, a na jego nie ogolonej twarzy zajaśniał szyderyczy uśmiech olbrzyma ludojada.

– Ejże, ejże, zachowuj się jak człowiek, mój przyjacielu, a nie jak dzikus. Nie rób takiej miny, bo mnie to przygnębia.

– Coś mi się zdaje – powiedział kaleka drwiąco – że jesteś tym człowiekiem, o którym słyszę od dawna: Szczęśliwcem.

– Szczęśliwcem? Owszem, przyjacielu, jestem, a przynajmniej powinienem być. Nie trapią mnie wyrzuty sumienia. Mam do wszystkich zaufanie. Ufam też, że wykonując swój skromny zawód, robię dla świata coś dobrego. Tak. Myślę, że bez zarozumiałości mogę zdobyć się na śmiałe stwierdzenie, iż jestem Człowiekiem Szczęśliwym – Szczęśliwym Nastawiaczem Kości.

– Wobec tego opowiem ci o sobie. Od wielu miesięcy czekam z utęsknieniem, żeby złapać Człowieka Szczęśliwego, wywiercić w nim dziurę, wyładować prochem i poczekać, aż wybuch rozerwie go na strzępy.

– Toż to opętany przez czarta nieszczęśnik! – wykrzyknął cofając się zielarz. – Istny twór piekielny!

– Słuchaj no ty – zawołał tamten, zbliżył się na swych kikutach w jego stronę i zrogowaciałą ręką pociągnął go za rogowy guzik. – Nazywam się Thomas Fry. Aż do...

– Krewny pani Fry? – przerwał mu zielarz. – Utrzymuję z tą prześwietną damą stałą korespondencję w sprawie więzień. Czyżbyś był w jakikolwiek sposób spokrewniony z tą właśnie panią Fry?

– Do diabła z panią Fry! Cóż te sentymentalne duszyczki wiedzą o więzieniach i wszelkich innych okropnościach życia! Ja ci opowiem o więzieniach. Ha, ha!

Zielarz aż się skurczył od tego śmiechu i nic dziwnego, bo był to śmiech przerażający.

– Koniecznie, przyjacielu – powiedział – musisz przestać się śmiać, bo ja tego nie zniosę. Doprawdy wystarczy. Mam nadzieję, nie brak mi słodczy cechującej ludzką dobroć, ale twoje gromy wnet zaprawią ją goryczą.

– Czekaj, jeszcze nie doszedł w mojej opowieści do tego, co sprowadza gorycz. Nazywam się Thomas Fry. Aż do dwudziestego trzeciego roku życia nosiłem przezwisko Wesoły Tom. Wesoły! Ha, ha! Nazywali mnie Wesoły Tom, pojmujesz? Bo miałem takie pogodne usposobienie i cały czas się śmiałem, tak jak teraz: ha, ha!

Zielarz byłby może i uciekł w owej chwili, lecz hiena znowu wbiła weń swe pazury. Kaleka zaś sposepniał i ciągnął dalej:

– Cóż, urodziłem się w Nowym Jorku, tam też wiodłem stateczny żywot ciężko pracującego człowieka: trudniłem się bednarstwem. Pewnego wieczoru wybrałem się na wiec polityczny do Parku, bo trzeba ci wiedzieć, że byłem wówczas wielkim patriotą. Pech chciał, że w pobliżu doszło do sprzeczki pomiędzy pewnym dżentelmenem popijającym wino i brukarzem, który był trzeźwy. Ów brukarz żuł tytoń, a ten dżentelmen powiedział, że zachowuje się jak bydło, i popchnął go, chcąc zrobić sobie miejsce. Brukarz tytoniu żuć nie przestał, a na popchnięcie odpowiedział popchnięciem. Dżentelmen miał przy sobie laskę z ukrytą wewnątrz szpadą: w chwilę później brukarz leżał już na ziemi, przebity na wylot.

– Jakże to?

– Cóż, brukarz porwał się na coś, co przekraczało jego siły.

– Za to tamten musiał być drugim Samsonem. Przysłowie mówi: Silny jak brukarz.

– To prawda. Dżentelmen był dość wątłej budowy, a jednak – powtarzam – brukarz porwał się na coś, co przerastało jego siły.

– O czym ty mówisz? Przecież próbował walczyć o swoje prawa!

– Tak, lecz mimo to – powtarzam znowu – porwał się na coś, co było ponad jego siły.

– Nie pojmuję, ale mów dalej.

– Razem z tym dżentelmenem i innymi świadkami zostałem zabrany do „Grobowca”. Tam odbyło się przesłuchanie, po czym dżentelmen i świadkowie, wszyscy, złożyli kaucję przed stawieniem się na rozprawie. Wszyscy prócz mnie.

– A czemu prócz ciebie?

– Bo nie mogłem zdobyć pieniędzy.

– Ty? Stateczny, ciężko pracujący bednarz? Co było powodem, żeś nie mógł zapłacić kaucji?

– Stateczny, ciężko pracujący bednarz nie miał żadnych przyjaciół. No i wylądowałem w wilgotnej celi, niczym barka, co plusnęła do śluzy. Rozumiesz mnie? Zrobili ze mnie marynatę, nim jeszcze zaczęła się rozprawa.

– Ale cóż ty takiego uczyniłeś?

– No, przecież mówiłem ci, że nie miałem przyjaciół. To zbrodnia gorsza niż morderstwo, jak się wkrótce przekonasz.

– Morderstwo? Czy ten ranny umarł?

– Umarł trzeciej nocy.

– Więc temu panu nic nie pomogło, że zapłacił kaucję. Poszedł niechybnie do

więzienia.

– Zbyt wielu miał przyjaciół. Nie, to *ja* poszedłem do więzienia. Ale jakoś radziłem tam sobie: za dnia pozwalali mi chodzić po korytarzu, ale na noc musiałem siedzieć pod kluczem. Wilgoć w celi zaczęła mi zżerać kości. Kurowali mnie, ale bezskutecznie. Gdy rozpoczęła się rozprawa, dostałem kuksańca i powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

– Mianowicie?

– Powiedziałem, że widziałem, jak stał weszła w ciało i w ciele utkwiała.

– No i powiesili go!

– Powiesili – na złotym łańcuchu. Jego kamraci zwołali wiec w Parku, wręczyli mu złoty zegarek z łańcuszkiem, gdy został uniewinniony.

– Uniewinniony?

– Czy nie mówiłem ci, że miał przyjaciół?

Zapadło milczenie. Wreszcie przerwał je zielarz:

– No cóż, wszystko ma też swoją jaśniejszą stronę. Jeśli sprawiedliwości wystawia to nieciekawe świadectwo, to przyjaźni wystawia świadectwo romantyczne. Ale mów dalej, mój drogi.

– Kiedym powiedział swoje, oświadczyli mi, że mogę odejść. Odrzekłem, że sam nie dam rady, więc pomogli mi dwaj konstable. Zapytali, *dokąd* chcę się udać. Odpowiedziałem, że z powrotem do „Grobowca”, bo żadne inne miejsce nie przyszło mi do głowy. „A gdzie są twoi przyjaciele?” – spytali. „Nie mam przyjaciół”. Więc wsadzili mnie na wózek i odwieźli do portu, a tam umieścili na stateczku, który zabrał mnie do szpitala miejskiego na Blackwell Island. W szpitalu mój stan się pogorszył i odtąd już nie uległ poprawie. Nie potrafili mnie wyleczyć. Minęły trzy lata i miałem dosyć leżenia na okratowanym żelaznym łóżku, pośród pojękujących złodziejaszków i gnijących włamywaczy. Dali mi pięć dolarów srebrem i te kule, i pokuśtykałem w świat. Miałem jedynego brata, który dawno temu przeniósł się do Indiany. Zebrałem, żeby uzbierać pieniądze na podróż do niego. Wreszcie dotarłem do Indiany, gdzie wskazano mi drogę do jego mogiły. Znajdowała się ona na rozległej równinie, na wielkim cmentarzu otoczonym płotem z pniaków. Zewsząd wystawały stare szare korzenie podobne do rogów jelenich. Na grobie brata – ostatnim, jaki wykopano – ustawione były mary z nie okorowanego białego orzecha, który puszczał zielone gałązki. Na mogile ktoś zasadził kępkę fiołków, ale ziemia była tam licha (na cmentarze zawsze wybierają najgorsze grunty) i zeschły na wióry. Postanowiłem usiąść i podumać o mym bracie w niebie, ale mary złamały się: podpórki były zbite byle jakimi świeczkami. Przegnałem więc tylko kilka wieprzy, które grasowały po cmentarzu, i poszedłem dalej. Żeby już nie rozwlekać tej opowieści, dodam tylko, że w końcu znalazłem się tutaj, unoszony w dół rzeki niczym szczątki wraka.

Zielarz milczał dłuższą chwilę, pogrążony w zadumie. Wreszcie podniósł głowę i powiedział: – Zastanawiałem się nad twoją opowieścią, mój przyjacielu, próbując dopatrzeć się w niej jakby przyczynku do tego, co uważam za porządek rzeczy tego świata, lecz tak bardzo kłóci się ona ze wszystkim, tak zupełnie nie da się jej z niczym pogodzić, że – musisz mi wybaczyć szczerłość – nie mogę w nią uwierzyć.

– Nie dziwi mnie to.

– Jak to?

– Prawie nikt w nią nie wierzy, dlatego prawie wszystkim opowiadam co innego.

– Znowu spytam: jak to?

– Poczekaj tu chwilę, to ci pokażę.

Co powiedziawszy, zdjął z głowy strzęp czapki, poprawił najlepiej jak umiał łaćman, co był kiedyś mundurem, i na swych sztywnych nogach oddalił się w stronę tłumu pasażerów zajmujących przyległą część pokładu, przemawiając z miną wesołka: – Panie, daj szylinga Wesołemu Tomowi, co walczył pod Buena Vista. Szanowna pani, proszę o datek dla żołnierza generała Scotta. Oba nożyska okaleczyli mi w sławnej bitwie pod Contreras.

Tak się oto złożyło, że pewien nieznajomy o wymuskaniej powierzchowności podsłuchał część opowieści kaleki, o czym ów nie wiedział. Człowiek ten, przyglądając się jego żebraczej postaci, zwrócił się oburzony do zielarza: – Czyż to nie okropne, mój panie, żeby ten tam drań łgał tak w żywe oczy?

– Miłość wszystko znosi, mój dobry panie – brzmiała odpowiedź. – Temu nieszczęśnikowi można ów grzech przebaczyć. Zważ pan, że nie kłamie dla psoty.

– Nie dla psoty? Nigdy nie słyszał bardziej bezecnego kłamcy. Jednym tchem opowiada panu swą rzekomo prawdziwą historię, a za chwilę wywraca ją na nice i fałszuje.

– Mimo wszystko powtarzam, że nie kłamie dla psoty. Pewien dojrzały filozof, usunięty ze słynnej Sorbony w ciężkich czasach, jest zdania, że kiedy opowiada się o nieszczęściach nieznajomym dla pieniędzy, przedstawia się je w najśłodszych słowach. Choć ów tężec rzepki, jakiego nabawił się w wilgotnym lochu, jest dużo bardziej pożałowania godnym nieszczęściem niż to, że jakoby został kaleką w słynnej bitwie pod Contreras – to człowiek ten mniema, iż owo mniejsze i nieprawdziwe nieszczęście przyciąga ludzi, gdy tymczasem większe i nie zmyślane by ich odpychało.

– Bzdury. Należy do zastępów Szatana i mam ochotę go zdemaskować.

– Wstydz się pan. Miałżeby pan śmiałość zdemaskować tego nieszczęśnika? Na Boga! Niech pan tego nie czyni.

Elegant, spostrzegłszy coś szczególnego w zachowaniu rozmówcy, pomyślał, że roztropniej będzie powstrzymać się od odpowiedzi i odejść. Wkrótce kaleka wrócił, uśmiechnięty, zebrawszy spore żniwo.

– No i proszę – śmiał się – teraz już wiesz, jaki ze mnie żołnierz.

– Ano wiem! Taki, co nie walczy z durnymi Meksykanami, tylko z wrogiem godnym swej taktyki: z Fortuną!

– Właśnie, właśnie! – wrzasnął kaleka, niczym widz na parterze taniego teatru, i dodał: – Nie bardzo zrozumiałem, coś chciał przez to powiedzieć, ale dobrze ci to wyszło.

Zamilkł, a jego twarz kapryśnie sposepniała, czyniąc go znowu podobnym do olbrzyma-ludojada. Na grzeczne pytania nie dawał grzecznych odpowiedzi. Rzucał tylko nieprzystojne uwagi o „wolnej Hameryce”, bo tak nazywał z przekąsem swój kraj. Uwagi te zdawały się niepokoić i boleśnie dotykać zielarza, który otrząsnąwszy się po pewnym czasie z zadumy, przemówił doń tymi oto słowami:

– Zacny mój przyjacielu, ku memu zatroskaniu wysunąłeś pewne zarzuty wobec charakteru rządów, pod jakimi żyjesz i cierpisz niedolę. Gdzież twój patriotyzm? Gdzie twa wdzięczność? Prawda, że ludzie miłosierni mogą się w opowiedzianej przez siebie historii twego życia doszukać czegoś, co częściowo tłumaczy wysunięte przez siebie zarzuty. Wszelako, bez względu na fakty, o których mówiłeś, twoje zarzuty nie są

uzasadnione. Przyjmijmy na chwilę, że rzeczywiście doświadczyłeś tego, o czym wspominałeś. Przyznałbym wówczas, że można uważać, iż istnieje jakiś, mniej lub bardziej bliski, związek pomiędzy charakterem rządów a tym, co zdaje się być nieprzyjemną stroną twych przeżyć życiowych. Nigdy jednak nie wolno zapominać, że rządy sprawowane przez ludzi podległe są rządowi Boga i jako takie niechybnie muszą w pewnym stopniu nosić cechy rządów Boskich. Oznacza to, że jakkolwiek, ogólnie rzecz biorąc, prawo ziemskie prowadzi do szczęścia, to jednak w niektórych przypadkach może ono działać – z punktu widzenia rozumu – niejednakowo, tak jak – patrząc z tej samej niedoskonałej perspektywy – można zauważyć pewną niejednakowość w działaniu prawa niebieskiego. A przecież ktoś, kto ma odpowiednią ufność, w każdym wypadku będzie całkowicie pewien, że zarówno jedno, jak i drugie prawo jest w ostatecznym obrachunku życzliwe ludziom.

– I po co mi pleciesz te androny! – krzyknął kaleka, który podczas tej przemowy zdradzał oznaki uporu godnego największego analfabety; z wściekłą miną jął się na nowo kołysać.

Zielarz spoglądał w inną stronę, nim atak nie minął, a potem ciągnął dalej:

– Miłosierdzia nie dziwi, że jesteś nieco bezlitosny w swych sądach, mój przyjacielu, bo niewątpliwie uważasz, że zostałeś bezlitośnie potraktowany przez los. Nie zapominaj wszakże, że tych, których się kocha, także się doświadcza.

– Nie wolno ich jednak doświadczać zanadto ani zbyt długo, bo im twardnieje skóra i serce, a wtedy nie będą odczuwać ani bólu, ani pieczy.

– Samemu tylko rozumowi twój przypadek może się wydawać poniekąd żalony, przyznaję. Ale nie wpadaj nigdy w rozpacz, bo zostało ci jeszcze wiele, i to najwspanialszych, rzeczy. Oddychasz oto tym szczodrym powietrzem, ogrzewa cię łaskawe słońce, a choć biednyś, nie masz przyjaciół i po prawdzie nie jesteś już tak zwinny jak w młodości – przecież jakże słodko jest wędrować co dzień przez leśne gaje, zbierając lśniące mchy i kwiaty, aż smutek samotności nie zamieni się w wesołość, i nikomu nie wadząc swą niezawisłością, podskakiwać z radości!

– O tak! Wspaniale się skacze na tych końskich żerdziach! Ha, ha!

– Wybacz: zapomniałem o kulach. Gdy sobie wyobraziłem, jak będziesz wyglądał, kiedy zaznasz dobrodziejstwa mej sztuki, przeoczyłem twój wygląd obecny.

– Twej sztuki? Zowiesz siebie nastawiaczem kości, naturalnym nastawiaczem kości, nieprawdaż? No to weźże nastaw kości powykręcanejmu światu, a potem zrób to samo ze mną, com też krzywy.

– Zaiste, bardzo ci dziękuję, mój zacny przyjacielu, żeś mi przypomniał o moim celu pierwotnym. Pozwól, że cię zbadam – pochylił się nad kaleką. – No tak, tak, mocno to przypomina przypadek Murzyna. Widziałeś go? Ach, nie, tyś później wszedł na pokład. Tak, jego przypadek był trochę podobny do twojego. Przepisałem mu kurację i wcale bym się nie dziwił, gdyby w bardzo niedługim czasie mógł chodzić prawie tak samo dobrze jak ja sam. I co: nie zaufasz mej sztuce?

– Ha, ha!

– Nie będę wymuszał na tobie zaufania. Rad bym jednak wyświadczyć ci przyjacielską przysługę. Weź, proszę, to pudełko i nacieraj stawy tą maścią rano i wieczorem. Trzymaj. To za darmo. Niech cię Bóg błogosławi. Żegnaj.

– Stój – kaleka przestał się kołysać: czyn tak niespodziewany zrobił na nim pewne

wrażenie. – Zaczekaj. Dziękuję. Ale czy to naprawdę mi pomoże? Dasz słowo honoru, że pomoże? Nie oszukuj biednego człowieka – mówił ze zmienioną twarzą i błyszczącymi oczyma.

– Musisz spróbować. Żegnaj.

– Stój! Jesteś *pewny*, że mi pomoże?

– Bardzo możliwe, bardzo: co ci szkodzi spróbować. Żegnaj.

– Zaczekajże. Daj mi jeszcze trzy pudełka. Tu są pieniądze.

– Przyjacielu – przemówił zielarz z miną zadowoloną, acz smutną – jakże się cieszę, iż zrodziły się oto w tobie ufność i nadzieja. Wierzaj mi, że podobnie jak twoje kule, ufność i nadzieja długo jeszcze będą podtrzymywały człowieka, choćby własne nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie rozstawaj się tedy z ufnością i nadzieją, bo byłoby przecież szaleństwem, gdyby kaleka cisnął precz swoje kule. Prosisz o jeszcze trzy pudełka mojej maści. Na szczęście zostało mi ich jeszcze akurat trzy. Oto one. Sprzedaję je po pół dolara za sztukę, ale od ciebie nie wezmę ani grosza. Trzymaj. Niech Bóg cię błogosławi. Żegnaj.

– Stój! – wykrzyknął rozpaczliwie kaleka i zaczął się znów kołysać. – Stój, stój! Uczyniłeś ze mnie lepszego człowieka. Obszedłeś się ze mną jak dobry chrześcijanin, i tak samo ze mną rozmawiałeś. To mi zupełnie wystarczy – nie potrzebuję tego prezentu z pudełek. Proszę, oto pieniądze. Tylko nie odmawiaj. Bierz, bierz i niech Wszechmogący ma cię w opiece.

Po odejściu zielarza rozhuśtane ruchy kaleki przeszły stopniowo w łagodne drganie. Może miało to być wyrazem błogiej zadumy, w jakiej się pogrążył.

ROZDZIAŁ XX

Ponownie zjawia się ktoś, kogo można było zapamiętać

Zielarz nie odszedł daleko, kiedy taki oto widok ukazał się jego oczom. Wyschnięty starzec o budowie dwunastoletniego chłopca słańał się na nogach, niczym ktoś niespełna rozumu. Odziany był w wymięte krecie skóry, noszące świeże ślady zetknięcia z pościelą. Mrugając w blasku słońca zalewającym śnieżnobiały statek, wodził rozbieranymi oczkami bezładnie, acz z gorliwością imbecyla, co pewien czas zanosząc się kaszlem. Rozglądał się po pokładzie jak gdyby w poszukiwaniu swego pielęgniarza. Przedstawiał sobą widok człowieka przykutego do łóżka, który pobudzony czymś wywołującym dogłębne poruszenie – jak choćby pożar – stanął na nogi.

– Pan kogoś szuka – zagadnął go zielarz. – Mogę panu dotrzymać towarzystwa?

– Ależ tak, tak. Jestem bardzo stary i znajduję się w takim opłakanym stanie – zakasłał starzec. – Gdzież on jest? Tyle wysiłku kosztowało mnie, żeby wstać i udać się na poszukiwanie. A że nie mam przyjaciół, zdołałem się podnieść z łóżka dopiero teraz. Gdzież on może być?

– Kogo masz pan na myśli? – zielarz przysunął się bliżej, żeby podtrzymać tę tak słabą istotę w jej dalszej tułaczce.

– Aj, aj, aj! – wykrzyknął starzec, zauważywszy ubranie zielarza – przecież to pan... to

pan, pan... uch, uch, uch!

– Ja?

– Uch, uch, uch! To o panu on mówił. Kim on jest?

– Na Boga! Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

– Litości, litości! – zaniósł się kaszlem oszołomiony starzec – odkąd go ujrzałem, cały czas kręci mi się w głowie. Powinienem mieć jakiegoś opiekuna. Pański surdut jest koloru tabaczkowego, nieprawdaż? Ja jakoś nie dowierzam już swym zmysłom, odkąd zawierzyłem jemu... uch, uch, uch!

– O, pan komuś zawierzył? Miło mi to słyszeć. Miło mi usłyszeć o wszelkich tego rodzaju wypadkach. To się korzystnie odbija na wszystkich ludziach. Pan jednak pytałeś, czy to jest tabaczkowy surdut. Odpowiem twierdząco i dodam, że nosi go zielarz.

Usłyszawszy to starzec odrzekł drżącym głosem, że to właśnie on (zielarz) jest osobą, której poszukuje, a o której mówił tamten człowiek, nadal jeszcze nie znany. Z płochliwą skwapliwością dodał następnie, że chciałby się dowiedzieć, kim on jest, gdzie się znajduje i czy można mu powierzyć pieniądze w celu potrojenia ich sumy.

– Ach tak, teraz zaczynam rozumieć. Założę się, że chodzi panu o mego zacnego przyjaciela, który z dobrego serca obdarowuje ludzi fortunami, a właściwie – jak to mówią – „skarbami w niebie”, żądając w zamian jedynie okazania mu odrobiny ufności. Tak, tak: chce się pan dowiedzieć czegoś o mym przyjacielu, nim powierzy mu pan swoje fundusze. Bardzo słusznie. Rad jestem, że mogę pana zapewnić, iż nie musi się pan niczego obawiać. Niczego, absolutnie niczego, daję panu słowo: NICZEGO. Pewnego dnia wymienił mi w okamgnieniu sto dolarów na tyleż dziesięciodolarówek.

– Naprawdę? Wymienił panu? Ale gdzie on? Prowadź pan do niego.

– Proszę tylko chwycić mnie za ramię! Statek jest wielki! Może trzeba nam będzie zapolować na niego. Ruszajmy! Ach, czy to nie on?

– Gdzie, gdzie?

– O, nie. Ten tam surdut wziąłem za jego. Ale mój zacny przyjaciel nigdy nie odgiąłby przecież poły surduta w ten sposób. Ach!

– Gdzie, gdzie?

– Kolejna pomyłka. Zadziwiające podobieństwo. Wziąłem o, tego duchownego za niego. Chodźmy dalej!

Przeszukawszy tę część statku bez powodzenia, udali się do innej jego części. Tymczasem statek podpłynął do przystani. Gdy mijali otwartą osłonę, zielarz rzucił się nagle w stronę schodzącego na ląd tłumy ludzi krzyżąc: – Panie Truman! Panie Truman! O, tam idzie: to on. Panie Truman! Panie Truman! Na miłość boską, panie Truman! Nie, nic z tego. O, wciągnęli trap. Za późno: odpływamy.

W tejże chwili ogromny parowiec, niczym pławiący się potężny lew morski, jał oddalać się od brzegu, wracając na trasę rejsu.

– Czyż to nie irytujące! – wykrzyknął powracający zielarz. – Gdybyśmy przyszli o sekundę wcześniej! O, idzie tam, w stronę hotelu, walizę niosą za nim. Widzi go pan, prawda?

– Gdzie, gdzie?

– Już go pan nie zobaczy. Zasłonił go pomost sternika. Tak mi przykro. Powinienem był pana mocniej zachęcać, żeby dał mu pan sto czy więcej dolarów. Byłby pan bardzo

zadowolony z tej lokaty, proszę mi wierzyć.

– Ale ja już mu dałem część swoich pieniędzy – jęknął starzec.

– Dał mu pan? Mój drogi panie – schwycił tamten kutwę za obie ręce i potrząsnął nimi energicznie. – Drogi panie, serdecznie gratuluję. Nawet pan nie wie...

– Uch, uch! Obawiam się, że nie wiem – jęknął ponownie. – Nazywa się Truman, tak?

– John Truman.

– Gdzie mieszka?

– W St. Louis.

– Gdzie mieści się jego kantor?

– Chwileczkę. Na ulicy Jonesa, pod numerem sto... nie... nie... w każdym razie gdzieś na jakimś piętérku na ulicy Jonesa.

– Nie pamięta pan numeru? Niechże pan spróbuje sobie przypomnieć.

– Sto... dwieście... trzysta...

– Och, moich sto dolarów! Zastanawiam się, ile ich dostanę: sto, dwieście czy trzysta?! Uch, uch! Nie przypomina sobie pan tego numeru?

– Kiedyś pamiętałem, ale zapomniałem, zupełnie zapomniałem. To dziwne. Ale nie szkodzi. Bez trudu dowie się pan w St. Louis. Jego tam dobrze znają.

– Ale nie mam żadnego kwitu! Uch, uch! Niczego nie mogę okazać... nie wiem, na czym stoję... powinienem mieć jakiegoś opiekuna... uch, uch! Nic nie wiem. Uch, uch!

– No przecież pan wie, że obdarzył go pan swoim zaufaniem, nieprawdaż?

– O, tak.

– A zatem?

– Ale co, co... jak, jak... uch, uch!

– Jak to? Nie powiedział panu?

– Nie.

– Co? Nie powiedział panu, że to sekret, tajemnica?

– Ooo, tak.

– A zatem?

– Ale nie mam żadnego rewersu.

– Od pana Trumana nie potrzeba. Słowo pana Trumana jest jego rewersem.

– Ale w jaki sposób otrzymam swoje zyski? Uch, uch! Jak odzyskam swoje pieniądze? Nic nie wiem. Uch, uch!

– Och, musi pan mieć ufność.

– Nie wymawiaj pan więcej tego słowa. Kręci mi się od niego w głowie. Och, jestem taki stary i w tak opłakanym stanie, nikt się o mnie nie zatroszczy, każdy chce mnie tylko ze wszystkiego ograbić, a mnie się tak strasznie kręci w głowie. Uch, uch! I ten kaszel tak mnie męczy. Powtarzam, że powinienem mieć opiekuna.

– A powinien pan. I pan Truman jest pańskim opiekunem w tym stopniu, w jakim jest dysponentem pańskiej, ulokowanej u niego, gotówki. Szkoda, że nam uciekł przed chwilą sprzed nosa. Ale otrzyma pan od niego wiadomość. Wszystko będzie dobrze. To nierozsądne, tak tracić siły. Odprowadzę pana do koi.

Zmarkotniały stary kutwa ruszył powoli z zielarzem. Kiedy jednak znaleźli się na schodach, dostał takiego ataku kaszlu, że musiał się zatrzymać.

– Bardzo brzydki ten kaszel.

– Grobowy. Uch, uch! Grobowy kaszel. Uch!

– Próbował pan się leczyć?

– Mam dość próbowania. Nic mi nie pomaga. Uch, uch! Nawet Jaskinia Mamucia. Uch, uch! Siedziałem tam sześć miesięcy, ale tak okropnie kaszlałem, że inni, co też kaszleli – uch, uch! – załatwili mnie odmownie. Uch, uch! Nic mi nie pomaga.

– A czy próbował pan „Życiodajnego wszechbalsamu”?

– Radził mi tego spróbować ten Truman – uch, uch! – to lekarstwo na ziołach. To pan jest tym zielarzem?

– We własnej osobie. A może by pan od razu wypróbował jedno moje pudełeczko. Proszę mi wierzyć: z tego, co wiem o panu Trumanie, nigdy by nie polecał – nawet gdyby mógł na tym skorzystać jakiś jego znajomy – jakiegokolwiek leku, jeśli nie byłby dogłębnie przekonany, że to świetny środek.

– Uch! Ile?

– Zaledwie dwa dolary za pudełko.

– Dwa dolary? A czemu nie dwa miliony? Uch, uch! Dwa dolary to dwieście centów, czyli osiemset ćwierćpensówek, czyli dwa tysiące millów, a wszystko to za jedno pudełeczko jakiejś ziołowej maści. Och, moja głowa, moja głowa! Powinna mieć jakiegoś opiekuna. Uch, uch, uch!

– No cóż, jeśli dwa dolary za pudełko to za dużo, niech pan weźmie tuzin za dwadzieścia, co oznacza, że dostanie pan cztery pudełka za darmo, a potrzebne są panu tylko cztery, więc resztę będzie pan mógł odsprzedać z zyskiem. Nie tylko zatem wyleczy się pan z kaszlu, ale jeszcze zarobi na tym pieniądze. Niechże się pan długo nie zastanawia. Płatne gotówką. Wykonam zamówienie w ciągu kilku dni. Proszę – wydobył pudełko – oto czyste zioła.

W tejże chwili kutwą znowu wstrząsnął konwulsyjny kaszel. W przerwach łapczywie wpatrywał się na poły podejrzliwym, na poły pełnym nadziei wzrokiem w lekarstwo, ociągając się jednak z zapłatą. – Uch! Czy to aby na pewno środek naturalny? Wyłącznie zioła? Żebym to ja był przekonany, że to lek czysto naturalny – same zioła – uch, uch! – och, ten kaszel, ten kaszel – uch, uch! – wstrząsa mną całym. Uch, uch, uch!

– Na miłość boską, niechże pan wypróbuje moje lekarstwo, choćby jedno pudełko. Może być pan pewny, że to środek naturalny, bez żadnych domieszek. Proszę spytać pana Trumana.

– Nie znam jego adresu – uch, uch, uch, uch! Ach, co za kaszel! Choć rzeczywiście dobrze się o tym leku wyrażał. Zapewniał mnie, że to mnie wyleczy – uch, uch, uch, uch! Opuść pan dolara, to wezmę pudełko.

– Nie mogę, drogi panie, nie mogę.

– No to za półtora dolara. Uch!

– Nie mogę. Mam obowiązek trzymać się tylko jednej ceny, bo inaczej się nie godzi.

– Opuść choć szylinga – uch, uch!

– Nie mogę.

– Uch, uch, uch! Biorę. Trzymaj.

Niechętnie podał mu osiem srebrnych monet, ale nim jeszcze wypuścił je z dłoni, znów się rozkaszał i pieniądze rozsypały się po pokładzie.

Zielarz pozbiierał je co do jednej, przyjrzał się im i powiedział: – To nie są ćwiartki, to są pesety, na dodatek przycięte i nadtopione.

– Ach, nie bądźże takim potwornym – uch, uch! – sknerą, gorszym od największego skąpca – uch, uch, uch!

– No cóż, niech będzie. Wolę to niż myśl, że się nie wyleczysz z tego kaszlu. Mam nadzieję – przez wzgląd na zaufanie, jakie mam do ludzi – żeś się nie starał, aby ten twój kaszel wyglądał gorzej niż w rzeczywistości, chcąc w ten sposób wykorzystać tę moją słabość, że jestem litościwy, i dostać lekarstwo po niższej cenie. I pamiętaj, żeby nie zażywać go wcześniej jak wieczorem. Właściwą porą jest chwila tuż przed udaniem się na spoczynek. A teraz sam już sobie poradzisz, nieprawdaż? Dotrzymałbym ci jeszcze towarzystwa, ale zaraz schodzę na ląd i muszę rozejrzeć się za swoim bagażem.

ROZDZIAŁ XXI

Ciężki przypadek

– Zioła, zioła... natura, natura... Ty stary chytry głupcze! Wystrychnął cię na dudka tymi swoimi sztuczkami, no nie? Uważasz, że zioła i natura wyleczą cię z tego nieuleczalnego kaszlu?

Słowa te wypowiedział osobnik o dość ekscentrycznym wyglądzie – miał w twarzy coś niedźwiedziego – paradujący w kudłatym spencerze z materiału zwanego niedźwiedzią skórą i w spiczastej czapie z szopa, której długi puszysty ogon dyndał mu na plecach. Jego podbródek porastała szczęć, na nogach miał sztylpy z nie wyprawionej skóry, w rękę zaś trzymał dubeltówkę, słowem – kawaler znad Missouri, obywatel stanu Indiana, człek spędzający czas po spartańsku i spartańskiej fortuny, a także spartańskich manier i sentymentów. Jak się też dalej okaże, człowiek równie obeznany – na swą spartańską modłę – z filozofią i książkami, co ze sztuką łowiecką i ze strzelbami.

Najwidoczniej podsłuchiwał on część rozmowy kutwy i zielarza, gdyż – gdy tylko ten ostatni się oddalił – natarł na tego pierwszego, opartego u podnóża schodów o słupek balustrady, witając go przytoczonymi powyżej słowami.

– Czy uważam, że mnie to wyleczy? – powtórzył kaszląc kutwa. – A czemuż by nie? To lekarstwo z naturalnych ziół. Czyste zioła. Zioła na pewno mnie wyleczą.

– Bo uważasz, że jak coś jest, jak to nazywasz, naturalne, to musi być dobre. Ale skąd się wziął twój kaszel? Dostałeś go od natury: tak czy nie?

– Chyba nie myślisz, że natura, Jejmość Natura, może zaszkodzić ciąu?

– Natura to zacna królowa Bietka, ale kto jest odpowiedzialny za cholere?

– Ale zioła, zioła! Przecież zioła są dobre?!

– Co to jest wilcza jagoda? Czy to nie zioło?

– Och, żeby chrześcijanin mówił takie rzeczy o naturze i ziołach – uch, uch, uch! –

przecież chorych ludzi wysyła się na wieś, na łono natury, na trawę, chyba nie zaprzeczysz?

– Owszem, a poeci wysyłają zbolełe dusze na zielone pastwiska, tak jak chore konie wygania się rozkute na murawę, żeby im odrosły kopyta. Na swój sposób poeci to zielarze, co twierdzą, że na chore serca, tak samo jak na chore płuca, najlepszym lekarstwem jest natura. Ale kto zamroził na śmierć mojego woźnicę na prerii? I kto zrobił idiotę z Dzikiego Piotrusia?

– Czyli nie wierzysz w zielarzy?

– W zielarzy? Pamiętam jednego takiego mizerotę, com go spotkał w szpitalu w Mobile. Któryś z medyków

przechodził obok jego wyrka i kiedy zobaczył, kto w nim tam leży, powiedział z zawodowym triumfem w głosie: „A, doktor Green. Nic panu nie pomogą teraz pańskie ziółka, doktorze Green. Musiał pan przyjść do nas i pogodzić się z ręcą!” Na-tu-ra! Zio-oo-ła!

– Czy była mowa o zielarzach i ziołach? – przemówił głos cienki niczym głos piszczalki, zbliżając się do nich.

Był to nasz zielarz we własnej osobie. W rękę trzymał sakwojaż, widać przypadkiem zawędrował w tę stronę.

– Proszę wybaczyć – zwrócił się do Missouryjczyka – ale jeśli dobrze zrozumiał pańskie słowa, to chyba nie ma pan zbyt wielkiego zaufania do natury. Wydaje mi się, że posuwa się pan w swym niedowiarstwie zbyt daleko.

– A ciebie do jakiego gatunku mej wspaniałej rasy mam zaliczyć? – zapytał napastliwie Missouryjczyk, odwodząc zamek od swej strzelby z miną, która mogłaby przywieść na myśl zarazem cynika i dzikusa, gdyby nie groteskowa przesada, każąca powątpiewać w jej szczerłość.

– Do tego, który pokłada ufność w naturze i człowieku, zarazem zaś, nie popadając w zbytnią przesadę, darzy zaufaniem sam siebie.

– To pewno twoje wyznanie wiary? Zaufanie do ludzi, hę? Powiedz no mi, jak myślisz, kogo jest więcej: łotrów czy głupców?

– Ponieważ nie zetknąłem się ani z jednymi, ani z drugimi, co najwyżej z kilkoma, nie mogę chyba ci odpowiedzieć.

– Odpowiem za ciebie. Więcej jest głupców.

– Czemu pan tak sądzi?

– Z tej samej przyczyny, dla której uważam, że owies przewyższa liczebnością konie. Czyż łajdacy nie chrupią głupców, tak jak konie owsa?

– Żartowniś z pana, żartowniś. Ale ja mam poczucie humoru – ha, ha, ha!

– Tylko że ja mówię poważnie.

– Przecież to żarty, żeby wygłaszać takie błazeństwa z poważną miną. Łajdacy chrupiący głupców jak konie owies! Na Boga, toć to istne żarty, ha, ha, ha! Tak, chyba pana już rozumiem. Jaki ze mnie głupiec, że wziąłem poważnie pańskie facecje o braku wszelkiego zaufania do natury. Naprawdę to ufasz pan naturze tak samo jak ja.

– *Ja* ufam naturze? *Ja*? Powtarzam, że nic nie jest dla mnie równie podejrzanym jak natura. Kiedyś straciłem przez nią dziesięć tysięcy dolarów. Akurat tyle przywłaszczyła sobie ode mnie. Plantację nad tą rzeczką sprzątnęło z kretesem jedno z tych nagłych

przesunąć koryta, które towarzyszą nagłemu przyborowi wody. Namuł wart dziesięć tysięcy dolarów spłynął razem z prądem.

– Czy jednak brak panu wiary w to, że przesunięcie koryta rzeki w przeciwnym kierunku przywróci panu tę ziemię po dłuższym czasie? A, to mój czcigodny przyjaciel – powiedział, zauważywszy starego kutwę. – Pan jeszcze nie w koi? Błagam, jeśli koniecznie chce się pan poruszać, proszę nie opierać się o tę poręcz, tylko wziąć mnie pod rękę.

Kutwa tak też i uczynił, i oto stali obaj – starzec wsparty o zielarza – z miną wyrażającą ufne poczucie braterstwa, z jakim słabszy z syjamskich bliźniaków zwykł się, stojąc, opierać o drugiego.

Missouryjczyk przyglądał się im w milczeniu, które przerwał zielarz.

– Wygląda pan na zaskoczonego. Czy dlatego, że się na oczach wszystkich zaopiekowałem kimś takim jak ten człowiek? Lecz ja nigdy nie wstydzę się uczciwości, bez względu na jej kostium.

– Słuchaj no ty – powiedział Missouryjczyk, przyjrząwszy się badawczo zielarzowi. – Dziwny z siebie typ. Nie bardzo wiem, co o tobie sądzić. Choć w sumie przypominasz mi trochę ostatniego chłopaka, jakiego miałem u siebie.

– Ufam, że był to dobry, godny zaufania chłopiec.

– A jakże! Właśnie załatwiam sobie maszynę, która wykonywałaby tę pracę, do jakiej przeznaczeni są młodzicy.

– A zatem założył pan weto przeciwko młodzikom?

– Przeciwno dorosłym posługaczom również.

– Ależ drogi panie, czy to znów nie świadczy, że brak panu w mniejszym lub większym stopniu ufności? (Wyprostuj się odrobinę, tylko odrobinę, mój zacny przyjacielu, bo napierasz na mnie zbyt mocno). A zatem nie ufasz pan młodzikom, mężczyznom, naturze. Może mi więc z łaski swojej powiesz, komu lub czemu gotów jesteś ufać?

– Ufam nieufności, zwłaszcza wobec ciebie i twoich ziółek.

– No cóż – uśmiechnął się wyrozumiale zielarz – szczerze powiedziane. Ale proszę nie zapominać, że nie dowierzając moim ziółkom, nie dowierzasz pan samej naturze.

– Czyż nie to powiedziałem wcześniej?

– Owszem. W imię wymiany poglądów zakładam, że mówisz pan poważnie. A czy pan, który podejrzewasz naturę, możesz zaprzeczyć, że to właśnie natura nie tylko że powołała pana do istnienia, lecz także roztoczyła nad panem troskliwą opiekę, póki nie nabrał pan takiego wigoru i stał się człowiekiem samodzielnym? Czyż to nie naturze jest pan winien wdzięczność za tę krzepkość ducha i umysłu, z której czynisz pan tak niegodny użytek ku jej zgorszeniu? A czy to nie naturze zawdzięcza pan choćby i oczy, które wykorzystujesz, żeby ją krytykować?

– Nie! Dobrodziejstwo wzroku zawdzięczam pewnemu okuliście, który zoperował mnie w Filadelfii, gdy miałem dziesięć lat. Natura uczyniła mnie ślepy i takim zostawiła mnie własnemu losowi. To mój okulista ją przechytrył.

– Jednakowoż, szanowny panie, sądząc po cerze, wiesz pan żywot na wolnym powietrzu. Oznacza to, że nie wiedząc o tym, żywisz do natury sentyment, uciekasz na łono matki wszechrzeczy.

– Matki jakże macierzyńskiej! Panie, bywa, że kiedy natura dostaje napadów szału, ptaki uciekają przed nią do mnie, choć wyglądam na takiego grubianina. Tak jest, drogi panie! W czasie burzy tu jest schronienie – grzmotnął w fałdy swej niedźwiedziej skóry. – Otóż to, otóż to! Ejże, panie Gadulski, a czy wbrew temu całemu gadaniu nigdyś pan sam nie zatrzasnął drzwi przed naturą w zimną deszczową noc? Nie spuściłeś pan przed nią kraty? Nie odgrodziłeś się ryglami?

– O tym – odrzekł spokojnie zielarz – wiele by mówić.

– No to mów pan – nastroszył się Missourijczyk. – Ale nie umiesz, nie umiesz.

Następnie zaś wygłosił coś w rodzaju apostrofy:

– Słuchaj, naturo! Nie przeczę, że twoja koniczyna słodko pachnie, a twoje mleczko nie wydają wrzasków, ale czyżże to grad grzmocił mi po oknach?

– Panie – odrzekł zielarz, wciąż tak samo uprzejmie, i wydobył jedno ze swych pudełek. – Boli mnie, że spotykam kogoś, kto przypisuje naturze cechy istoty niebezpiecznej. Choć w obejściu jesteś pan gładki, głos masz chropowaty, słowem: boli pana gardło. W imieniu obrzuconej wyzwiskami natury ofiarowuję panu to oto pudełko. Mój czcigodny przyjaciel posiada podobne, ale panu daję je darmo. Działając poprzez pełnomocnych pośredników, do których akurat się zaliczam, Natura znajduje upodobanie w zlewaniu dobrodziejstw właśnie na tych, którzy ją najbardziej obrażają. Proszę, to dla pana.

– Precz! Nie zbliżaj się z tym do mnie! Założę się, że w środku jest bomba. Takie rzeczy się zdarzały. W ten sposób zabito niejednego wydawcę gazet. Mówię ci: odsuń się ode mnie!

– Na Boga! Drogi panie...

– Mówię ci, że nie potrzebuję twoich pudełek – Missourijczyk porwał za strzelbę.

– Och, weź pan – uch, uch! – weź pan to pudełko – wtrącił się do rozmowy stary kutwa. – Ja bym chciał, żeby mi dał jedno za darmo.

– Doskwiera ci osamotnienie, he? – Missourijczyk zwrócił się szybko w jego stronę. – Wystrychnęli cię na dudka i chciałbyś mieć teraz towarzysza, co?

– Jakże mógłby się czuć osamotniony – odparł zielarz – i na co mu potrzebny towarzysz, gdy ja tu stoję obok niego. Choć nic nie znaczę, obdarzył mnie zaufaniem. Co do wystrychnięcia na dudka, to proszę mi powiedzieć, czy to się godzi, żeby zwracać się w ten sposób do tego biednego, starca? Przyjmując, że moje lekarstwo na nic mu się nie zda – czyż jest rzeczą szlachetną pozbawiać go tego co – choćby tylko w jego wyobraźni – może mu pomóc w walce przy wsparciu nadziei, z chorobą? Bo pan, choć brak panu ufności, może – dzięki wrodzonemu zdrowiu – obejść się bez niej, przynajmniej gdy chodzi o wiarę w moje lekarstwo, jakie to jednak okrutne, żeby sięgać po taki argument wobec tego oto cierpiącego człowieka. Przecież to doprawdy tak, jak gdyby jakiś krzepki pięściarz, rozgrzany mimo grudniowego mrozu, wpadł do szpitala i zdeptał płonący tam ogień, bo skoro on zaiste nie odczuwa potrzeby sztucznego ciepła, to i dygocący z zimna pacjenci nie będą jej odczuwali. Zważ to w swym sumieniu, szanowny panie, a przyznasz, że bez względu na charakter nadziei, jaką żywi ten oto dotknięty chorobą człowiek, sprzeciwiając się jej dajesz dowody, że szwankuje ci głowa albo serce. Ejże, mój drogi, czyż pan nie masz litości?

– Owszem, biedaku – rzekł Missourijczyk, przyglądając się ponuro starcowi – owszem, ktoś taki jak ja musi nie mieć litości, żeby mówić całkiem szczerze do kogoś

takiego jak ty. Zasiedziałeś się do późna w tym życiu, ludzie o tej porze są już zwykle w łóżku, prawda zaś – choć na niektórych działa jak pożywne śniadanie – okazuje się dla wszystkich zbyt sutą kolacją. Obfity posiłek spożyty późną porą wywołuje senne koszmary.

– Na miłość boską! O czym – uch, uch! – on mówi? – spytał stary kutwa, kierując wzrok na zielarza.

– Niech będą za to pochwalone niebiosy! – wykrzyknął Missourijczyk.

– On ma chyba źle w głowie? – odezwał się ponownie stary kutwa.

– Za pozwoleniem, szanowny panie – powiedział zielarz do Missourijczyka. – Za co pan przed chwilą składał dzięki?

– A za to, że z niektórymi prawda nie obchodzi się w końcu zbyt okrutnie, bo widzę, że czasami tak jak nabity pistolet znaleziony przez biednych dzikusów wzbudza raczej zdumienie niż trwogę, a jego szczególna właściwość nie zostaje odgadnięta, chyba że za sprawą nieroztropnego przy nim majstrowania nastąpi samoczynny wystrzał.

– Wolę udawać, że się nie domyślam, o co panu chodzi – rzekł zielarz po przerwie, podczas której wpatrywał się w Missourijczyka ze ściągniętą twarzą, wyrażającą ból pomieszany z ciekawością, jak gdyby ubolewał nad stanem jego ducha, a jednocześnie zastanawiał się, co go do tego stanu doprowadziło – ale wiem tyle – dodał – że pańskie myśli są, mówiąc najłagodniej, z gatunku tych nieszczęsnych. Jest w nich siła, ale taka, której źródło musi wyschnąć, bo jest to źródło cielesnej natury. Pan się jeszcze pokaja.

– Pokaja?

– Tak. Pokaja się pan wówczas, kiedy – tak jak stało się to z tym oto starcem – nadejdzie złowroga pora pańskiego uwiadu. Sędziwy jeniec we własnym pokoju – będzie pan wtedy, podobnie jak ów Italczyk, o którym czytamy, szukał oparcia w ufności zrodzonej w czasach pańskiej wrażliwej młodości. Byłoby to nie zasłużonym błogosławieństwem, gdyby wróciła do pana na starość.

– Z powrotem w objęciach Mańki, he? Istne drugie dzieciństwo. Mięczak z pana.

– Litości, litości! – wykrzyknął stary kutwa. – Co to wszystko znaczy? Uch, uch! Mówcie do rzeczy, moi dobrzy ludzie. A więc pan nie zamierzasz – zwrócił się do Missourijczyka – kupić tego leku?

– Błagam, zacny przyjacielu – rzekł zielarz, próbując się wyprostować – nie napieraj na mnie aż tak mocno. Ramię mi drętwieje, rozluźnij uścisk choćby odrobinę.

– Idźże – powiedział Missourijczyk – idźże się położyć do grobu, jeśli nie możesz ustać o własnych siłach. Na tym świecie ciężko takiemu, co się musi wspierać o innych.

– Do grobu – rzekł zielarz – to mu jeszcze dość daleko, wystarczy, żeby skorzystał z mojego lekarstwa.

– Uch, uch, uch! Prawdę mówi. Nie, ja jeszcze nie zamierzam, uch! umierać, uch! uch! uch! Wiele lat życia jeszcze przede mną, uch, uch, uch!

– Pochwalam twoją ufność – rzekł zielarz – ale martwi mnie twój kaszel, nie mówiąc o tym, że tobie on szkodzi. Pozwól, że cię odprowadzę do koi. Tam ci będzie najlepiej. Nasz przyjaciel na pewno zaczeka tu do mego powrotu.

Odprowadziwszy starego kutwę, wrócił i podjął rozmowę z Missourijczykiem.

– Panie – rzekł zielarz z niejakim dostojeństwem i większą dozą uczucia – teraz gdy odszedł nasz zdjęty niemocą przyjaciel, niech mi będzie wolno w pełni wyrazić

ubolewanie z powodu słów, którym pozwoliłeś się wymknąć z twych ust w jego obecności. Niektóre z nich obliczone były, jeśli się nie mylę, nie tylko na obudzenie u pacjenta pożałowania godnej nieufności, lecz zdaje się, że miały z nich także wynikać niemiłe wnioski godzące we mnie, jego lekarza.

– A jeśli tak...? – odrzekł tamten z groźną miną.

– No cóż, wówczas... wówczas istotnie – zielarz cofnął się z respektem – musiałbym się cofnąć do mego wcześniejszego mniemania o pańskim krotochwilnym charakterze. Mam oto szczęście przebywać w towarzystwie żartownisia i kawalarza.

– Lepiej się więc cofnij. Co do kawałów – wykrzyknął Missourijczyk podchodząc bliżej i wymachując szopią kitą tuż przed nosem zielarza – to patrzajże!

– Na co?

– Na tego szopa. Potrafisz go złapać, szczwany lisie?

– Jeśli chodzi panu o to – odparł zielarz nie bez irytacji – czy chlubię się tym, że potrafię pana w jakikolwiek sposób oszukać, na coś naciągnąć lub przekonać, że jestem kimś, kim wcale nie jestem – to będąc człowiekiem uczciwym odpowiem panu, że ani nie mam zamiaru, ani nie leży w mojej mocy, by uczynić cokolwiek takiego.

– Uczciwym człowiekiem? Chyba raczej tchórzem, sądząc z tego, co mówisz.

– Daremnie szuka pan ze mną zwady i na próżno usiłuje mnie obrazić. Moja niewinność mnie uleczy.

– Uleczy tak samo jak twoje lekarstwo na wszystko. Ale dziwny człowiek z ciebie – bardzo dziwny i bardzo podejrzany, chyba najbardziej ze wszystkich ludzi, jakich spotkałem w życiu.

Badawcze spojrzenie towarzyszące tym słowom musiało wydać się niemiłym nieśmiałemu zielarzowi. Jak gdyby pragnąc sprawdzić, czy nie oznacza ono nienawiści, zarazem zaś zmienić temat, przybrał on więc minę wyrażającą zażyłą serdeczność i zagadnął:

– A zatem zamierza pan zamówić sobie jakąś maszynę zastępującą ludzi w pracy? Nie mylę się chyba, że to filantropijne skrupuły nie pozwalają panu wybrać się do Nowego Orleanu po niewolników?

– Po niewolników? – Missourijczyk sposepniał w mgnieniu oka. – Mnie ich nie potrzeba! Wystarczy mi widok białych, którzy płaszczą się i szczerzą zęby dla byle korzyści. Po co mi jeszcze czarni biedacy bijący pokłony, żeby dostać garść kukurydzy. Choć wedle mnie oni są bardziej wolni od tamtych. Pan jest abolicjonistą, nieprawdaż? – dodał wspierając się obu rękoma na strzelbie, jakby była laską, i wpatrywał się w twarz zielarza z nie większym szacunkiem niż w tarczę strzelecką. – Pan jesteś abolicjonistą, no nie?

– Na to pytanie nie mogę od razu odpowiedzieć. Jeśli przez ten wyraz rozumie pan zagorzałca, to nim nie jestem. A jeśli ma pan na myśli człowieka, który dlatego, że jest człowiekiem, współczuje wszystkim ludziom, z niewolnikami włącznie, i który na wszelkie zgodne z prawem sposoby, nie naruszając niczyich interesów, a przeto nie wzbudzając niczyjej wrogości, pragnie ochoczo usunąć cierpienie spośród rodzaju ludzkiego, bez względu na kolor skóry – przy założeniu, że cierpienie w pewnym stopniu istnieje – wówczas powiedziałbym, że jestem, kim pan mówisz.

– Wytrawny to i roztropny sposób myślenia. Jesteś pan człowiekiem umiarkowanym w poglądach, czyli miernotą oddającą nieocenione usługi nikczemnikom. Takich jak ty

umiarkowańców można wykorzystać do złych celów, ale dla dobrych jesteś bezużyteczny.

– Z tego wszystkiego – odrzekł zielarz, ciągle z wyrozumiałością w głosie – wnioskuje, że pan, Missouryjczyk mieszkający w stanie, gdzie istnieje niewolnictwo, nie ma mimo to zdania w tej sprawie?

– Jużci. Ale pan za to ma zdanie. Czyż ta pańska mina, z jaką tak bezdusznie znosisz wszystko i wszystkiemu ulegasz, nie jest właśnie miną niewolnika? Powiedz no mi, kto jest twoim właścicielem, a może jesteś własnością jakiejś spółki?

– *Moim* właścicielem?

– Ano, bo przybywając z Maine lub Georgii, przybywasz ze stanu, gdzie jest niewolnictwo i gdzie są targi niewolników, na których można kupić najlepsze okazy za każdą cenę, od zarobku ledwie wystarczającego na życie do pensji pana prezydenta. Czymże, bogowie, jest abolicjonizm, jeśli nie wyrazem wspólnoty uczuć łączącej niewolników?

– Z tych leśnych ostępów wychynął pan z dość dziwacznymi poglądami – tym razem z uprzejmą wyższością uśmiechnął się zielarz, który z nieustraszonym męstwem znosił nadal grubiańskie przytyki – ale wracając do rzeczy: skoro nie odpowiadają panu ani młodzicy, ani mężczyźni, wolni bądź też poddani, zaiste jedynym, co pozostaje, jest jakaś maszyna. Moje pragnienie, żeby się panu powiodło, będzie panu towarzyszyło. A! – rzucił okiem w stronę brzegu. – Oto i Cape Girardeau. Muszę pana pożegnać.

ROZDZIAŁ XXII

W duchu uprzejmych dysput tuskulańskich

– „Filozoficzne Biuro Pośrednictwa”: to coś nowego! Ale skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym potrzebować czegoś z twojej bzdurnej branży?

Jakichś dwadzieścia minut po odpłynięciu z Cape Girardeau Missouryjczyk wyburczał przez ramię powyższe słowa do przygodnego nieznanego, który był go zagadnął. Był to człek przygarbiony, z kolanami wykrzywionymi niczym u piekarza, odziany w liche ubranie za pięć dolarów i noszący na szyi łańcuch z mosiężną tabliczką, na której wyryte były litery F.B.P. Człowiek ten, z błagalną jakby u psa miną, skradał się ukosem za Missouryjczykiem.

– Ale skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym potrzebować czegoś z twojej bzdurnej branży?

– Och, czcigodny panie – zaskomlał tamten i kuląc się podszedł o krok bliżej. Płaszczył się tak bardzo, że wydawało się, iż wymachuje wyświechtanymi połami swej kapoty jak ogonem. – Och, wielmożny panie, długa praktyka pozwala mi na pierwszy rzut oka odgadnąć dżentelmena, który potrzebuje naszych skromnych usług.

– Nawet gdybyśmy przypuścili, że potrzebuję młodzika, jak to żartobliwie mówią, „porządnego chłopca” do roboty, w jakiż to sposób mogłoby mi w tym pomóc twoje bzdurne biuro? Filozoficzne Biuro Pośrednictwa?

– Tak, wielmożny panie: biuro oparte na ściśle filozoficznych i fizjo...

– Słuchaj no, ty – chodźże tutaj – w jakież to sposób filozofia czy też fizjologia wykonuje na zlecenie porządnych parobków? Chodź tu bliżej, bo dostanę kurczu szyi. Chodź tu, asan, no chodźże – zawołał niby na swego psa myśliwskiego. – Powiedz mi, jak włożyć w młodzika doborowy zestaw zalet, niczym bakalie do ciasta?

– Czcigodny panie, nasze biuro...

– Dużo rozprawiasz o swoim biurze. Gdzież ono? Tu, na pokładzie tego statku?

– O, nie, proszę pana, dopiero wszedłem na pokład. Nasze biuro...

– Wszedłeś na pokład na ostatnim postoju, he? Powiedz no mi, czy nie znasz tam pewnego zielarza? Przymilnego nicponia w tabaczkowym surducie?

– Ach, proszę pana, bawiłem w Cape Girardeau tylko przelotem. Ale skoro wspomniał pan o tabaczkowym surducie, to chyba spotkałem człowieka, o którym pan mówi. Akurat schodził na ląd, kiedy ja wchodziłem na pokład. Wydaje mi się, że już go kiedyś gdzieś widziałem.

Rzekłbym, że sprawiał wrażenie bardzo łagodnego chrześcijanina. A szanowny pan go zna?

– Tylko trochę, ale lepiej, niżby się wydawało. Lecz mów pan dalej.

Ukloniwszy się nisko i niezgrabnie, jakby w podzięcie za pozwolenie, ówże zaczął: – Nasze biuro...

– Słuchaj no ty – przerwał mu gniewnie nasz kawaler – czy ci dolega kręgosłup? Czemuż tak się wciąż kulisz i płaszczysz? Stój spokojnie. Gdzież to twoje biuro?

– Oddział, którego jestem przedstawicielem, mieści się w Alton, w tym właśnie wolnym stanie, przez który obecnie płynie – człowiek z mosięzną tabliczką z niejaką dumą wskazał na brzeg.

– Wolnym, co? Pochlebiasz sobie, żeś wolny obywatel? Z takimi połami u kapoty i niewolniczą chorobą kręgosłupa? Wolny? Zajrzyj no lepiej do zakamarków duszy: kto jest twoim panem?

– Och, och, och! Doprawdy, doprawdy nie pojmuję. Wszelako, szanowny panie, jak już powiedziałem, biuro nasze, powołane w oparciu o całkiem nowe zasady...

– Do diabła z twoimi zasadami! Zły to znak, kiedy człowiek zaczyna głądzić o swoich zasadach. Hola! Wracaj waść! Wracaj na miejsce! Wróć! Wracajże! Powiadam ci: mnie już nie potrzeba młodzików. O, nie jestem Medem ani Persem. U mnie w domu, w moich starych lasach wiewiórki, łasice, skunksy i wiewiórki ziemne wystarczająco zatruwają mi życie. Nie życzę sobie, żeby mi szarpało nerwy i trwoniło majątek jeszcze jakieś inne dzikie tałatajstwo. Przestań gadać o młodzikach! Starczy już tych twoich młodzików. Niech ich zaraza! Niech ich spuchlizna! A co do biur pośrednictwa – mieszkałem na Wschodzie i znam tych jegomościów. To złodziejski interes, który prowadzą cyniczni oszuści gminnego pochodzenia. Przybierają przymilną maskę, żeby bez najmniejszych skrpułów wyżywać się na ludziach. Pan jesteś pięknym okazem tego gatunku!

– Boże, Boże, Boże! Drogi panie!

– Drogi? Tak, kupno któregoś z twoich młodzików po trzykroć drogo by mnie kosztowało. Niechaj zgniją!

– Skoro nie życzy pan sobie młodzików, to może zagodzimy panu mężczyzn?

– Zagodzimy? Ani chybi moglibyście zagodzić mi też serdecznego przyjaciela. Grzecznie powiedziane: „zagodzimy”. Są teraz te noty zagodzeniowe, na których

podstawie udzielają ci pożyczki, a jeśli nie spłacisz długu odpowiednio szybko, to ci zagadną kajdany na nogi. Zagodzimy! Uchowaj Boże! Już ja wolę, żeby mi nikt niczego nie zagadzał! O, nie. Niech pan słucha: jak już powiedziałem temu pańskiemu kuzynowi, zielarzowi, wybrałem się w podróż, żeby załatwić dla siebie maszynę, która będzie dla mnie pracowała. Maszynę do mojego użytku. Moja prasa do wyciskania jabłecznika: czyż kiedykolwiek ukradnie mi choć odrobinę jabłecznika? Moja kosiarka: czyż kiedykolwiek wyleguje się rankiem w łóżku? Moja łuskarka kukurydzy: czyż kiedykolwiek jest wobec mnie bezczelna? Nie: prasa do jabłek, kosiarka, łuskarka kukurydzy – wszystkie te urządzenia wiernie spełniają swoje obowiązki. I to bezinteresownie, nie za wikt i wynagrodzenie. Przez całe życie czynią dobro. Są wspaniałym przykładem tego, że cnota sama sobie jest nagrodą. To jedyni praktykujący chrześcijaństwo, jakich znam.

– O Boże, Boże, Boże!

– Tak, proszę pana. Młodzicy? Niech mnie kule biją! Jakaż różnica – z moralnego punktu widzenia – między łuskarka kukurydzy a młodzikiem?! Łuskarka kukurydzy – za to, że cierpliwie nie ustaje w czynieniu dobra – mogłaby całkiem słusznie pójść do nieba. Sądzi pan, że młodzik tak samo?

– Łuskarka kukurydzy w niebie! – Człowiek z mosiężną tabliczką błysnął białkami. – Szanowny panie, mówi pan, jak gdyby niebo było jakimś muzeum waszyngtońskiego urzędu patentowego, och, och, och!, i jak gdyby tylko maszyny i marionetki zasługiwały na pójście do nieba! Och, och, och! Rzeczy niezdolne do samoistnego działania miałyby otrzymać wieki nagrodę za czynienie dobra – och, och, och!

– Bójże się Boga, ty chudzielcze! Czego lamentujesz? Czym powiedział cokolwiek złego? Coś mi się zdaje, że choć tak tu pięknie gadasz, bardzo wrażliwy na przymówki. A może szukasz ze mną zwady w dysputacji?

– Może tak, a może nie, szanowny panie – brzmiała odpowiedź wygłoszona poważnym tonem – lecz jeśli tak, to tylko dlatego, że tak jak żołnierz przez wzgląd na honor skory jest do obrazy, tak samo i chrześcijanin przez wzgląd na pobożność jest skory – niekiedy może zanadto – do tropienia herezji.

– No cóż – rzekł Missouryjczyk, otrząsnąwszy się po chwili ze zdumienia – byłaby z was niesamowita para: powinniście chodzić z zielarzem w jednym jarzmie.

Co powiedziawszy, kawaler przyglądał mu się dość srogim wzrokiem, lecz człowiek z mosiężną tabliczką skłonił go do podjęcia rozmowy, nadmieniając – nie bez pochlebstwa w głosie – że z najwyższym zaciekawieniem oczekuje, co też usłyszy jeszcze odeń o służących.

– Jeśli o to chodzi – wykrzyknął porywczy kawaler, wybuchnąwszy na tę wzmiankę jak raca – to wszyscy myślący ludzie dochodzą dziś do wniosku, wynikającego z ogromnego dziedzictwa doświadczeń – zważ pan, co mówią Horacy i inni starożytni o służących – dochodzą mianowicie do wniosku, że obojętne: młodzik czy mężczyzna, ludzkie zwierzę jest, gdy chodzi o przydatność do pracy, zwierzęciem przynoszącym straty. Nie można mu wierzyć. Mniej jest godne zaufania niż wół, pod względem zaś sumienności przewyższa je byle pies obracający rożen. Stąd tysiące owych nowych wynalazków: gręplarki, maszyny do podkuwania koni, maszyny do przebijania tunelów, żniwiarki, maszyny do obierania jabłek, maszyny do czyszczenia butów, maszyny do szycia, maszynki do golenia, maszyny do załatwiania sprawunków, windy ręczne i Bóg wie jakie jeszcze maszyny. Są one zwiastunem nowej ery, w której owo ułomne zwierzę, człowiek pracujący lub wykonujący posługi, zostanie pogrzebany jako rzecz miniona, wyrugowana jako przeżytek. A nim

jeszcze nadejdą te wspaniałe czasy, ani chybi naznaczą cenę za skórę tych ludzi jak za niktzemnych oszustów, a już zwłaszcza za skórę młodzików! Tak, drogi panie – stuknął strzelbą o pokład – cieszę się na myśl, że niedaleki jest dzień, kiedy z poduszczenia prawa wezmę na ramię tę oto flintę i pójdę na odstrzał młodzików.

– Boże, Boże! Co też pan mówi!... Lecz *nasze* biuro, proszę wielmożnego pana, prowadzone, jak ośmieliłem się zauważyć...

– Nie, asan – przerwał nasz kawaler, pocierając szczecina o szopie skóry – nie podlizuj mi się, zielarz też tego próbował. Z mojego doświadczenia – a mam już za sobą trzydziestu pięciu młodzików, było to gorsze niż kuracja przez ślinienie – wynika, że przyrodzonym stanem wieku chłopięcego jest łajdactwo!

– Broń nas Panie Boże!

– Tak, proszę pana. Nazywam się Smoła i lgnę do tego, co mówię. Przemawia przeze mnie piętnastoletnie doświadczenie: trzydziestu pięciu chłopców, Amerykanów, Irlandczyków, Anglików, Niemców, Afrykanów i Mulatów, nie mówiąc już o owym Chińczyku, którego przysłał mi z Kalifornii ktoś, kto dobrze znał moje kłopoty, a także o tym hinduskim majtku z Bombaju. Bandyta! Przyłapałem go, jak wysysał zarodki z moich wiosennych jajek. Wszystko to łotry, proszę pana, obojętne – z Kaukazu czy z Mongolii. Zdumiewająca ta nieskończona rozmaitość łajdactwa tkwiącego w naturze młodzików. Pamiętam, jak odprawiwszy po kolei dwudziestu dziewięciu chłopaków – a każdy z nich przedstawiał sobą jakiś nie dający się zgoła przewidzieć gatunek ludzkiej deprawacji, właściwy tylko jednemu z nich – pamiętam, jak powiedziałem do siebie: „Teraz to już na pewno dobrnąłem do końca listy, wyczerpałem ją całkowicie. Muszę tylko sprowadzić sobie chłopca, jakiegokolwiek, byleby różnił się od tych dwudziestu dziewięciu jego poprzedników. Nie wątpię, że to będzie ten właśnie wartościowy chłopak, którego od tak dawna poszukuję”. I – jak mi Bóg miły! – tego trzydziestego z rzędu chłopca kazałem sobie, nawiasem mówiąc, przysłać komisarzowi do spraw emigrantów aż z Nowego Jorku, bom już całkiem zaniechał usług waszych biur pośrednictwa. Słowem, mieli mi go wybrać z wielką starannością na moje osobiste żądanie spośród stałej armii ośmiuset młodzików, stanowiących kwiat wszystkich narodów, bo tak mi napisali, a przebywających czasowo w barakach na wyspie na East River. Muszę powiedzieć, że ten trzydziesty chłopak miał powierzchowność nie pozbawioną wdzięku. Jego zmarła matka była pokojówką czy czymś takim, manierami zaś przypominał – rozumie się, na plebejską modłę – samego Chesterfielda. Był też bardzo bystry: lotny jak błyskawica. Taki uprzejmy: „Słucham, wielmożny panie. Tak jest, wielmożny panie”. Ciągłe się kłaniał i powtarzał w kółko: „Słucham, wielmożny panie”. W najbardziej osobliwy sposób łączył także synowskie przywiązanie z respektem sługi, tak żywo i serdecznie interesował się moimi sprawami. Pewno chciał, bym uważał go za członka rodziny, za przybranego syna. Rankiem, gdym szedł do stajni, z dziecinną dobrocią serca dla popisu puszczał kłusem mego konika: „Proszę pana, on chyba robi się coraz grubszy”. Ja no to: „Ale zdaje się, że nie jest zbyt czysty”, bo nie chciałem okazywać jawnego grubiaństwa tak przywiązanemu chłopakowi. „I chyba ma na zadzie małe wklęsnięcie, prawda? A może nie, może dziś gorzej widzę na oczy”. A on: „Och, proszę pana, to właśnie chyba w tym miejscu tak mu przybyło ciała”. Uprzejmy łotr! Wkrótce się przekonałem, że nigdy nie dawał temu biednemu kucowi owsa na noc i nigdy mu nie podścielał słomy. Takie zajęcia były dobre dla służby, ale nie dla niego. Nie było końca tym jego umyślnym zaniedbaniom. Ale im bardziej kpił sobie ze służby u mnie, tym się robił grzeczniejszy.

– Och, drogi panie, w jakiś sposób omylił się pan co do niego.

– Ani odrobineę. Zresztą, proszę pana, był to chłopiec, który pod powierzchownością Chesterfielda ukrywał wyjątkowe skłonności niszczycielskie. Pociął końską derkę na paski, żeby sobie zrobić skórzane uchwyty do kufra. Stanowczo temu zaprzeczył. Po jego odejściu znalazłem pod jego materacem skrawki. Chytrus ułamał także trzonek u motyki, żeby wykręcić się od gracowania. A potem z takim wdziękiem wyraził skruchę z powodu nadmiaru sił do pracy. Zaofiarował się, że wszystko naprawi, udając się w miłą podróż do najdalej położonej osady – wzdłuż całej drogi rosły pięknie kwitnące wiśnie – miał jakoś całą rzecz załatać. Bardzo grzecznie kradł moje gruszki, zbywające pensy, szylingi, dolary i orzechy, w tym był istną wiewiórką. Ale nie mogłem niczego udowodnić. Dałem przy nim wyraz swoim podejrzeniom. Mówię mu całkiem spokojnie: „Trochę mniej grzeczności, a więcej uczciwości bardziej by mi odpowiadało”. Wpadł w gniew. Zagroził, że mnie poda do sądu o oszczerstwo. Nie będę mówił, co wyczyniał potem, w Ohio, gdzie go przyłapali, jak z wdziękiem układał kłodę w poprzek torów kolei żelaznej, a to dlatego, że palacz parowozowy nazwał go łobuzem, którym był rzeczywiście. Dość jednak: grzeczni czy bezczelni, biali czy czarni, zwawi czy leniwi, z Kaukazu czy z Mongolii – wszyscy chłopcy to łotry.

– Wstrząsające, wstrząsające! – zwijany nerwowo koniec wystrzępionego fularu ginał z oczu. – Szanowny pan z pewnością cierpi na omamy. Proszę pozwolić, że zapytam raz jeszcze, czemuż to nie żywi pan najmniejszego, jak się zdaje, zaufania do chłopców. Przyznaję, że istotnie młodzieńcy, a w każdym razie niektórzy z nich, zbyt łatwo ulegają takiej czy innej słabostce. Cóż jednak powie pan na to, że przecież na mocy przyrodzonego prawa wyrastają z tego na koniec, i to raz na zawsze?

Do tej pory człowiek z mosięzną tabliczką dawał upust swym uczuciom głównie w formie skamlania i postękiwań wyrażających płacziwy sprzeciw, teraz zaś zdawał się nabierać odwagi do mniej bojaźliwej utarczki. Wszelako pierwsza próba musiała wypaść niezbyt zachęcająco, gdyż rozmowa potoczyła się dalej w następujący sposób:

– Chłopcy wyrastają z tego, co w nich jest spaczone? Żli chłopcy wyrastają na porządnych mężczyzn? Drogi panie, „pacholę jest ojcem dojrzałego męża”, stąd, ponieważ wszyscy chłopcy to dranie, tak samo i wszyscy mężczyźni to dranie. Zaraz, zaraz, przecież pan musi to wiedzieć lepiej ode mnie, bo czyż nie prowadzi pan biura pośrednictwa, czyli wykonuje zawód, który musi dostarczać szczególnej sposobności prowadzenia studiów nad rodzajem ludzkim. Proszę, niech pan tu podejdzie, niech pan wyzna, że przecież te sprawy są panu doskonale znane. Nie wie pan, że zarówno wszyscy mężczyźni, jak i chłopcy to dranie?

– Proszę pana – odrzekł człowiek z mosięzną tabliczką, który mimo doznanych niedawno wstrząsów nabrał jakby pewnej śmiałości, i to bez trudu dostrzegalnej – Bogu dzięki daleki jestem, bardzo daleki od tego, żeby wiedzieć, o czym pan mówi. To prawda – ciągnął zamyślony – że wraz ze współnikami prowadzę biuro pośrednictwa (w październiku minie dziesięć lat, jak się tym zajmuję, z których większość przepracowałem w wielkim mieście Cincinnati) i, jak pan nadmieniał, w przeciągu tak długiego czasu musiała mi się nadarzyć mniej lub bardziej korzystna sposobność prowadzenia studiów nad rodzajem ludzkim, bo sposobność taką daje branża, w której człowiek nie tylko przygląda się bacznie twarzom, ale również przetrząsa żywoty kilku tysięcy istot ludzkich płci obojga, różnych narodowości, dających pracę i pracy szukających, wytwornych i nieokrzęsanych, wykształconych i bez wykształcenia. Mimo to, przyznaję oczywiście, że z kilkoma wyjątkami, stwierdziłem – w takim stopniu, w jakim pozwoliły mi na to moje skromne obserwacje – że rodzaj ludzki widziany właśnie oczyma pośrednika, oczyma

pełnymi ufności, że tak powiem, ogólnie rzecz biorąc, i uwzględnivszy także zrozumiałą niedoskonałość człowieka, jest obrazem takiej moralnej czystości, jakiej życzyłyby sobie najczystszy z aniołów. Mówię to, czcigodny panie, z głębokim przekonaniem.

– Akurat! Nie mówi pan tego szczerze. Chyba że jesteś pan szczurem lądowym i nie widzisz sznurków, które od wieków pociągane są tuż przed pańskim nosem. Niczym węże, ślizgają się wszędzie, zbyt są jednak subtelne, żebyś mógł je pan dostrzec. Krótko mówiąc, cały ten statek to zagadka. Skądże takie jak pan żółtodzioby miałyby wiedzieć, czy nadaje się on do żeglugi, a jednak łazicie po przegniłych deskach pokładu i jak głupcy wyśpiewujecie słowa, które włożył wam w wasze żółte dzioby chytry właściciel, co pierwiej słono ubezpieczył statek, a potem posłał go na zagładę:

„Mokry szot i falujące morze!”

Wie pan, przyszło mi teraz do głowy, że cała ta pańska gadanina to tylko mokry szot i falujące morze, i nadlatujący chyżo bezużyteczny wiatr, a wszystko to razem stoi w rażącej sprzeczności z moimi słowami.

– Panie! – wykrzyknął człowiek z mosiężną tabliczką, prawie u kresu wytrzymałości – proszę pozwolić, że z należnym szacunkiem nadmienię, iż niekiedy doбира pan słów niefortunnych. To samo też mówimy do naszych stałych klientów, gdy przychodzą do naszego biura, obrzucając nas obelgami z powodu jakiegoś zacnego młodzieńca, któregośmy im posłali, a którego oni ocenili błędnie. Tak, niech pan pozwoli zauważyć, iż nie bierze pan dostatecznie pod uwagę, że choć niewiele znaczę, nie jestem człowiekiem całkowicie pozbawionym uczuć.

– Dobrze, dobrze. Nie zamierzałem wcale ranić pańskich uczuć. A że nie jest ich pan całkiem pozbawionym – wierzę panu na słowo. Przepraszam, przepraszam. Ale z prawdą jak z młockarnią: delikatne uczucia winny się jej wystrzegać. Mam nadzieję, że pan zrozumiał. Nie chcę pana urazić. Tyle tylko, że jak już powiedziałem na początku, teraz zaś gotowym na to przysiąc, wszyscy chłopcy to dranie.

– Proszę pana – odrzekł pokornie tamten, zachowując jednak nadal powściągliwość, niczym stary adwokat zadreęczany podczas rozprawy lub jak dobroduszny prostaczek, pośmiewisko złośliwych sowizdrzałów – skoro mówi pan znowu to samo, proszę pozwolić, że w sposób skromny i spokojny przedstawię panu skromny i spokojny pogląd na rozważaną przez nas sprawę.

– Ależ proszę bardzo – odrzekł Missourijczyk z obraźliwą obojętnością, drapiąc się w zarośnięty policzek i spoglądając w inną stronę. – Ależ tak. Niech pan mówi.

– A zatem, proszę szanownego pana – ciągnął tamten, przybrawszy na tyle wytworną postawę, na ile pozwalało na to jego wyświechtane ubranie za pięć dolarów – a zatem owe określone zasady, zasady ściśle filozoficzne, bo tak mogę powiedzieć – ostrożnie wspinał się na palce, jakby nabierając coraz większego dostojeństwa – na których opiera się nasze biuro, zawiodły mnie wraz z moimi współnikami do pieczołowitych i drobiazgowych studiów nad człowiekiem. Prowadziliśmy je w sposób skromny i spokojny, w oparciu o pewną wyważoną tezę, tudzież w pewnym niepozornym celu, wyłącznie na nasz własny użytek. Wspomnianej tezy nie będę teraz szczegółowo omawiał, jeśli pan jednak pozwoli, wspomnę krótko o niektórych wynikających z niej ustaleniach, tych mianowicie, które odnoszą się do wieku chłopięcego rozpatrywanego w sposób naukowy.

– A zatem studiowaliście tę sprawę? To znaczy: studiowaliście chłopców, hę? Czemuś

pan nie powiedział tego od razu?

– Proszę pana, jak przystało na kogoś z mej branży, na swój skromny sposób odbyłem nie na darmo przecież tyle rozmów z wieloma mistrzami, ludźmi wielkiej kultury. Nauczyłem się, że na tym świecie prym wiodą nie tylko opinie, lecz także osoby. Pan był łaskaw przedstawić mi swoje poglądy, teraz ja pozwolę sobie, w miarę mych skromnych możliwości, uczynić to samo.

– Daj pan spokój temu lokajstwu i przechodź do rzeczy.

– Po pierwsze, nasza teoria uczy nas, byśmy na zasadzie analogii przechodzili od spraw fizycznych do moralnych. Czy uważa pan, że czynimy słusznie? Otóż zastanówmy się teraz nad młodym chłopcem, a raczej nad niepełnoletnim człowiekiem płci męskiej, czyli mężczyzną-dzieckiem jednym słowem. Zapytuję pana z należnym szacunkiem: co też pan w nim przede wszystkim dostrzega?

– Łotra! Obecnie i w przyszłości – łotra!

– Proszę pana, jeśli namiętność ma dokonać inwazji, nauka z pewnością musi się ewakuować. Czy mogę mówić dalej? A zatem, bez wchodzenia w szczegóły, cóż takiego dostrzega pan w owym dziecięciu płci męskiej, czyli w mężczyźnie-dziecku?

Kawaler mruknął coś cicho, tym razem jednak zachował się, ogólnie rzecz biorąc, w sposób bardziej opanowany, nie na tyle wszakże, by dojść do przekonania, że mądrze będzie, jeśli odważy się udzielić wyraźnej odpowiedzi.

– Co pan dostrzega? Z uszanowaniem ponawiam pytanie. – Ponieważ jednak nie otrzymał odpowiedzi, a tylko usłyszał głuchy, zdławiony pomruk w rodzaju tego, jaki wydaje niedźwiedź w pustym pniu drzewa, ciągnął dalej: – Cóż, drogi panie, jeśli pozwoli pan, że skromnie udzielę odpowiedzi za pana, to powiem, że dostrzega pan, czcigodny rozmówco, twór w stadium początkowym, luźny zarys, maleńkie, wstępne studium na skrawku kartonu lub, by się tak wyrazić, niedbały szkic do portretu człowieka. Pojmuje pan, idea jest już obecna, ale trzeba ją jeszcze dopełnić. Słowem, czcigodny panie, w chwili obecnej mężczyzna-dziecko jest pod każdym względem zupełnie niepozorny – temu nie zamierzam przeczyć – czyż jednak nie *zapowiada* się dobrze? O tak, można powiedzieć, że istotnie doskonale się zapowiada. (To samo mówimy także naszym klientom o niektórych niepozornych, acz szlachetnych młodzieńcach wywołujących zastrzeżenia z tego powodu, że są *karłami*). Żeby jednak posunąć się krok naprzód – wysunął nogę opiętą wyświechtaną do ostatnich granic nogawką i postąpił o krok bliżej – musimy teraz rozstać się z postacią naszkicowaną na kartonie i sięgnąć po inny rysunek – skorzystamy z niego później, jeśli zajdzie potrzeba – z królestwa ogrodnictwa. Jeżeli nie będzie miał pan nic przeciwko temu, niech to będzie pąk, na przykład pąk lilii. Otóż te cechy, które posiada już nowo narodzone dziecię-mężczyzna, są takie czy inne, ale przecież istnieją już od pierwszej chwili jego życia, jakkolwiek przyznam chętnie, że daleko im jeszcze do tego, czego można by sobie życzyć. A jednak istnieją i są równie dostrzegalne jak u dorosłego. Ale my idziemy dalej – postawił kolejny krok naprzód. – Owo dziecię-mężczyzna nie tylko że posiada te właśnie cechy – choć jeszcze w stadium bardzo załążkowym – lecz także, podobnie jak ów pączek lilii – sięgniemy teraz po nasze porównanie z dziedziny ogrodnictwa – zawiera w sobie ukryte załążki cech innych, to znaczy w chwili obecnej nie dających się zauważyć, których wrodzone piękno jest jeszcze uśpione.

– Ejże, ejże, ta pańska gadanina za bardzo jest podobna do mowy ogrodnika, a jednocześnie zaczyna zanadto ociekać tandetną poezją. Niech się pan streszcza!

– Szanowny panie – człowiek z mosiężną tabliczką wykonał niedbale gest jakby wojskowy, niczym podupadły kapral – skoro mam rozwinąć na polu dysputy straż przednią w postaci ważkiego argumentu, tym bardziej zaś potężne siły główne nowej filozofii wieku chłopięcego, że tak to nazwę – to muszę mieć pewność, że pan zechce się zgodzić, iżby długość mego wywodu odpowiadała temuż manewrowi, jakkolwiek drobne i skromne mogło to być posunięcie. Czy warto zatem, czcigodny panie, żebym mówił dalej?

– Tak. Skończ z lokajstwem i mów dalej.

Zachęcony w ten sposób, filozof z mosiężną tabliczką podjął wątek:

– Przypuśćmy, drogi panie, że zacny dżentelmen (takim mianem określamy wobec osoby zgłaszającej się do nas po zatrudnienie niektórych naszych klientów, jakich mamy akurat na uwadze), przypuśćmy więc, że zacny dżentelmen Adam zostaje raptem w Raju, niczym krowa pozostawiona na pastwisku. Proszę mi powiedzieć, w jakiż to sposób nawet sam wielce uczony wąż potrafiłby przewidzieć, że takie małe niewiniątko o policzkach pokrytych delikatnym puchem będzie koniec końców mogło iść w zawody z kozłem, jeśli chodzi o brodę? Wąż był bardzo mądry, ale taka możliwość byłaby całkowicie zakryta przed jego mądrością.

– Nie wiadomo. Szatan jest bardzo przebiegły. Sądząc po tym, co zaszło, może nawet zna się on na ludziach lepiej niż Istota, która ich stworzyła.

– Na miłość boską, proszę tak nie mówić! Do rzeczy. Otóż czy mógłby pan z czystym sumieniem zaprzeczyć, że dziecię-mężczyzna posiada zadatek brody, która w przyszłości nabierze równie imponujących kształtów co broda patriarchy? I czyż nie powinniśmy, w oparciu o szczodłą zdolność przewidywania, uwierzyć, że temu dziecięciu-mężczyźnie, które w tej chwili spoczywa jeszcze w kołysce, taka piękna broda wyrośnie? Nie powinniśmy? Pytam szanownego pana.

– Owszem, jeżeli będzie ją przystrzygał jak lebiodę, gdy tylko wykiełkuje – kawaler czochrał się na świńską modłę swą szczeciną o szopie skóry.

– Wspomniałem o tej analogii – ciągnął tamten, nie zważając wcale na ową dygresję – po to, by skorzystać z niej w praktyce. Przypuśćmy, że jakiś młodzik nie objawia żadnej dobrej cechy. Wówczas należy w nim wspaniałomyślnie docenić tę zaletę, jaka ujawni się w przyszłości. Rozumie pan? Dlatego mówimy do naszych klientów, gdy raczą nam zwrócić jakiegoś chłopca, bo jest nic niewart: „Łaskawa pani lub panie (w zależności od sytuacji), czy ten chłopak posiada brodę?” „Nie”. „Czy – pytamy wtedy bardzo uprzejmie – dotąd nie objawił on żadnych zalet?” „Absolutnie żadnych”. „Wobec tego pokornie błagamy łaskawą panią albo pana, byście zabrali go z powrotem i zatrzymali u siebie, aż zaleta ta nie zacznie kiełkować, gdyż – proszę nam wierzyć – ma on ją w sobie, tak samo jak brodę”.

– Wspaniała teoria – wykrzyknął z pogardą kawaler, choć w skrytości ducha mógł być poruszony tym osobliwym a nowym poglądem na sprawę – w jakiż jednak sposób można w nią uwierzyć?

– W ten sam sposób, w jaki czerpie się wiarę z absolutnej ufności. Idźmy dalej. Jeśli łaska, zastanówmy się raz jeszcze nad dziecięciem-mężczyzną.

– Hola! – Missourijczyk wyszarpnął, niczym niedźwiedź łapę, rękę okutaną w grube sukno. – Dajże mi w końcu spokój z tym twoim dziecięciem. Kto nie lubi chleba, nie trzęsie się nad ciastem. Twoje logiczne wywody równie mało mnie obchodzą co twoje dziecię-mężczyzna.

– Proszę zastanowić się nad nim – powtórzył z natchnionym męstwem człowiek z mosiężną tabliczką – z punktu widzenia etapów jego rozwoju. Wpierw dziecko-mężczyzna nie ma zębów, ale gdzieś około szóstego miesiąca... czy nie mam racji?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Tedy idziemy dalej: choć początkowo brakuje mu zębów, około szóstego miesiąca zaczyna kiełkować ten pierwszy. Jakież słodziutkie te delikatne, maleńkie kiełki!

– Bardzo, tylko że wyplute nie mają już żadnej wartości.

– Zgoda. Dlatego właśnie powiadamy do naszych klientów wracających do nas z chłopcem, któremu rzekomo nie tylko brakuje dobroci, lecz na dodatek okazuje się nadmiernym niegodziwcem: „A zatem, łaskawa pani albo panie, ten chłopak objawia same najgorsze cechy?” „Nie masz im końca”. „Ależ nadejdzie, proszę wierzyć, łaskawa pani, bo czyż po tych pierwszych, kruchych ząbkach, jakie wyrosły mu we wczesnym dzieciństwie, nie przyszły potem te, które ma obecnie, zdrowe, równe, piękne i mocne? A im większe zastrzeżenia mogły budzić owe pierwsze zęby, czyż nie było to – niech łaskawa pani zechce wziąć to pod rozwagę – powodem, by spodziewać się rychłego ich zastąpienia przez te obecne – zdrowe, równe, piękne i mocne?” „Prawda, temu nie mogę zaprzeczyć”. „A zatem uprzejmie prosimy łaskawą panią, by zabrała go z powrotem i poczekała, aż zgodnie z naturalnym a szybkim już teraz biegiem rzeczy porzuci owe przejściowe wady moralne, na które się pani skarży, a na ich miejscu rozkwitną w nim zdrowe, równe, piękne i mocne zalety”.

– To także bardzo filozoficznie powiedziane – brzmiała pogardliwa odpowiedź. Niewykluczone, że jawna pogarda była współmierna do skrywanych obaw. – Zaiste, strasznie to filozoficzne, ale powiedz mi pan – że pociągnę dalej pańską analogię – czy skoro drugie zęby przyszły po, a właściwie wyszły z pierwszych – nie istnieje możliwość, że przywara będzie przekazana?

– Bynajmniej – mężczyzna z mosiężną tabliczką robił się coraz mniej pokorny, w miarę jak szala jęła przechylać się w tej dyspucie na jego stronę. – Drugie zęby przychodzą po, a nie z pierwszych: następcy, a nie synowie. Pierwsze zęby nie przypominają zawiązku jabłka będącego ojcem, ale mającego także udział w rozroście, który zapoczątkowało. Pierwsze zęby usuwa z ich miejsca niezawisły, a wstrzymywany rozwój drugiego kompletu zębów. A swoją drogą przykład ten pokazuje więcej, niż sobie zamyśliłem, choć nie więcej, niżbym sobie życzył.

– Co mianowicie? – Missourijczyk rzucił spojrzenie ponure jak chmura gradowa, które towarzyszyło hamowanemu wzburzeniu z powodu niepodzielania jego przekonań.

– A to, szanowny panie, że w wypadku każdego chłopca, a już zwłaszcza chłopca niedobrego, bezwzględne stosowanie maksymy „Dziecko jest ojcem mężczyzny” jest oczernianiem rodzaju ludzkiego, a poza tym równa się twierdzeniu bardzo odległemu od...

– Od pańskiej analogii – kawaler kłapnął niczym żółw.

– Owszem, szanowny panie.

– Ale czy analogia to argument? Pan jesteś kalamburzystą.

– Kalamburzystą?

– Tak: igrasz pan conceptami, jak kto inny słowami.

– No cóż, szanowny panie. Z każdym, kto mówi w ten sposób, kto nie ma zaufania do ludzkiego rozumu, kto ludzkim rozumem pogardza – darmo rozprawiać. Proszę wszakże

pozwolić, że nadmienię – twarz człowieka z mosiężną tabliczką przybrała inny wyraz – iż gdyby treść owej analogii nie poruszyła pana ani odrobinę, z pewnością nie próbowałby pan okazywać jej lekceważenia.

– Gadaj zdrów – rzucił z pogardą Missourijczyk – ale powiedz mi pan, co też wspólnego ma ta ostatnia pańska analogia z waszym biurem pośrednictwa?

– Bardzo wiele. Dostarcza nam ona odpowiedzi, jakiej udzielamy klientowi, który wkrótce po tym, jak dostarczymy mu dorosłego sługę, przybywa do nas, by zwrócić go w nasze ręce, nie dlatego, iżby rzeczony dorosły, pozostając w służbie u owego klienta, dał jakikolwiek powód do niezadowolenia, lecz dlatego, że klientowi zdarzyło się akurat usłyszeć coś niepoehlebnego o swoim służącym od jakowegoś dżentelmena, który zatrudniał go dawno temu, gdy rzeczony dorosły był jeszcze młodzikiem. Bierzemy wówczas rzeczony sługę za rękę i po raz drugi przedstawiamy go takiemu zbyt wybrednemu klientowi mówiąc: „Niechże szanowna pani albo pan zaprzestanie już potępiać tego oto dorosłego człowieka i wysuwać przeciwko niemu zarzuty, ponieważ w duchu prawa działającego *ex post facto*. Czy łaskawa pani albo pan karałby motyla za grzechy gąsienicy? Czyż wszelkie stworzenia, odbywając swój naturalny marsz naprzód, nie zagrzebują się co chwila w ziemię, żeby wciąż od nowa wstawać z martwych coraz to lepszymi? Łaskawa pani albo panie, proszę zabrać tego dorosłego z powrotem. Możliwe, że był gąsienicą, teraz jednak jest już motylem”.

– Znowu te pańskie kalambury. Ale nawet gdybyśmy przyjęli ten kalambur-analogię, cóż z niej ma wynikać? Czy gąsienica i motyl to dwa różne stworzenia? Motyl to gąsienica w pstrokatym przebraniu. Zedrzyj szatki, a ujrzysz długie wrzecionowate ciało tego oszusta. Taki sam kształt miało ciało robaka, którym przedtem był motyl.

– Odrzuca pan tę analogię. Przejdźmy więc do faktów. Zaprzecza pan, jakoby młodzieniec o takim, a nie innym charakterze mógł się przeistoczyć w mężczyznę o charakterze wprost przeciwnym. Otóż... Mam! Oto są: założyciel La Trappe²⁰ i Ignacy Loyola. W wieku chłopięcym, a także poniekąd i w wieku męskim, byli to nicponie i zawadiaki, a przecież w końcu zadziwili świat cały godnym pustelników panowaniem nad sobą. Właśnie te dwa przykłady przytaczamy tym naszym klientom, którzy pospiesznie oddają nam zadzierzystych młodych posługaczy. „Cierpliwości, cierpliwości” – mówimy. „Czy łaskawa pani albo pan pozbywa się beczułki młodego wina, bo troszkę się burzy podczas fermentacji? A zatem proszę się nie pozbywać tego młodego sługi, bo w nim fermentuje dobro”. „Ależ to okropny hultaj!” „W tym cała nadzieja: hulaka to dobry materiał na świętego”.

– Ach, pan jesteś okropnym gadułą. Ja takich nazywam gadatliwcami. Pan gadasz i gadasz.

– Za pozwoleniem, czymże jest ów najwyższy sędzia, biskup albo prorok, jeśli nie gadułą? Gada i gada. Na tym właśnie polega zawód nauczyciela, żeby mówić. A czymże jest sama mądrość, jeśli nie towarzyską rozmową przy stole? Najprzedniejsza mądrość tego świata tudzież ta, którą ostatecznie głosi jej nauczyciel – czyż w dosłownym i prawdziwym znaczeniu nie przybiera postaci towarzyskiej pogawędki?

– Ach, ty, ty!... – Missourijczyk grzmocił strzelbą o pokład.

– Ale zmienmy temat, skoro nie możemy się zgodzić. Pozwoli pan, że spytam, co pan sądzi o świętym Augustynie?

²⁰ La Trappe – opactwo w Normandii, gdzie założono zakon trapistów

– O świętym Augustynie? A cóż my obaj o nim wiemy? Coś mi się zdaje, że jak na człowieka pańskiej profesji, nie mówiąc już o pańskim przyrodziewku, choć w rzeczy samej nie wiesz pan zbyt dużo, to jednak wiesz o wiele więcej, niż pan powinieneś wiedzieć lub niż masz pan prawo wiedzieć, albo niż byłoby wskazanym lub bezpiecznym, żebyś wiedział, czy też niż w przeciągu uczciwie przeżytego życia mógłbyś się pan być dowiedzieć. Sądzę, że należy pana traktować tak jak Żyda w średniowieczu i jak jego złoto. Tę całą pańską wiedzę, która jednak nie jest na tyle wiedzą, byś pan wiedział, jak ją zużytkować w prawidłowy sposób – powinno się panu odebrać. Oto co myślę od samego początku naszej rozmowy.

– Wesołek z pana. Przypuszczam jednak, żeś pan zaglądał do świętego Augustyna.

– To, co święty Augustyn pisze o grzechu pierworodnym, jest moim podręcznikiem. Ale pytam ponownie, skąd bierze pan czas lub zamięłowanie do tych osobliwych spekulacji? Im więcej o tym myślę, tym w rzeczy samej bardziej jestem przekonany, że całe to pańskie gadanie jest całkiem bez pokrycia i wcale osobliwe.

– Szanowny panie, czyż nie powiadomiłem już pana, że owa zupełnie nowa, ściśle filozoficzna metoda, na której oparte zostało nasze biuro, zawiodła mnie i moich współników ku pogłębionym studiom nad rodzajem ludzkim? Moja to wina, że nie wspomniał również i o tym, iż owe studia, mające zawsze na celu wystaranie się – na zasadach naukowych – o wszelkiego rodzaju porządnym służących, w tym także chłopców, dla potrzeb naszych zacnych klientów, że więc studia owe prowadzone były zarówno w oparciu o wszelkie książki we wszelkich bibliotekach, jak i pośród wszystkich członków wszelkich narodów. A zatem święty Augustyn raczej się szanownemu panu podoba?

– Toż to istny geniusz!

– Pod pewnymi względami. Jakże się to jednak stało, że jak to wyznaje sam święty Augustyn, do trzydziestego roku życia był on parszywcem?

– Święty parszywcem?

– Nie święty, tylko jego mały, lekkomyślny zwiastun: młodzik.

– Każdy młodzik to drań, tak samo jak każdy mężczyzna. – Zachowanie naszego kawalera raptownie się zmieniło. – Nazywam się Smoła i lgnę do tego, co raz powiedziałem.

– Za pozwoleniem, szanowny panie: kiedy tak patrzę na pana, który w przededniu lata chodzisz tak dziwacznie odziany w skóry dzikich zwierząt, potrafię wyciągnąć z tego tylko taki wniosek, że pańskie równie ponure i niestosowne usposobienie jest także li tylko dziwaczny przebraniem i nie ma żadnego oparcia w pańskiej autentycznej duszy, a tym bardziej w samej naturze.

– No cóż, doprawdy, że teraz... – zdenerwował się kawaler, na którym ta osobista, acz życzliwa wycieczka pod jego adresem zrobiła pewne wrażenie – doprawdy, że teraz to już sam nie wiem, czy może jednak nie byłem odrobinę zanadto surowy względem tych moich trzydziestu chłopaków.

– Cieszę się, żeś pan troszeczkę zmiękł. Któż wie wobec tego, czy owa pełna wdzięku giętkość – choć swego czasu budziła u pana spore wątpliwości – pańskiego trzydziestego chłopca nie była jedwabnym kokonem najsolidniejszych zalet wieku dojrzałego? Mogły w nim tkwić utajone jak w kolbie kukurydzy.

– Tak, tak, tak! – wykrzyknął w podnieceniu kawaler, którego to nowe obrazowe

porównanie jakby oświeciło. – Tak, tak! Pomyśleć tylko, ileż to razy przyglądałem się ze smutkiem mojej kukurydzy w maju, zastanawiając się, czy z takich słabowitych, na wół zjedzonych kielków zdołają się kiedyś rozwinąć mocne, okazałe, sierpniowe kaczany!

– Oto rozważania godne najwyższego podziwu. Powinien pan tylko, zgodnie z naszą teorią analogii zapoczątkowaną przez nasze biuro, zastosować je w odniesieniu do owego trzydziestego chłopca, o którym była mowa, i przekonać się, co z tego wyniknie. Gdybyś pan był zatrzymał tego trzydziestego chłopca, okazał cierpliwość jego słabowitym zaletom, pielęgnował je, okopywał – jakże wspaniałą otrzymałbyś nagrodę: oto święty Augustyn byłby u pana – stajennym.

– Doprawdy, doprawdy, cieszę się, że nie wsadziłem go do więzienia, jak początkowo zamierzałem.

– Och, to byłoby straszne. Przyjmijmy, że był niedobry. Drobne wady chłopięce podobne są do niewinnych wierzgnięć źrebięcia, na razie jeszcze znarowionego. Niektórzy chłopcy nie znają cnoty moralnej z tej samej przyczyny, dla której nie znają francuskiego: nigdy ich tej cnoty nie uczono. Założone w oparciu o ojcowskie miłosierdzie zakłady dla młodocianych istnieją z mocy prawa ku pożytkowi chłopaków skazanych za czyny, za które dorośli ponieśliby inną karę. Dlaczego? Ponieważ tak już jest, że społeczeństwo, podobnie jak nasze biuro, pokłada w gruncie rzeczy chrześcijańską ufność w młodzieży. I to wszystko też mówimy naszym klientom.

– Wasi klienci, szanowny panie, są jak ci wasi marynarze, którym możecie powiedzieć, co wam się żywnie podoba – odrzekł kawaler, powtarzając znów swoje. – Czemuż to znający się na rzeczy pracodawcy unikają młodzieńców z zakładów poprawczych, choć mogą ich dostać po najniższych cenach? Nie chcę żadnego z tych waszych „poprawczaków”.

– O takiego chłopca nigdy bym się dla szanownego pana nie starał, tylko o takiego, co nigdy nie musiał się poprawiać. Proszę się nie uśmiechać, bo tak samo jak koklusz i odra są chorobami wieku młodzieńczego, a jednak niektórzy młodociani nigdy nie zapadają na nie, podobnie istnieją chłopcy w różnym stopniu wolni od przywar młodzieńczych. Prawda, że u przeważającej części chłopców odra może być zaraźliwa, a złe towarzystwo psuje dobre obyczaje, ale ja wystarałbym się panu o chłopca, co w zdrowym ciele ma zdrowego ducha. O ile zatem na razie natrafił pan na szczególnie złą żyłę chłopców, to tym większa nadzieja, że trafi pan na lepszą.

– To brzmi dość rozsądnie, przynajmniej troszeczkę. Choć właściwie powiedziałeś pan mnóstwo rzeczy głupich i bzdurnych, to jednak – ogólnie biorąc – pańskie wywody były tego rodzaju, że kogoś mniej podejrzliwego ode mnie mogłyby nakłonić do tego, by w pewnych warunkach zaufał panu, a także, omal nie dodałem, pańskiemu biurku. Otóż przyjąwszy dla żartu, że nawet ja, we własnej osobie, miałbym do pana takie warunkowe zaufanie, odrobinę zaufania, jakiegoż to mianowicie chłopca mógłbyś mi pan przysłać? I ile byś pan żądał?

– Działając – odparł tamten z niejaką wyniosłością, a jego elokwencja wzrastała w miarę, jak jego prozelita, mimo wszystkich swych roszczeń, tracił pewność siebie – na zasadach, które zakładają pieczołowitość, znajomość rzeczy oraz spory wkład pracy, Filozoficzne Biuro Pośrednictwa przewyższa zwykłe przedsiębiorstwa tego rodzaju, zmuszone jest więc pobierać nieco wyższe opłaty, niż to jest ogólnie we zwyczaju. Krótko mówiąc, pobieramy trzy dolary zaliczki. Co do owego chłopca, to tak się szczęśliwie składa, że mam pod ręką bardzo obiecującego malca, który naprawdę byłby odpowiedni

dla pana.

– Uczciwy?

– Jak najbardziej. Można mu powierzyć miliony. Tak przynajmniej wynika z uwag poczynionych na marginesie frenologicznego wykresu jego głowy, jakiego dostarczyła nam jego matka.

– Ile ma lat?

– Akurat piętnaście.

– Wysoki? Silny?

– Nadzwyczaj, zważywszy na jego wiek. Tak twierdzi jego matka.

– Pracowity?

– Jak mrówka.

Zakłopotany kawaler zamyślił się, by wreszcie odezwać się z dużym ociąganiem:

– Czy myślisz pan szczerze, że – powiadam: szczerze, szczerze – mógłbym w skromnym, ograniczonym, niewielkim, i to warunkowo, stopniu zaufać temu chłopcu? Proszę szczerze.

– Szczerze: mógłby pan.

– Zdrowy chłopak? Dobry?

– Nie znam zdrowszego i lepszego.

Kawaler znów pograżył się w niezdecydowanym zamyśleniu, po czym powiedział: – No cóż... Przedstawiłeś pan dość niecodzienny punkt widzenia na chłopców, a także na mężczyzn. Na temat wyłuszczonej tu przez pana poglądów nie będę się teraz wypowiadał. Niemniej jednak, wyłącznie w imię naukowego eksperymentu, spróbuję wziąć tego chłopaka. Proszę pamiętać, ja wcale nie potrzebuję, żeby to był anioł. Nie, nie. Ale wezmę go na próbę. Oto trzy dolary, a tu mój adres. Przyślij pan chłopaka od dziś za trzy tygodnie. Proszę to wziąć: będzie pan potrzebował pieniędzy na pokrycie kosztów przejazdu. Proszę – wręczył pieniądze z niejakim ociąganiem.

– O, dzięki. Zapomniałem o jego przejeździe. – Przyjąwszy zaś inny sposób bycia, ciągnął dalej, z poważną miną dzierżąc w dłoni banknoty: – Szanowny panie, zawsze z niechęcią biorę do rąk pieniądze zapłacone bez najszczerzych chęci, i niezbyt skwapliwie. Ale niech mi pan powie, że ma pan całkowite i bezwarunkowe zaufanie do mnie (o chłopaku na razie nie mówmy), albo niech mi pan pozwoli zwrócić sobie z szacunkiem te banknoty.

– Schowajże je pan, schowaj!

– Dziękuję. Zaufanie to niezbędna podstawa wszelkiego rodzaju transakcji. Bez niego handel pomiędzy ludźmi, a także pomiędzy krajami, tak jak sprężyna w zegarku utraciłby stopniowo energię, zwiotczał i zamarł. Jeszcze jedno: przypuśćmy, że wbrew oczekiwaniom chłopak objawiłby mimo wszystko jakąś drobną niepożądaną cechę, niechże szanowny pan nie odprawia go wówczas zbyt pochopnie. Proszę okazać cierpliwość, proszę okazać ufność. Wkrótce bowiem te przelotne wady wypadną niczym mleczne zęby, a zastąpią je zdrowe, mocne, równe i trwałe zalety. Ach – spojrzął w stronę brzegu, ku urwisku o groteskowych kształtach – oto i Czarcia Żart, jak zwą to miejsce, zaraz zadzwonią na zejście z pokładu. Muszę poszukać kuchcika, którego przywiózł właścicielowi gospody w Cairo.

ROZDZIAŁ XXIII

W którym okazuje się, jak potężny wpływ ma na Missourijczyka sceneria naturalna, bo oto na widok okolic Cairo doznaje on nawrotu zimnicy

W Cairo stara, renomowana firma „Gorączka i Zimnica” wciąż jeszcze prowadzi swój interes. Żółty Jaś, ów kreolski grabarz, nie stracił w rękach zręczności do oskara i łopaty, don Saturnin Typhus natomiast przechadza się dla zdrowia po mokradłach ze Śmiercią, Calvinem Edsonem i trzema właścicielami zakładów pogrzebowych, z zapalem wciągając w nozdrza smrodliwy wietrzyk.

O wilgotnym, drżącym od moskitów i roziskrzonym od robaczków świętojańskich zmierzchu statek przybił w okolice Cairo. Niektórzy pasażerowie zeszli na ląd, statek zaś oczekiwał na nadejście nowych. Wychylając się przez poręcz, Missourijczyk patrzył w stronę brzegu; przewiercając wzrokiem zamglone powietrze, przyglądał się owej błotnistej i plugawej krainie i przeżuwał głośno swe cyniczne myśli, niczym pies Apemantusa gryzący kość. Zastanawiał się nad tym, że człowiek z mosiężną tabliczką musiał wysiąść akurat w tym odrażającym miejscu, co samo przez się wydało mu się podejrzane. Jak ktoś, kto zaczyna się budzić po dawce chloroformu, zaaplikowanej mu podstępem, przeczuwał także, że on, filozof wbrew swojej woli, został zgoła niefilozoficznie wystrychnięty na dudka. Jakimż to ciągłym zmianom światła i ciemności poddany jest człowiek! Zadumał się teraz nad tajemnicą ludzkiej podatności na zmiany. W ślad za Czaszką-Piszczelskim, swoim ulubionym pisarzem, uważa, że tak jak można obudzić się rankiem w dobrym, naprawdę dobrym nastroju, rześkim jak ptaszek, proszę państwa, ale przed nadejściem spoczynku wpaść w zły humor, zupełnie nie wiadomo, czemu – tak samo można zbudzić się mądrym i nieskorym do przytakiwania, bardzo mądrym i bardzo nieskorym, zapewniam państwa, a mimo to przed nadejściem nocy, za przyczyną takiej samej sztuczki, znaleźć się, niczym byle głupek, w pułapce. Zdrowie i mądrość są tak samo cenne jak niewzruszony spokój ducha, ale też w równie małym stopniu można na nich polegać.

Którędy to jednak przebił się ów wciskający się klin? Filozofia, wiedza, doświadczenie: czyżby ci wierni rycerze stojący na straży zamku stchórzyli? Nie. Lecz wróg bez ich wiedzy zakradł się od południowej strony twierdzy, od strony pogodnej i wesołej, gdzie straż trzyma Poblężliwość. Słowem, to jego zbyt poblężliwa, zbyt mało przebiegła, zanadto towarzyska natura go zdradziła. Z nauczki, jaką otrzymał, wyciąga wniosek, że na przyszłość musi być w stosunkach z ludźmi bardziej zgryźliwy.

Ze wszystkich stron rozważa umiejętnie rozwijaną towarzyską pogawędkę, dzięki której – jak sądzi – człowiekowi z mosiężną tabliczką udało się wkraść w jego łaski i uczynić zeń głupca do tego stopnia, że potrafił go skłonić do odstąpienia – wyjątkowo w jego przypadku – od ogólnej zasady niedowierzania rodzajowi ludzkiemu, której zawsze dotąd hołdował. Zastanawia się, lecz nie może pojąć tej operacji, której padł ofiarą, tym bardziej zaś – jej wykonawcy. Jeśli ten człowiek był oszustem, to bardziej z upodobania niż dla zysku. Dwa czy trzy marne dolary byłoby podniętą do tyłu pięknych sztuczek? A przecież jakże niskie pragnienia zdają się wypełniać tego człowieka!

Przed oczyma jego duszy osoba owego wyświechtanego Talleyranda, zubożałego Machiavellego, wyniszczonego różokrzyżowca – gdyż z tymi właśnie postaciami jakoś mu się on mgliście kojarzył – przesuwiała się teraz w przykrym wspomnieniu. Potraktowany niechętnie, chętnie wysunął logiczne argumenty. Powraca w pamięci teoria analogii. Teoria całkowicie zawodna, jeśli użyć jej w walce z czyimiś przesądami, lecz jako potwierdzenie żywionych podejrzeń nie pozbawiona pozorów prawdy. Przez analogię kawaler łączy ze sobą skośnie skrojone poły kapoty kalamburzysty z jego niesamowicie zezującymi oczami, ocenia gładką mowę filuta w świetle pośredniej doniosłości lekko wykrzywionych obcasów jego zdartych butów, nawroty zaś lokajstwa tego przymilnego typu zestawia w parę ze służalczością owej ugrzecznionej bestii, która zwinęła się w kłębek na jego brzuchu.

Z tych niezbyt przyjemnych dumań zbudziło go serdeczne klepięcie w plecy, któremu towarzyszył wonny obłok tytoniowego dymu, spośród owych oparów dobył się też głos pełen anielskiej słodyczy:

– Nad czym się tak zamyśliłeś, mój piękniśiu?

ROZDZIAŁ XXIV

Filantrop podejmuje się nawrócić mizantropa, lecz udaje mu się tylko zbić jego argumenty

– Precz z rękami! – wykrzyknął kawaler, mimowolnie pokrywając przygnębienie srogością.

– Precz z rękami? Taka etykieta nie nadaje się na nasze Targi. Każdy wrażliwy na piękno uczestnik naszych Targów uwielbia dotykać włos pięknej tkaniny, zwłaszcza jeśli ją nosi piękniś.

– A pan do którego gatunku mych pięknych bliźnich się zaliczasz? Może do tych z Brazylii? Do ptaków tukanów? Piękne upierzenie i paskudne mięso.

Ową niezbyt wytworną wzmiankę o tukanie mógł być nasunąć pstrokaty strój nieznanego. Sądząc po odzieniu, był to nie tyle bigot, ile liberał, a jego garderoba wszędzie prawie, prócz liberalnych okolic Missisipi, nawykłych do wszelkiego rodzaju wybryków fantazji, mogła wydać się odrobinę niezwykła obserwatorom mniej nawet krytycznym niż nasz kawaler, choć może wcale nie bardziej niezwykła niż powierzchowność tegoż kawalera, a to z powodu skór niedźwiedzich i szopich, w które był odziany.

By rzecz ująć krótko: nieznanomy miał na sobie ubiór łączący najrozmaitsze kolory, wśród których przeważał kolor koszenili. Ubiór ten był czymś pośrednim między płaszczem w kratę szkockiego górala, odzieniem emira i bluzą francuską. Spod plisowanego gorsu owej szaty wзираła kwiecista marynarska koszula, a na resztę stroju składały się luźne białe szarawary spływające fałdami na kasztanowej barwy pantofle, a także wytworny melonik w kolorze królewskiej purpury, który niczym korona wieńczył całość. Słowem: król pocziwych obieżyświatów. Choć cały ten strój wyglądał groteskowo, żadna z jego części nie wyglądała na sztywną bądź nie używaną. Wydawało się, że żadna z nich nie sprawia w noszeniu kłopotu; nawet najbardziej niezwykła

pasowała do reszty jak ulał. Wesoła ręka, która spoczęła chwilę temu na ponurych barkach, wsunęła się niedbale, na marynarską modłę, za coś w rodzaju indiańskiego pasa ściągającego obfitą szatę. Druga natomiast dzierżyła za długi cybuch z jasnego wiśniowego drzewa norymberską fajkę. Jej wielką porcelanową lulkę zdobiły miniaturowe, splecione z sobą godła i herby rozmaitych krajów. Żarzący się łagodnie tytoń nasycił ciepłym blaskiem wewnątrz lulki, podobnie też lico nieznanego zabarwiało jakby na różowo odbłask tkwiącego w ciele ducha. Aliści zarówno różowa lulka, jak i różowe oblicze ginęły całkiem przy owym pobladyłym człowieku, naszym kawalerze, który zaciekawszony, aż zmaleje nieco poruszenie wywołane wznowieniem rejsu, odezwał się w te słowa:

– Słuchaj no waść – spojrzaj drwiąco na melonik i pas – widziałeś kiedy signora Marzettiego w pantomimie afrykańskiej?

– Nie. Dobry aktor?

– Wspaniały. Można odnieść wrażenie, że sam jest tą inteligentną małpą, którą odgrywa. Z taką naturalnością istota obdarzona nieśmiertelną duszą potrafi się wcielić w małpę. Ale gdzie twój ogon? Marzetti, inaczej niż jaki mnich obłudnik, bardzo się w tej pantomimie szczyli swoim ogonem.

Nieznanomy, który tymczasem wsparł rękę – odwrócony bokiem i rozweselony – na biodrze i szarmancko skrzyżował prawą stopę z lewą w ten sposób, że czubek jego pionowo skierowanego pantofla dotykał pokładu – wydmuchał długą, leniwie obojętną i litościwą smugę dymu, dając tym do zrozumienia, że jest wytrawnym światowcem, czyli osobą nie zawsze skorą – tak jak jej przeciwieństwo: szczery chrześcijanin – do obrazy. Nie przerywając palenia podszedł bliżej i ponownie położył rękę – tym razem wywierając łagodną presję – na niedźwiedzich barkach, po czym rzekł nie bez uprzejmości: – Że w pańskiej przemowie jest pod dostatkiem owego *fortiter in re*, niewielu bezstronnych obserwatorów byłoby skłonnych kwestionować. Czy jednak złagodził to pan bezzwłocznie owym *suaviter in modo*, co do tego mogą się chyba budzić poważne wątpliwości. Dobry człowieku – spojrzaj mu prosto w oczy – jakąż wyrządziłem ci krzywdę, że w odpowiedzi na moje przywitanie tak mi skąpisz grzeczności?

– Precz z rękami! – Missourijczyk powtórnie odtrącił od siebie przyjazną kończynę. – Na wielkiego szympansa, na którego obraz i podobieństwo ty, Marzetti i inne gaduły zostaliście stworzeni, ktoś ty jest, do pioruna!

– Jestem kosmopolitą, człkiem katolickim, który właśnie dlatego nie wiąże się z żadnym poślednim krawcem lub nauczycielem, lecz jednoczy w sobie – w swym sercu i w swym ubiorze – różne przejawy wykwentu znamionującego ludzi w rozmaitych miejscach pod słońcem. O, nie na darmo wędruje się po tym pięknym globie. Rodzi się z tych wędrowek poczucie braterskiej wspólnoty. Nie ma już obcych. Każdego można zagadnąć. Pełen ciepła i ufności, nie ociążasz się dłużej z wyciągnięciem ręki. I choć w moim przypadku odpowiedzią nie była zbyt radosna zachęta, zasadą prawdziwego obywatela świata pozostaje nadal odpłacanie dobrym za złe. Dobry człowieku, powiedz mi, czym mogę ci służyć.

– Tym, panie Goguś, żebyś się wyniósł w samo serce Gór Księżycowych. Jesteś jednym z nich. Precz mi z oczu!

– Tak ci niemiły widok przedstawiciela rodzaju ludzkiego? Och, może to niemądre, ale ja kocham ludzkość we wszystkich jej postaciach. Kocham. To wyborne danie, jakim jest człowiek, podane a la Polak, a la Maur, a la złodziej z Południa lub a la Janke – wciąż

wprawia mnie w zachwyty. Człowiek jest tym gatunkiem wina, którym mógłbym się delektować wiecznie. Z tej to przyczyny jestem zaprzysięgłym kosmopolitą, koneserem piwnic portu londyńskiego, który wędruje od Teheranu do Indian Natchitoches, jestem smakoszem ras, który wciąż cmoka z zachwyty nad wszystkimi rocznikami tego rasowego stworzenia, jakim jest człowiek. Atoli tak jak istnieją abstynenckie podniebienia, które mają wstręt nawet do *montillada*²¹, tak samo mogą istnieć abstynenckie dusze, którym nie przypadną do smaku nawet najprzedniejsze gatunki człowieka. Wybacz, dobry człowiecze, ale pomyślałem sobie, że być może wiesziesz żywot samotnika.

– Samotnika? – kawaler drgnął, jakby niemile zaskoczony.

– Tak. Pędząc żywot w samotności, niepostrzeżenie nabiera się osobliwych zwyczajów. Na przykład zwyczaju mówienia do siebie.

– Podśluchiwałeś, co?

– Skądże! W tłumie prawie niepodobna nie podsłuchać mówiącego do siebie, i trudno za to ganić podsłuchującego.

– Podsłuchujesz jak szpicel.

– Cóż. Niech będzie i tak.

– Przyznajesz się do podsłuchiwania?

– Przyznaję się, że gdyś tu mamrotał coś pod nosem, podsłyszałem kilka słów przechodząc мимо, a także – w równie przypadkowy sposób – kawałek twojej wcześniejszej pogawędki z tym człowiekiem z biura pośrednictwa. Swoją drogą, człek to dość roztropny – myśli podobnie do mnie; żeby jeszcze to samo można było powiedzieć o sposobie, w jaki się ubiera! Dobrym duszom żal patrzeć, jak człowiek o niepospolitym rozumie zmuszony jest chować swoje światło pod korcem pospolitego odzienia. No cóż... tylko na podstawie tego, com wówczas usłyszał, powiedziałem sobie: Oto wyznawca bezpożytecznej filozofii lekceważenia człowieka. Ta choroba bierze się głównie z pewnego – proszę mi wybaczyć – przygnębienia, jeśli nie zgorzknienia duchowego, znamionującego życie w odosobnieniu. Wierzaj mi, że lepiej by było, gdybyś wszedł pomiędzy ludzi i postępował jak oni. Smutna sprawa, tak się wzbraniać przed umilaniem sobie czasu. Życie to piknik *en costume* – człowiek musi w nim wziąć udział, przyjąć rolę i odegrać w rozumny sposób głupca, jeśli zajdzie potrzeba. Kto przychodzi w zwykłym ubraniu i z ponurą miną mądrali, sam sobie jest zawadą i psuje przedstawienie. Tak samo dzban zimnej wody pośród flaszek wina nie rozochoci się wśród rozochoconych. Nie, nie. Ta surowość na nic się nie zda. Niech mi też wolno będzie powiedzieć – *en confidence* – że o ile biesiada nie zawsze musi się kończyć pijatyką, przesadna abstynencja może zamienić się w pewien rodzaj opilstwa. I tak sobie myślę, że z tego upijania się trzeźwością można się zacząć leczyć jedynie zaglądając troszkę do kieliszka.

– Za pozwoleniem, które to zrzeczenie winiarzy i starych opojów wynajęło cię na swego prelegenta?

– Obawiam się, że nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Może z pomocą przyjdzie mi krótka opowiastka. Opowiastka o zacnej staruszce z miejscowości Goshen, niewieście bardzo obyczajnej, która nie chciała pozwolić, żeby jej prosięta zjadły dojrzewające jesienne jabłka, w obawie, iż fermentując uszkodzą im mózgi, skutkiem czego prosięta zamieniają się w wieprze. Podczas bezśnieżnych świąt Bożego Narodzenia – zły to znak dla

²¹ białe wino hiszpańskie

ludzi starych – zacna staruszka osowiała i straciła siły. Położyła się do łóżka, apetyt ją opuścił i nie miała ochoty widywać się z najbliższymi znajomymi. Jej poczciwy małżonek wielce się zafrasował i posłał po lekarza. Lekarz obejrzał pacjentkę i zadawszy jej kilka pytań, wywołał męża z pokoju. „Diakonie²² – spytał go – czy chcecie, żeby wasza żona wróciła do zdrowia?” „Chcę”. „To kupcie jej natychmiast dzban Santa Cruz”. „Santa Cruz? Moja żona ma pić Santa Cruz?” „Inaczej umrze”. „Ale ile?” „Ile tylko zdoła”. „Ależ ona się upije!” „W ten sposób wróci do zdrowia”. Mądrych ludzi, a są nimi lekarze, trzeba słuchać. Rad nierad, wstrzemięźliwy diakon zdobył owo mało wstrzemięźliwe lekarstwo, a biedna staruszka – również wbrew własnemu sumieniu – lekarstwo zażyła. Rychło też odzyskała zdrowie i dobry humor, a także swój słynny apetyt, i znów rada była gościć przyjaciół. Przełamawszy, za sprawą tych przeżyć, lody jałowej abstynencji, nigdy już odtąd nie gardziła kieliszkiem.

Opowiadka powyższa zadziwiła kawalera na tyle, że wzbudziła jego ciekawość, nie na tyle jednak, iżby ją pochwalił.

– Jeśli dobrze zrozumiałem twoją przypowieść – rzekł z takim samym jak przedtem grubiaństwem w głosie – to sens jej jest taki, że człowiek nie może naprawdę cieszyć się życiem, jeśli nie odrzuci zbyt trzeźwego na życie poglądu. Ponieważ jednak pogląd zanadto trzeźwy niewątpliwie bliższy jest prawdy niż pogląd zanadto pijany, ja, który cenię prawdę, choćby to była zimna woda, wyżej niż nieprawdę, choćby była tokajem – pozostanę wierny swemu glinianemu kubkowi.

– Rozumiem – kosmopolita wydmuchał powoli ku górze wielopiętrową wstęgę leniwego dymu. – Rozumiem. Wolisz wyniosłych.

– Co takiego?

– Och, nic. Ale gdybym się nie obawiał, że cię zanudzę, mógłbym ci opowiedzieć inną historię. Historię o starym bucie na strychu u pasztetnika, który to but kurczy się tam między rozpalonym od słońca dachem a piecem do wypieku, wysycha na wióry, wykrzywia się i paczy. Na pewno widział takich starych twardoskórych mieszkańców poddaszy, nieprawdaż? Bardzo wyniosłe, trzeźwe, stroniące od ludzi, filozoficzne, wspaniałe stare buty. Nie przeczę. Ale osobiście wolałbym być znoszonym kapciem pasztetnika z parteru. Skoro mowa o pasztetnikach, to wolę pasztecik od tortu. To wyniosłe trzymanie się z boku jest żalną pomyłką. Pod tym względem uważam ludzi za podobnych kogutom – ten, co siada sam jeden na wysokiej grzędzie, musi być pośmiewiskiem całego kurnika albo ma pypcia.

– To obelgi! – wykrzyknął kawaler, wyraźnie dotknięty.

– Któż został zelżony? Ty czy rodzaj ludzki? Cóż to: nie potrafisz przyglądać się z boku, jak lży się rodzaj ludzki? A więc masz jakiś szacunek dla rodzaju ludzkiego.

– Mam szacunek dla *siebie* – odrzekł tamten lekko drżącymi wargami.

– A do jakiego rodzaju ludzi można *ciebie* zaliczyć? Czyż nie widzisz teraz, mój drogi, w jakie sprzeczności wikła się człowiek, który nie ma szacunku dla ludzi? Miło mi, że mój drobny fortel odniósł skutek. Dalejże, zastanów się dobrze! Na początek zaś, nim zmienisz nastawienie, porzuć samotnictwo. Nawiasem mówiąc, obawiam się, żeś się swego czasu naczytał Zimmermanna, tego starego ponuraka, którego książka o samotności jest tak samo nic niewarta, jak książka Hume’a o samobójstwie i Bacona o poznaniu. I podobnie jak tamte książki sprawi zawód temu, kto usiłuje pokierować w oparciu o nią swoją duszą

²² diakon – w Kościele protestanckim pastor zajmujący się akcją charytatywną

i ciałem, tak jak sprawiłaby mu zawód fałszywa religia. Wszyscy ci autorowie – możesz sobie ich wychwalać, ile ci się tylko podoba – nie proponują ludziom złaknionym ugruntowania rządów szczęścia niczego w duchu pospólnej radości, opartej na należynej ufności pokładanej w niebie. Precz z nimi! Mogą ich sobie czytać biedni oszukani albo jeszcze biedniejsi oszuści.

Zachowywał się przy tym z taką powagą, że chyba niewielu znalazłoby się słuchaczy, na których nie zrobiłoby to mniejszego lub większego wrażenia, nerwowi zaś oponenti być może spuściliby nieco z tonu. Po chwili namysłu kawaler odrzekł: – Gdybyś był człowiekiem doświadczonego, wiedziałbyś, że twoja teoria o zagładaniu do kieliszka – choćbyś przypisywał jej nie wiadomo jakie znaczenie – jest tak samo marna jak każda inna. A opowiadający się za winem Koran Rabelais’go nie budzi wcale większego zaufania niż występujący przeciwko winu Koran Mahometa.

– Dość. – Na znak, że rozmowa dobiega końca, nieznajomy wytrząsnął popiół z fajki. – Bez przerwy mówimy i mówimy, a wciąż stoimy w tym samym miejscu. A może byśmy odbyli mały spacer? Służę ramieniem: zajmijmy się czymś innym. Wieczorem mają pono urządzić tańce na pokładzie spacerowym. Ja im odtańczę szkockiego, a ty mi przytrzymasz drobniaki, żeby coś się uratowało, potem zaś, mój drogi, proponuję, żebyś odstawił strzelbę i sam się puścił w tany, podkasawszy te twoje skóry, a ja ci potrzynam zegarek. Co ty na to?

Usłyszawszy tę propozycję, kawaler zamienił się znów w szopa.

– Słuchaj no – huknął strzelbą w pokład – czyś ty Jeremiasz Diddler numer trzy?²³

– Jeremiasz Diddler? Słyszałem o proroku Jeremiaszu oraz o Jeremiaszu Taylorze, duchownym, ale ten twój Jeremiasz to jakiś nie znany mi dżentelmen.

– Jesteś jego zaufanym współpracownikiem, nieprawdaż?

– Czyim, jeśli łaska? Nie żebym się nie uważał za godnego zaufania, ale nie rozumiem.

– Jesteś jednym z nich. Tak się składa, że się dziś spotykam z łotrami. Z niesłychanymi łotrami, których łotrostwo przechodzi najśmielsze wyobrażenia. Widać – dopust Boży. Ale ten zielarz Diddler bije na głowę tych Diddlerów, co przychodzą po nim.

– Zielarz? Jaki zielarz?

– Podobny do ciebie: jeszcze jeden łotr więcej.

– Kto? – kosmopolita przysunął się bliżej, jakby zamierzał odbyć długą, wszystko wyjaśniającą pogawędkę. Rozwarł lewą dłoń, w poprzek której leżała, niczym szkolna linijka do wymierzania kary, jego długa fajka. – Mylny jest twój sąd o mnie. Żeby wyprowadzić cię z błędu, troszkę z tobą podyskutuję i...

– Nie, nie podyskutujesz. Mam już dość tego dyskutowania. Już się dziś nadyskutowałem do syta.

– Posłuchaj tylko. Czy możesz zaprzeczyć – zachęcam cię do tego – że człowiek wiodący żywot samotnika jest szczególnie narażony na to, iż wyrobi sobie jak najbardziej błędne i pożałowania godne pojęcie o obcych?

– Owszem, zaprzeczam temu – kawaler znów dał się złapać na przynętę przez swą porywczosć. – I w mig ci udowodnię, że się mylisz. Posłuchaj no...

– Zaraz, zaraz, zaraz, mój drogi – kosmopolita wyrzucił przed siebie obie

²³ por. przyp. 8

wyprostowane dłonie, czyniąc z nich rodzaj podwójnej tarczy. – Za bardzo mnie naciskasz. Nie dajesz człowiekowi szansy. Mów, co chcesz, ale odrzucić moją propozycję, odrzucać towarzystwo ludzi w jakikolwiek sposób – to dawać dowód prostactwa, zimnego i pozbawionego miłości, gdy tymczasem przyjęcie mojej propozycji wskazywałoby na charakter serdeczny i przyjazny ludziom, w istocie – skąpany w słońcu.

W tym miejscu kawaler – znów głęboko poruszony – wdał się na swój przewrotny sposób w bardzo nieprzyjemny wywód o starych głuchych światowcach, co to mają się dobrze na głuchącym świecie, o cierpiących na podagrę żarłokach, ze słabości ulegających obżarstwu, o wygorsetowanych kokietkach obłapiających w tańcu wygorsetowanych fircyków – a wszystko to pod pozorem bezinteresownego życia towarzyskiego – oraz o tysiącach tych, którzy zbankrutowali przez rozrzutność, doprowadzając się do ruiny z samej tylko miłości do słodczy, jaką daje przebywanie z ludźmi, bo przecież nie z zawiści, rywalizacji lub jakichś innych niegodnych pobudek.

– Ach, ach! – kosmopolita poruszył z dezaprobatą fajką – ironia jest tak niesprawiedliwa, nigdy jej nie znosiłem. W ironii jest coś szatańskiego. Broń mnie Panie Boże przed Ironią i jej serdeczną przyjaciółką – Satyrą.

– Tak się modli prawdziwy niktzemnik, a także prawdziwy głupiec – kawaler odciągnął z trzaskiem zamek u strzelby.

– A teraz zdobądź się na szczerość. Przyznaj, że te obelgi były bezpodstawne. Lecz nie, nie, niemożliwe, żebyś tak myślał. W każdym razie stać mnie na to, żeby wziąć to pod uwagę. Ach! Czyś ty w ogóle pomyślał, o ile przyjemniej jest pykać z tej fajeczki filantropa, aniżeli gmerać bez przerwy przy tej strzelbie mizantropa. Co do twojego światowca, żarłoka i kokietki, choć niewątpliwie mogą oni mieć swoje drobne wady – a któż ich nie ma? – przecież jednak nikomu z tej trójki nie można zarzucić straszego grzechu unikania towarzystwa ludzi. Mówię „straszego”, bo nierzadko wynika z niego coś jeszcze bardziej mrocznego: wyrzuty sumienia.

– Wyrzuty sumienia odpychają człowieka od ludzi? Jakże to się stało, że twój bliźni Kain, dokonawszy pierwszego mordu, poszedł budować pierwsze miasto? I czemuż to dzisiejszy Kain niczego się nie lęka bardziej niż osadzenia w samotnej celi?

– Kochany, wpadasz w podniecenie. Mów, co chcesz, ale ja osobiście muszę mieć wokół siebie mych bliźnich. I to mnóstwo, mnóstwo!

– Złodziejaszek też uwielbia, żeby otaczali go bliźni. Ech, człowieku! Zapuszczają się w tłum można tylko w tym celu, i zbyt wielu ludzi ma ten sam cel co złodziejaszek: czyli cudzą sakiewkę!

– No, no, mój drogi. Jakże możesz mówić coś takiego, skoro wiadomo przecież, że zgodnie z prawem naturalnym ludzie są istotami towarzyskimi, podobnie jak owce są zwierzętami stadnymi. Przyjmijmy wszakże, że celem każdego człowieka jest, żeby być istotą towarzyską, ty zaś, ty sam, na mocy tego założenia, wstąpże od zaraz między ludzi, natychmiast, i niechże weselsza filozofia stanie się twym celem! Chodźmy na przechadzkę.

Ponownie zaproponował mu swe przyjazne ramię, ale kawaler znów je odtrącił i podniósłszy strzelbę, wygłosił z werwą tę oto inwokację: – O, oberpolicmajstrze! Złap i pokrzyżuj plany wszystkich łajdaków w twych rewirach i wszystkie szczury w skrzyniach z ziarnem, a jeśli po tym statku, który jest skrzynią ludzkiego ziarna, buszuje teraz jakiś chytry, przymilny szczur bałamut, przyprzyj go, o najwyższy szczurołapie, do tej burty!

– Szlachetny to wybuch! Dowodzi, że w głębi serca as z siebie. W takim zaś wypadku

nie ma większego znaczenia, czy to as pikowy, czy as karo. Jesteś jak dobre wino: będzie jeszcze lepsze, byleby tylko wstrząsnąć. No, zgódźmy się, że obaj płyniemy do Nowego Orleanu, a tam przesiadamy się na statek do Londynu. Ja zatrzymam się u przyjaciół w okolicy Primrose Hill, a ty ulokujesz się w hotelu Piazza, przy Covent Garden – Piazza, Covent Garden. Bo powiedz sam, ponieważ nie chcesz do końca przejść na moją stronę, czyż Diogenes, który wiódł żywot wesołka na targowisku kwietnym, nie miał większego poczucia humoru niż ów mniej mądry Ateńczyk, co zaszył się w sosnowych ostępach i zamienił w stracha na wróble? Nieroztropny był jegomość z tego Tymona.

– Podaj rękę!

– Czyżby? Serdeczne uściśnięcie. A więc mam rozumieć, żeśmy się zbratali?

– Jak tylko mogą się zbratać mizantrop z mizantropem – powtórnie ze straszną siłą uściśnął mu rękę.

– Myślałem, że dzisiejsi ludzie tak już nisko upadli, że nie są zdolni do mizantropii. Cieszę się, że przynajmniej w tym jednym wypadku – jakże zamaskowanym – zostałem wyprowadzony z błędu.

Tamten przyglądał mu się w osłupieniu.

– To się na nic nie zda. Jesteś Diogenesem, Diogenesem w przebraniu. Tak jest: Diogenesem, który przywdział maskę kosmopolity.

Nieznajomy, którego oblicze tymczasem sposepniało, stał jeszcze dłuższą chwilę w milczeniu, by w końcu przemówić zboliałym głosem:

– Jakże ciężki jest los adwokata jakiejś sprawy, co poczyniwszy w swym zapale zbyt wielkie ustępstwa, zostaje uznany za stronnika tego, którego stara się właśnie usilnie, acz bezskutecznie, nawrócić!

Ze zmienioną twarzą ciągnął dalej: – Przybywam do ciebie, Izmaelu, ukrywając me zamiary pod pozorem żartów, jako ambasador rodzaju ludzkiego, ażeby cię zapewnić, że w odróżnieniu od ciebie ludzie nie żywią do ciebie urazy, tylko usiłują doprowadzić do ugody pomiędzy tobą a nimi. Ty jednak wzięłeś mnie nie za uczciwego wysłannika, lecz za Bóg wie jakiego szpiega. Drogi panie – dodał jeszcze mocniejszym głosem – ta pomyłka w stosunku do mej skromnej osoby powinna cię nauczyć, że możesz się także mylić co do innych ludzi. Na miłość boską – położył na nim obie dłonie – zdobądź się na ufność. Zobacz, jak podejrzliwość wystrychnęła cię na dudka. Ja – Diogenesem? Ja tym, który wzniosłszy się ponad mizantropię, nie tyle nienawidził rodzaju ludzkiego, ile nim gardził? Wolałbym paść trupem!

Co powiedziawszy, filantrop oddalił się już nie tak lekkim krokiem, jakim przyszedł – pozostawiając zbitego z tropu mizantropa w samotności, której był on tak wielkim admiratorem.

ROZDZIAŁ XXV

Kosmopolita zawiera znajomość

Odchodzącego kosmopolitę napotkał pasażer, który z typową dla Zachodu bezceremonialnością zwrócił się do nieznanego tymi oto słowy:

– Dziwny typ z tego twojego przyjaciela. Sam miałem z nim troszkę do czynienia. Byłby z niego wcale zabawny staruszek, gdyby nie te jego diabelskie analizy. Przypomina mi trochę to, co słyszałem o pułkowniku Johnie Moredocku ze stanu Illinois, tylko że twój przyjaciel chyba nie jest w gruncie rzeczy tak porządnym człowiekiem.

Działo się to w półokrągłym przedsionku kajuty – pozwalającym skryć się przed zgiełkiem pokładu – oświetlonym przez wiszącą u góry lampę, która rzucała w dół pionowy snop światła niczym słońce w południe. Pod lampą stał ów mówiący, dostarczając każdemu, kto miałby na to ochotę, całkiem dogodnej sposobności, by mu się bacznie przyjrzeć, ale wzrok, jaki teraz na nim spoczywał, nie był wzrokiem grubianina, który skorzystał z tej sposobności.

Człek ni to szczupły, ni tęgi, niewysoki, ani nie wychudzony, ale takiej budowy cielesnej, która idealnie wprost mogła służyć jego duszy. Co się zaś tyczy reszty, to może mniej wyróżniał się rysami niż ubiorem, którego piękno tkwiło z kolei nie tyle w dopasowaniu, co w kroju, nie mówiąc już o tym, że delikatność tkaniny bynajmniej nie szła w parze z delikatnością cery, a także i o tym, że trudno było uznać za stosowną fiołkową kamizelkę, co rzucała poblask w barwach zachodzącego słońca na oblicze typowego żółciowca.

Ogólnie jednak nie można było powiedzieć z pełnym przekonaniem, że ma wygląd nieprzyjemny. Przeciwnie: u ludzi życzliwych z pewnością nie budził on nieżyczliwości, natomiast u innych niewątpliwie wywoływał osobliwe zaciekawienie, a to za przyczyną owej wylewności malującej się bujnym rumieńcem na jego obliczu, a kontrastującej z niesamowitą ziemistością malarycznej cery, pod którą kryła się zbawienna powściągliwość charakteru. Nieprzychylni krytycy mogli byli myśleć, że to sposób bycia wywołał u owego człowieka rumieniec na twarzy, było to jednak takie samo złudzenie, jak zarumienione przez kamizelkę policzki. I mimo że zęby miał wyjątkowo zdrowe, ciż sami gburzy byliby gotowi szeptać, że są zbyt zdrowe, by mogły być prawdziwe, a raczej że nie są aż tak zdrowe, jak być by mogły, bo najlepsze protezy wykonuje się zawsze z przynajmniej dwoma czy trzema usterkami, żeby wyglądały bardziej naturalnie. Na szczęście jednak dla lepszych wytłumaczeń, żaden taki krytyk nie znajdował się przed oczami nieznanego, lecz właśnie kosmopolita, który odwzajemnił najpierw milczącym przywitaniem jego pierwsze słowa – a jeśli wydawać się mogło, że uczynił to z mniejszą werwą, niż kiedy zagadnął kawalera znad Missouri, to najpewniej ze względu na smutny finał tej ostatniej rozmowy – a następnie tak oto przemówił:

– Pułkownik John Moredock – powtórzył w roztargnieniu – to nazwisko nasuwa mi na pamięć pewne wspomnienia. Proszę mi powiedzieć – twarz mu się ożywiła – czy przypadkiem nie był on jakoś spokrewniony z Moredockami z Moredock Hall w angielskim hrabstwie Northamptonshire?

– Wiem o Moredockach z Moredock Hall tyle samo, co o Burdockach z Burdock Hut – odrzekł tamten, przybrawszy minę przypominającą poniekąd minę tych ludzi, którzy sami są kowalami własnego losu – wiem tyle, że pod koniec życia nieboszczyk John Moredock był człowiekiem sławnym. Z wejrzenia przypominał Lochiela, palce miał jak cyngle, odwagę pumy i dwa tylko drobne dziwactwa: rzadko rozstawał się ze swą strzelbą i nienawidził Indian jak węży.

– Wyglądałoby więc na to, że ten twój Moredock pochodził z Moredocków leśnych, z Misanthrope Hall. Coś mi się zdaje, że nasz pułkownik nie był zbyt wytwornym człowiekiem.

– Wytworny czy niewytworny, rozczochrany w każdym razie nie chodził, brodę miał jedwabistą i kręcone włosy, i dla wszystkich oprócz Indian był słodki jak brzoskwinia. No ale Indian nieboszczyk John Moredock, znany wróg Indian ze stanu Illinois, nienawidził strasznie!

– Pierwszy raz słyszę coś takiego. Nienawidził Indian? Czemuż on lub ktokolwiek inny miały nienawidzić Indian? *Ja* ich uwielbiam. Mówiono mi zawsze, że to jedna z najwspanialszych ras ludzi pierwotnych, obdarzona wieloma heroicznymi cnotami. To samo można powiedzieć o niektórych szlachetnych indiańskich niewiastach. Kiedy pomyślę o Pocahontas²⁴, gotów jestem miłować Indian całym sercem. A byli jeszcze Massasoit, Filip z Mount Hope, Tecumseh, Czerwony Kubrak oraz Logan: bohaterowie. Jest Pięć Narodów i Araukanie: związki braterskich plemion. I jak tu nienawidzić Indian? Nieboszczyk John Moredock niewątpliwie zawędrował na manowce myśli.

– Owszem, wędrował sporo po lasach, ale nigdy nie słyszał, żeby wędrował gdzieś indziej.

– Mówisz poważnie? Czyż to możliwe, żeby ktokolwiek do tego stopnia uznał za swą misję nienawiść do Indian, iż na jego określenie ukuto specjalne wyrażenie: „wróg Indian”?

– Właśnie tak.

– Do licha! Mówisz o tym tak spokojnie. Ale ja naprawdę chciałbym się czegoś dowiedzieć o tej nienawiści do Indian. Trudno mi w coś takiego uwierzyć. Czy byłbyś łaskaw opowiedzieć mi pokrótce o tym niezwykłym człowieku?

– Z największą przyjemnością – nieznajomy wyszedł z przedsionka i wskazał kosmopolicie stojącą w pobliżu kanapkę. – Proszę tam usiąść, a ja siądę przy panu. A więc pragnie pan usłyszeć opowieść o pułkowniku Johnie Moredocku. Cóż, pamiętam, jakby to było dzisiaj, ów dzień, dzień z mych lat chłopięcych, kiedy ujrzałem strzelbę pułkownika wraz z prochnicą wiszącą w szałasie na zachodnim brzegu rzeki Wabash. Odbywałem wówczas długą podróż na zachód, przemierzając wraz z mym ojcem rozległe pustkowia. Zbliżało się południe i zatrzymaliśmy się w tym szałasie na popas. Służący, którego tam zastaliśmy, wskazał nam strzelbę, mówiąc, do kogo należy. Dodał także, że pułkownik śpi właśnie na wilczych skórkach na stryszku na kukurydzę, toteż powinniśmy mówić cicho, bo pułkownik przez całą noc polował (ma się rozumieć – na Indian) i byłoby grubiaństwem zakłócać mu odpoczynek. Chcieliśmy bardzo zobaczyć tak sławnego człowieka i czekaliśmy całe dwie godziny, mając nadzieję, że zejdzie na dół, ale nie zszedł. Tak więc, ponieważ trzeba było dotrzeć do następnej chaty przed nadejściem nocy, musieliśmy odjechać nie zaspokoiwszy naszej ciekawości. Choć prawdę powiedziawszy, jeśli o mnie chodzi, to nie odjeżdżałem całkiem zawiedziony, bo kiedy mój ojciec poił konie, zakradłem się cichcem do szałasu, wspiałem kilka szczebli po drabinie i przepchnąwszy głowę przez zapadnię, rozejrzałem się wokół. Na strychu panował półmrok, ale w odległym kącie ujrzałem coś, co wziąłem za wilcze skóry, a na nich jak gdyby stertę nawianych liści zwieńczoną w pewnym miejscu czymś, co przypominało kępę mchu, nad nią zaś rozwidlające się jelenie poroże. Wtem mała wiewiórka wyskoczyła ze stojącej tuż

²⁴ Pocahontas (? – 1616), zwana „Księżniczką indiańską”, córka wodza plemienia Powhatan z Wirginii. Uratowała od pala męczarni kapitana Johna Smitha działającego z ramienia „Towarzystwa dla zasiedlania Wirginii”. Poślubiona przez angielskiego szlachcica Johna Rolfe'a, wyjechała do Anglii, gdzie zmarła na ospę tuż przed zamierzonym powrotem do Ameryki. Jej historia stanowi jeden z najbardziej znanych epizodów w dziejach podboju Nowego Świata. Chrześcijańskie imię Pocahontas – Rebeka.

obok klonowej misy na orzechy, musnęła ogonem kępę mchu i zniknęła w jakiejś dziurze, wydając piski. Prócz tego drobnego fragmentu owego leśnego ustronia nie widziałem nic więcej. Ani śladu pułkownika Moredocka, chyba że owa kępa mchu to była jego kędzierzawa głowa, którą widziałem od tyłu. Byłbym rzecz wyjaśnił do końca, ale ów służący na dole przestrzegł mnie, że choć dzięki przyzwyczajeniom, jakich pułkownik nabrał w swym obozowym życiu, potrafił on przespać burzę z piorunami, to jednak z tego samego powodu zadziwiająco szybko budził się na odgłos kroków, nawet najlżejszych, zwłaszcza zaś kroków ludzkich.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział kosmopolita, kładąc delikatnie rękę na przegubie opowiadającego – ale obawiam się, że pułkownik z natury nie dowierzał ludziom, jako że w znacznym stopniu lub całkowicie był pozbawiony ufności. Prawda, że przejawiał pewną skłonność do podejrzliwości?

– Wprost przeciwnie. Zbyt był doświadczony. Nie podejrzewał nikogo, ale w sprawach Indian nie był ignorantem. Cóż, jak pan może wywnioskował, nigdy w pełnym tego słowa znaczeniu nie widziałem owego człowieka, jednakże w ten czy inny sposób nasłuchiwałem się o nim wiele, w szczególności zaś słyszałem wielokrotnie jego historię z ust przyjaciela mego ojca, Jamesa Halla, wie pan, tego sędziego. Ilekroć w jakimś towarzystwie poproszono go o jej opowiedzenie – nikt nie potrafił opowiedzieć jej lepiej – wpadał koniec końców w styl tak drobiazgowy, że można było pomyśleć, iż mówi nie tyle do słuchaczy, co do niewidzialnego sekretarza piszącego pod jego dyktando.

Wydawało się, że wypowiada się dla prasy. Robiło to doprawdy przejmujące wrażenie. Mając zaś równie wrażliwą pamięć, sądzę, że w razie potrzeby umiałbym odtworzyć opowieść sędziego o pułkowniku prawie słowo w słowo.

– Ależ proszę bardzo! – rzekł kosmopolita, wyraźnie ucieszony.

– Czy mam przedstawić także filozofię sędziego i inne tego rodzaju rzeczy?

– Jeśli o to chodzi – odparł kosmopolita, przerywając na chwilę napełnianie cybucha – celowość przedstawienia człowiekowi o wyrobionych poglądach filozofii wyznawanej przez innego człowieka zależy w dużym stopniu od tego, do jakiej szkoły filozoficznej on się zalicza. Proszę mi powiedzieć, wyznawcą jakiej szkoły albo systemu mógł być sędzia?

– No cóż... choć umiał czytać i pisać, to nauk wiele w życiu nie pobierał. W każdym razie powiedziałbym, że jeśli już należał do jakiejś szkoły, to do tej, która opowiada się za wolnością. Tak. Był gorącym patriotą i bardzo popierał szkoły uczące wolności.

– W filozofii? Człowiek o wyrobionych poglądach – przy całym szacunku dla patriotyzmu sędziego i jego zdolności gawędziarskich – postąpiłby tedy całkiem słusznie, wstrzymując się z sądem dotyczącym przypuszczalnej filozofii sędziego. Ale ja nie jestem rygorystą: błagam, niech pan mówi dalej o jego filozofii czy o czym pan tylko zechce.

– Cóż, zasadniczo wolałbym tę część pominąć, przeprowadzając tylko na początek swego rodzaju filozoficzne rozeznanie terenu. Sędzia uważał to zawsze za rzecz niezbędną w rozmowie z nieznanymi. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że pułkownik Moredock nie miał wcale monopolu na nienawiść do Indian. W tej czy innej postaci i w mniejszym czy większym stopniu dzielił tę namiętność z ogromną większością ludzi należących do tej samej co on klasy. Nienawiść do Indian nadal istnieje, i niewątpliwie będzie istniała tak długo, jak długo istnieć będą Indianie. Nienawiść do Indian będzie zatem pierwszym tematem mojej opowieści, drugim zaś i ostatnim będzie pułkownik Moredock, słynny wróg Indian.

W ten oto sposób rozpoczął nieznanomy, usadowiwszy się wygodnie, kosmopolita zaś

skierował nań baczna uwagę, pykając fajkę. Jego wzrok błędził po pokładzie, ale prawe ucho nadstawił w kierunku mówiącego w ten sposób, by każde słowo mogło doń dotrzeć za możliwie jak najmniejszym pośrednictwem atmosfery. Wydawało się, że aby wyostrzyć zmysł słuchu, przytępił zmysł wzroku. Najmilsze nawet słowa nie mogły być tak bardzo pochlebne, ani wyrażać równie uderzającej uprzejmości, jak owo elokwentne milczenie towarzyszące uwadze skupionej wyłącznie na słuchaniu i wchłanianiu opowieści.

ROZDZIAŁ XXVI

Zawierający metafizykę nienawiści do Indian, wyłożoną zgodnie z poglądami kogoś wyraźnie mniej przychylnie niż Rousseau usposobionego do dzikich

– Sędzia rozpoczynał zawsze tymi słowy: „Zastanawiano się nieraz nad nienawiścią, jaką człowiek żyjący w puszczy żywi do Indian. Dawniej, w czasach pionierskich, uważano to za łatwe do wytłumaczenia. Kiedy jednak indiańskie rozboje ustały na tych terenach, gdzie niegdyś były powszechne, filantrop ku swemu zdumieniu przekonał się, że mimo iż grabieże się skończyły, nienawiść do Indian trwa nadal. Toteż filantrop zastanawiał się, dlaczego puszczanin wciąż odnosi się do czerwonoskórych w bardzo podobny sposób co sąd do zbrodniarza lub traper do żbika, czyli jak do stworzenia, któremu okazać litość byłoby niemądrze, a ponieważ rozejm z nim jest bezcelowy, trzeba go zgładzić. Dość dziwny punkt widzenia – mówił dalej sędzia – i może nie wszyscy, choćby nawet udzielono im szczegółowych wyjaśnień, potrafią go w pełni zrozumieć. Ażeby bowiem zbliżyć się tutaj do jakiegoś zrozumienia, każdy – kimkolwiek byłby – powinien koniecznie dowiedzieć się – a jeśli już wie, wciąż mieć to na uwadze – jakiego rodzaju człowiekiem jest puszczanin, bo jeśli chodzi o to, jakiego rodzaju człowiekiem jest Indianin, sporo ludzi wie to z historii lub z własnego doświadczenia.

Puszczanin żyje samotnie. Jest ostrożny. Jest człowiekiem silnym i nie zepsutym. Grzeszy popędliwością, będąc – jak to niektórzy nazywają – człowiekiem pozbawionym skrupułów. Tak czy inaczej, jest istotą upartą i raczej nie słucha, co inni mają do powiedzenia, tylko sam stara się przekonać, jak się rzeczy mają. Gdy znajdzie się w opałach, nie bardzo ma się do kogo zwrócić o pomoc – musi polegać na sobie, bo tylko na siebie może zawsze liczyć. Stąd wynika jego pewność siebie, w której posuwa się tak daleko, że trwa przy swoim zdaniu, choćby było całkiem odosobnione. Nie oznacza to, że uważa się za nieomylnego: zbyt wiele błędów popełnionych w tropieniu zwierza świadczy o czymś przeciwnym; uważa tylko, że tak samo jak opos otrzymał w darze od natury wrodzoną mądrość. Dla tych istot zamieszkujących dzikie pustkowia owa naturalna mądrość stanowi najlepsze oparcie. Jeśli mimo swej wrodzonej mądrości opos nie uniknie potrzebasku, a puszczanin da się wciągnąć w zasadzkę, muszą ponieść związane z tym konsekwencje, nie muszą jednak o to się obwiniać. U puszczanina, podobnie jak u oposa, instynkt bierze górę nad regułami. I tak jak opos, puszczanin jest przykładem stworzenia żyjącego wyłącznie wśród dzieł Bożych, choć prawdę powiedziawszy, nie rodzą w nim one zbyt wielu pobożnych myśli. Rzadko zgina kark lub kolano, chyba że przykleknąwszy celuje ze strzelby albo czyści jej skałkowy zamek. Z garstką towarzyszy, skazany na to, by długo znosić swój los samotnika – mężnie poddaje się tej próbie, niełatwej, gdyż obok

konania samotność – jeśli ją znosić jak należy – jest może najsurowszym sprawdzianem męstwa i odwagi. Lecz puszczanin nie tylko że jest rad temu, iż jest samotny, on bardzo często tego właśnie pragnie. Widok dymu odległego o dziesięć mil powoduje, że po raz kolejny odsuwa się od ludzi, zapuszczając o krok głębiej w świat natury. Czy dlatego, że czuje, iż czymkolwiek byłby człowiek, to przecież nie jest on, i nie może być, całym światem? Powiecie, że wcale nie jest on wcieleniem wspaniałości, piękna, dobroci. Że tak jak płoszy swą obecnością ptaki, tak samo wystrasza wiele ptakom podobnych myśli. Bez względu na odpowiedź, puszczanin nie jest pozbawiony swoistego piękna. Choć ma wygląd kosmatego nieokrzesanego, niewykluczone, że jest z nim tak samo jak z szetlandzką foką: pod szczeciną kryje się futro.

Choć uważano go za barbarzyńcę, puszczanin był chyba dla Ameryki tym, czym dla Azji Aleksander Wielki: dowódcą przedniej straży cywilizacji zdobywców. Czyż ten kraj, mimo że rosły jego potęga i bogactwo, nie płaszczył się przed nim? Ten, który przecierał szlak i zapewniał bezpieczeństwo idącym w ślad za nim, nie prosił dla siebie o nic oprócz znoju. Godny był tego, by porównać go z Mojżeszem w Księdze Wyjścia lub z cesarzem Julianem w Galii, który pieszo, z obnażonym czołem dzień po dniu maszerował wskroś żywioły na czele pieszych lub konnych legionów. Rzeka imigrantów niechaj toczy swe wody, kędy chce, a i tak nigdy nie wchłonie puszczanina, który podąża na czele, niczym Polinezyjczyk na grzebieniu morskiego bałwana.

Tak oto, choć przez całe życie wciąż posuwa się naprzód, wszędzie odnosi się do natury tak samo, i nie tylko do natury, lecz także do jej tworców, z Indianami i panterami włącznie. I dlatego jest całkiem możliwe, że choćby teorie Kongresu Pokojowego, dotyczące właśnie tych dwóch gatunków istot, były najtrafniejsze, puszczanin może podsunąć tu także pewne praktyczne sugestie.

Dziecko, które przyszło na świat w rodzinie puszczańskiej, musi wieść taki żywot jak jego ojciec, czyli żywot, w którym styczność z rodzajem ludzkim to przede wszystkim styczność z Indianami. Toteż uważa się powszechnie, że najlepiej będzie nie owijać niczego w bawełnę, tylko powiedzieć chłopcu szczerze, czym są Indianie i czego powinien się po nich spodziewać. Bo choć dopatrywanie się w Indianach członków Związku Przyjaciół²⁵ może stanowić dowód nie byle jakiej miłości bliźniego, jednakże utwierdzenie takiego o nich mniemania w kimś całkiem nie znającym Indian, czyja samotna ścieżka przebiega na długim odcinku przez ich ziemie – mogłoby ostatecznie okazać się nie tylko nieroztropne, ale i okrutne. W każdym razie wydaje się, że puszczańska edukacja opiera się mniej więcej na podobnej maksymie. Stosownie też do tego, jeżeli w młodości puszczanin zdradza pociąg do wiedzy – a na ogół tak bywa – wówczas wysłuchuje on od swych nauczycieli, sędziwych kronikarzy puszczy, niewiele więcej ponad opowieści o kłamstwach Indian, złodziejstwie Indian, szachrajstwie Indian, oszustwach i perfidii Indian, braku sumienia u Indian, żądzy krwi u Indian, diabelskich praktykach indiańskich – opowieści, które mimo że pochodzą z dzikiej leśnej głuszy, są prawie tak samo pełne niezbyt anielskich wątków, jak „Kalendarz więzienia Newgate” lub „Annały Europy”. Te właśnie opowiadania i przekazy o Indianach stanowią wyłączną podstawę wykształcenia młodzieńca. Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Instynktowna odraza do Indian rozwija się u puszczanina wraz ze zmysłem dobra i zła, cnoty i grzechu. Jednym tchem uczy się on, że bliźniego trzeba miłować, Indianina zaś – nienawidzić.

²⁵ Związek Przyjaciół (Society of Friends), czyli kwakrzy – sekta angielska założona ok. roku 1650 przez George'a Foxa, występująca przeciwko wojnie i składaniu przysięg.

Takie są okoliczności – mówił sędzia – które musi mieć na widoku ten, kto starałby się uprawiać tu moralizatorstwo. To straszne, żeby jakaś istota w ten sposób odnosiła się do innej, żeby miała sumienie uczynić całą rasę ludzką przedmiotem swej nienawiści. Jest to straszne, ale czyż może dziwić? Czy może dziwić, że nienawiść wzbudza rasa ludzi, która, jak się sądzi, ma czerwony kolor skóry mniej więcej z tego samego powodu, dla którego niektóre gatunki owadów są zielone? Rasa, której imię jest na terenach nadgranicznych *memento mori*, a którą odmalowuje się zawsze jako wcielenie wszelkiego zła: tak więc raz przyjmuje ona postać koniokrada z gatunku koniokradów z Moyamensing, raz skrytobójcy podobnego do awanturnika z Nowego Jorku, raz gwałciciela układów dorównującego Austriakom, raz postać pielgrzyma z zatrutymi strzałami pod szkaplerzem, to znów mordercy w majestacie prawa, niby jakiegoś Jeffriesa, co po procesie będącym jawną kpinią skazuje swą ofiarę na krwawą śmierć, albo postać Żyda, który podstępnie zwabia gościnnymi przemowami mdlejącego z wyczerpania w zasadzkę, aby go tam zamordować, a potem usunąć wszelkie ślady zbrodni, uważając to za czyn miły Manitu, swemu bogu.

Wszystko to przytacza się nie tyle jako zbiór prawd o Indianach, ale jako przykład tego, jaki obraz Indian wyrobił sobie puszczanin. Obraz ów – zdaniem ludzi miłosiernych – wyrządza Indianom pewną krzywdę. Sami Indianie są o tym głęboko przekonani i pod tym względem zgoła jednomyślni. W rzeczy samej Indianie zgłaszają sprzeciw wobec sposobu, w jaki zapatruje się na nich puszczanin: niektórzy uważają, że główną przyczyną, dla której odzwajemniają tak szczerze jego odrazę do nich, jest moralne oburzenie z powodu strasznych – bo tak rzeczywiście uważają i mówią – oszczerstw, jakimi obrzuca ich puszczanin. Pytanie jednak, czy w tym lub jakimkolwiek innym względzie należy Indianom przyznać prawo do osobistego złożenia wyjaśnień – przy wykluczeniu zeznań innych świadków – można pozostawić do rozstrzygnięcia Sądowi Najwyższemu. Zauważono w każdym razie, że kiedy Indianin szczerze nawraca się na chrześcijaństwo (wypadki takie nie są co prawda częste, choć w rzeczy samej niekiedy udaje się – przynajmniej z nazwy – doprowadzić do światła prawdy całe plemiona) – wówczas nie tai on swego oświeconego przekonania, zgodnie z którym z wyroku natury jego rasie przypadło w udziale zupełne zwyrodnienie. Tym samym przyznaje ni mniej, ni więcej, jak właśnie to, że nawet najgorsze o rasie tej wyobrażenie puszczanina nie odbiega zbyt od prawdy. Z drugiej zaś strony czerwonoskórzy, którzy są najgorliwszymi obrońcami teorii o cnotliwych i czule kochających Indianach, bywają czasem wyjątkowo zawziętymi koniokradami i najgwałtowniej wymachują tomahawkami. Tak przynajmniej twierdzi puszczanin. I mimo że znając naturę Indian – sądzi bowiem, że ją zna – nie lekceważy i tej możliwości, iż w niektórych wypadkach Indianin wprowadza w błąd samego siebie równie skutecznie, jak w leśnych podchodach potrafi niekiedy okpić innych – otóż mimo to wydaje się, że pomiędzy jego teorią a jego praktyką, zestawionymi wyżej dla kontrastu, zachodzi głęboka sprzeczność. Puszczanin tłumaczy to wyłącznie w ten sposób, że zakłada, iż jeśli wywijający tomahawkami czerwonoskórzy zaczyna mówić o dobroci i łagodności rasy czerwonej, to stanowi to tylko nieodrodny składnik owej subtelnej strategii, oddającej mu takie wielkie przysługi podczas wojny, na łowach i w ogóle w życiu.

Przy dalszym wyjaśnianiu owej głębokiej odrazy, z jaką puszczanin odnosi się do dzikusów, może okazać się pomocna – tak uważał sędzia – chwila zastanowienia się, jakąż to podniechęć do nienawiści zawierać mogą owe puszczańskie opowieści i podania, o których mowa była wcześniej. W związku z tym sędzia przytaczał historię małej kolonii Wrightów i Weaverów. Początkowo było to siedmiu kuzynów z Wirginii, którzy przynosili się wraz z rodzinami z miejsca na miejsce, aż wreszcie osiedli w pobliżu

południowej granicy osadnictwa, przebiegającej wówczas w okolicach Bloody Ground w stanie Kentucky. Byli to ludzie mocni i odważni, ale w przeciwieństwie do licznych pionierów ówczesnych nie kochali się wcale w walce dla samej walki. Do owej samotni zwabiła ich wciąż dająca znać o sobie pokusa, jaką przedstawia żyzna, dziewicza ziemia. Podczas marszu nie zaznali ze strony Indian żadnych przykrości. Kiedy jednak wyrąbano polany i pobudowano domostwa, wyszła na jaw odwrotna strona medalu. Po powtarzających się napaściach, które w końcu przekształciły się w działania wojenne narzucone im przez zwyrodniały szczep żyjący w ich sąsiedztwie – w wyniku napaści utracili zbiorę i bydło, a w wyniku działań wojennych dwóch z nich straciło życie, co było stratą niepowetowaną, inni zaś odnieśli bolesne rany – pozostałych pięciu kuzynów zawarło – idąc przy tym na poważne ustępstwa – coś w rodzaju układu z wodzem Mokmohokiem. Do zawarcia układu skłoniło ich ustawiczne nękanie przez wroga, który nie pozwalał im żyć w spokoju. Dodatkową jednak zachętą, a właściwie podniecią, była nagła zmiana postępowania Mokmohoka, który – w ich mniemaniu dzikus niemal tak samo perfidny jak Cezar Borgia – przybrał teraz pozór kogoś całkiem innego, obiecując zakopanie topora wojennego, wypalenie fajki pokoju i przyjaźń po wsze czasy, rozumianą nie tylko jako poniechanie wrogości, lecz także jako poświadczaną czynem zażyłą życzliwość.

Pamiętając wszakże dawnego wodza, nie ulegli oni zaślepieniu tym, czym wydawał się on obecnie, i dlatego – choć zmiana w jego zachowaniu wywarła na nich niemałe wrażenie – wciąż nie dowierzali mu na tyle, by nie zawarować sobie w zawartym porozumieniu także między innymi i tego – nie wyjawiając powodu – że jakkolwiek pomiędzy wigwamami i szałasami będzie się odbywała wymiana przyjacielskich wizyt, to jednak nie należy oczekiwać, iżby pięciu kuzynów miało kiedyś pod jakimkolwiek pozorem wkroczyć razem do siedziby wodza. Gdyby bowiem pod pozorem przyjaznych stosunków wódz żywił wobec nich złe zamiary i wprowadził je w życie, dotknęłoby ich to jedynie częściowo i niektórzy z owej piątki przeżyliby nie tylko ze względu na dobro swych rodzin, lecz także po to, by mogli się zemścić. A jednak za sprawą nie byle jakich umiejętności i ujmującego postępowania Mokmohokowi udało się wreszcie pozyskać ich zaufanie: pewnego razu sprowadził całą piątkę na ucztę z niedźwiedziego mięsa i podstępnie wymordował wszystkich. Kiedy w wiele lat później pewien śmiały myśliwy, którego wódz wziął do niewoli, zganił Mokmohoka – stojąc nad zbielełymi kośćmi owych pięciu kuzynów i ich rodzin – za to, że dopuścił się tak haniebnej zdrady, Indianin odrzekł szyderczo: „O jakiej zdradzie mówisz, blada twarzy?! To przecież oni pierwsi złamali umowę, bo przybyli wszyscy razem. To oni pierwsi ją złamali, bo zaufali Mokmohokowi”.

W tym miejscu sędzia przerywał opowieść, podnosił rękę i wodząc wkoło oczyma wykrzykiwał z namaszczaniem w głosie: Wszędzie matactwa i żądza krwi. Przenikliwość i geniusz wodza zdały się na to tylko, by stał się jeszcze okrutniejszym.

Po kolejnej pauzie sędzia wdawał się w wyimaginowany dialog pomiędzy puszczaninem a człowiekiem, który go indaguje:

– Czyż jednak wszyscy Indianie są podobni do Mokmohoka?

– Nie wszyscy są tacy jak Mokmohok, ale nawet w najbardziej nieszkodliwych może tkwić jego załazek. Istnieje coś takiego jak indiańska natura. „Mam w żyłach indiańską krew” – oto pogróżka mieszańca.

– Ale przecież niektórzy Indianie mają dobre serce?

– Owszem, ale dobrzy Indianie są leniwi i mają opinię prostaków. Rzadko się zdarza,

by byli wodzami. Wodzami zostają ludzie rzutcy, których uważa się za mądrych. Ciesząc się zatem niezbyt dużym poparciem, dobrzy Indianie mają też odpowiednio nikłe wpływy. Zresztą dobrych Indian źli Indianie zawsze mogą zmusić do wykonania rozkazów. Czyli: „Strzeż się Indianina, choćby był najlepszy”, jak mawiał Daniel Boone, któremu Indianie zabili synów.

– Ale czyż Indianie pastwili się nad wszystkimi bez wyjątku puszczanami?

– Nie.

– No a może przynajmniej niektórzy z was cieszą się jednak ich względami?

– Owszem, jednak rzadko który spośród nas jest aż tak zarozumiały lub aż tak samolubny, żeby uważać, iż to, że sam nie doświadczył gwałtu ze strony Indian, równoważy jakoś wręcz odwrotne przeżycia tylu innych ludzi i że wobec tego nie może – ogólnie rzecz biorąc – myśleć źle o Indianach. A jeśli mimo to myśli o nich dobrze, to strzała wbita w bok nasunęłaby mu z pewnością wątpliwości w tej kwestii.

Krótko mówiąc – wedle mniemania sędziego – jeśli w ogóle wierzymy puszczaninowi, to żeby należycie zrozumieć jego antypatię do Indian, trzeba ją rozważyć przy założeniu, że jej źródłem jest nie tyle samolubstwo, ile wzgląd na dobro innych, a może jedno i drugie zarazem. Po prawdzie bowiem mało jest znanych sędziemu rodzin, której członek lub ktoś z nią spokrewniony nie został przez Indian okaleczony lub oskalpowany. Cóż z tego zatem, że jakiś jeden Indianin lub dwóch, czy nawet trzech Indian, odnosi się do puszczanina przyjaźnie? To dlatego, że się mnie boi – myśli wówczas puszczanin. Wystarczy jednak mnie odebrać strzelbę, a jemu dać powód: co stanie się wówczas? A zresztą skąd mam wiedzieć, czy w nim nie odbywają się właśnie jakieś podświadome przygotowania do czegoś, o czym ani on, ani ja nie mamy w tej chwili najmniejszego pojęcia: jakiś rodzaj przygotowań chemicznych sposobiących duszę do jadu nienawiści, tak jak przygotowanie chemiczne sposobi ciało do choroby?

Puszczanin nigdy, ma się rozumieć, takich słów nie używał, to tylko sędzia nadał jego myślom stosowny wyraz. Tę część wywodu kończył zwykle wnioskiem: „tak zwany «przyjazny Indianin» to bardzo rzadki gatunek, lecz w tym całe szczęście, bo nic nie dorówna okrucieństwu «przyjaznego» Indianina, który zmienił się w nieprzyjaciela. Jeśli jako przyjaciel bywa tchórzem, wróg jest z niego odważny”.

Dotąd jednak rozpatrywaliśmy ową gniewną namiętność w sposób ogólny, jako uczucie żywione przez pewną społeczność. Jeśli do należnej mu porcji owej namiętności puszczanin doda jeszcze pasję osobistą, otrzymamy tworzywo, z którego formuje się – o ile się formuje – wróg Indian co się zowie.

Wrogiem Indian co się zowie jest podług definicji sędziego ten, kto wysawszy z mlekiem matki niewiele miłości do Indian, w młodości lub we wczesnym wieku męskim, nim jeszcze wrażliwa dusza porośnie mu twardym naskórkiem, dozna z ich rąk jakiegoś niesłychanego gwałtu bądź też – co prowadzi ostatecznie do takich samych skutków – ten, czyjego krewni lub ktoś z przyjaciół doznał podobnego gwałtu. Otóż otaczająca go zewsząd samotność natury namawia go lub wręcz zmusza, żeby rozmyślał nad tą sprawą, co też i czyni, aż myśli owe nabierają takiej siły przyciągania, że na podobieństwo z rzadka rozsianych oparów skupiających się wokół chmury burzowej – rozstrzelone myśli o innych gwałtach skupiają się wokół owej rdzennej myśli, stapiają się z nią i ją rozdyniają. Na koniec – poradziwszy się ziemskich żywiołów – podejmuje postanowienie. Niczym Hannibal – ale jeszcze bardziej zapiękły – ślubuje nienawiść, przed której ssącym wirem nawet najbardziej odległy odprysk rasy winowajców nie może czuć się naprawdę

bezpiecznym. Następnie składa stosowne oświadczenie i załatwia sprawy doczesne. Uroczyście, jak Hiszpan, który przywdział mnisi habit, żegna się z najbliższą rodziną, choć właściwie owe pożegnania mają coś z jeszcze bardziej wstrząsającej nieodwołalności rozstań u łoża śmierci. Wreszcie udaje się do przedpotopowej puszczy, by do końca ziemskiego żywota działać tam wedle powziętego na zimno, niczym w klasztornej samotni, planu dalekosiężnej, nieubłaganej i samotnej zemsty. Wciąż na bezgłośnym szlaku, zawsze spokojny, opanowany, cierpliwy, rzadko oglądany, częściej dający odczuć swą obecność, wietrzący nosem, węszący – Nemezis-Skórzana Pończocha²⁶. Już go więcej nie ujrzą w osadach. W oczach starych druhów zakręci się może łza na widok jakiegoś przypadkowego przedmiotu nasuwającego myśl o nim, lecz nie będą go szukali ani przyzywali, bo wiedzą, że nie nadejdzie. Mijają szybko dni i pory roku, tygrysia lilia rozkwita i więdnie, na świat przychodzą maleńkie dzieci, które podskakują potem na kolanach matek, lecz wróg Indian na dobre odszedł w swe odludne pielesze, a jego epitafium głosi: „Postrach”.

W tym miejscu sędzia – wyraźnie poruszony – przerywał ponownie, ale zaraz podejmował wątek: – Jest rzeczą oczywistą, że ściśle biorąc, nie może istnieć coś takiego jak biografia wroga Indian co się zowie, tak samo jak nie istnieje biografia ryby-miecza czy jakiegoś innego mieszkańca morskich głębin albo – coś jeszcze bardziej niemożliwego do wyobrażenia – biografia pośmiertna. Koleje losu wroga Indian co się zowie cechuje nieprzeniknioność, jaka z wyroków przeznaczenia stała się udziałem zaginionego parowca. Niewątpliwie zdarzyły się, musiały się zdarzyć jakieś wypadki – i to przerażające – ale siły rządzące naturą nakazały, aby nigdy nie stały się one dla nikogo nowiną.

Szczyściem wszakże dla ludzi ciekawych istnieje gatunek „rozwodnionych” wrogów Indian, których serce okazuje się mniej twarde niż ich stalowy mózg. Słodkie pokusy życia domowego zbyt często odciągają ich od ścieżki ascezy, niczym mnicha, który od czasu do czasu chce zakosztować uciech świeckiego życia. Podobni są oni także marynarzowi, co mimo że sporo przebywa poza domem, może mieć żonę i rodzinę w jakiejś zielonej przystani, o której wciąż pamięta. Jest z nimi tak samo, jak z owymi nawróconymi papistami w Senegal: okazuje się, że trudno wytrzymać posty i umartwianie.

Sędzia – ze zwykłą sobie przytomnością umysłu – uważał zawsze, że dogłębna samotność, w jakiej pogrąża się wróg Indian, ma – przez swoje grozą przejmujące oddziaływanie – niemało wspólnego z rozluźnieniem złożonych przezeń ślubów. Opowiadał tedy o wypadkach, kiedy po miesiącach samotnego tropienia nieprzyjaciół wróg Indian dostaje raptem jakby ataku podzwrotnikowej gorączki, pędzi na oślep w stronę pierwszego dojrzanego dymu, choć wie, że to dym indiański, ogłasza, że jest zbłąkanym myśliwym, oddaje dzikiemu strzelbę, zdaje się na jego łaskę i pada mu miłośnie w objęcia, błagając o zaszczyt pobycia przez chwilę w jego miłym towarzystwie.

– Co dzieje się – dzieje się aż nadto często – w następstwie takiego rozstroju, wiedzą najlepiej ci, co dobrze znają Indian. Ze stu słusznych i dostatecznych powodów sędzia utrzymywał, że nie zna żadnego innego zajęcia, którego skrupulatne wykonywanie wymagałoby tak wielkiej samodzielności, jak wymaga jej zajęcie, jakim trudni się wróg Indian. Sędzia twierdził, że taki człowiek zjawia się na świecie nie częściej niż raz na sto

²⁶ Skórzana Pończocha – tak brzmiało przezwisko Natty'ego Bumppo, tytułowego bohatera cyklu powieściowego J. F. Coopera *Leather Stocking Tales* (w przekładzie polskim *Pięcioksiąg przygód Sokolego Oka*).

lat.

Co się zaś tyczy osłabłego w swej nienawiści wroga Indian, to choć wywczas, na jakie sobie pozwala, rozluźniają karby, jakie ten typ człowieka sobie narzuca, nie wolno jednak nie dostrzegać, że jest to osobnik, który właśnie przez swoją niemoc umożliwia nam snucie domysłów – choćby najmniej trafnych – na temat tego, czym jest nienawiść do Indian w swej doskonałej postaci.

– Chwileczkę – łagodnie przerwał w tym miejscu kosmopolita – chciałbym tylko nabić mą fajkę pokoju.

Gdy to uczynił, tamten ciągnął dalej:

ROZDZIAŁ XXVII

Kilka słów o człowieku wątpliwej obyczajności, zasługującym chyba wszelako na szacunek owego wybitnego angielskiego moralisty, który powiedział, że podoba mu się człowiek zdolny do nienawiści

Wspomniawszy wreszcie o człowieku, do opowieści o którym wszystko, co dotąd powiedziano, było tylko wstępem, sędzia – a był on podobnie jak pan zamiłowanym palaczem – usilnie prosił całe towarzystwo o sięgnięcie po cygara, następnie zaś – zaciągnąwszy się – powstawał z miejsca i wyjątkowo uroczystym głosem powiadał: „Panowie, uczcijmy kłębem dymu pamięć pułkownika Johna Moredocka”. Stojąc zaciągał się kilka razy głęboko w wielkiej ciszy i w jeszcze większym zamyśleniu, po czym siadał z powrotem na swoje miejsce i podejmował przerwana przemowę: – Choć pułkownik John Moredock nie był wrogiem Indian co się zowie, to jednak miał swoisty stosunek do czerwonoskórych, i to na tyle silny, poparty do tego czynem, że z pewnością zasługuje na hołd, jaki przed chwilą oddaliśmy jego pamięci.

John Moredock był synem niewiasty trzykroć zamężnej i trzykroć owdowiałej za sprawą indiańskiego tomahawka. Trzech kolejnych mężów owej niewiasty było pionierami, z którymi wędrowała ona z odludzia na odludzie, zawsze na granicy osadnictwa. Na koniec znalazła się wraz z dziewięciorgiem dzieci na małej polance już za Vincennes. Tam przyłączyła się do gromady osadników, którzy zamierzali się właśnie przenieść do nowej krainy nad rzeką Illinois. Po wschodniej stronie rzeki Illinois nie było wówczas żadnych osad, ale po zachodniej – gdzie ciągnie się brzeg Missisipi – u ujścia rzeki Kaskaskia znajdowało się kilka starych siół francuskich. W okolicy owych maleńkich wiosek – a było to miejsce niczym nie skażone i bardzo przyjemne, poniekąd nowa Arkadia – zdążyła rodzina pani Moredockowej, bo jej członkowie właśnie tam umyślili się osiedlić. Na rzece Wabash wsiedli w łodzie, zamierzając spłynąć z jej nurtem do Ohio, a z nurtem Ohio do Missisipi i dalej, w kierunku na północ, aż dotrą do celu. Wszystko szło dobrze, póki nie dopłynęli do skały zwanej Wielką Wieżą. Musieli zejść na ląd, żeby przeciągnąć łodzie obok bystrzyny. Oddział leżących tam w zasadzce Indian wyskoczył wówczas z ukrycia i wymordował prawie wszystkich. Wśród ofiar była też wdowa i jej dzieci, prócz Johna, który znalazł się w drugiej partii płynącej pięćdziesiąt mil za pierwszą.

Wkraczał akurat w wiek męski, kiedy w ten sposób jako jedyny ocalały ze swego rodu ostał się na świecie. Inni młodzieńcy może przywdziałiby wieczną żałobę, on zamienił się w mściciela. Nerwy miał niczym drut przewodzący elektryczność: wyczulone, lecz stalowe. Był człowiekiem tak opanowanym, że nic nie mogło przyprawić go o bladeść ani o rumieńce. Powiadano, że kiedy przyniesiono mu tragiczną nowinę, siedział na brzegu pod świerkiem, posilając się dziczyzną. Usłyszawszy wieści, wpiersz zadrżał, a potem jadał dalej – powoli i uważnie, przeżuwając mięso i straszne nowiny, jak gdyby, przybrawszy postać treści pokarmowej, miały go wspólnie umocnić w jego zamiarach. Od tamtego posiłku wstał już jako wróg Indian. Wstał, podniósł broń, skłonił kilku towarzyszy, by się doń przyłączyli, i bezzwłocznie przystąpił do ustalania, kim byli owi zbrodniarze. Okazało się, że należą oni do szajki złożonej z dwudziestu odszczepieńców z różnych plemion, nawet wśród Indian wyjętych spod prawa, tworzących wspólnie zgraję rabusiów. Ponieważ w owym czasie nie nadarzyła się żadna sposobność działania, odprawił swych przyjaciół. Podziękowawszy, kazał im odejść i dodał, że kiedyś w przyszłości poprosi ich jeszcze o pomoc. Przez ponad rok wędrując samotnie przez dzikie ostępy, śledził tę zgraję. Pewnego razu, uznawszy, że nadarzyła się sposobność – był środek zimy i dzicy rozbili obóz, najwyraźniej zamierzając pozostać w tym miejscu dłużej – ponownie skrzyknął swych przyjaciół i wyprawił się na swych wrogów. Ci jednak, zwiędziawszy się o jego nadejściu, uciekli w tak wielkim przestachu, że zostawili wszystko prócz broni. To samo zdarzyło się jeszcze dwukrotnie w ciągu owej zimy. W następnym roku ścigał ich na czele oddziału, który zobowiązał się służyć mu przez czterdzieści dni. Wreszcie nadeszła godzina zemsty. Było to na brzegu Missisipi. W czerwonym świetle zmierzchu Moredock i jego ludzie wypatrzyli z kryjówki ową szajkę Kainów wiosłujących ku porośniętej gąszczem wyspie na środku rzeki, aby tam bezpiecznie przenocować, bo teraz żądny zemsty duch Moredocka przemawiał do nich zza każdego drzewa, wywołując dreszcze przerażenia, niczym głos wołający na pustkowiu. Poczekawszy, aż całkiem się ściemni, biali popłynęli rzeką, holując za sobą tratwę wyładowaną bronią. Kiedy wyszli na ląd, Moredock poodcinał z uwięzi czółna wroga i puścił je – tak samo jak ich własną tratwę – z prądem, albowiem postanowił, że dla Indian nie będzie możliwości ucieczki, dla białych zaś – gwarancji bezpieczeństwa, chyba że w zwycięstwie. Biali odnieśli zwycięstwo, ale trzech Indian uratowało się, wskoczywszy do rzeki. Oddział Moredocka nie poniósł żadnej straty.

Trzech morderców uszło z życiem. Znał ich imiona i wiedział, jak wyglądają. W ciągu trzech lat zginęli kolejno z jego ręki. Teraz martwi byli już wszyscy. Lecz to nie wystarczyło. Nie przyznawał się do tego, ale zabijanie Indian stało się jego pasją. Pod względem siły niewielu miał sobie równych, w strzelaniu – nikogo, w walce wręcz był nie do pokonania. Ów mistrz leśnych forteli, dzięki którym adept potrafił się utrzymać przy życiu w warunkach, w jakich nowicjusz by nie przeżył, oraz biegły znawca tych wszystkich umiejętności, które pozwalają tropić nieprzyjacieli tygodniami, a może nawet miesiącami, nie budząc w nim najmniejszych podejrzeń – ów mistrz trzymał się puszczy. Samotny Indianin, napotkawszy go, musiał umrzeć. Spostrzegłszy ślady zbrodni, potajemnie posuwał się trop w trop za jej sprawcami, oczekując, aż nadarzy się sposobność zadania choćby jednego ciosu, albo też – jeśli sam został podczas pościgu odkryty – wymykał się dzięki niebywalej wprawie.

Spędził w ten sposób wiele lat i choć po pewnym czasie włączył się do zwykłego życia owych obszarów i owej epoki, uważa się, że John Moredock nie przepuścił żadnej okazji zamknięcia na zawsze ust Indianina. Można powiedzieć że pod tym względem grzeszył uczynkiem, ale nigdy zaniedbaniem.

Błędne byłoby mniemanie – mówił sędzia – że ów dżentelmen był z natury okrutny albo szczególnie obdarowany takimi cechami, które – bez pomocy bodźca dostarczanego przez wydarzenia – powodują, że człowiek wycofuje się z życia gromadnego. Przeciwnie, Moredock stanowi przykład czegoś pozornie wewnątrznie sprzecznego, z pewnością osobliwego, ale zarazem bezspornego: tego mianowicie, że prawie wszyscy zaprzysięgli wrogowie Indian mają w gruncie rzeczy czułe serca, w każdym razie bardziej wspaniałomyślne niż przeciętny człowiek. Pewne jest, że w tym stopniu, w jakim brał on udział w życiu osadników, Moredock okazał się nie pozbawionym uczuć ludzkich. Nie przypominał bynajmniej oziębłego małżonka, tym mniej zaś – oziębłego ojca. Mimo że często przebywał daleko od domu rodzinnego, nigdy nie zapominał o jego potrzebach i potrzeby te zaspokajał. Umiał być duszą towarzystwa, ciekawie opowiadał (choć nigdy o tym, czego sam dokonał), śpiewał wyborne piosenki. Gościnnie, zawsze spieszył z pomocą sąsiadowi, miał opinię człowieka życzliwego, takiego wszakże, który potajemnie potrafi się zemścić, a choć czasem bywał niezwykle poważny – co u ludzi z jego spaloną na brąz, posępną cerą nie jest czymś niezwykłym – odnosił się do wszystkich z wyjątkiem Indian z męską uprzejmością, nigdy inaczej. Owego dżentelmena w mokasynach po prostu podziwiano i uwielbiano: w istocie popularnością przewyższał wszystkich, czego dowodzi choćby następujące zdarzenie.

Odwaga, jaką wykazał w walkach z Indianami czy z kimkolwiek innym, była bezsporna. Z obowiązków oficera zwiadu kawaleryjskiego podczas wojny 1812²⁷ roku wywiązał się bardziej niż zaszczytnie. O jego żołnierskiej naturze opowiadają tę oto anegdotę: Działo się to wkrótce po kapitulacji Hulla w Detroit²⁸: Moredock na czele grupki zwiadowców podjechał nocą przed chatę z bierwion, by tam zatrzymać się na postój. Kiedy konie sprawiono, spożyto wieczerzę, a żołnierzom wyznaczono miejsca spoczynku, gospodarz wskazał pułkownikowi najlepsze łoże, jakie miał w domu: nie było to zwykłe legowisko na podłodze, lecz łóżko z nogami. Gość jednak przez delikatność odmówił wzięcia łóżka w wyłączne posiadanie, właściwie zaś w ogóle nie zgodził się, by je zająć. Wówczas gospodarz, sądząc, że w ten sposób uczyni swą propozycję bardziej nęcącą, powiedział mu, że ongiś spał w owym łóżku pewien generał. „Któż taki?” – zapytał pułkownik. „Generał Hull”. „A więc proszę nie czuć się obrażonym – rzekł pułkownik – ale doprawdy nie mogę spać w łóżku tchórza, choćby było nie wiem jak wygodnie”. W zgodzie z własnymi słowami ułożył się następnie na posłaniu śmiałków: w zimnie na podłodze.

Swego czasu pułkownik był członkiem rady tymczasowej zarządzającej terytorium Illinois, a kiedy formowały się władze stanowe, nalegano nań, by ubiegał się o urząd gubernatora. On jednak błagał o wyrozumiałość. I choć odmówił podania przyczyn swej odmowy, ci, którzy go znali najlepiej, domyślali się częściowo powodu. Jako osoba urzędowa mógłby spotkać się z żądaniem zawarcia traktatu przyjaźni z jakimś szczepem indiańskim: dla niego rzecz nie do pomyślenia. A nawet gdyby do takiego wypadku nie doszło, i tak jego zdaniem byłoby nie na miejscu, aby gubernator stanu Illinois co pewien czas wymykał się ukradkiem podczas przerwy w pracach ciała ustawodawczego na

²⁷ W roku 1812 Kongres Stanów Zjednoczonych wypowiedział wojnę Wielkiej Brytanii. Przyczyną konfliktu były utrudnienia czynione przez Brytyjczyków żegludze amerykańskiej (statki amerykańskie jako neutralne w wojnie brytyjsko-francuskiej zawiąły do portów Cesarstwa Francji). Zakończona w roku 1814 układem pokojowym w Gandawie.

²⁸ William Hull – wyższy oficer amerykańskiej marynarki wojennej. Dowodząc fregatą *Constitution*, odniósł w wojnie 1812 roku zwycięstwo nad Brytyjczykami w pierwszej tej wojny bitwie morskiej.

kilkudniowe łowy na istoty ludzkie. Nie wchodziło to w zakres ojcowskiej władzy głównego sędziego. Jeśli z urzędem gubernatora łączyły się wielkie zaszczyty, dla Moredocka oznaczałyby one jeszcze większe poświęcenia. Te rzeczy nie dałyby się ze sobą pogodzić. Słowem, doskonale wiedział, że prawdziwy wróg Indian musi się wyrzec ambicji, a także tego, co jest jej przedmiotem: przepychu i sławy na tym świecie. Ponieważ zaś religia – uznając te rzeczy za marność – poczytuje za zasługę wyrzeczenie się ich, przeto pod tym względem nienawiść do Indian – obojętne, co można by o niej poza tym sądzić – nie byłaby może, gdyby się nad tym dobrze zastanowił, całkowicie pozbawiona zasług w niebie.

W tym miejscu opowiadający przerwał. Potem zerwał się z miejsca, w którym siedział długo, a mało wygodnie, poprawił żabot, potrząsając zarazem nogami, by wyprostowały się zmięte pantalony, i rzekł: „Na tym koniec. Proszę pamiętać, że to nie była opowieść o mnie, ani że nie przedstawiłem panu własnych myśli, tylko innego autora. Co się zaś tyczy pańskiego przyjaciela w szopich skórkach, nie wątpię, że gdyby był tu sędzia, uznałby go za podobnego w każdym calu do pułkownika Moredocka, z tym tylko wyjątkiem, że pański przyjaciel zanadto obnosi się ze swymi namiętnościami, przez co je spłyca.

ROZDZIAŁ XXVIII

Kwestie sporne związane z nieboszczykiem Johnem Moredockiem

– Miłosierdzia! Miłosierdzia! – wykrzyknął kosmopolita – nie ma zdrowego osądu bez miłosierdzia. Kiedy człowiek sądzi człowieka, miłosierdzie jest nie tyle jałmużną wynikającą z naszej litości, ile nieznaczną poprawką, jaką bierzemy na ludzką omyłność. Uchowaj Boże, żeby mój przyjaciel dziwak był tym, czym pan powiedziałaś. Pan go nie zna, albo tylko trochę. Jego powierzchowność wprowadziła pana w błąd. Ja sam także prawie dałem się zwieść pozorom. Ale skorzystałem z okazji, gdy oburzony jakimś bezeceństwem, nieco się odsłonił. Nie zmarnowałem tego szczęśliwego trafu i zbadałem jego serce. Przekonałem się, że jest ono podobne do nęcącej ostrygi w odpychającej skorupie. Jego powierzchowność to tylko przybrany pozór. Wstydząc się własnej dobroci, traktuje ludzkość tak, jak owi dziwaczni starzy wujowie w powieściach traktują swych bratanków: bez przerwy na nich fukają, choć przecie ci chłopcy to ich pupile.

– No cóż... niewiele słów z nim zamieniłem. Być może nie jest tym, za kogo go wziąłem. Tak, tak: pomimo wszystko może pan mieć rację.

– Miło mi słyszeć. Miłosierdzie – tak jak poezję – trzeba starannie pielęgnować, choćby dlatego, że jest pełne wdzięku. A skoro pan wyrzekł się swego w tym względzie sądu, byłbym rad, gdyby pan także wyrzekł się, że tak powiem, swojej opowieści. Uderza mnie w niej to, że jest jeszcze mniej wiarygodna od cudu. Wedle mnie niektóre jej części nie zgadzają się z sobą. Jeśli Johna Moredocka cechowała nienawiść, jakże mogła cechować go również miłość? Albo te jego samotne wyprawy: są tak samo legendarne jak wyprawy Herkulesa, albo – jeśli to prawda – wszystko, co powiedziano o jego dobrotliwości, stanowi tylko literackie upiększenie. Słowem, jeśli ktoś taki jak Moredock

w ogóle kiedykolwiek istniał, to w moim przekonaniu był albo mizantropem, albo zerem, a jego mizantropia tym bardziej musiała być zażarta, że skupiała się na jednym gatunku ludzi. Choć, podobnie jak samobójstwo, nienawiść do rodzaju ludzkiego wydaje się być namiętnością przede wszystkim Rzymian i Greków – czyli namiętnością pogańską – to przecież dzieje Rzymu czy Grecji nie wydały nikogo, kto mógłby się równać pod względem nienawiści do ludzi z pułkownikiem Moredockiem – zgodnie z tym, jak sędzia i pan go przedstawiliście. Co się zaś tyczy nienawiści do Indian w ogólności, mogę tylko powtórzyć słowa doktora Johnsona²⁹, jakie wypowiedział on na wieść o rzekomym trzęsieniu ziemi w Lizbonie³⁰: „Proszę pana, ja w to nie wierzę”.

– Nie wierzył? A dlaczego? Czyżby kłóciło się to z jakimiś przesadami?

– Doktor Johnson nie miał przesądów, ale – tak jak pewna osoba – tu uśmiechnął się chytrze – był człowiekiem o delikatnych uczuciach, które zostały zranione.

– Doktor Johnson był dobrym chrześcijaninem, nieprawdaż?

– Owszem.

– Przypuśćmy, że było inaczej.

– Wówczas niedowierzenie pogłoskom o trzęsieniu ziemi byłoby nieznaczące.

– Przypuśćmy, że był także mizantropem...

– Wówczas nieznaczące byłoby niedowierzenie w grabieże i morderstwa, jakich ponoć dokonywano pod osłoną dymu i popiołów. Ówczesni niedowiarkowie chętnie dawali wiarę takim, a nawet jeszcze bardziej ponurym wieściom. Jest bowiem prawdą, że o ile pobożność – inaczej niż wyobrażenia potoczne – łączy się w niektórych wypadkach z nastawieniem bardzo niechętnym pochopnemu przytakiwaniu, o tyle niedowiarstwo, głoszące, jakoby gardziło łatwowiernością, niekiedy przytakuje z wielką ochotą.

– Pan trochę miesza z sobą niedowiarstwo i mizantropię.

– Nie mieszam: one łączą się z sobą. Mizantropia bowiem, jako że pochodzi z tego samego źródła, co niewiara w Boga, jest jej bliźniaczą siostrą. Pochodzi z tego samego źródła, bo – pomijając materializm – kimże jest ateista, jeśli nie człowiekiem, który nie dostrzega – albo nie chce dostrzec – w istocie ludzkiej rządzącej nią zasady dobroci? Pojmuje pan? W obu wypadkach grzech polega na braku ufności.

– Jakiego rodzaju uczuciem jest mizantropia?

– Równie dobrze mógłby mnie pan spytać, jakim uczuciem jest wstręt do wody. Nie wiem: nigdy go nie zaznał. Ale zastanawiałem się często, jakim może być uczuciem. Czy mizantrop – zapytywałem siebie – może czuć się miło, czy może się odprężyć, czy umie przebywać we własnym towarzystwie? Czy mizantrop potrafi zapalić cygaro i pograć się w myślach? Jak sobie radzi w samotności? Czy mizantrop posiada coś takiego jak apetyt? Czy orzeźwi go brzoskwinia? Jakim okiem spogląda na musujący szampan? Czy dobrze czuje się latem? Czy dużo śpi długą zimową porą? Co mu się śni? Jak się czuje i co robi, gdy raptem w środku nocy obudzi go łoskot piorunów?

– Podobnie jak pan – rzekł nieznajomy – nie mogę zrozumieć mizantropa. W oparciu, o moje doświadczenie mogę tylko stwierdzić, że albo rodzaj ludzki zasługuje na to, byśmy go jak najmocniej kochali, albo miałem szczęście. Nigdy nie przypadło mi w udziale

²⁹ Samuel Johnson (1709 – 1784) – słynny leksykograf, poeta i krytyk literacki.

³⁰ Lizbona została niemal całkowicie zniszczona wskutek trzęsienia ziemi w roku 1755.

doznać choćby najmniejszej krzywdy. Oszustwa, oszczerstwa, lekceważenie, pogarda, zatwardziałość serca i co tam jeszcze – wszystko to znam wyłącznie z opowiadania. Rzucone przez ramię lodowate spojrzenie byłego przyjaciela, niewdzięczność obdarowanego, zdrada powiernika – może to się nawet zdarza, ale ja muszę innym wierzyć na słowo. I jak mam nie chwalić mostu, który prowadzi mnie w ten sposób bezpiecznie nad otchłanią?

– Byłoby nieuczciwością nie chwalić tak zacnego mostu. Człowiek to istota szlachetna i rad jestem, że w epoce satyry spotykam kogoś, kto pokłada w nim ufność i dzielnie staje w jego obronie.

– Tak jest: zawsze dobrze mówię o człowieku. Co więcej – zawsze gotów jestem zrobić dlań dobry uczynek.

– Jesteś pan bratnią duszą – odrzekł kosmopolita ze szczerością nie umniejszoną w niczym przez towarzyszący jej spokój. – Zaiste, tak bardzo zgadzamy się w naszych odczuciach – dodał – że gdyby napisano o nich w książce, tylko nieliczna garstka najwytrawniejszych krytyków umiałaby ustalić, czyje są czyje.

– Skoro łączą nas myśli – powiedział nieznajomy – czemuż nie miałyby połączyć nas dłonie?

– Moja dłoń jest zawsze cnotcie do usług – kosmopolita bez wahania wyciągnął rękę w jego stronę, jakby nieznajomy był wcieleniem wszelkiej cnoty.

– A teraz – powiedział nieznajomy, serdecznie uściskawszy mu rękę – wie pan, jaki mamy tu, na Zachodzie, zwyczaj. Może odrobinę gminny, ale miły. Krótko: zawarłszy przyjaźń, należy razem wypić. Co pan na to?

– Dzięki, wybaczy pan jednak, że niestety odmówię.

– Dlaczego?

– Ponieważ, prawdę mówiąc, spotkałem dziś tylu starych znajomych, z których każdy to dusza człowiek, że doprawdy, doprawdy, choć jak dotąd udało mi się nad tym zapanować, mój stan przypomina stan marynarza, który zszedł na ląd po długim pływaniu i choć jeszcze jasno, on już się zatacza od radosnych powitań, boć głowa ustępuje pojemnością sercu.

Na wzmiankę o starych znajomych nieznajomemu zrzędała nieco mina, jak mogłaby zrzędnąć zazdrosnemu kochankowi, który usłyszał od swej wybranki serca o tych, co byli przed nim. Zebrawszy się w garść, powiedział: – Ani chybi, poczęstowali pana czymś mocnym, ale wina – tak jest: tego szlachetnego wytworu, jakim jest wino – chodźmy się napić odrobinę szlachetnego wina przy którymś z tych tutaj stolików. No chodźmy!

Po czym, starając się zataczać jak pełna beczka na morzu, zaśpiewał głosem, który zdołałby wyrazić więcej koleżeństwa, gdyby był mniej piskliwy:

Napijmy się wina z tej winorośli,
Co ciepło musując wabi miłych gości.

Kosmopolita, utkwivszy w nim stęskniony wzrok, stał – niczym wystawiony na bolesną próbę – wahając się chwilę, po czym – ruszył nagle w jego stronę z miną kogoś, kto postanowił się poddać, i rzekł: – Skoro pieśni syren wzruszają galeony, niechaj wystawią mnie na próbę pochlebstwa sławy, złota i kobiet. Ale miła piosenka, którą śpiewa zacny człowiek, tak przyjemnie łechce każdy nerw mego ciała, że na podobieństwo

kadłuba okrętu przyciąganego przez magnetyczną skałę poddaje się ono przyzwalająco.
Dość: gdy ma się taką, a nie inną duszę, próżno się silić na stanowczość!

ROZDZIAŁ XXIX

Wesoła kompania

Zamówiwszy porto i usadowiwszy się przy stoliku, w naturalny sposób zamilkli. Było to milczenie pełne serdecznego wyczekiwania. Wzrok nieznajomego skierował się w stronę szynkwasu i spoczął na rumianolicym, odzianym w biały fartuch człowieku, który z wesołą miną omiatał kurz z butelki, a potem kusząco ustawił ją razem z kieliszkami na tacy. Wtem, nagłym ruchem zwróciwszy głowę w stronę towarzysza, nieznajomy zapytał: – Nasza przyjaźń jest przyjaźnią od pierwszego wejrzenia, czyż nie tak?

– O tak – brzmiała pełna błogiego spokoju odpowiedź – o przyjaźni zaś od pierwszego wejrzenia można rzec to samo, co o miłości od pierwszego wejrzenia: tylko ona jest prawdziwa, tylko ją cechuje szlachetność. Świadczy ona o ufności. Któż bowiem wkraczając na ścieżkę miłości lub przyjaźni dokonywałby pomiarów głębokości, niczym obcy statek wpływający nocą do portu nieprzyjaciela?

– Słusznie. Płynmy śmiało z wiatrem. Jak to miło, że tak się zawsze zgadzamy. Nawiasem mówiąc, choć to tylko formalność, przyjaciele powinni jednak znać swoje nazwiska. Jak pańska godność?

– Francis Goodman. Ci jednak, którzy mnie kochają, zowią mnie Frank. A pańska?

– Charles Arnold Noble. Ale proszę do mnie mówić Charlie.

– Dobrze, Charlie. Nie ma to jak podtrzymywanie braterskiej zażyłości wieku młodzieńczego w latach męskich. Dowodzi to, że w głębi serca jest się dalej wesołym chłopakiem.

– Otóż to właśnie! Aha!

Stał przed nimi uśmiechnięty kelner wraz z uśmiechniętą butelką, już odkorkowaną. Butelka była zwyczajna, litrowa, ale na tę okazję umieszczono ją w koszyczku z kory, który ozdobiony był plecionką z kolców jeżozwierza pomalowanych wesoło na modłę indiańską. Kiedy stanęła przed gospodarzem biesiady, ten obejrzał ją z namiętną ciekawością, wydawało się wszakże, że nie może zrozumieć – chyba że tylko udawał – zgrabnej czerwonej etykiety nalepionej na butelce. Widniały na niej dwie duże litery: P.W.

– P.W. – powiedział wreszcie, wpatrując się zakłopotany w zagadkową, acz miłą dla oka nalepkę. – Cóż to może znaczyć?

– Nie zdziwiłbym się – powiedział poważnym głosem kosmopolita – gdyby te litery oznaczały portwajn. Zamawiałeś przecież portwajn, prawda?

– Ależ tak, oczywiście!

– Okazuje się, że niektóre małe tajemnice nie tak trudno wyjaśnić – odrzekł tamten, zakładając spokojnie nogę na nogę.

Nieznajomy nie dosłyszał chyba tego komunału, bo pochłonięty wyłącznie butelką zatarł nad nią swe żółtawą skórą powleczone ręce, po czym z dziwnym gdakaniem – miało to brzmieć jak ptasi szczebiot – w głosie wykrzyknął: – Dobrze, dobre winko! Czyż w osobliwy sposób nie jest ono rękojmią dobrego humoru?

Następnie napełnił po brzegi oba kieliszki, podsunął jeden kompanowi i z miną, która miała zapewne wyrażać subtelną pogardę, powiedział:

– Do diabła z tymi ponurymi sceptykami, co twierdzą, że w dzisiejszych czasach wino bez domieszek jest nie do nabycia i że prawie każdy gatunek w sprzedaży pochodzi nie tyle z winnicy co z laboratorium, przeważająca zaś część szynkarzy to Brinvilliers³¹ w spodniach, co zręcznie udając usłużność, spiskują przeciwko życiu swych najlepszych przyjaciół, czyli klientów.

Cień przemknął po twarzy kosmopolity. Spuściwszy wzrok, pogrążył się na kilka minut w zadumie. Potem podniósł oczy i rzekł:

– Już od dawna sędzę, mój drogi Charlie, że nastawienie, z jakim aż za wielu ludzi podchodzi w dzisiejszych czasach do wina, stanowi jeden z najboleśniejszych przejawów braku ufności. Spójrz na te kieliszki. Kto w tym winie potrafiłby doszukiwać się trucizny, ten doszukiwałby się oznak suchot na obliczu Hebe. Co się zaś tyczy kupców i sprzedawców wina, ci, co żywią podobne podejrzenia – najwyżej w ograniczonym stopniu wierzą w ludzkie serce. Każde ludzkie serce muszą oni uważać za podobne do butelki portwajnu, nie takiego jak ten na stole, lecz takiego, o jakim myślą. Dziwni to potwarcy, co w nic nie wierzą, choćby to była rzecz najświętsza. Nie oszczędzili medykamentów, a nawet wina mszalnego. Lekarza z fiolką i księdza z kielichem mają za jednakowo nieświadomych szafarzy podrabianych środków pobudzających, którymi raczą oni konających.

– Potworność!

– Zaiste, potworność – powiedział z namaszczeniem kosmopolita. – Ci niedowiarkowie zadają ufności cios w samo serce. Jeśli to wino – uniósł pełny kielich gestem robiącym wrażenie – jeśli to wino wraz ze swą promienną obietnicą miałoby nie być prawdziwe, to czyż prawdziwe mogłyby być wcale nie bardziej promienne obietnice człowieka? Jeśli jednak wino miało być fałszywe, ludzie natomiast prawdziwi, to gdzież się podzieje wesoły duch towarzyskości? Pomyśleć tylko o szczerze radujących się duszach, pijących swe zdrowie zdradzieckim, morderczym trunkiem, niczego nie podejrzewając!

– Okropność!

– Zbyt jednak okropna, żeby się spełniła, Charlie. Zapomnijmy o tym. Ejże, jesteś dziś moim gospodarzem, a nie wypiełeś jeszcze mego zdrowia. Czekam na to od dłuższego czasu.

– Wybacz, wybacz – trochę jakby zmieszany, trochę zaś z ostentacją Charlie podniósł kieliszek. – Twoje zdrowie, Frank! Z całego serca, wierzaj mi. – Pociągnął łyk zbyt wytwornie, by mógł być to łyk spory, a choć był mały, towarzyszyło mu mimowolne delikatne skrzywienie ust.

– Ja też piję twoje zdrowie, Charlie. Równie serdecznie, i tak samo szczerze, jak nie podrobione jest to wino, którym wznoszę toast – odwzajemnił się kosmopolita z królewską życzliwością w gestach, pociągając haust zakończony młaśnięciem, które – choć słyszalne – jednak nie wzbudzało niesmaku.

– Skoro mowa o podrabianiu wina – powiedział następnie, ostrożnie odstawiając kieliszek, i odchyliwszy głowę do tyłu, wpatrywał się przyjaźnie w stojący przed nim

³¹ Maria Magdalena d'Aubray, markiza de Brinvilliers, wespół z kochankiem uknuła i dokonała kilku zabójstw w celu przejęcia spadku po zamordowanych. Otruła ojca i dwóch braci. Stracona z wyroku Parlamentu w roku 1676.

trunek – to może najbardziej osobliwym ze związanych z tym przypuszczeń jest mniemanie, jakoby istniał pewien rodzaj ludzi, którzy mimo że przekonani, iż prawie wszystkie gatunki wina na tym kontynencie są oszukaństwem, nadal się nimi raczą. Twierdzą bowiem, że wino jest czymś tak wspaniałym, iż nawet podrobione jest lepsze niż żadne. A kiedy wstrzemięźliwcy utyskują, że postępując dalej w ten sposób prędzej czy później człowiek tego rodzaju niechybnie zrujnuje sobie zdrowie, taki odpowiada na to: „A czyż wy myślicie, że ja o tym nie wiem? Atoli zdrowie bez wiwatów uważam za rzecz nudną, a wiwaty, choćby udawane, mają swoją cenę, którą chętnie zgadzam się zapłacić”.

– Taki człowiek, Frank, musi mieć niepohamowaną skłonność do hulanków.

– Owszem, ale pod warunkiem, że taki człowiek istnieje, w co ja nie wierzę. To bajka, ale taka, z której – jak kiedyś słyszałem – pewien osobnik nie tyle genialny, co raczej śmiechu godny wyciągnął morał wprawiający w jeszcze większe zdumienie niż sama ta historia. Powiedział oto, że pokazuje ona, niczym jakaś przypowieść, jak człowiek niezmiernie łagodnego usposobienia może wiązać się nicią zażyłych stosunków z ludźmi, choć sądzi jednocześnie, że większość z nich to wiarołomcy; uważa bowiem, że towarzystwo jest rzeczą tak miłą, iż nawet nieszczerze lepsze jest niż żadne. A kiedy zwolennicy Rochefoucaulda odpowiadają na to twierdzeniem, że takie postępowanie prędzej czy później zagrozi jego bezpieczeństwu, powiada im: „A czy wy myślicie, że ja o tym nie wiem? Ale bezpieczeństwo bez towarzystwa uważam za rzecz nudną, a towarzystwo, nawet podejrzanе, ma swoją cenę, którą chętnie zgadzam się zapłacić”.

– A to dopiero osobliwa teoria – powiedział nieznajomy, lekko zaniepokojony, przyglądając się swemu kompanowi z niejaką badawczością – do licha, Frank! Toż to istna potwarz! – wykrzyknął w nagłym uniesieniu, przybrawszy mimowolnie taki wygląd, jakby się poczuł osobiście dotkniętym.

– W pewnym sensie teoria ta zasługuje na wszystkie twoje epitety, i na coś więcej – odparł tamten ze zwykłą łagodnością. – Atoli ze względu na to, że na swój sposób jest ona zabawna, miłosierdzie może mogłoby przymknąć odrobinę oko na jej nikczemność. Humor jest w istocie rzeczą tak godną szacunku, że jeśli pośród najbardziej nawet grzesznych płodów ludzkiego umysłu dałoby się znaleźć li tylko dziewięć dobrych żartów, to niektórzy filozofowie są na tyle łaskawi, by twierdzić, że owych dziewięć żartów winno odkupić wszystkie nikczemne myśli, nawet gdyby roіło się od nich jak w Sodomie. Tak czy inaczej, tenże humor ma w sobie coś – nie sposób powiedzieć, co – dobrego. Jest wspaniałym lekiem na wszystko i wspaniałym zaklęciem: prawie wszyscy się nim rozkoszują, choć w innych sprawach zgadzają się rzadko. Nie ma się co dziwić temu, iż stało się niemal przysłowiem, że to prawie niemożliwe, ażeby człowiek mający poczucie humoru, umiejący się śmiać szczerze i głośno – obojętne, jakie robiłby wrażenie pod innymi względami – mógł być nicponiem bez serca.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się tamten, pokazując palcem postać bladego, ubożego chłopca na dolnym pokładzie. Żalostnemu stanowi, w jakim się znajdował, przydawała jakby piętna śmieszności para okropnie wielkich butów – porzuconych zapewne przez jakiegoś murarza – splekanych od posuchy, na wpeł przezartych wapnem, z wywiniętymi do góry nosami, przez co przypominały fagoty.

– Spójrz! Ha! ha! ha!

– Widzę – odrzekł tamten, jak gdyby ze spokojnym zrozumieniem, wyrażającym wszelako umiejętność dostrzeżenia komizmu bez zamykania oczu na to, co w tym wypadku mu towarzyszyło. – Widzę. Sposób zaś, w jaki cię to, Charlie, porusza, trafia w

sedno przysłowia, o którym przed chwilą mówiłem. Zaiste, jeśli był zamierzył ten skutek, lepszego być nie mogło. Któż bowiem, usłyszawszy ten śmiech, nie doszedłby – w jak najbardziej naturalny sposób – na jego podstawie do wniosku, że masz serce równie zdrowe jak płuca? Doprawdy, mówią, że człowiek może się uśmiechać i uśmiechać, a mimo to być łajdakiem, ale nikt nie mówi, że człowiek może się śmiać i śmiać, a mimo to być łajdakiem. Czy nie tak, Charlie?

– Ha! ha! ha! Nie, nie, nie, nie.

– Ależ Charlie, wybuchy twego śmiechu równie trafnie ilustrują moje spostrzeżenia, jak sztuczny wulkan wywody chemika. Ale nawet gdyby doświadczenie nie potwierdzało przysłowia, że ten co się umie naprawdę śmiać, nie może być złym człowiekiem, i tak ufność nakazuje mi w nie wierzyć, gdyż jest to powiedzenie powszechnie używane przez lud i niewątpliwie wśród ludu zrodzone, a więc MUSI być prawdziwe, bo przecież głos ludu jest głosem prawdy, nie sądzisz?

– Oczywiście. Jeśli prawda nie przemawia ustami ludu, to nie przemawia wcale. Słyszałem ongi, jak ktoś to powiedział.

– Mówił prawdę. Ale odeszliśmy od tematu. Potoczne mniemanie, wedle którego poczucie humoru dowodzi dobroci serca, zdaje się – rzecz osobliwa – znajdować potwierdzenie u Arystotelesa, chyba w *Polityce* (dziele, którego mówiąc nawiasem nie powinno się ze względu na ogólną wymowę niektórych rozdziałów dawać do rąk młodzieży bez podjęcia wprzód środków ostrożności, i to bez względu na to, jak w całości oceniałoby się to dzieło). Zauważa on, że najmniej mili ludzie w dziejach nie tylko że nie przepadają za humorem, ale żywią doń wręcz nienawiść, a w niektórych wypadkach łączy się to u nich z niewiarygodnie zimnym upodobaniem do dwuznacznych dowcipów. Przypominam sobie opowiastkę o kapryśnym tyranie Sycylii, Falarysie, który pewnego razu kazał ściąć głowę jakiemuś nieszczęśnikowi na podwyższeniu do wsiadania na konie, z tego tylko powodu, że miał śmiech podobny do końskiego rżenia.

– Wesołek Falarys!

– Okrutnik Falarys!

Zapadła chwila ciszy, niczym po wybuchu sztucznych ogni, obaj zaś kompani spuścili wzrok na stolik, jak gdyby uderzeni kontrastem słów wykrzykniętych przez siebie dumali nad jego znaczeniem. Takie w każdym razie można było odnieść wrażenie, ale z drugiej strony mogło też być inaczej, bo oto kosmopolita podniósł oczy i rzekł:

– W wypadku morału, będącego cynicznym żartem owego osobliwego hulaki, o którym przedtem mówiliśmy, a który miał swe powody, aby nie przestawać pić podrabianego wina, choć wiedział, że jest podrobione – otóż w tym wypadku mamy przykład bezwzględnie nikczemnej myśli zrodzonej wszakże z poczucia humoru. A teraz dam ci przykład nikczemnej myśli zrodzonej z nikczemności. Zechciej porównać obie te myśli i odpowiedz, czy w pierwszym przypadku humor nie łagodzi tkwiącego w niej jadu i czy w drugim wypadku nieobecność humoru nie pozostawia jadowi swobody działania. Słyszałem kiedyś, jak pewien dowcipniś, zwróć uwagę: po prostu dowcipniś, bezbożny paryski dowcipniś powiedział w odniesieniu do ruchu na rzecz wstrzemięźliwości, że nikt nie przyłączał się do tego ruchu – odnosząc przy tym osobiste korzyści – tak szybko jak skąpcy i łajdacy, ponieważ – jak twierdził – ci pierwsi oszczędzali, drudzy robili zaś na abstynencji pieniądze, podobnie jak armatorzy obcinający przydział alkoholu marynarzom bez żadnego za to odszkodowania, jak karciarze i jak wszelkiego rodzaju sprytni oszuści, co piją wyłącznie zimną wodę, żeby mieć tym trzeźwiejszą głowę przy interesach.

– Toż to istna nikczemność! – wykrzyknął nieznajomy z przejęciem.

– Ano właśnie – tamten oparł się łokciem o stół i wesoło kiwnął do swego kompana wskazującym palcem: – Ano właśnie... i jakim powiedział, czy nie dostrzegasz w niej jadu?

– Ależ dostrzegam. To ze wszech miar oszczercza myśl, Frank!

– Pozbawiona humoru?

– Całkowicie!

– No to cóż, Charlie – Frank spojrział nań wilgotnym wzrokiem – wypijmy. Coś mi się zdaje, że nie pijesz z ochotą.

– Och, doprawdy... doprawdy... nie ociążam się. Protestuję – bardziej skorego do wypitki niż druh Charlie nigdzie nie uświadczysz – odpowiedział porywając z gorączkowym zapalem za kieliszek, ale tylko po to, by w dalszym ciągu obracać go pieszczotliwie w palcach.

– Swoją drogą, Frank – powiedział, może dlatego, żeby odwrócić uwagę od siebie, a może z jakiejś innej przyczyny – swoją drogą, widziałem kiedyś coś dobrego, coś pierwszorzędnego: panegiryk na cześć prasy. Tak mi się spodobał, że po dwukrotnym przeczytaniu nauczyłem się go na pamięć. Jest to na swój sposób poezja, ale taka, która pod względem formy ma się tak samo do białego wiersza, jak biały wiersz do rymu. Rodzaj swobodnego hymnu pochwalnego z przydaniem refrenów. Wyrecytować?

– Zawsze słucham z przyjemnością wszelkich pochwał na cześć prasy – odparł kosmopolita – tym bardziej – dodał z powagą w głosie – że ostatnio spostrzegłem w niektórych sferach skłonność do lekceważenia prasy.

– Lekceważenia prasy?

– Ano właśnie. Niektórzy ponuracy twierdzą, że z tym wspaniałym wynalazkiem rzecz ma się tak samo, jak z nalewką zwaną eau-de-vie: kiedy ją po raz pierwszy odkryto, lekarze byli przekonani, iż zgodnie z tym, co wynika z jej francuskiej nazwy, jest to lek na wszystko. Można jednak sądzić, że doświadczenie nie potwierdziło w pełni tego przekonania.

– Zdziwiasz mnie, Frank. Czy naprawdę istnieją ludzie, którzy w ten sposób oczerniają prasę? Mówże, z jakich powodów?

– Powodów nie mają żadnych, ale na twierdzeniach im nie zbywa. Twierdzą na przykład, że o ile pod rządami dynastii despotów prasa jest dla ludu czymś niewiele więcej niż improwizatorem, to z kolei pod rządami despotów cieszących się popularnością zbyt często bywa ona Jasiem Znajdą. Słowem, owi zgorzkniali mędrzy rozpatrują prasę, jakby była rewolwerem Colta, oddanym wyłącznie sprawie tego, w czyje ręce przypadkiem trafiła; określają ją mianem wynalazku doskonalszego niż pióro, tak mniej więcej, jak rewolwer jest ulepszeniem w stosunku do pistoletu, choć ze zwielokrotnienia bębna nie wynika uświęcenie celu. „Wolność prasy” jest więc dla nich tym samym co „wolność rewolweru Colta”. Stąd też utrzymują, jakoby wiązanie z nią nadziei przez ludzi uczciwych i miłujących prawdę było prawie tak samo nierozsądne, jak wiązanie nadziei z tamtą drugą rzeczą przez Kossutha i Mazziniego. Serce się kraje od takich poglądów, a przecież żaden prawdziwy reformator nie raczy rozprawić się z nimi. Czyż nie tak?

– Bez wątpienia. Ale mówże dalej. Lubię cię słuchać – przymilnie napełnił mu kieliszek.

– Osobiście – ciągnął kosmopolita, wypiąwszy dumnie pierś – uważam, że prasa ani

nie jest zabawiającym lud improwizatorem, ani Jasiem Znajdą, czyli nie jest ani płatnym durniem, ani nadętym popychadłem. Sądzę, że interes nigdy nie bierze u niej góry nad poczuciem obowiązku. Prasa wciąż jest rzeczniką prawdy, nawet wziętej na męki, i nie zważa wcale na najmocniej obwarowane kłamstwa. Ponieważ uważam, że ubliża jej nazwa taniego upowszechniacza wieści, twierdzą, iż spełnia niezawisłą misję apostołską. Jest mianowicie Krzewicielem Wiedzy, niezłomnym Pawłem Apostołem do potęgi, bo prasa nie tylko krzewi wiedzę, lecz także prawość. Podobnie jak słońce, prasa, mój drogi, jest ucieleśnieniem żarliwej zasady dobroczynnej siły i równie dobroczynnego światła. To bowiem, że obok apostołskiej istnieje też prasa szatańska, podrywa dobre imię prasy w równie małym stopniu, jak dzieje się to w przypadku słońca prawdziwego, obok którego występuje słońce pozorne. Mimo złowieszczonego widoku, jaki przedstawia parhelion³², bóg Apollo obdarza nas dniem. Słowem, Charlie, uważam, że prasa rzeczywiście jest tym, czym tytułarnie jest tylko udzielny władca Anglii, a mianowicie Obrońcą Wiary, obrońcą wiary w ostatecznym zwycięstwie prawdy nad błędem, metafizyki nad przesądami, słusznych przypuszczeń nad nieprawdą, mechanizmu nad naturą i dobrych ludzi nad złymi. Takie są moje poglądy i musisz mi, Charlie, wybaczyć, jeśli wyłożyłem je nieco rozwleknie, bo w tym przedmiocie nie potrafię zachować oschłej zwięzłości stylu. A teraz czekam niecierpliwie na twój panegiryk, który niewątpliwie każe mi się zawstydić własnego.

– Istotnie, może on przyprawić o uczucie wstydu – uśmiechnął się tamten. – lecz usłyszysz go, Frank, w brzmieniu dosłownym.

– Powiedz mi, jak będziesz zaczynał – odrzekł kosmopolita – bo kiedy na przyjęciach wznoszą toast na cześć prasy, piję go zawsze na stojąco, więc i teraz wstanę, żeby stojąc wysłuchać twego panegiryku.

– Doskonale, Frank. To możesz już wstać.

Kosmopolita powstał z miejsca, nieznajomy zaś, który podniósł się także, uniósł flaszkę czerwonego wina i rozpoczął.

ROZDZIAŁ XXX

Który zawiera poetycką pochwałę prasy, w dalszym zaś ciągu zawiera rozmowę, jaka wywiązała się z jej powodu

– Chwała prasie, nie prasie Fausta, lecz Noego. Chwalmy prasę i przydawajmy jej potęgę. Wychwalajmy prawdziwą prasę Noego, od której datuje się nastanie prawdziwego dnia. Chwała prasie, ale nie czarnej, tylko czerwonej. Chwalmy tę prasę i przydawajmy jej potęgę, wychwalajmy czerwoną prasę Noego, albowiem ona jest źródłem natchnienia. O wy, którzy chodzicie przy prasie w Nadrenii i nad Renem, łączcie się z tymi, co wygniatają nogami dobre wieści na Maderze albo na Mitylene. Któż powoduje zaczerwienienie oczu przez to, że każe ludziom rozkoszować się pięknym krojem czcionki? Chwała prasie, różowej prasie Noego, która rozwesela serca przez to, że każe ludziom rozkoszować się różowym winem. Któż raczy paplaniną i sprzeczkami? Któż bez

³² parhelion – jasna owalna plama na aureoli słonecznej

powodu zadaje rany? Chwała prasie, dobrej prasie Noego, która zadzierzga przyjaźnie i od której taje wrogość. Kogóż można przekupić? Kogóż można zmusić? Chwała prasie, wolnej prasie Noego, która nie kłamie w służbie tyranów, tylko każe im mówić prawdę. Przeto chwała prasie, zacnej starej prasie Noego; przeto chwalmy i przydawajmy potęgi tej prasie, dzielnej, starej prasie Noego; przeto oplećmy wieńcami z róż tę starą prasę Noego, skąd wyciekają strumienie poznania dostarczającego człowiekowi rozkoszy nie mniej rzeczywistej od bólu.

– Oszukałeś mnie – powiedział uśmiechając się kosmopolita, kiedy obaj usiedli – po szelmowsku wykorzystasteś moją prostoduszność, po łobuzersku wyzyskałeś mój entuzjazm. Ale nie szkodzi, bo przecież występki ten był tak czarujący, że pragnąłbym niemal, byś go raz jeszcze popełnił. Co do ciosów na odlew w twoim panegiryku, gotów jestem przypisać je nieograniczonym przywilejom poety. Ogólnie biorąc, rzecz utrzymana jest w stylu zgoła lirycznym, a więc w stylu, który zawsze podziwiam za ową sybillińską ufność i pewność siebie, będącą może głównym jego składnikiem. Ale cóż to? – spojrzał na kieliszek swego kompana. – Jak na liryka, zanadto się ociążasz z opróżnianiem butelki.

– Lira, winorośl i nic więcej! – wykrzyknął tamten w uniesieniu; takie w każdym razie mógł sprawiać wrażenie – puszczając przytyk mimo uszu. – Wino! Krzew winny! Czyż istnieje bardziej szczodra i pełniejsza wdzięku roślina? I czyż w tym, że jest to właśnie taka roślina, nie kryje się jakiś zamysł, jakiś boski zamysł? Jak mi życie miłe, każe zasadzić na moim grobie krzew wina, wina Catawba!

– Świetny pomysł, ale twój kieliszek...

– Ach, ach – pociągnął łyczek – a ty czemu nie pijesz?

– Zapomniałeś, kochany Charlie, co ci mówiłem o starych znajomych, których dziś spotkałem.

– Och! – wykrzyknął tamten tonem, który całkiem odbiegał od liryzmu, kontrastując trochę ze swobodną towarzyskością jego kompana. – Och, dobrego starego wina – prawdziwego, dostalego porto – nie można wypić za dużo. Ech, pijsze.

– Ale nie sam.

– Ma się rozumieć – zamaszystym gestem podniósł kieliszek do ust i pociągnął następny łyk. – Sądzę, że są tu cygara. Fajkę ostaw w spokoju. Najlepsza jest wówczas, gdy się ją pali w samotności. Kelner, cygara! Najlepsze!

Przyniesiono je w ładnym glinianym naczyniu w stylu zachodnim, w kształcie jakiegoś indiańskiego utensylium o brunatnej barwie. Cygara okalały liczne liście tytoniu, których długie zielone wachlarze, fantazyjnie pogmatwane, ułożone były wzdłuż ścianek naczynia w taki sposób, że prześwitywała spod nich czerwona barwa.

Prócz liści znajdowały się tam także dwa mniejsze wyroby sztuki garncarskiej, mianowicie dwie kule, z których jedna wyobrażała jabłko w kolorach czerwonym i złotym, jak żywe. Przez szparę na czubku widać było, że w środku jest puste. Było to naczynie na popiół. Druga kula miała barwę szarą, a powierzchnię pokrytą fałdkami i podobna była do gniazda os. Zawierała zapalki.

– Proszę – rzekł nieznajomy, podsuwając cygarnicę – poczęstuj się, a ja ci skrzeszę ognia – sięgnął po zapalkę. – Nie ma jak tytoń – dodał, gdy jęły się unosić wstęgi dymu z cygara; przeniósł też wzrok z palącego na gliniane naczynie. – Każe na mym grobie zasadzić krzew tytoniu z Wirginii przy winie Catawba.

– To jeszcze lepsze niż twój pierwszy pomysł, który i tak był dobry. Ale ty nie palisz.

– Zaraz, zaraz, niech ci jeszcze doleję. Nie pijesz.

– Dzięki, ale na razie wystarczy. Nalej sobie.

– Zaraz, zaraz, pijże przecie. Mną się nie przejmuj. Pozwól, że ci powiem, co mi właśnie przyszło do głowy: ten, kto z przesadnej wytworności lub z moralnego fanatyzmu wyrzeka się tytoniu, ponosi – gdy chodzi o drobne przyjemności życiowe – większą stratę niżli fircyk w ortopedycznym bucie albo człek w stanie bezżennym, który sypia na żelaznym łóżku. Natomiast gdy chodzi o kogoś, kto chętnie rozkoszowałby się tytoniem, ale nie może – to u filantropów widok takiego człowieka musi wywołać łkanie, kiedy niczym w obłędzie wciąż na nowo sięga po cygaro, którym ze względu na niewydolność żołądka cieszyć się nie może, a mimo to po każdej sromotnej porażce słodkie marzenie, że niemożliwe się ziści, każe mu raz jeszcze wystawiać się na nieznośne męki – biedny eunuch!

– Zgadzam się z tobą – powiedział kosmopolita, nadal bardzo towarzyskim tonem – ale ty nie palisz.

– Zaraz, zaraz, palże sobie. Jak mówiłem...

– Ale czemu nie palisz, gadaj. Nie uważasz chyba, że tytoń sprzymierzony z winem zanadto wzmacnia cechy wina właściwe, krótko mówiąc, że u niektórych organizmów ogranicza panowanie nad sobą!?

– Gdybym tak uważał, byłoby to zdradą koleżeństwa – brzmiało serdeczne zaprzeczenie. – Nie, nie. Po prawdzie jednak mam akurat teraz niezbyt miły smak w ustach. Zjadłem na obiad piekielnie ostrą potrawkę i nie będę palił, dopóki nie spłukani winem ostatnich jej śladów. Ale ty pal dalej i nie zapominaj też, proszę, o picciu. Swoją drogą, kiedy tak sobie tu po koleżeńsku siedzimy, folgując wszelkim koleżeńskim słabostkom, prawem przeciwności przychodzi na pamięć twój pozbawiony zmysłu koleżeńskiego przyjaciel Szopia Skóra. Gdyby był tu teraz z nami, zobaczyłby, ileż prawdziwych uciech serca odmawia sobie, unikając zadawania się z bliźnimi.

– Jakże to? – powiedział z emfazą kosmopolita, powoli wyjmując z ust cygaro. – Myślałem, że pod tym względem wyprowadziłem cię z błędu. Myślałem, że zdołałeś lepiej zrozumieć mego przyjaciela-dziwaka.

– No cóż, ja też tak myślałem, ale wiesz, pierwsze wrażenia powracają. Prawdę mówiąc, to jak sobie o tym teraz pomyślę, skłonny jestem podejrzewać – ze względu na pewne rzeczy, które Szopia Skóra powiedział przypadkiem podczas mojej krótkiej z nim rozmowy – że nie jest on urodzonym Missouryjczykiem, tylko przybył na Zachód przed laty, młody mizantrop z drugiej strony Alleghenów, nie tyle żeby zbić majątek, ile żeby uciec od ludzi. Otóż powiadają, że drobnostki pociągają niekiedy za sobą poważne skutki i dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby po dokładnym zbadaniu historii jego życia okazało się, że tym, co po raz pierwszy wywołało u Szopiej Skóry owo smutne nastawienie do ludzi, była odraza, jaką odczuł, przeczytawszy jako chłopiec rady, jakich Poloniusz udziela Laertesowi. Rady te, zważywszy na wpajane przez nie samolubstwo, dorównują niemal poziomem balladom o oszczędnym gospodarowaniu pieniędzmi, które widuje się niekiedy naklejone na kasie u drobnych kupców detalicznych w Nowej Anglii.

– Mam nadzieję, mój drogi – rzekł kosmopolita z miną wyrażającą uprzejmy sprzeciw – że przynajmniej w mojej obecności nie powiesz niczego, co przynosiłoby ujmę synom purytanów.

– Toż to szczyt wszystkiego! – wykrzyknął tamten, dotknięty do żywego – synom purytanów, a to dobre! Któż to taki ci purytanie, żebym ja, obywatel Alabamy, musiał ich

szanować? Zgraja zarozumiałych zgorzkniałców, starych Małwoliów, z których Szekspir naśmiewa się do rozpuku w swych komediach.

– Powiedz, proszę, co chciałeś rzec w związku z Poloniuszem – podjął rzeczowo kosmopolita ze spokojną wyrozumiałością, świadczącą o cierpliwości, jaką wyższa umysłowość wykazuje wobec poirytowania niższej. – Jak byś określił te jego rady dla Laertesza?

– Jako złe, zgubne i oszczercze! – wykrzyknął tamten z zacięciem godnym kogoś, kto oburza się plamą na honorze własnej rodziny – a jak na rady, jakich ojciec udziela własnemu synowi – nikczemne. Bo zważ: syn wyjeżdża z kraju, i to po raz pierwszy. Cóż czyni ojciec? Poleca go Bożej opiece? Wkłada mu do kufra Pismo Święte? Nie. Wtłacza mu do głowy maksymy trącające lordem Chesterfieldem, maksymy z Francji i z Italii rodem.

– No nie, miejże litość, nie w ten sposób! Czyż nie mówi on między innymi i tego:

Przyjaciół, których już wypróbowałeś,
Skuj z duszą swoją stalową obręczą.³³

Czyż to da się pogodzić z italskimi maksymami?

– Otóż da się, Frank. Nie pojmujesz? Laertes powinien zadbać, jak najlepiej umie, o swych przyjaciół, wypróbowanych przyjaciół, na tej samej zasadzie, na jakiej korkujący wino troszczy się jak tylko potrafi o swoje wypróbowane butelki. Kiedy wymierzy butelce tęgiego kopniaka, a ona nie pęknie, wówczas powiada: O, tę butelkę zatrzymam. Czemu? Bo ją kocha? Nie, wykorzysta ją w określonym celu.

– Boże! Boże! – wykrzyknął błagalnie zrozpaczony kosmopolita. – Takie... takie ujemne sądy to w istocie... one nie wystarczą.

– Prawda nie wystarczy, Frank? Masz tyle wyrozumiałości dla wszystkich: zastanów się przecie nad tonem tej wypowiedzi. Pytam się ciebie, Frank: czy zawiera ona jakąkolwiek zachętę do czynów wzniosłych, bohaterskich, bezinteresownych? Coś w rodzaju owego „Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim”? A poza tym czy można powiedzieć, że ojciec kieruje się głównie pragnieniem, by jego syn pielęgnował w sobie wielkoduszność, czy raczej, żeby wystrzegał się czegoś przeciwnego u innych? Bezbożny dawca przestroóg, Frank, a nie pobożny doradca – oto czym jest Poloniusz. Budzi we mnie odrazę. Nie mogę także ścierpieć, kiedy słyszę, jak ci wasi bywalcy i światowcy powiadają, że ten, kto będzie płynął poprzez życie, kierując się radami Poloniusza, nie natknie się na wzburzone fale.

– O nie, nie: mam nadzieję, że nikt tak nie twierdzi – odparł kosmopolita z cichą rezygnacją w głosie, opierając się całym wyciągniętym ramieniem na stole. – Mam nadzieję, że nikt tak nie twierdzi, bo jeśliby potraktować rady Poloniusza na twój sposób, doszlibyśmy do wniosku, że ludzie doświadczeni, którzy rady te polecają innym, żywią jednocześnie dość nieładne wyobrażenie o naturze ludzkiej. Jednakowoż – dodał z zakłopotaną miną – twoje słowa ukazały mi tę sprawę w tak dziwnym świetle, że w istocie wprowadziły niejaki zamęt do tego, com wcześniej myślał o Poloniuszu i jego słowach. Szczerze mówiąc, twoje oryginalne sądy do tego stopnia mną wstrząsnęły, że gdyby nie

³³ William Szekspir, *Hamlet*, akt I, scena III, przeł. Maciej Słomczyński. Laertes bynajmniej jednak nie „wyjeżdża z kraju, i to po raz pierwszy”, lecz pragnie udać się do Francji „ponownie”, stamtąd to bowiem przybył na koronację króla Klaudiusza.

ogólna zbieżność naszych poglądów, gotów byłbym pomyśleć, że właśnie zaczynam odczuwać zły wpływ niedojrzałego umysłu, zanadto zgadzającego się z umysłem dojrzałym, chyba że na wspólnym gruncie pierwszych zasad.

– Ależ w rzeczy samej! – wykrzyknął tamten, jakby mile go to połechtano. – Zbyt słaba jest moja zdolność pojmowania, bym wyrzucał bosaki na ratunek, a chwycił nie tego, co tonie. Słyszałem co prawda o pewnych wielkich uczonych naszych czasów, którzy przechwalają się, że nie tyle wychowali uczniów, co uczynili ich swymi ofiarami. Ja jednak, nawet gdybym miał moc czynienia takich rzeczy, nie śmiałbym pragnąć czegoś podobnego.

– Wierzę ci, kochany Charlie. A jednak powtarzam, żeś swymi wywodami o Poloniuszu wytrącił mnie z równowagi, nie bardzo wiem, jak, tak że teraz nie jestem całkiem pewien, co miał na myśli Szekspir, wkładając owe słowa w usta Poloniusza.

– Niektórzy mówią, że chodziło mu o to, żeby otworzyć ludziom oczy. Ale to chyba nieprawda.

– Otworzyć oczy? – powtórzył kosmopolita, a jego źrenice rozszerzały się z wolna. – Cóż znowu jest takiego na tym świecie, żeby człowiekowi trzeba było na to otworzyć oczy? Rozumie się: w tym odrażającym znaczeniu, jakie przywołujesz?

– Cóż, inni powiadają, że chciał zepsuć obyczaje, a jeszcze inni, że nie miał określonego zamiaru, lecz w konsekwencji otwarł ludziom oczy i zepsuł obyczaje za jednym zamachem. Ja to wszystko odrzucam.

– Ma się rozumieć: każdy odrzuca tak brutalne domniemanie. Muszę jednak wyznać, że kiedy czytałem w moim gabinecie Szekspira, odłożyłem wstrząśnięty pewnym fragmentem książkę i powiedziałem: Dziwny człowiek z tego Szekspira. Wydaje mi się, że czasami jest nieobliczalny, i chyba nie zawsze można na nim polegać. Tak jakby miał w sobie coś z – jak to powiedzieć? – ukrytego słońca, tak to nazwijmy, które zarazem rozjaśnia i zagęszcza mroki. Strach mnie ogarnia na myśl, że musiałbym wyjawiać, czym mi się niekiedy wydaje owo ukryte słońce.

– Myślisz, że to światło prawdy? – spytał z utajoną wesołością, napełniając mu znowu kieliszek.

– Wolałbym się uchylić od odpowiedzi na tak jednoznaczne pytanie. Szekspir musi być swego rodzaju bóstwem. Umysły roztropne, snujące pewne ukryte domysły na jego temat, zachowują dla siebie treść owych domysłów na czas ciągle trwającej próby. Istnieje jednak pewna dozwolona granica, do jakiej możemy się posunąć w snuciu jawnych przypuszczeń. Osobę samego Szekspira należy wielbić, a nie atakować, ale jako że uczynimy to z pokorą, niech nam wolno będzie podyskutować trochę o stworzonych przezeń postaciach. Na przykład taki Autolikus³⁴, postać, która była dla mnie zawsze zagadką. Co począć z Autolikiem? Z tym rozradowanym hultajem, który ma takie szczęście i święci takie tryumfy na drodze swego nieomal urzekająco występnego żywota, że człowiek prawy, zmuszony żyć w przytułku dla nędzarzy (jeśliby taka ewentualność była w ogóle możliwa) mógłby wręcz pragnąć, by się z nim zamienić. Tymczasem posłuchaj słów wypowiedzianych jego ustami: „Ha! – woła Autolik, wpadając pędem, wesoły niby kozioł, na scenę. – Ha! – zanoszą się śmiechem. – Ha! Co za głupia ta

³⁴ Autolikus – złodziejczak w *Zimowej opowieści* Williama Szekspira nosi to właśnie symboliczne imię będące imieniem, jakie w mitologii greckiej nosił dziadek ze strony matki Odyseusza, znany z kręactw i kradzieży.

uczciwość! a ufność, jej rodzona siostrzyczka, co za prostoduszna pani!”³⁵ Wyobrażasz sobie? Ufność, czyli rzecz ze wszystkiego na świecie najświętsza, zostaje nazwana ni mniej, ni więcej, tylko przejawem największego prostactwa. Albo sceny, w których postaci hultajów zdają się wymyślone tylko po to, by potwierdzały jego zasady. Lecz uważaj, Charlie: nie mówię, że tak *jest*, co to to nie, mówię natomiast, że można odnieść takie wrażenie. Tak, Autolikus mógłby sprawiać wrażenie łobuza w potrzebie, który działa w oparciu o przeświadczenie, że mniej się zyska na zaklinaniu kieszeni niż na dobraniu się do nich, że więcej zdoła wytrawny łajdak niż żebrak-niezdolny, a to z tej przyczyny, że jak mniema, miękkie głowy przewyższają liczbą miękkie serca. Ten rekrut szkolony przez diabła – Autolikus – jest szczęśliwy, jakby miał na sobie niebiańską liberię. Wstrząśnięty charakterem i drogą życiową kogoś tak nikkczemnego i tak przy tym szczęśliwego jedyną pociechę znajduję w tym, że w rzeczywistości nikt taki nigdy nie istniał, chyba że w potężnej wyobraźni, która go stworzyła. A jednak jest to istota żywa, choć to tylko poeta jest jej stwórcą. Niewykluczone, że jako twór z papieru i inkaustu, Autolikus skuteczniej oddziaływa na rodzaj ludzki, niż gdyby był tworem z krwi i kości. Czy może wywierać wpływ ozdrowieńczy? Prawda, że Autolikus nie jest pozbawiony humoru, ale mimo że zgodnie z mą zasadą humor należy uważać na ogół za cechę zbawienną – to jednak przypadek Autolika jest wyjątkiem, gdyż to właśnie jego humor oliwi, by tak rzec, jego złośliwość. Zuchwała złośliwość Autolika ześlizguje się na świat po humorze na podobieństwo korsarskiego szkunera, który wśród łopotu bander zostaje spuszczone na morze po nasmarowanej tłuszczem pochylni.

– Nie pochwalam Autolika tak samo jak ty – rzekł nieznajomy, który podczas gdy jego kompan wygłaszał swoje frazesy, zdawał się dbać o nie mniej niż o wykluwające się w jego własnej głowie sądy, mające swą oryginalnością przyćmić tamte. – Nie potrafię jednak uwierzyć, żeby Autolikus, choć jego zły charakter uwidocznia się dobitnie na scenie, mógł się choćby zbliżyć pod tym względem do kogoś takiego jak Poloniusz.

– Nic o tym nie mogę powiedzieć – odparł szczerze, choć nie niegrzecznie kosmopolita. – Dla ścisłości, przyjmując twój pogląd na osobę starego dworzanina, jeśli stawiasz zagadnienie, który z nich: Autolikus czy Poloniusz, wzbudza większą odrazę, to zapewniam cię, że ten pierwszy przedstawia się lepiej. Albowiem śliski hultaj może polechtać przepoń, natomiast zasuszony światowiec wywoła najwyżej marskość wątroby.

– Ależ Poloniusz nie jest zasuszony – powiedział tamten z wielkim ożywieniem – on się ślini. Ten upstrzony przez muchy stary niedołęga ślini się i udaje mądrego. Jego plugawa kaprawość czyni z jego plugawej mądrości plugastwo. Ten zgięty w pokłonach, płaszczący się, lawirujący stary grzesznik ma udzielać męskich pouczeń młodości? Ten rozważny, szacowny, zramolały, paradny staruszek: starcza roztropność, duma bezdusność! Ten obwieszony wstążkami staruch jest pod pewnym względem zdjęty całkowitym paraliżem, mianowicie pod względem szlachetności. Nie ma w nim duszy. To tylko samoczynność natury utrzymuje go na nogach. Podobnie jak ma to miejsce z niektórymi starymi drzewami, które choć rdzeń w nich obumarł, a żyje jeszcze tylko kora, stoją dalej prosto, mimo że wewnątrz przegniły na próchno – tak samo ciało starego Poloniusza przeżyło śmierć jego duszy.

– Ejże, ejże – rzekł kosmopolita z poważną miną, niemal urażony – choć nie ustępuję nikomu w podziwie dla gorliwości, sądzę jednak, że nawet gorliwość ma swoje granice. Dosadny język jest zawsze w mniejszym lub większym stopniu źródłem utrapienia

³⁵ William Szekspir, *Zimowa opowieść*, akt IV, scena III, przeł. Leon Ulrich.

ludzkich umysłów. Poza tym Poloniusz to człowiek sędziwy – takim pamiętam go ze sceny – o śnieżnych włosach. Otóż miłosierdzie wymaga, by do takiej osoby – myśl sobie o tym, co chcesz – odnosić się przynajmniej grzecznie. Co więcej – sędziwy wiek oznacza dojrzałość, a słyszałem kiedyś powiedzenie: „lepsze dojrzałe niżli surowe”.

– Ale zgniłe gorsze niż surowe! – grzmotnął tamten ręką w stół.

– Coś takiego! – kosmopolita, lekko zaskoczony, przyglądał się bacznie swemu roznamiętntonemu kompanowi. – Ależ się oburzasz na tego nieszczęsnego Poloniusza, istotę, której nigdy nie było i nigdy nie będzie. Atoli, ujmując rzecz w duchu chrześcijańskim – dodał tonem zadumy – wątpię, czy gniew na tę kukłę jest czymś choćby odrobinę mniej rozsądnym niż gniew na człowieka z krwi i kości. Szaleństwo to szaleństwo, bez względu na przyczynę.

– Może tak, a może nie – odparł tamten chyba troszeczkę rozdrażniony – ale trzymam się tego, com raz powiedział: lepiej być surowym niż zgniłym. A czego się lękać pod tym względem, można się dowiedzieć oto z tego, że z najprzedniejszymi sercami sprawa ma się tak, jak z najprzedniejszymi gruszkami: groźna to próba wałęsać się zbyt długo po scenie. Tak czynił Poloniusz. Na szczęście, Frank, jestem młody, wszystkie zęby mam zdrowe, a jeśli dobre wino nie przestanie mnie chronić, długo jeszcze takim pozostanę.

– Prawda – uśmiechnął się kosmopolita. – Ale żeby wino robiło dobrze, trzeba je pić. Mówiłeś dużo i dobrze, Charlie, ale piłeś mało i marnie: należy sobie.

– Zaraz, zaraz – odparł tamten pospiesznie z przejętą miną. – Jeśli dobrze pamiętam, Poloniusz wspomina o czymś takim, że pod żadnym pozorem nie powinno się popełnić nieostrożności, jaką jest udzielanie pieniężnego wsparcia przyjacielowi, któremu się nie wie. Plecie jakieś bzdury o tym, że „pożyczając, traci się pieniądze wraz z przyjacielem”³⁶, dobrze mówię? Ale nasza butelczyna: czyżby się przykleiła do stołu? Weź no ją w obroty, mój kochany! Na miły Bóg! Niech się tylko napiję dobrego wina, a już zaczynam czuć je we krwi, poprzez nie zaś – starego Poloniusza. Tak, obawiam się, że to właśnie wino tak mnie podburza przeciwko temu obrzydliwemu staruchowi bez jednego zęba.

Kosmopolita, nie wyjmując cygara z ust, powoli uniósł butelkę i równie powoli wystawił ją pod światło, po czym utkwiał w niej wzrok, niczym ktoś spoglądający w sierpniu na ciepłomierz, by przekonać się, nie jak nisko, lecz jak wysoko sięga słupek rtęci. Wydmuchawszy następnie kłęb dymu, odstawił butelkę na stół i powiedział:

– No cóż, Charlie, jeśliś wypił tyle wina, ile było w tej butelce, to mógłbym powiedzieć, że gdyby – założmy taką możliwość – gdyby pewien jegomość miał jakiś cel w tym, by upić innego jegomościa o tej samej co twoja pojemności, wówczas cała operacja nie wypadłaby drogo. Co ty o tym sądzisz, Charlie?

– Hm... sędzę, że nie jestem zbyt zachwycony tym przypuszczeniem – odrzekł Charlie spoglądając na kompana z urazą. – Wierzaj mi, Frank, to niezbyt bezpieczne pozwalać sobie na zanadto swawolne przypuszczenia względem własnych przyjaciół.

– Ależ na Boga, Frank! Moje przypuszczenie nie dotyczyło ciebie, miało charakter ogólny. Nie możesz być taki drażliwy.

– Jeśli jestem drażliwy, to z powodu wina. Zauważyłem, że czasami, kiedy piję do woli, wino wzmacnia moją drażliwość.

³⁶ William Szekspir, *Hamlet*, akt I, scena III, przeł. Maciej Słomczyński.

– Do woli? Jeszcze nawet nie wypił całego jednego kieliszka, tymczasem ja, za przyczyną twojej natarczywości, piję czwarty czy piąty, nie mówiąc już o tym, com wypił dziś rano w imię starej znajomości. Pij, pij, musisz pić.

– Oj, przecież piję, kiedy ty gadasz – roześmiał się tamten – nie zauważyłeś nawet, ale wypilem swoją miarkę. Znam pewien osobliwy sposób, któregom się nauczył od statecznego, starego wuja, co zwykł był niepostrzeżenie opróżniać kieliszek. Nalewajże, mnie również. Dalej! Precz z tym niedopałkiem, zapal nowe cygaro! Wiwat koleżeństwo! – wpadł ponownie w nastrój liryczny. – Słuchaj, Frank, czyśmy nie ludzie? Czyż nie jesteśmy istotami ludzkimi? Powiedz mi, czyż ci, co nas spłodzili, nie byli istotami ludzkimi, tak jak będą nimi – jestem o tym święcie przekonany – ci, których spłodzimy my sami? Nalewaj, do pełna, do pełna, przyjacielu! Niech rubinowa fala wzniesie się wysoko, a wraz z nią wszelkie pragnienia o barwie rubinu! Do pełna! Lej do pełna! Biesiadujmy, jak przystało na ludzi towarzyskich! A czymże jest towarzyskość? Co znaczy to słowo? Cóż ono wyraża? Życie pospołu. Ale nietoperze też żyją razem, a czyś kiedy słyszał o towarzyskich nietoperzach?

– Jeślim kiedyś słyszał – zauważył kosmopolita – to całkiem uleciało mi to z pamięci.

– Ale dlaczegoś nigdy nie słyszał o towarzyskich nietoperzach, ani niczym podobnym? Bo nietoperze, choć żyją wspólnie, nie cieszą się tym wspólnym życiem. Nietoperze nie są wesołymi stworzeniami. A ludzie tak. Cóż to za rozkosz pomyśleć, że ten wyraz, który wśród ludzi oznacza najwyższy pułap serdeczności, związany jest nierozzerwalnie z pojęciem pomocniczym w postaci wesołego dobrodziejstwa butelki. Tak, Frank – żeby żyć razem w najlepszym tego słowa znaczeniu, musimy razem pić. Jakże się zatem dziwić, że kto nie miłuje wina, taki trzeźwy drań, ma nędzne serce podobne do starego woreczka na farbkę i nie miłuje swych bliźnich? Precz z nim! Do składu szmat, powiesić go, wstrętne stworze!

– Hola, hola! Nie potrafisz się cieszyć biesiadą bez piętnowania innych? Lubię towarzystwo osób układnych i zachowujących spokój. Co do ludzi trzeźwych, to choć doprawdy bardzo lubię wesoły kieliszek, nie mam zamiaru czynić mojej natury wzorem – do naśladowania dla innych. Więc nie obrzucaj trzeźwych przekleństwami. Biesiada to dobra rzecz, ale trzeźwość też jest dobrą rzeczą. Więc nie bądź stronniczym.

– Cóż, jeśli jestem stronniczym, to przez wino. Owszem, owszem, pozwoliłem sobie na zbytnią jowialność. Moje zdenerwowanie z lada powodu o tym świadczy. Ale ty masz mocniejszą głowę: pijże. A skoro mowa o jowialności, to przyznasz chyba, że jej ostatnio przybywa?

– Przyznam i bardzo się z tego cieszę. To najlepszy dowód na upowszechnianie się ducha humanitaryzmu. W dawnych, mniej humanitarnych czasach – w epoce amfiteatrów i gladiatorów – nie wykraczała ona najczęściej poza ognisko domowe i stół biesiadny. Ale w naszym wieku – wieku towarzystw akcyjnych i swobodnego zachowania – z tą ceną zaletą rzecz ma się tak, jak z drogocennym złotem w dawnym Peru, z którego – o czym przekonał się Pizarro – wyrabiano zarówno rondel dla kuchcika, jak i koronę króla Inków. O tak, my, chłopcy ze szczerego złota, ludzie współcześni, wszędzie napotykamy jowialność. Jest to dar równie szczerze rozsiany, jak światło słońca w południe.

– Prawda, prawda. Znowu mówisz dokładnie to, co ja myślę. Jowialność wkroczyła do każdej dziedziny i profesji. Mamy jowialnych senatorów, jowialnych pisarzy, jowialnych wykładowców, jowialnych medyków, jowialnych duchownych, jowialnych chirurgów, a niedługo będziemy mieli jowialnych katów.

– Co się tyczy tych ostatnich – rzekł kosmopolita – ufam, że upowszechnienie się ducha jowialności pozwoli nam w końcu obyć się bez nich. Nie ma morderców – nie ma katów. Jestem przekonany, że kiedy jowialność zapanuje na całym świecie, mówienie o mordercach będzie równie niedorzeczne co mówienie o grzesznikach w świecie na wskroś chrześcijańskim.

– Idąc w ślad za tą myślą, dodajmy – powiedział tamten – że każdemu dobrodziejstwu towarzyszy także pewne zło zatem...

– Zaczekaj! – odrzekł kosmopolita. – Może będzie lepiej potraktować te słowa raczej jako luźną uwagę niż wyraz żywionych nadziei.

– Cóż, przypuśćmy, że ta uwaga zawiera prawdę, wówczas odnosiłaby się ona do przyszłej supremacji ducha jowialności ponieważ katu powiedzie się wtedy tak samo jak tkaczowi gdy maszyna przędząca zdobyła z hukiem przewagę. Czymże mógłby się zająć wyrzucony z pracy Jaś Stryczek? Rzeźnictwem?

– Wydaje mi się prawie pewnym, że zająłby się właśnie rzeźnictwem, atoli u niektórych mogą się pojawić wątpliwości, czy w tych okolicznościach byłoby to rzeczą właściwą i stosowną. Osobiście skłonny jestem sądzić – mam nadzieję, że nie uznają tego za fanaberię – iż wcale nie licowałoby z godnością naszej natury, by osobnik, trudniący się niegdyś doglądaniem nieszczęsnych przedstawicieli gatunku ludzkiego podczas ostatnich godzin ich żywota, z chwilą wygaśnięcia tego zawodu zamienił fach na doglądanie nieszczęsnego bydła w ostatnich godzinach jego bydlęcego żywota. Moim zdaniem, osobnik taki powinien zostać służącym, do którego to zajęcia – zważywszy znaną swą zręczność – może nie całkiem by się nie nadawał. Zwłaszcza jeśli chodzi o ostatni węzeł przy fularze pana; mało znam ludzi, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa byłiby ze względu na swe poprzednie zajęcia bardziej odpowiedni w tym względzie niż przedstawiciel omawianej przez nas profesji.

– Mówisz poważnie? – nieznajomy spojrział na mówiącego z niekłamaną ciekawością.
– Naprawdę mówisz to poważnie?

– Śmiem twierdzić, że inaczej niż poważnie nie mówię nigdy – brzmiała łagodna, acz pełna powagi odpowiedź – ale mowa była o upowszechnianiu się jowialności. Nieobca jest mi nadzieja, że ostatecznie oddziała ona nawet na tak trudny gatunek ludzi jak mizantropi.

– Jowialny mizantrop! A już myślałem, że przeholowałem mówiąc o jowialnym kacie. Jowialnego mizantropa równie trudno sobie wyobrazić, jak zgorzkniałego filantropa.

– To prawda – kosmopolita strzepnął delikatnie popiół z cygara do nie naruszonego cylinderka – ci dwaj, których wymieniłeś, są swym dokładnym przeciwieństwem.

– Ejże! Mówisz tak, jakby naprawdę istniał ktoś taki jak zgorzkniały filantrop!

– Owszem. Mój przyjaciel-dziwak, którego zowiesz Szopią Skórą, jest tego przykładem. Czyż – jak ci to tłumaczyłem – nie ukrywa pod kwaśną miną serca filantropa? Otóż jowialny mizantrop, gdy kiedyś się pojawi, będzie jego odwrotnością: pod maską uprzejmości kryło się będzie serce mizantropa. Słowem – jowialny mizantrop będzie nowym rodzajem potwora, ale znacznie doskonalszym od pierwowzoru, bo zamiast robić małpie miny i obrzucać ludzi kamieniami jak ten biedny, szalony starzec Tymon – będzie na skrzypkach przygrywał rozbawionemu światu do tańca. Krótko: z postęпами w ujowialnianiu będzie tak, jak z postęпами chrystianizacji, łagodzącymi obyczaje u tych, u których nie mogą naprawić błędów duszy. W ten to sposób dzięki jowialności mizantrop wyzbędzie się gburowatych manier i nabierze oglady i delikatności, osiągając taki stopień

jowialności, że zaiste mizantrop nadchodzącego stulecia może być niemal tak samo popularny, jak – mówię to z prawdziwą przykrością – wydają się niepopularni niektórzy filantropi współcześni, czego dowodem mój przyjaciel-dziwak.

– Ech! – wykrzyknął tamten, nieco być może znużony tak abstrakcyjnym tokiem myślenia – ech, jakkolwiek tam będzie w następnym stuleciu, w bieżącym, bez względu na wszystko, człowiek musi być jowialny, inaczej jest niczym. Więc lej, lej do pełna i bądź jowialny!

– Staram się, jak tylko potrafię – odrzekł kosmopolita, wciąż usposobiony towarzysko, acz powściągliwy. – Przed chwilą mówiliśmy o zdobywcy Pizarro, złocie i Peru. – Otóż na pewno przypominasz sobie, że kiedy ów Hiszpan wszedł po raz pierwszy do skarbcza Atahualpy i ujrzał obfitość złotych naczyń piętrzących się na prawo i lewo bez żadnego ładunku, niczym stare beczki na browarnianym podwórku – ów nędzarz, tknięty złym przeczuciem, jął wątpić w prawdziwość tak wielkiego bogactwa. Krążył po komorze opukując kłykciami lśniące dzbany. A jednak to wszystko było złoto, szczere złoto, najprawdziwsze złoto, złoto dukatowe – z jakąż radością potwierdziłoby to odpowiednim stemplem nadworni złotnicy Europy! Tak samo te nędzne umysły, które przez własną nieszczerłość nie mają zaufania do rodzaju ludzkiego, wątpią, iżby beztroska jowialność naszych czasów była prawdziwa. Są to na swój sposób mali Pizarrowie: sama królewskość ludzkiej jowialności tak ich oszołomiła, że w nią nie wierzą.

– Bądźmy jak najdalsi od tej niewiary, mój jowialny druhu! – wykrzyknął z zapalem nieznajomy. – Lej, lej do pełna!

– Ejże, wszystko to przypomina podział pracy – uśmiechnął się kosmopolita – ja zajmuję się piciem, a ty jowialnością. Ale ty ze swoją naturą zdolny jesteś obsłużyć wielką liczbę ludzi. A teraz posłuchaj, przyjacielu – przybrał szczególnie poważną minę, która najwyraźniej zapowiadała coś niebłahego, jakieś bardzo osobiste wyznanie – wino, pojmujesz, otwiera serce i...

– Otwiera! – rozległ się okrzyk radości – sprowadza na nie odwilż. Każde serce skute jest lodem, póki wino go nie stopi, odsłaniając delikatną trawę i wonne zioła kiełkujące pod spodem, a także wszelkie drogie sekrety, które się w nim kryją, niczym klejnot upuszczony w śnieżną zaspę i tkwiący tam – choć nikt się tego nie domyśla – przez całą zimę aż do wiosny.

– I właśnie w taki sam sposób, kochany Charlie, zostanie za chwilę odsłonięty jeden z mych małych sekretów.

– O! – nieznajomy żywo poruszył się na krześle. – Cóż to takiego?

– Nie bądź taki porywczy, drogi Charlie. Pozwól, że ci wyjaśnię. Jak z pewnością widzisz, natura nie obdarzyła mnie nadmierną pewnością siebie. Mówiąc ogólnie, jestem raczej zamknięty w sobie i nieśmiały. Jeżeli zatem za chwilę sprawię odmienne wrażenie, to dlatego, że we wszystkim, coś mówił, dałeś dowody serdeczności, a zwłaszcza dlatego, że potwierdzając swe dobre mniemanie o ludziach, dałeś w tak szlachetny sposób do zrozumienia, iż niepodobna, byś kiedykolwiek mógł się wobec kogokolwiek zachować fałszywie, ale przede wszystkim dlatego, że tak się oburzyłeś na jeden szczególnie małostkowy fragment rad Poloniusza. Słowem, słowem... – ciągnął ogromnie zakłopotany – jakże inaczej mam wyrazić, o czym myślę, niż dodając na koniec, że twój charakter każe mi zdać się całkowicie na twoją szlachetność, słowem – zawierzyć ci i zaufać bezgranicznie.

– Rozumiem, rozumiem – odrzekł tamten ze zdwojoną ciekawością – chciałbyś się z

czegoś zwierzyć. Co to takiego, Frank? Jakiś romans?

– Nie, nie to.

– Więc co, mój kochany? Mów: możesz na mnie zawsze polegać. Gadajże!

– No to powiem – rzekł kosmopolita. – Jestem w potrzebie: pilnie potrzebuję pieniędzy.

ROZDZIAŁ XXXI

Metamorfoza zadziwiająca bardziej niż wszelkie metamorfozy Owidiusza

– Potrzebujesz pieniędzy! – nieznajomy odsunął się gwałtownie ze swym krzesłem, niczym od potrzasku albo od krateru, co nagle otwarł się przed nim w ziemi.

– Tak – dobrodusznie potwierdził kosmopolita – a ty mi pożyczysz pięćdziesiąt dolarów. Prawie żałuję, że nie potrzeba mi więcej, wyłącznie ze względu na ciebie. Tak, drogi Charlie: ze względu na ciebie, bo tym dobitniej mógłbyś wykazać swą szlachetną życzliwość, mój drogi Charlie.

– Tylko nie twój drogi Charlie! – wykrzyknął tamten, zrywając się na równe nogi i zapinając surdut pod samą szyję, jakby lada chwila miał ruszyć w daleką podróż.

– Ależ co ty mówisz? Jakże to tak, jakże? – kosmopolita patrzył wzrokiem pełnym bóleści.

– Skończ z tym twoim jakże to, jakże! – nieznajomy zamachnął się nogą. – Idź waść do diabła! Żebak, oszust! Tak podstępnie człowieka jaszczem w życiu nie widział!

ROZDZIAŁ XXXII

Z którego wynika, że czasy czarów i czarodziejów jeszcze nie minęły

Gdy wesoły kompan wypowiadał, a właściwie wyrzucał z siebie z sykiem te słowa, zaszła w nim taka zmiana, o jakiej można wyczytać tylko w baśniach. Ze starego tworzywa powstała nowa istota. Kadmos przeistoczył się w węża.

Kosmopolita wstał – z jego wcześniejszego nastroju nie zostało śladu – przyjrzał się uważnie odmienionemu przyjacielowi, po czym wydobywszy z kieszeni dziesięć pięciodolarówek, pochylił się i zaczął kłaść je po jednej dokoła siebie, aż utworzyły koło. Cofnął się o krok i jął kołysać długą, zdobną w frędzle fajkę, z miną czarnoksiężnika, której dodatkowej siły przydawał jego ubiór. Każdemu machnięciu towarzyszyło uroczyste mamrotanie kabalistycznych zaklęć.

Tymczasem ten, który znalazł się wewnątrz zaczarowanego kręgu, stanął jak wryty, wykazując wszelkie objawy urzeczenia: wykrzywione lico, zeszywnienie członków,

zmartwiałe spojrzenie. Czary odniosły skutek w równym stopniu za sprawą czarodziejskiej różdżki, co i dziesięciu niezwykłych talizmanów na pokładzie.

– Pojaw się z powrotem, pojaw się na nowo, pojaw się na nowo, o mój były druhu! Niech ta ohydna zjawa ustąpi miejsca twej zacnej postaci, a znakiem twego powrotu niechaj będą słowa „mój drogi Frank”.

– Mój drogi Frank! – wykrzyknął natychmiast przywrócony do poprzedniego stanu przyjaciel, wychodząc wesoło z magicznego kręgu. Odzyskawszy panowanie nad sobą, odzyskał także utraconą tożsamość. – Mój drogi Frank, ależ z ciebie wesołek! Pełnyś wesołości, niczym jajo pokarmu! Jak mogłeś opowiadać mi takie bzdury, że jesteś w potrzebie? Ale zbyt sobie cenię dobry dowcip, by go popsuć. Przejąłem się więc swoją rolą i odegrałem ją, jak umiałem, przybrawszy tę całą groźną minę. Nic to! Ten drobny epizod, pozorne oziębienie naszych stosunków, uwypukli tylko przyjemną rzeczywistość. Zajmijmy z powrotem swoje miejsca i opróżnijmy wreszcie naszą butelczynę.

– Z największą przyjemnością – rzekł kosmopolita, zarzucając pozę czarownika z tą samą łatwością, z jaką był ją przybrał. – Tak – dodał zbierając skrzętnie złote monety i z brzękiem wrzucając je z powrotem do kieszeni – tak, niekiedy bywam wesołkiem, ty za to, Charlie – rzucił mu czułe spojrzenie – rzeczywiście przejąłeś się rolą. Nikt chyba nigdy nie sekundował żartom lepiej do ciebie. Zagrałeś swoją rolę lepiej, niż ja moją: zagrałeś ją, Charlie, jakby to było samo życie.

– Widzisz, byłem kiedyś członkiem amatorskiego teatrzyku i tym to można wytłumaczyć. No ale dalejże, nalewaj i porozmawiajmy o czymś innym.

– Zgoda – odrzekł kosmopolita, sadowiac się w krześle i ostrożnie napełniając swój kieliszek. – O czym będziemy rozmawiali?

– O czym tylko zechcesz – odparł tamten z nieco nerwową skwapliwością.

– To może byśmy porozmawiali o Charlemoncie?

– O Charlemoncie? A cóż to jest Charlemont? Któż to jest Charlemont?

– Zaraz się dowiesz, kochany Charlie – odrzekł kosmopolita. – Opowiem ci historię Charlemonta, dżentelmena-szaleńca.

ROZDZIAŁ XXXIII

Który wart jest tyle, ile tylko wart się może okazać

Nim jednak przedstawiona zostanie dość ponura opowieść o Charlemoncie, trzeba udzielić uprzejmej odpowiedzi na pewien głos, który, jak mi się zdaje, słyszę, a który mając w pamięci poprzednie rozdziały, zwłaszcza zaś ostatni i przedstawione w nim kuglarskie sztuczki, wykrzykuje: Jakież to wszystko mało rzeczywiste! Czyż ktokolwiek ubiera się i zachowuje jak ten twój kosmopolita? A czy ktoś – można by na to odrzec – kiedykolwiek ubierał się i zachowywał jak arlekin?

Dziwne, że w utworze mającym bawić, żąda się dochowania owej ścisłej wierności prawdziwemu życiu od kogoś, kto przystępując do pracy nad takim dziełem pokazuje dostatecznie jasno, że właśnie ma ochotę porzucić prawdziwe życie i zająć się przez czas jakiś akurat czymś innym. Tak, to zaiste dziwne, żeby ktoś miał się hałaśliwie domagać

akurat tego, czym jest znużony: żeby ktoś, kto obojętnie z jakiego powodu znajduje prawdziwe życie nudnym, miał mimo to żądać od tego, kto zamierza odwrócić odeń jego uwagę, aby był owej nudzie wierny.

Istnieją inni ludzie – i to z nimi wypada się nam zgodzić – którzy zasiadają do dzieła mającego bawić z wyrozumiałością, tak jak zasiadają do gry z bardzo podobnymi uczuciami i oczekiwaniami. Uważają oni, żeby fantazja stworzyła sceny różniące się od scen wciąż tego samego tłumu kłębiącego się wokół lady w komorze celnej, od wciąż tych samych talerzy na stole w pensjonacie, dokładając także starań, by występowały w nich postaci niepodobne do wciąż tych samych znajomych, których tak samo ciągle spotykają co dzień na wciąż tej samej ulicy. A ponieważ w prawdziwym życiu przyrodzone cechy nie pozwolą ludziom odgrywać siebie z tą swobodą, jaka dopuszczalna jest w teatrze, toteż w licznych utworach powieściowych szukają oni nie tylko więcej rozrywki, lecz także – w gruncie rzeczy – więcej rzeczywistości, niż może jej odsłonić samo prawdziwe życie. A przeto, choć pragną nowości, pragną też natury, lecz natury nieskrępowanej, uradowanej, właściwie – przeistoczonej. Zgodnie z takim myśleniem ludzie w powieści, podobnie jak ludzie w sztuce scenicznej, muszą się ubierać tak, jak nikt się właściwie nie ubiera, mówić tak, jak nikt właściwie nie mówi, postępować tak, jak nikt właściwie nie postępuje. Z prozą jest jak z religią: powinna przedstawiać inny świat, wszakże taki, z jakim czujemy się związani.

Jeżeli tedy wysiłkom podjętym w dobrej wierze należy się jakieś wybaczenie, to z pewnością trzeba na coś niecoś pozwolić pisarzowi, starającemu się we wszystkich scenach, jakie wyszły spod jego pióra, o to tylko, by spełnić – wedle swego rozumienia – ukryte życzenie bardziej pobłażliwego miłośnika rozrywki, przed którym arlekin nigdy nie może wystąpić w zbyt pstrokatym stroju ani płasnąć zanadto dziwacznie.

I jeszcze jedno. Choć wszyscy wiedzą, że jest bezcelowym w każdym wypadku dowodzić swej racji, bez względu na to, jak bardzo jest się przekonanym, iż nigdy nie tkwiło się w błędzie, to jednak aprobatą ze strony bliźnich jest dla człowieka tak cenna, że spocząć w obliczu choćby wyimaginowanych zarzutów, w odniesieniu do li tylko dzieła wyobraźni, nie jest rzeczą łatwą. Wzmianka o tej słabostce niechaj wytłumaczy, dlaczego wszystkich tych Czytelników, mogących sądzić, że dostrzegają jakiś brak harmonii pomiędzy hałaśliwą wesołością kosmopolity a najeżonym cynikiem, a także pomiędzy jego powściągliwą dobroduszością a wesołym kompanem – autor odsyła obecnie do tego rozdziału, w którym – ze względów zasadniczych – podejmuje się nieśmiałą próbę przeprosin za podobny, acz pozorny brak zgodności wewnętrznej u innej postaci.

ROZDZIAŁ XXXIV W którym kosmopolita przedstawia historię dżentelmena – szaleńca

– Charlemont był to młody kupiec pochodzenia francuskiego, który mieszkał w St. Louis – człek, któremu nie brakowało rozumu i który obdarzony był ową cenną i ujmującą życzliwością, jaką rzadko spotyka się w postaci doskonałej, wyjąwszy młodzieńców, u których niekiedy spora doza pełnego wdzięku zuchwalstwa łączy się z dowcipną

dobroduszością. Rzecz jasna, był przez wszystkich podziwiany i przez wielu kochany, jak tylko ludzie kochać potrafią. Gdy jednak wkroczył w dwudziesty dziewiąty rok swego życia, nastąpiła u niego przemiana. Na podobieństwo człowieka, co w ciągu jednej nocy posiwił, Charlemont w ciągu jednego dnia z człowieka uprzejmego stał się ponurakiem. Mijał znajomych bez słowa pozdrowienia, co się zaś tyczy najbliższych przyjaciół, wyraźnie, bez najmniejszej żenady i z jakowąś zaciekłością udawał, że ich nie poznaje.

Niektórzy, pobudzeni do tego takim zachowaniem, nie omieszkali dać wyraz swemu oburzeniu, nazywając je odrażającym, inni natomiast, wstrząśnięci ową zmianą i z troski o przyjaciela wielkodusznie przymykając oczy na doznaną obrazę, usiłowali za wszelką cenę dowiedzieć się, jakież to nagłe i kryjome zmartwienie tak go przygnębiło. Ale Charlemontowi jednako obojętne było zarówno oburzenie, jak i czułość.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy – ku ogólnemu zaskoczeniu – kupiec Charlemont został ogłoszony bankrutem. Jeszcze tego samego dnia podano wiadomość, że opuścił on miasto, przedtem jednak przekazał cały majątek w ręce pełnomocników, zabezpieczając w ten sposób interesy wierzycieli.

Gdzie zniknął, nikt nie umiał odgadnąć. Na koniec, w braku jakichkolwiek wieści, zaczęto podejrzewać, że najpewniej musiał z sobą skończyć. Podejrzenia te zrodziły się niewątpliwie z pamięci o owej przemianie, poprzedzającej o kilka miesięcy jego bankructwo, przemianie, jaką można było przypisać jedynie umysłowi wytraconemu nagłe z równowagi.

Mijały lata. Nadeszła wiosna i oto pewnego pięknego ranka Charlemont wkroczył niedbale do kawiarni w St. Louis: wesoły, grzeczny, dobrotliwy i towarzyski, a przy tym, ubrany z wyszukaną elegancją. Mało, że znajdował się wśród żywych – znowu był sobą. Napotkawszy starych znajomych, pierwszy dawał w ich stronę znaki, i to w taki sposób, że nie można go było nie zauważyć i nie rozpoznać. Innych natomiast dawnych kolegów, z którymi akurat nie udało mu się przypadkowo spotkać, odwiedził osobiście lub też zostawił im bilet z pozdrowieniami, kilku zaś przesłał w upominku dziczyznę albo wielkie gąsiorzy z winem.

Powiadają, że świat bywa czasem okrutnie zawzięty, lecz w wypadku Charlemonta tak nie było. Świat przeżywa nawrót miłości do tego, kto doń powraca, jak uczynił to on. Wyrazem jego ponownie rozbudzonej ciekawości było dociekanie szeptem, jakże teraz, po upływie tak długiego czasu od bankructwa, wiedzie się trzosowi Charlemonta. Plotka, która rzadko narzeka na brak odpowiedzi, głosiła, że spędził on dziewięć lat w Marsylii i dorobiwszy się tam powtórnie majątku, powrócił wraz z nim do kraju, i mógł się teraz oddawać urokom przyjaźni.

Mijały lata, a ów odzyskany przez kraj wędrowiec nic się nie zmieniał, a właściwie – dzięki swym szlachetnym cechom charakteru – rozkwitał niczym złocista kukurydza w sprzyjającym słońcu pochlebnych opinii. Nadal jednak pozostawało zagadką, jaki był powód tej jego przemiany w dobie, kiedy – całkiem tak samo jak obecnie – posiadał wedle wszelkich pozorów ten sam majątek, tych samych przyjaciół i taką samą popularność. Nikt jednak nie uważał, by można było go o to zagadnąć.

Aż wreszcie na pewnym przyjęciu w jego domu, gdy wszyscy goście z wyjątkiem jednego odeszli po kolei, ten, który jeszcze pozostał – a był to pewien stary znajomy Charlemonta – znajdując się pod dostatecznym działaniem wina, by wyzbyć się lęku przed poruszeniem drażliwej kwestii, ośmielił się w sposób, który przemawiał raczej na korzyść jego serca niż poczucia taktu, poprosić gospodarza o wyjaśnienie owej jedynej zagadki

jego życia. Wyraz głębokiej melancholii odmalował się na pogodnym przedtem obliczu Charlemonta, który czas jakiś siedział w milczeniu, drżąc, a potem, podsunąwszy swemu gościowi pełną karafkę, rzekł zdławionym głosem: – Nie, nie! Gdy mogła, za sprawą sztuki, pieczołowitości i czasu porosła kwieciami, któż próbowałby ją rozkopać na nowo po to tylko, żeby poznać jej tajemnicę? Napijmy się wina.

Gdy oba kieliszki były już pełne, ujął swój i unosząc go wysoko w górę dodał powoli: – Jeśli kiedyś w przyszłości ujrzysz nadciągającą katastrofę i sądząc, że znasz się na ludziach, zadrżysz o swe przyjaźnie i swój honor, i jeśli po części z miłości do tego pierwszego, po części zaś z obawy o to drugie postanowisz wyprzedzić świat i uratować go od grzechu – wówczas uczynisz tak, jak niegdyś uczynił był ktoś, o kim teraz myślę, i podobnie jak on będziesz cierpieł. Jakże jednak byłbyś szczęśliwy i wdzięczny, gdybyś mógł – podobnie jak on – po tym wszystkim, co się wydarzyło, odczuwać znowu odrobinę radości.

Opuściwszy dom gospodarza, człowiek ów był przekonany, że choć z pozoru Charlemont odzyskał spokój ducha, a także majątek, to jednak jakieś ślady jego dawnej choroby przetrwały i nie byłoby dobrze, gdyby jego przyjaciele poruszali tę niebezpieczną strunę.

ROZDZIAŁ XXXV

W którym kosmopolita daje uderzający dowód szczerości swej natury

– No i co sądzisz o tej historii? – spytał uprzejmie ten, kto ją opowiedział.

– Bardzo dziwna – odrzekł ten, kto jej wysłuchał, czując się może odrobinę nieswojo. – Ale czy to prawda?

– Naturalnie, że nie. Opowiadając ci tę historię, miałem na celu to, co każdy gawędziarz: żeby cię zabawić. Dlatego też, jeśli wydaje ci się ona dziwną, to owa dziwność tkwi w kaprysach fantazji, w tym, czym tak jaskrawo różni się ona od prawdziwego życia, w pomysłowości, czyli mówiąc krótko: w zmyśleniu jako przeciwieństwie rzeczywistości. Boć przecie zastanów się sam, kochany Charlie – pochylił się czule w jego stronę – a odpowiedź pozostawiam twemu sercu, czyż tak dalekosiężną w czasie pobudkę, o jakiej wspomina Charlemont, by wytłumaczyć swą przemianę, czyż, pytam, pobudkę tego rodzaju dałoby się w ogóle uzasadnić naturą ludzkiej społeczności? Czyż ty sam odwróciłbyś się oziębłe plecami do przyjaciela, powiedzmy – wesołego usposobienia – gdybyś nagle dowiedział się, że jest bez grosza przy duszy?

– Jak możesz mnie o to pytać, mój drogi? Wiesz, że taka podłość wzbudziłaby u mnie wyłącznie pogardę.

Zaraz jednak wstał nieco zaniepokojony: – Choć nie jest jeszcze późno, doprawdy obawiam się, że muszę się z tobą pożegnać. Z moją głową – przyłożył do niej rękę – coś niedobrze. Wypiłem tego przekłętą eliksiru z drzewa kampeszowego tylko odrobinę, a i tak daje mi się piekielnie we znaki.

– Wypiłeś tylko odrobinę tego eliksiru z kampeszu? Ależ Charlie, tyś chyba postradał

rozum! Żeby mówić w ten sposób o najprawdziwszym, rozplływającym się w ustach portwajnie! O tak, chyba rzeczywiście lepiej będzie, jeżeli pójdziesz się przespać. Och, nie przepraszaj, nie tłumacz się: idź, idź, ja cię doskonale rozumiem. Zobaczymy się jutro.

ROZDZIAŁ XXXVI

W którym kosmopolita zostaje zagadnięty przez mistyka,
po czym wywiązuje się taka mniej więcej rozmowa,
jakiej można się było spodziewać

Gdy tylko – nie bez pewnego pośpiechu – wesoły kompan się oddalił, do kosmopolity zbliżył się jakiś nieznajomy i dotknąwszy lekko jego ramienia, powiedział: – Zdaje się, że słyszałem, iż mówił pan o powtórnym spotkaniu z tym człowiekiem. Ostrzegam: niech pan tego nie robi.

Kosmopolita odwrócił się i przyjrzał bacznie mówiącemu. Był to człek błękitnooki, o włosach rudawożasnej barwy, z wyglądu Anglosas. Lat mógł mieć czterdzieści pięć, wzrostu słusznego, z wyjątkiem zaś niejakej kanciastości figury – dobrze zbudowany. Salon odcisnął na nim ślad niewielki, cechowała go natomiast prostota purytanina i dostojność włościanina. Jego wiek zdradzało raczej łagodnie zamyślane czoło niż wygląd ogólny, sprawiający owo wrażenie młodzieńczości człowieka dojrzałego, jaka cechuje niekiedy ciało cieszące się dobrym zdrowiem, pierwotny dar natury, albo też jest po części wynikiem bądź nagrodą za wytrwałe powściąganie namiętności, co udawać się może zarówno dzięki budowie cielesnej, jak i obyczajom. Lico gładkie, urodziwe, niemal rumiane, chłodne od świeżości, niczym czerwony kwiat koniczyny o chłodnym poranku, co swą ciepłą barwę zachował dzięki chładowi. Ogólny ton nadawała temu człowiekowi osobliwa mieszanina Bóg wie jak wielkiego sprytu i zagadkowej tajemniczości, tak z sobą splecionych, że zdawał się on być jakimś skrzyżowaniem jankeskiego domokrażcy i tatarskiego szamana, choć wydawało się poniekąd, że w razie potrzeby ten pierwszy wcale nie grałby drugich skrzypiec.

– Szanowny panie – kosmopolita powstał i złożył mu ukłon pełen dostojności – wprawdzie nie mogę nie powitać z mieszanymi uczuciami wzmianki dotyczącej kogoś, kto jeszcze przed chwilą trącał się ze mną po koleżeńsku kieliszkiem, z drugiej jednakowoż strony nie lekceważyłbym pobudki, która mogła być nakłonić pana do wzmianki owej poczynienia. Mój przyjaciel, którego miejsce jest jeszcze ciepłe, udał się na spoczynek nocny, zostawiając co nieco w tej oto butelce. Proszę, niechże pan zajmie jego miejsce i dotrzyma mi towarzystwa. Jeśli wówczas nie opuści pana ochota, żeby w dalszym ciągu napomykać mało życzliwie o owym człowieku – a jego przyjemne ciepło przeniknie wkrótce w głąb pańskiego ciała wraz z jego uroczą gościnnością – niech i tak będzie.

– Śliczne to doprawdy koncepta – rzekł nieznajomy, który teraz uczenie i z kunsztem badał wzrokiem swego rozmówcę, jakby był on posągiem w Pałacu Pittich – doprawdy śliczne. – Następnie, przejęty do głębi, dodał: – Jeśli się nie mylę, to szanowny pan ma piękną duszę, pełną wszelakiej miłości i prawdy, albowiem tam, gdzie jest piękno, muszą być także miłość i prawda.

– Miłe to przeświadczenie – odparł kosmopolita z uprzejmą miną – i muszę wyznać, że dawno temu przypadło mi do gustu. Tak, podobnie do pana i do Schillera, żywię przekonanie, że w istocie piękna nie da się pogodzić ze złem. Dlatego też stać mnie na

takie dziwactwo, by nie wątpić w utajoną łagodność owego pięknego stworzenia, jakim jest grzechotnik. Czyż którykolwiek z mieszkańców prerii może nie patrzeć z zachwytem na jego gibki grzbiet i połyskliwy labirynt śniado-złoty zwojów wijących się w górę ku słońcu?

Wyrzekłszy te słowa, zdawał się do tego stopnia przejęty ich treścią – jak to bywa z niektórymi ludźmi posługującymi się w rozmowie barwnymi opisami – że mimowolnie jął wic się całym ciałem aż po czubek przekrzywionej głowy, jakby upodabiając się do opisanego przez siebie stworzenia. Tymczasem nieznajomy przyglądał się mu najwyraźniej bez wielkiego zdziwienia, choć z dużą dozą właściwej mistykom filozoficznej zadumy. Wreszcie rzekł:

– Skoro piękno owego zwierzęcia tak bardzo pana urzeka, czyż nigdy nie marzył pan, żeby się z nim zamienić i przyjąć jego zwyczaje? Żeby poczuć, co to znaczy być wężem? Ślizgać się wśród traw, gdzie nikt nie podejrzewa niebezpieczeństwa? Kąsać, zabijać przy lada dotknięciu, uczynić całe swoje piękne ciało opalizującym narzędziem śmierci? Słowem, czy nie marzył pan nigdy, żeby wyzwolić się z oków wiedzy i sumienia, i rozkoszować czas jakiś beztroskim, radosnym żywotem istoty kierującej się wyłącznie instynktem, pozbawionej skrupułów i nieodpowiedzialnej?

– Pragnienie takie – odrzekł tamten, ani odrobinę nie poruszony – muszę wyznać, nigdy świadomie u mnie nie wystąpiło. W rzeczy samej, pragnienie takie nie może chyba wcale pojawić się u ludzi ze zwykłą wyobraźnią, a nie sądzę, bym pod tym względem wyrastał ponad przeciętność.

– Ale skoro już podsunąłem panu taką myśl – rzekł nieznajomy, wręcz z dziecięcym uporem – czy nie obudziła ona podobnego pragnienia?

– Bynajmniej. Bo choć nie sądzę, bym miał jakiegokolwiek uprzedzenia wobec grzechotników, to jednak nie chciałbym być jednym z nich. Gdybym był grzechotnikiem, mowy by nie było na przykład o tym, by spędzać urocze chwile w towarzystwie ludzi. Ludzie bowiem baliby się mnie, a zatem byłbym bardzo samotnym i pożałowania godnym grzechotnikiem.

– Prawda, że ludzie baliby się pana. A dlaczego? Z powodu grzechotu, pustego grzechotu. Jest to, jak mi powiedziano, dźwięk podobny do tego, jaki wydają potrząsane razem drobne, wyschnięte czaszki w melodii „Walc śmierci”. I oto mamy następną piękną prawdę. Kiedy jakieś stworzenie uczynione zostało na szkodę innych stworzeń, natura opatruje owo stworzenie nalepką, jak aptekarz – truciznę. A zatem jeżeli ktoś pada ofiarą grzechotnika lub jakiejś innej szkodliwej istoty sam sobie jest winien. Powinien był uważać na nalepkę. Stąd owo znamienne miejsce w Piśmie Świętym: „Któż ulituje się nad czarodziejem pokąsanym przez węża?”

– Ja bym się ulitował – rzekł kosmopolita, może odrobinę zbyt obcesowo.

– Czyż jednak nie sądzi pan – odparł tamten, wciąż z tą samą beznamiętną miną – czyż nie sądzi pan, że jeśli człowiek lituje się nad tym, wobec czego natura jest bezlitosna, dowodzi to poniekąd zarozumiałości?

– Niech kazuiści rozstrzygają spory kazuistów. W sprawach współczucia rozstrzyga samo serce. Ale szanowny pan – kosmopolita przybrał poważny ton – uświadomiłem sobie to dopiero teraz, użył przed chwilą słowa „nieodpowiedzialny” w sposób dla mnie dość niezwykły. Otóż choć przez wyrozumiałość staram się, jak tylko potrafię – taką przynajmniej mam nadzieję – nigdy nie obawiać się żadnych myślowych spekulacji, byleby prowadzone były w duchu uczciwości, to jednak muszę tym razem wyznać, że

przywołaną kwestią wywołał pan u mnie niepokój, ponieważ właściwy pogląd na świat, ów pogląd, z którego powinna rodzić się słuszna ufność, uczy – jeśli się nie mylę – że nad ogółem rzeczy sprawowany jest właściwie nadzór i dlatego nie może to być, żeby jakaś większa liczba żywych stworzeń odznaczała się brakiem odpowiedzialności.

– Czy grzechotnika cechuje odpowiedzialność? – spytał nieznajomy, rzucając tak nienaturalnie zimne spojrzenie z głębi swych świecących jasnoszafirowym blaskiem oczu, że zdawało się, iż to raczej tryton niż obdarzony czuciem człowiek. – Czy grzechotnik jest stworzeniem odpowiedzialnym?

– Jeśli nie odpowiem na to pytanie twierdząco – odparł kosmopolita z ostrożnością nie pozbawionego wprawy myśliciela – to także temu nie zaprzeczę. Jeśli jednak przypuścimy, że tak – to czyż muszę mówić, iż nie idzie tu o odpowiedzialność przed panem, przede mną albo przed sądem powszechnym, tylko przed czymś wyższym.

Mówił dalej, a kiedy nieznajomy sposobił się, by mu przerwać, kosmopolita – wyczytawszy jakby ze wzroku treść zarzutów – nie czekając, aż przyobleką się one w słowną szatę, odpowiedział na nie od razu: – Pan się sprzeciwia memu przypuszczeniu, bo przecież owa odpowiedzialność grzechotnika nijak nie przejawia się w naturze, ale czyż prawie tego samego nie można by zarzucić człowiekowi? *Reductio ad absurdum* dowodzi, że to zarzut nieuzasadniony. Ale jeśli teraz – ciągnął – weźmie pan pod uwagę, jaka zdolność do szkodzenia występuje u grzechotnika (proszę zauważyć, że nie oskarżam go o szkodnictwo, powiadam tylko, że ma tę zdolność) – czy na dobrą sprawę mógłby się pan uchylić od przyznania, iż nie byłby wcale symetrycznym taki pogląd na świat, który zabrania człowiekowi zabijać bliźniego bez wyroku sądu, atoli w wypadku grzechotnika dopuszcza taką niepojętą możliwość, że folgując swym zachciankom morduje on wszelkie stworzenie, które uraziło czymś jego podejrzliwość, w tym także i ludzi? Ale – dodał ze znużoną miną – niemiła to rozmowa, w każdym razie dla mnie. Mimowolnie dałem się w nią uwikłać, czego żałuję. Proszę – niech pan siada i naleje sobie wina.

– Pańskie domniemania to dla mnie rzecz nowa – odrzekł nieznajomy z rodzajem łaskawego uznania w głosie, niczym ktoś, kto z poświęcenia dla wiedzy wzdraga się na samą myśl, iż mógłby nie przyswoić sobie choćby najmniejszego jej okruchu, nawet jeśli pochodziłby ze stołu nędzarza. – A ponieważ witam z radością, jak Ateńczycy, każdą myślową nowinkę, nie mogę się zgodzić, by tak nagle porzucić ten temat. Otóż grzechotnik...

– Błagam: nie mówmy już więcej o grzechotnikach – rzekł zrozpaczony kosmopolita. – Muszę stanowczo odmówić ponownego podjęcia tego tematu. Bardzo proszę: niechże pan siada i naleje sobie wina.

– To, że mnie pan zaprasza, bym usiadł wspólnie z panem, dowodzi gościnności – nieznajomy przystał teraz spokojnie na zmianę przedmiotu rozmowy – powiadają zaś, że gościnność pochodzi ze Wschodu i stanowi – a jest tak w istocie – temat pewnego uroczego arabskiego romansu, będąc zresztą sama w sobie czymś bardzo romantycznym. Dlatego też zawsze z przyjemnością słucham słów świadczących o gościnności. Lecz co się tyczy wina, mój szacunek dla tego trunku jest tak wielki, ja natomiast tak bardzo lękam się pozwolić mu nasycić me pragnienie, że utrzymuję mą miłość do niego w stanie permanentnej abstynencji, nigdy nie wystawiając jej na próbę. Słowem, wielkimi haustami pijam wino ze stronic Hafiza, lecz z kieliszka co najwyżej z rzadka je sączę.

Kosmopolita spojrział łagodnie na mówiącego, który zajmował teraz krzesło naprzeciw i promieniował czystym i zimnym światłem, niczym pryzmat. Wydawało się, że nieomal

słysząc szklany dźwięk wydzwanianych przezeń kurantów. Akurat przechodził kelner. Kosmopolita dał mu znak, by się zatrzymał, i kazał mu przynieść karafkę zimnej wody. – Tylko żeby była lodowato zimna – powiedział. – A teraz – zwrócił się do nieznanego – może zachce mi pan łaskawie wytłumaczyć, dlaczego pierwsze słowa, z jakimi się pan do mnie zwrócił, zawierały przestrożę?

– Mam nadzieję, że była to przestroga nie taka, jak prawie wszystkie inne – odrzekł nieznanemu – które wcale przed niczym nie ostrzegają, tylko jak na urągowisko przychodzą po fakcie. Jest wszakże w panu coś, co każe mi sądzić, że bez względu na to, jakie ukryte zamysły mógł wiązać z pańską osobą ów przyjaciel-oszust – nie doczekały się one jak dotąd spełnienia. Odczytałeś pan napis na jego nalepce.

– A cóż on głosił? Oto co: „Wesoła dusza”. A zatem musi pan odrzucić albo swą teorię nalepek, albo uprzedzenia, jakie pan żywi wobec mego przyjaciela. Proszę mi jednak powiedzieć – rzekł przyjmując znowu poważny ton – co pan o nim sądzi. Kim on jest?

– A kim pan jest? Kim ja jestem? Nie istnieje nikt, kto wie, kim jest. Aby prawdziwie ocenić jakąkolwiek istotę, dane, których dostarcza życie, są równie niewystarczające, jak w geometrii jeden bok nie wystarcza, by podać definicję trójkąta.

– Czy jednak owa teoria trójkątów nie stoi poniekąd w sprzeczności z pańską teorią nalepek?

– Owszem, ale co z tego? Nie zależy mi na tym, żeby w tym, co mówię, nie było sprzeczności. Dla filozofa brak sprzeczności w tym się wyraża, że sam umysł zachowuje w każdym momencie pewien określony poziom wszystkich swych myśli. Ponieważ jednak natura to prawie wyłącznie góry i doliny, niepodobna w naturalny sposób czynić postępów w zdobywaniu wiedzy, nie dostosowując się zarazem do naturalnych nierówności podczas marszu. Posuwanie się w głąb krainy wiedzy przypomina posuwanie się po wielkim kanale Erie, gdzie ze względu na charakter tamtych stron zmiana poziomu jest nieunikniona. Wciąż człowieka wpuszczają do śluzy lub spuszcza ją i nie ma w tym choćby krzty logiki, a przecież cały czas posuwamy się naprzód. Najnudniejsza natomiast część całej trasy nazywa się w języku marynarzy „wielką deską” i jest to płaskie rozlewisko ciągnące się przez sześćdziesiąt mil stojących bagien.

– Może w tym jednym szczególe – odparł kosmopolita – pańskie porównanie nie jest najszcześniejsze. Bo proszę powiedzieć, o ileż wyżej leży równina, na której, kiedy przepłynie już pan przez te wszystkie górne i dolne śluzy, w końcu pan stanie? Czy aż tyle, by warto było czynić ją przedmiotem starań i zabiegów? Skoro od wczesnej młodości uczono pana szacunku dla wiedzy, będzie mi pan musiał wybaczyć, jeśli w tym jednym punkcie odrzucę pańską analogię. Ale zaraz! Doprawdy, z pana chyba czarodziej: tak się pograżyłem w tej kuszącej rozmowie, że niechcący zбочzył zupełnie z mojego tematu. Powiadasz pan, że niepodobna, byś wiedział na pewno, kim jest mój przyjaciel. Jak zatem pan przypuszczasz?

– Przypuszczam, że jest on tym, co u starożytnych Egipcjan zwało się... – tu użył jakiegoś nieznanego słowa.

– ... A cóż to takiego?

– ... jest tym, co Proklus³⁷ w przypisie do trzeciej księgi swej teologii Platona definiuje jako... – tu wypowiedział zdanie po grecku.

³⁷ Proklus (ok. 411 – 485) – filozof i teolog grecki.

Kosmopolita uniósł kieliszek, zapatrzył się w przejrzyste szkło, po czym odrzekł:

– Temu, że Proklus definiując tę rzecz w taki sposób, uczynił ją całkiem zrozumiałą dla ludzi dzisiejszych – nie śmiem zaprzeczyć. Gdyby jednak zechciał pan wyrazić ową definicję słowami dostosowanymi do zdolności postrzegania ludzi takich jak ja, poczytałbym to sobie za łaskę.

– Za łaskę! – nieznajomy uniósł lekko swe chłodne czoło. – Masz pan na myśli tę łaskę, której symbolem jest pęk białych wstążek weselnych, tak pięknie wyrażających czystość prawdziwego małżeństwa, bo o innych łaskach dopiero za chwilę. A przecież użyty przez pana wyraz w jakiś mglisty, acz niemiły sposób zdaje się oznaczać w pańskich ustach nędzne, tchórzliwe przyzwolenie na to, by wyświadczano panu dobro.

W tejże chwili przyniesiono puchar lodowato zimnej wody, którą na znak dany przez kosmopolitę postawiono przed nieznajomym. Ten nie omieszkał wyrazić podziękowania, nim pociągnął łyk orzeźwiającego widać napoju, bo też okazuje się niekiedy, że takiż zimny napitek wcale nie musi być nieprzyjemny.

Odstawiwszy puchar i otarłszy delikatnie usta z kropel wody, które przywarły mu do warg niczym do brzegu koralowej muszli w rafie, nieznajomy zwrócił się w stronę kosmopolity i spokojnie, z takim opanowaniem i w tak rzeczowy sposób, jak tylko to było możliwe, powiedział: Jestem wyznawcą metempsychozy i bez względu na to, kim jestem teraz, mam wrażenie, że kiedyś byłem stoikiem-arianinem. Podejrzewam także, że w takie samo zakłopotanie wprawiał mnie pewien wyraz będący wówczas w potocznym użyciu, a odpowiadający najprawdopodobniej pańskiemu słowu „łaska”.

– Czy byłby pan łaskaw mi to wytłumaczyć? – zapytał uprzejmie kosmopolita.

– Szanowny panie – odrzekł nieznajomy z leciutką nutą surowości w głosie – lubię, żeby wszystko było jasne i klarowne, toteż obawiam się, iż nie będę w stanie prowadzić z panem rozmowy w sposób zadowalający, jeśli nie będzie pan o tym stale pamiętał.

Kosmopolita lustrował go chwilę badawczo, po czym rzekł: – Najlepszy, jak słyszałem, sposób wydostania się z labiryntu polega na tym, żeby cofać się po własnych śladach. A zatem cofnę się po własnych śladach i proszę uprzejmie, żeby mi pan dotrzymał towarzystwa. Krótko mówiąc: chciałbym jeszcze raz wrócić do tamtego tematu – z jakiego powodu ostrzegął mnie pan przed moim przyjacielem?

– Odpowiem tedy krótko i jasno: jak już powiedziałem, podejrzewam, że jest on tym, co u starożytnych Egipcjan...

– Za pozwoleniem – przerwał mu błagalnie kosmopolita – niechże mi pan powie, na cóż, u Boga, zakłócać wieczny odpoczynek tym starożytnym Egipcjanom? Jakież mają dla nas znaczenie ich słowa lub myśli? Czyż jesteśmy ubogimi Arabami nie posiadającymi dachu nad głową, byśmy musieli siedzieć w kucki wśród zakurzonych mumii w katakumbach?

– W martwym wypalaczu cegieł w Egipcie faraonów, nawet najuboższym i okrytym łachmanami, więcej jest godności niż w imperatorze Wszechrusi odzianym w najcieńsze holenderskie płótno – powiedział tonem proroka nieznajomy – albowiem śmierć, choćby nawet w przypadku robaka, jest pełna dostojeństwa, natomiast życie, nawet w przypadku króla, zasługuje na pogardę. Dlatego niech pan nie mówi nic złego o mumiach. Moja misja polega także i na tym, by nauczyć ludzkość szacunku, jaki należy się mumiom.

Na szczęście – bo ów chaotyczny potok słów musiał się przez to zatrzymać lub zmienić kierunek – pojawił się wówczas wychudły mężczyzna o wyglądzie nawiedzonego. Ów

szalony żebrak prosił o jałmużnę, proponując w zamian rozprawę o rapsodach przez siebie ułożoną, utrzymując przy tym, że pełni jakoweś rapsodyczne apostołstwo. Choć był obszarpany i brudny, nie miał w sobie ani krzty wulgarności, gdyż z natury był w obejściu człowiekiem nie pozbawionym ogłady, budowę miał delikatną i jawił się delikatnym, zwłaszcza że na jego szerokim, nie tkniętym opalenizną czole wily się w nieładzie kosmyki kruczoczarnych włosów, przydając jeszcze głębszej barwy jego cerze podobnej w kolorze do wyschniętej jagody. Niezrównany przedstawiał sobą widok, przywodząc na myśl malownicze włoskie ruiny i detronizację, wrażenie zaś, jakie wywoływał, potęgowało coś, co wydawało się być ostatnim przebłyskiem rozumu – zbyt słabym, aby mógł z tego czerpać jakąś trwałą korzyść, atoli na tyle silnym, aby można się było domyślać, że niekiedy dręczą go ukryte wątpliwości, czy aby na pewno jego mętne marzenia o własnej chwale są prawdziwe.

Przyjąwszy wręczoną mu rozprawę, kosmopolita rzucił na nią okiem, a przekonawszy się, jak się wydawało, co jest warta, zamknął dziełko, wsunął je do kieszeni, popatrzył chwilę uważnie na jego autora, po czym – pochyliwszy się w jego stronę i wręczywszy mu szylinga – rzekł do niego tonem życzliwym i taktownym:

– Bardzo żałuję, przyjacielu, że akurat w tej chwili jestem zajęty, ale skórom nabył twe dzieło, obiecuję sobie sporo po jego uważnej lekturze, kiedy tylko czas mi na nią pozwoli.

Nieszczęsny pomylenieć w obszarpanym, jednorzędowym surducie, byle jak zapiętym pod samą brodę, złożył mu ukłon tak uprzejmy, że nie powstydziliby się go wicehrabia, po czym z milczącą prośbą w oczach zwrócił się w stronę nieznanego. Ten wszakże siedział bardziej niż kiedykolwiek podobny do zimnego pryzmatu, wyraz zaś sprytnej jankeskiej chytry, który pojawił się teraz na jego twarzy w miejsce miny mistyka, przydawał jej tylko lodowatego chłodu. Całe jego oblicze mówiło: „Ode mnie ani grosza”. Odepchnięty suplikant rzucił mu spojrzenie pełne urażonej dumy i szalonej pogardy i oddalił się.

– Jakże to tak? – spytał kosmopolita z niejaką przyganą w głosie – powinieneś być pan okazać temu człekowi trochę współczucia. Czyż możliwe, żeby był pan nieczuły na dole bliźnich? Proszę spojrzeć na tę rozprawę: utrzymana w duchu bardzo wzniosłym.

– Pan wybaczy – odrzekł nieznajomy, odmawiając wzięcia dzieła do ręki – ale nigdy nie popieram łajdaków.

– Łajdaków?

– Odkryłem w nim, szanowny panie, zbrodniczy przebłysk rozsądku. Mówię „zbrodniczy”, bo rozsądek u rzekomego szaleńca to łajdactwo. Uważam, że to chytry włóczęga, co spędza życie na łazikowaniu i nieróbstwie, z ręcznie udając obłąkanego. Czyś pan nie zauważył, jak się cofnął pod ciężarem mego spojrzenia?

– Doprawdy – kosmopolita westchnął głęboko ze zdumienia – żem się wcale nie domyślał u pana aż tak subtelnie podejrzliwego usposobienia. Cofnął się? Istotnie: cofnął się, biedaczysko, boś go pan kiepsko przywitał. Co do ręcznego udawania obłądu, rozmaici zawistnicy mogliby to samo zarzucić niejednemu z dzisiejszych wędrownych filozofów. Ale o tej sprawie nic nie wiem. Żeby jednak raz jeszcze – już ostatni – wrócić do tematu: czemuż to szanowny pan ostrzegał mnie przed moim przyjacielem? Będę bardzo rad, jeśli – a sędzę, że tak właśnie będzie – okaże się, iż pańska podejrzliwość wobec mego przyjaciela opiera się na równie wątej podstawie, co nieufność, jaką budzi w panu ów szalenieć. Mówże pan, czemuś mnie ostrzegał? Błagam: choćby kilka słów w tej sprawie, tylko po angielsku.

– Przestrzegłem pana przed nim, gdyż jest to jeden z tych, jak ich tu zwą na statkach, missisipijskich operatorów.

– Operatorów? Ach, więc on zajmuje się operowaniem? Tedy jest mój przyjaciel czymś w rodzaju tego, co Indianie zwą Wielkim Lekiem, nieprawdaż? Operuje, przeczyszcza, odsącza wszelki nadmiar.

– Widzę, szanowny panie – odrzekł nieznajomy, którego natura uczyniła tępym i nieczułym na krotchwile – że pańskie wyobrażenie o tym, co nazywane jest Wielkim Lekiem, wymaga skorygowania. Wielki Lek oznacza u Indian nie pigułkę, tylko człowieka otoczonego powszechnym szacunkiem ze względu na jego przenikliwą roztropność.

– A czyż mój przyjaciel nie jest roztropany? Czyż nie jest przenikliwy? Czyż zgodnie z własną pana definicją mój przyjaciel nie jest Wielkim Lekiem?

– Nie. Jest to operator, missisipijski operator, mętny typ. Nie ma co do tego większych wątpliwości, bo wskazał mi na niego, określając, kto zacz, pewien człowiek pragnący zapoznać mnie z wszelkimi osobliwościami tych zachodnich połaci naszego kraju, gdzie znalazłem się po raz pierwszy. Pan zaś, jeśli się nie mylę, też jest obcym w tych stronach (zaiste jednak, czyż gdziekolwiek na tym dziwnym świecie jest takie miejsce, w którym człowiek nie czułby się dziwnie obco?), i z tej to przyczyny poczułem nagle ochotę, by ostrzec pana przed kompanem, który ani chybi zagraża ludziom o bezpośrednim, ufnym usposobieniu. Pragnę wszakże ponownie wyrazić nadzieję, że – jak dotąd przynajmniej – nie udało mu się pana oszukać, i że nie uda mu się to też w przyszłości.

– Dzięki za troskliwość. Atoli nie potrafię złożyć panu takichże podziękowań za to, że tak uparcie podtrzymuje pan swe domniemanie, jakoby mój przyjaciel był budzącym wstręt osobnikiem. Prawda, że zawarłem z nim znajomość zaledwie w dniu dzisiejszym i że mało co wiem o jego przeszłych losach, nie wydaje mi się wszakże, aby mogło to być dostatecznym powodem, dla którego ludzie jego pokroju nie mogliby wzbudzać zaufania. A ponieważ także i wiedza szanownego pana dotycząca owego dżentelmena nie jest – wnoszę to z pańskich wypowiedzi – tak dokładna, jak być by mogła, przeto wybaczy pan, jeśli nie dam już posłuchu jakimkolwiek dalszym niepoehlebnym dlań domysłom. Doprawdy, panie – rzekł z przyjazną stanowczością – zmienmy temat.

ROZDZIAŁ XXXVII

Mistrz-mistyk przedstawia ucznia-praktykanta

– Nie tylko temat, lecz także rozmówcę – odrzekł nieznajomy powstawszy z miejsca; czekał chwilę, aż zwróci się w jego stronę pewien przechadzający się po pokładzie człowiek, kiedy wykonywał on obrót na końcu swej trasy, zawołał:

– Egbercie!

Egbert, dobrze odziany, trzydziestoletni chyba dżentelmen wyglądający na kupca, odpowiedział w sposób nad podziw unizony i stał przez chwilę nie opodal, przyjąwszy pozę nie tyle równoprawnego towarzysza, co wiernego wyznawcy.

– Oto – powiedział nieznajomy, biorąc Egberta za rękę i prowadząc go ku kosmopolicie – oto Egbert, mój uczeń. Pragnę, by pan poznał Egberta. Egbert był

pierwszym na świecie człowiekiem, który zastosował w praktyce zasady Marka Winsome'a, zasady, które przedtem uważano za niezyciowe.

– Egbercie – zwrócił się do swego ucznia, który przez skromność skurczył się nieco, słysząc te komplementy – Egbercie, ten pan – tu pozdrowił kosmopolitę – podobnie jak my wszyscy jest tu obcym. Pragnę, Egbercie, abyś poznał tego obcego-bliźniego i nawiązał z nim rozmowę. Ufam zwłaszcza, że gdyby cokolwiek z tego, o czym będzie mowa, skierowało jego uwagę ku szczegółom mojej filozofii, nie dopuścisz, aby jego ciekawość nie została zaspokojona. Albowiem ty, Egbercie, wykładając po prostu swe doświadczenie, więcej możesz uczynić dla oświecenia kogokolwiek w przedmiocie mojej teorii, niż mógłbym uczynić ja sam wyłącznie swą przemową. Zaiste, to przy twojej pomocy osiągam najpełniejsze zrozumienie samego siebie. Albowiem każda filozofia ma swoje niezwykle istotne zaplecze, które podobnie jak tył własnej głowy można najlepiej obejrzeć w zwierciadlanym odbiciu. Otóż ty, Egbercie, niczym w zwierciadle odbijasz dla mnie w swoim życiu co donioślejsze składniki mego systemu. Kto ciebie pochwała, pochwała filozofię Marka Winsome'a.

Mimo że niektóre wyrażenia użyte w tej oracji mogły się wydać przejawem samozadowolenia, nic w zachowaniu mówcy nie świadczyło, iżby był on z siebie zadowolony, cechowały je bowiem prostota, skromność, dostojeństwo i męstwo. Zdawało się, że ów nauczyciel i prorok ciał się, by tak rzec, w idei raczej niżli w samej tylko postawie tego, kto był jej nosicielem.

– Szanowny panie – rzekł kosmopolita, który wcale nie wydawał się zaciekawiony owym nowym obrotem, jaki przybrały sprawy – mówisz pan o jakowejś filozofii, mniej lub bardziej tajemniczej, a także nadmieniasz o jej wpływie na życie praktyczne. Proszę, byś mi powiedział, czy zgłębianie tej filozofii wiedzie ku takiemuż kształceniu charakteru, jakie zapewnia doświadczenie nabyte w obcowaniu ze światem?

– Wiedzie. Jest to także sprawdzianem jej prawdziwości, każda bowiem filozofia, w swym działaniu sprzeczna z biegiem spraw tego świata, kształtuje charaktery pozostające z nim w sprzeczności. Taka zaś filozofia nie może być niczym więcej jak oszustwem i urojeniem.

– Pan mnie zdumiewa – odrzekł kosmopolita – sądząc bowiem po niektórych wypowiedzianych przez pana głębokich uwagach, a także po pańskich napomknieniach o głębokim dziele poświęconym teologii Platona – byłoby rzeczą zgoła naturalną wysnuć przypuszczenie, że jeśli jesteś pan twórcą jakowegoś filozoficznego systemu, to takiego, który po to zakrawa na filozofię zawiłą i ciemną, ażeby wznieść się ponad stosunkowo niewiele warte korzyści materialne.

– Wcale nierzadko popełnia się ten błąd w odniesieniu do mnie – odparł tamten. A potem, stojąc potulnie jak Rafael, dodał: – Jeśli stary Memnon wciąż wygłasza swoją zagadkę w szmerze złotych zgłosek, to tym bardziej arkusz bilansowy w wielkiej księdze kupieckiej każdego człowieka pozwala odgadnąć życiowe zyski i straty. Panie – rzekł z zimną siłą – człowiek przychodzi na ten świat nie po to, żeby siedzieć i dumać, ani żeby tumanić siebie wyszukаныmi przyjemnościami, lecz po to, by przepasawszy biodra wziąć się do pracy. Tajemnica spowija poranki, spowija także wieczory, każde miejsce opromienia tajemnicze piękno, wszakże w niczym nie zmienia to tej prostej prawdy, że trzeba napełnić usta i trzos. Jeżeli przypuszczał pan dotąd, że jestem marzycielem, niech się pan wyzbędzie tego złudzenia. Nie jestem także człowiekiem o ciasnych poglądach, w każdym razie nie bardziej niż wieszcz przedemną. Czyż Seneka nie był lichwiarzem? Bacon – dworzaniec? A czyż Swedenborg, mimo że jednym okiem wpatrywał się w

świat niewidzialny, nie wypatrywał drugim swej wielkiej szansy? Czymkolwiek jeszcze przydarzyłoby mi się zostać, jestem człowiekiem z tego świata. Chcę, żeby znał mnie pan właśnie takim. A co do tego oto mojego ucznia – zwrócił się w jego stronę – jeśli spodziewasz się pan odkryć u niego znamiona dającego sobą powodować utopisty albo mdły odblask zachodu słońca dożywającego swych dni, uśmiecham się na myśl o tym, jak wyprowadzi pana z błędu. Nauki, jakich mu udzieliłem, nie zawiodą go, ufam, ani do domu obłąkanych, ani do przytułku dla nędzarzy, jak to się stało z łatwowiernymi wyznawcami tyłu innych teorii. Nadto – spojrzął na kosmopolitę po ojcowsku – Egbert jest zarazem mym uczniem i moim poetą. Poezja bowiem nie jest sprawą inkaustu i rymów, lecz myśli i czynów, w tej zaś ostatniej postaci odnaleźć ją może wszędzie każdy, kto szuka jej w pożytecznym działaniu. Słowem, ten oto mój uczeń, świetnie prosperujący młody kupiec, jest praktycznym poetą handlu z Indiami Zachodnimi. A zatem – podał rękę Egberta kosmopolicie – zostawiam panów. Co powiedziawszy, oddalił się bez ukłonu.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Uczeń prostuje się i zgadza wystąpić w roli interlokutora

W obecności mistrza uczeń zachowywał się jak ktoś, kto wie, gdzie jest jego miejsce. Na twarzy malował się wyraz skromności z domieszką jakiegoś unizonego zafrasowania. Atoli gdy tylko jego zwierzchnik odszedł, prędko uwolnił się od tego ciężaru i rozprostował cały na podobieństwo owego ludzika na sprężynie, co wyskakuje z tabakiery-zabawki.

Jak się wcześniej rzekło, był to młody mężczyzna lat około trzydziestu. Powierzchnowość jego wydawała się nijaka: w chwili wytchnienia ani pociągająca, ani też niemiła, zatem nie można było mieć żadnej pewności, jakiego rodzaju człowiekiem się okaże. Odziany był schludnie, a strój jego folgował wymaganiom mody w takim tylko stopniu, by uniknąć zarzutu silenia się na oryginalność. Pod tym względem, jeśli pominąć na nowo dopasowane szczegóły, odnosiło się wrażenie, że swym ubiorem wzorował się na ubiorze mistrza. Jednak ogólnie rzecz biorąc, była to – sądząc wedle wszelkich pozorów – ostatnia na świecie osoba, którą wzięłbyś za ucznia zgłębiającego tajniki jakiegokolwiek transcendentalnej filozofii, choć istotnie w kształcie jego ostro zarysowanego nosa i ogolonego podbródka było coś, co pozwalało przypuszczać, że gdyby kiedykolwiek człowiek ów zetknął się na drodze swego życia z mistycyzmem, potrafiłby dzięki sprytowi, cechującemu typowego mieszkańca Nowej Anglii, nawet z tak całkowicie bezużytecznej rzeczy wyciągnąć namacalną korzyść.

– I cóż – powiedział sadowiąc się swobodnie na opróżnionym krześle – co pan sądzi o Marku? Uduchowiony jegomość, nieprawdaż?

– W rzeczy samej, każdy członek zrzeszenia ludzkości jest moim bratem zasługującym na szacunek – odparł kosmopolita – i nikt, kogo zrzeszenie to napawa podziwem, nie będzie tego podawał w wątpliwość. Zważywszy wszakże na to, że wyraz „uduchowiony” odnosi się często do istot wyższego rodzaju, człowiek powinien rozstrzygnąć sam we własnym sumieniu, czy wyrazu tego można również używać – nie powodując przy tym pogmatwania znaczeń – w odniesieniu do ludzi, choć właściwie jeśli odpowiedziałby

twierdząco, nie mnie czynić mu z tego zarzut. Ciekawym jednak dowiedzieć się czegoś więcej o owej filozofii, bom dotąd słyszał tylko jakieś drobne o niej wzmianki. Wydaje się, że pan, pierwszy wśród ludzi jej uczeń i wyznawca, jest szczególnie upoważniony do wyłożenia jej zasad. Czy ma pan coś przeciwko temu, byśmy od razu przystąpili do rzeczy?

– Nic zgola – młody kupiec wyprostował się przy stole. – Od czego mam zacząć: od zasad podstawowych?

– Pan pamięta, że przedstawiono go jako osobę zdolną do praktycznego a jasnego wykładu. Otóż przekonałem się, że niekiedy to, co nazywasz pan zasadami podstawowymi, bywa mniej lub bardziej mgliste. Pozwoli pan zatem, że po prostu przytoczę jakiś zwykły przypadek wzięty z życia i poproszę pana, aby jako praktyczny wyznawca owej filozofii, którą pragnąłbym poznać, powiedział mi pan, jak by się pan w takim wypadku zachował.

– Podejście godne człowieka interesu. Jakież to przypadek ma pan na myśli?

– Nie tyle przypadek, co osoby. Oto jaki przypadek: jest dwóch przyjaciół, przyjaciół od wczesnej młodości, przyjaciół serdecznych, z których jeden, po raz pierwszy znalazłszy się w potrzebie, po raz pierwszy też pragnie u drugiego zaciągnąć pożyczkę; tamten zaś jest człowiekiem na tyle majątnym, że bez trudu pożyczki tej mógłby udzielić. Przypuśćmy, że tymi osobami jesteśmy pan i ja. Ja jestem owym przyjacielem, który pragnie uzyskać pożyczkę, pan natomiast tym drugim, u którego zabiega się o pożyczkę. Pan jesteś adeptem filozofii będącej przedmiotem naszych rozważań, a ja – zwyczajnym człowiekiem, którego cała filozofia wyraża się wiedzą, że jeśli odczuwam przyjemne ciepło, to nie jest mi zimno, kiedy zaś mam febrę, to drzę na całym ciele. Tylko bacz pan, byś wyteżył całą wyobraźnię i na ile to tylko możliwe, mówił i zachowywał się właśnie w taki sposób, jakby opisany przeze mnie przypadek był rzeczywistością. Dla krótkości niech mnie pan nazywa Frankiem, ja natomiast zwał będę pana Charliem. Czy zgoda?

– Jak najbardziej. Pan zaczyna.

Kosmopolita zrobił krótką przerwę, a potem – z twarzą poważną i srodze zatroskaną, co miało odpowiadać roli, jaką miał odegrać – przemówił do swego domniemanego przyjaciela:

ROZDZIAŁ XXXIX Domniemani przyjaciele

– Charlie, zamierzam obdarzyć cię zaufaniem.

– Czyniłeś to zawsze, i nie bez powodu. O cóż chodzi, Frank?

– Charlie, jestem w potrzebie: pilnie potrzebuję pieniędzy.

– To niedobrze.

– Ale *będzie* dobrze, Charlie, jeśli pożyczysz mi sto dolarów. Nie prosiłbym cię o to, tylko że los mi się daje we znaki, a ponieważ od tak dawna łączy nas wspólnota serc i

umysłów, choć mój w niej udział nie zawsze był równy twemu, nie pozostaje mi nic innego, jak prosić cię o dowód naszej przyjaźni – znów niewspółmierny, gdy o mnie chodzi – w postaci podzielenia się ze mną zawartością twego trzosu. Wyświadczysz mi tę przysługę, nieprawdaż?

– Przysługę? Co masz na myśli, prosząc mnie o przysługę?

– Ależ Charlie! Nigdy nie rozmawiałeś ze mną w taki sposób. A zatem nie pożyczysz mi pieniędzy?

– Nie, Frank.

– Dlaczego?

– Bo mi zabraniają zasady. Daję pieniądze, ale nigdy ich nie pożyczam. Człowiek zaś, który określa siebie mianem mego przyjaciela, nie zniży się, rzecz jasna, do tego, by przyjąć jałmużnę. Układałam się w sprawie pożyczki, czyli ubijam interes. Z przyjaciółmi zaś żadnych interesów nie prowadzę. Przyjaciół to przyjaciel w sprawach towarzyskich i umysłowych, a ja zbyt sobie cenię przyjaźń towarzyską i umysłową, żeby ją sprowadzić do roli nędznej, pieniężnej namiastki. Istnieją wprawdzie – i takich mam także – tak zwani przyjaciele w interesach, czyli znajomi w sprawach handlowych, osoby wielce przydatne. Ale wytyczam czerwonym atramentem linię dzielącą ich od mych przyjaciół w prawdziwym rozumieniu: od przyjaciół w sprawach towarzyskich i umysłowych. Słowem, prawdziwy przyjaciel nie ma nic wspólnego z pożyczkami – jego dusza winna wznieść się ponad pożyczki. Są one bowiem tak mało przyjaznymi udogodnieniami, że trzeba o nie zabiegać u bezdusznych korporacji bankowych, udzielając przepisanej gwarancji i opłacając przepisane dyskonto.

– Mało przyjazne udogodnienia? Czyż te słowa tworzą ładną całość?

– To tak jak ze sprzężeniem biednego rolnika, w którym staruszek chodzi obok krowy: nie tworzą ładnej całości, lecz jest w tym cel. Posłuchaj, Frank: pożyczanie pieniędzy na procent to sprzedaż pieniędzy na kredyt. Sprzedawanie na kredyt może być udogodnieniem, ale gdzież tu przyjazne uczucia? Mało jest ludzi przy zdrowych zmysłach, wyjąwszy autorów pewnych operacji, którzy pożyczają od kogoś pieniądze na procent, chyba że grozi im śmierć głodowa. I jakże tu mówić o przyjaznej życzliwości, gdybym się zgodził dać człowiekowi przymierającemu głodem równowartość gotówką, powiedzmy, beczki mąki, pod warunkiem, że tego a tego dnia otrzymam od niego równowartość gotówką półtorej beczki mąki, zwłaszcza jeśli bym zawarował sobie dodatkowo, że gdyby nie dotrzymał umowy, wówczas ja – ażeby zabezpieczyć się przed utratą tych pieniędzy w ilości odpowiadającej cenie półtorej beczki mąki – wystawię jego serce na publiczną licytację, a ponieważ okrucieństwem jest rozdzielanie rodzin, dorzucę jeszcze serca jego żony i dzieci?

– Rozumiem – odrzekł kosmopolita, wzdrygnąwszy się ze wzruszenia – ale nawet gdyby do tego doszło, miejmy nadzieję – przez wzgląd na dobre imię natury ludzkiej – że takie posunięcie wierzyciela stanowiłoby raczej przypadkowe zdarzenie niż działanie rozmyślne.

– Przypadkowe zdarzenie, Frank, które wszakże zapewniłoby z góry ściągnięcie należności.

– A jednak, Charlie, czyż ta pożyczka nie byłaby przede wszystkim aktem przyjaźni?

– Licytacja natomiast – aktem wrogości. Nie pojmujesz? Wrogość czai się, utajona, w przyjaźni, tak jak bankructwo we wsparciu.

– Muszę być dzisiaj bardzo mało pojętny, Charlie, lecz doprawdy nie mogę tego zrozumieć. Wybacz mi, drogi przyjacielu, ale coś mi się wydaje, że zagłębiając się w filozoficzne wywody na ten temat, tracisz jakby na głębi.

– To samo powiedział pewien nieostrożny człowiek do oceanu, brnąc przez wodę, lecz ocean odrzekł: „Jest akurat na odwrót, mój zmoknięty druhu”, i pochłonął go.

– Ta bajeczka, Charlie, wyrządza oceanowi prawie taką samą krzywdę, jak niektóre bajki Ezopa – zwierzętom. Ocean jest żywiołem wielkodusznym i brzydziłby się uśmierceniem biedaka, cóż dopiero strojeniem sobie z niego drwinek. Nie rozumiem jednak tego, coś powiedział o wrogości czającej się w przyjaźni jak bankructwo we wsparciu.

– Przedstawię to obrazowo, Frank. Człowiek w potrzebie podobny jest do wagonów kolei żelaznej, co wyskoczyły z szyn. Ten zaś, kto pożyczka pieniądze na procent, przypomina kogoś, kto dla udogodnienia pomaga ustawić wagony z powrotem na miejsce, lecz potem niejako dla doprowadzenia wszystkiego do porządku telegrafuje do ajenta przebywającego trzydzieści mil dalej, nad przepaścią, każąc mu w swym imieniu rzucić na tory belkę. Dlatego mówię, że twój kierujący się zasadami i korzyścią przyjaciel człowieka w potrzebie jest przyjacielem, w którym kryje się wróg. Nie, nie, mój drogi, zysk nie dla mnie. Ja brzydzę się zyskiem.

– Cóż, Charlie, wcale nie musisz żądać ode mnie zysku. Pożycz mi bez procentu.

– Ale to znowuż byłaby jałmużna.

– Jałmużna, jeśli nastąpiłby zwrot pożyczonej sumy?

– Tak: jałmużna, uczyniona nie z sumy pożyczonej, lecz z procentu.

– No cóż, znalazłem się w dotkliwej potrzebie, dlatego nie odmówię przyjęcia jałmużny. Ponieważ to o ciebie chodzi, Charlie, z wdzięcznością przyjmę jałmużnę w formie odsetek. Między przyjaciółmi nie ma mowy o upokorzeniu.

– Że też możesz, zważywszy na to, jak subtelną rzeczą jest przyjaźń, mówić takie rzeczy, mój kochany! Ranią mnie twe słowa. Bo choć nie podzielałam zgorzknienia Salomona, który powiedział, iż w godzinie próby lepszy obcy niżli brat, to jednak całkowicie zgadzam się z mym wzniosłym mistrzem, który w swej „Rozprawie o przyjaźni” powiada z tak wielką szlachetnością, że jeśli pragnie ziemskich wygód, nie do niebiańskich (to znaczy w dziedzinie towarzyskiej i umysłowej) przyjaciół kieruje swe kroki. Po ziemskie wygody udaje się do swych ziemskich (to znaczy skromniejszych, w dziedzinie interesów) przyjaciół. Wyłuszcza też bardzo przejrzyście powód: bo oto naturze wyższej, która ponad żadnym pozorem nie może nigdy zniżyć się do tego, by czynić dobro i wpadać w gniew z powodu żądań, by dobro czyniła, gdy tymczasem natura poślednia, która bez żadnych pouczeń zawsze może wznieść się ponad ten stan rzeczy i zawsze do tego się skłania – otóż naturze wyższej to nie przystoi.

– Tedy nie będę cię uważał za mego przyjaciela niebiańskiego, tylko ziemskiego.

– Jest dla mnie katuszą, że do tego doszło, ale żeby ci wygodzić, uczynię to. Jesteśmy przyjaciółmi w interesach, a interes to interes. Chcesz rokować ze mną w sprawie pożyczki. Doskonale. Na jaki weksel? Zapłacisz trzy procenty miesięcznie? A gdzie zabezpieczenie?

– Ależ nie będziesz chyba wymagał tych wszystkich formalności od kolegi ze szkolnej ławy, z którym odbyłeś tyle wspólnych przechadzek po gajach Akademii, rozprawiając o tym, jak piękną rzeczą jest cnota, a jak wdzięczną – dobroć serca. Przecież chodzi o tak

drobną sumę. Zabezpieczenie? Jesteśmy wychowankami tej samej uczelni i przyjaciółmi od dzieciństwa: oto i zabezpieczenie.

– Wybacz mi, mój kochany, ale to, że uczęszczaliśmy do tej samej Akademii, jest najgorszą rękojmą, to natomiast, że jesteśmy przyjaciółmi od dzieciństwa, nie jest wcale zabezpieczeniem. Zapominasz, że rozmawiamy teraz jak przyjaciele w interesach.

– Ty natomiast zapominasz, że jako twój przyjaciel w interesach nie mogę ci udzielić żadnego poręczenia, bo potrzeba, w jakiej się znalazłem, jest tak dotkliwa, że nie mogę znaleźć poręczyciela.

– Skoro nie ma poręczyciela, nie ma pożyczki.

– Widzę, Charlie, że nie uda mi się ciebie uprosić, dopóki będę przyjacielem jednego albo drugiego rodzaju. A gdybym tak połączył je w jeden i wówczas zwrócił się do ciebie z mą prośbą?

– Byłżebyś centaurem?

– Postawmy tedy kropkę nad i. Co dobrego mam z twojej przyjaźni, wszystko jedno, z jakiego punktu byś to rozpatrywał?

– To masz dobrego, co się zawiera w filozofii Marka Winsome'a, z której praktyczny użytek zrobił jej praktyczny wyznawca.

– Czemuż nie dodasz jeszcze, ile dobrego może mi przynieść owa filozofia? O! – zawołał wielkim głosem – czymże jest przyjaźń, jeśli nie pomocną dłonią i wrażliwym sercem, dobrym Samarytaninem, co otwiera przed potrzebującym tak samo trzos, jak buteleczkę z lekiem?

– Frank, mój drogi, nie bądźże dzieckiem. Przez łyzy człowiek nigdy nie dojrzy drogi w ciemnościach. Uważałbym, że nie zasługujesz na tę szczerą przyjaźń, jaką cię darzę, gdybym mógł dopuścić do siebie myśl, iż owa przyjaźń stanowi ideał zbyt wzniosły, byś go pojął. Pozwól, że dodam także, mój drogi, iż wstrząsnąłbyś poważnie podwalinami naszej przyjaźni, gdybyś kiedykolwiek powtórzył jeszcze dzisiejszą scenę. Filozofia, którą wyznaję z największym przekonaniem, uczy uczciwego stawiania sprawy. Pozwól zatem, że w tej chwili, jak najbardziej po temu stosownej, wyjawię przed tobą pewne okoliczności, których jesteś chyba nieświadom. Nasza przyjaźń rozpoczęła się, gdyśmy byli chłopcami, nie myśl jednak, że – w każdym razie jeśli o mnie chodzi – jej początkom towarzyszył brak rozsądku. Powiadają, że chłopcy to mali mężczyźni. Gdym będąc podrostkiem wybrał cię na przyjaciela, uczyniłem to ze względu na korzystne cechy, jakieś wówczas posiadał, spośród których nie ostatnie miejsce zajmowały twoje dobre maniery, ładny ubiór, pozycja twych rodziców oraz towarzysząca im opinia ludzi majątnych. Słowem, choć byłem wówczas małym chłopcem, udałem się niczym człek dorosły na targowisko i wybrałem dla siebie baraninę nie dlatego, że była chuda, lecz dlatego, że była tłusta. Innymi słowy, istniało w twoim przypadku – miałeś w szkolnych latach zawsze srebro w kieszeni – rozumne prawdopodobieństwo, że nigdy nie nastanie u ciebie tak chuda pora, byś potrzebował tłustego posiłku. I jeśli dzisiejsze wydarzenia nie potwierdzają tamtego wrażenia z wczesnej młodości, to jedyną tego przyczyną jest kaprys fortuny czyniący zawodnymi ludzkie oczekiwania, choćby najbardziej utajone.

– Ach, że też muszę służyć wynurzeń z tak zimną krwią czynionych!

– Nie obraż się, Frank, lecz myślę, że wcale by ci nie zaszkodziła odrobina zimnej krwi w twych rozpalonych żyłach. Zimna krew? Mówisz tak dlatego, że to, com ci wyjawiał, zdaje się świadczyć o mej niegodziwej roztropności. Lecz to nie tak. Powodem, dla

którego wybrałem cię częściowo ze względu na te cechy, o jakich wspomniałem, było wyłącznie to, że miałem na uwadze zachowanie naszego czułego związku w nietkniętej postaci. Bo pomyśl tylko, cóż może być większym utrapieniem dla czulej, wcześniej zrodzonej przyjaźni, niż to, że na koniec twój przyjaciel, osiągnąwszy wiek męski, odwiedza cię nagle w deszczowy wieczór z prośbą o małą pożyczkę, powiedzmy – pięć dolarów? Czyż czuła przyjaźń może znieść taką próbę? Z drugiej zaś strony: czyż czuła przyjaźń postąpiłaby w ten sposób, nie tracąc przy tym swego subtelного charakteru? Czyż wiedziony wrodzonym odruchem nie powiedziałbyś o swym ociekającym wodą przyjacielu, który czeka przy wejściu: „Zawiodłem się, srogo się zawiodłem na tym człowieku. Wcale nie jest prawdziwym przyjacielem, wobec którego platońska miłość nakazuje wypełnić miłosne obrządki!”

– Wszakże obrządki są w dwójnasób prawem, okrutniku!

– Mów sobie, co chcesz, nie wolno ci jednak zapominać, że zbyt natrętnie domagając się tych praw, jak je nazywasz, wstrząsas podwalinami, o których mówiłem. Bo choć, jak się okazuje, wybudowałem w pierwszych latach mej przyjaźni piękny dom w brzydkim miejscu, to przecież takem się przy tym wykosztował i tyłem poczynił zachodów, że dom ten koniec końców jest mi drogim. Nie, Frank, nie chciałbym utracić słodkiego daru twej przyjaźni, lecz strzeż się.

– Czego? Żeby nie znaleźć się w potrzebie? Och, Charlie! Nie mówisz do bóstwa, które siebie ma za swój majątek, tylko do człowieka, czyli do istoty będącej igraszką miotaną podmuchami i falami losu, która wspina się do nieba lub tonie w otchłani piekieł, niesiona przez bałwany dnem koryta albo na samej ich grzywie.

– Ech, Frank! Człowiek to nie takie znowu biedaczysko, to nie jakiś niesiony prądem po świecie wodorost. Człowiekowi dana jest dusza, która – jeżeli zechce – umieści go poza zasięgiem ślepego losu i uchroni przed złośliwością przyszlých czasów. Przestań skomleć jak zbite przez los psisko, bo inaczej, Frank, jak mi miła prawdziwa przyjaźń, powiem ci coś, co cię dotknie.

– Już mnie dotknąłeś, okrutniku, i to do żywego. Przypomnij sobie owe dni, gdyśmy chodzili na orzechy, gdyśmy wędrowali po lesie objęci ciasno ramionami, przytuleni niczym splecione z sobą drzewa... ach, Charlie...

– E tam! Byliśmy brzdącami.

– Tedy szczęśliwy był los pierwotnych Egiptu, którzy drżeli z zimna w grobie, nim wiek dojrzały wystawił ich na ukąszenia jeszcze sroższego mrozu. Tak, Charlie?

– Wstydziliłbyś się! Baba z ciebie.

– Na pomoc, Charlie! Potrzebuję pomocy!

– Pomocy? Nie mówiąc już o przyjacielu, w człowieku potrzebującym pomocy jest coś niestosownego. Jest w nim coś na kształt skazy, jakiś brak, słowem – jakiś oburzający niedostatek.

– Owszem, Charlie. Na pomoc, ratuj!

– Jakiejż głupoty dowodzi ten okrzyk, bo błaganie o pomoc jest samo przez się oznaką, że się na pomoc nie zasługuje.

– Och, Charlie, to przecież nie możesz być ty, tylko jakiś brzuchomówca, co przywłaszczył sobie twoją krtani. To nie Charlie mówi, lecz Mark Winsome.

– I dzięki Bogu, bo głos Marka Winsome'a nie jest obcy, ale miły mej krtani tak samo jak mój własny. Jeśli filozofia owego znakomitego nauczyciela znajduje słaby odzew u

ogółu ludzi, to nie dlatego, iżby nie mieli oni usposobienia pozwalającego im pobierać nauki, lecz raczej dlatego, że na swoje nieszczęście obdarzeni zostali naturą nie przygotowaną do tego, by się z nim zgodzić.

– Jakże się cieszę z tego komplementu dla rodzaju ludzkiego! – wykrzyknął z zapałem Frank – tym prawdziwszego, że nie zamierzonego! Oby rodzaj ludzki pod tym względem długo pozostał takim, jakim go nazwałeś. A pozostanie na pewno, gdyż rodzaj człowieczy, czując, jak bardzo poddany jest wszelkim biedom, czyli wiedząc dobrze, jak cenną rzeczą jest pomoc, będzie długo ociągał się – choćby ze względu na egoizm – z uznaniem filozofii, która przepędza pomoc z tego świata. Charlie! Charlie! Ty jednak rozmawiaj ze mną jak niegdyś: powiedz, że mnie poratujesz. Gdyby rzecz miała się na odwrót, pożyczylbym ci pieniądze z nie mniejszą swobodą niż ta, z jaką ty byś o nie poprosił.

– *Ja* bym poprosił? *Ja* miałbym prosić o pożyczkę? Frank, klnę się na tę rękę, że w żadnym wypadku nie przyjąłbym pożyczki, choćby mnie nawet o to proszono. Przeżycia Chińskiego Astra byłyby dla mnie przestrogą.

– O czym ty mówisz?

– O tym, czego doświadczył – a nie jest to całkiem niemożliwe – człowiek, który wybudował dla siebie pałac z promieni księżyca, a kiedy księżyc zaszedł, przekonał się ku swemu zaskoczeniu, że zniknął też jego pałac. Opowiem ci o Chińskim Astrze. Żałuję, że nie mogę uczynić tego własnymi słowami. Niestety, człowiek, który pierwszy opowiedział mi tę historię, do tego stopnia mnie uciemieżył, że niepodobna, abym teraz potrafił powtórzyć jego przypadki, nie wpadając w koleinę jego stylu. Uprzedzam cię o tym, byś czasem nie pomyślał, że tak samo cikliwy jak – sądząc po niektórych miejscach opowiadania – jego narrator. To doprawdy okropne, że byle umysł z tak wielką siłą może się narzucić – zwłaszcza w drobnej sprawie – innemu umysłowi, i to wbrew jego najlepszej woli. Z prawdziwym wszakże zadowoleniem stwierdzam, że zasadniczy morał, do którego wszystko zdąża, całkowicie mi odpowiada. Ale do rzeczy.

ROZDZIAŁ XL

**Którego treść stanowi historia Chińskiego Astra
opowiedziana przez kogoś, komu jej morał – lecz
nie styl – przypadł do gustu**

Chiński Aster był młodym świeczarzem z miejscowości Marietta u ujścia rzeki Muskingum. Jego fach można by uznać za jakąś niższego rodzaju odmianę owego macierzystego rzemiosła i sekretu gospodarzy niebios, będącego środkiem rzeczywistego, albo i innego rozświetlenia mroków spowitej nocą planety. Wszelako mało zarabiał w tej branży. Wiele zachodu kosztowało Chińskiego Astra i jego rodzinę utrzymanie się przy życiu. Gdyby zechciał, mógłby był oświetlić swymi wyrobami całą ulicę, przy której mieścił się jego zakład, a mimo to niełatwo było mu rozświetlić blaskiem pomyslności serca współdomowników.

Otóż tak się złożyło, że Chiński Aster miał przyjaciela imieniem Storczyk, który był szewcem, czyli trudnił się obroną ludzi przed zaznaniem, co też oznacza zetknięcie się z

nagą substancją rzeczywistości. Bardzo to pożyteczne zajęcie i bez względu na wszelkie przepowiednie mędrków nie wyjdzie ono z mody prędzej, niż rozmiękną skały, a kamienie stracą naskórek. Raptem, za sprawą głównej nagrody na loterii, ów pożyteczny szewc przesiadł się z zydlu na sofę. Został małym nababem i przestał się troszczyć o ludzkie poznanie, pozostawiając je samemu sobie. Nie znaczy to, iżby bogactwo wbiło Storczyka w pychę, czyniąc zeń człowieka bezdusznego. Wcale nie. Bo oto zaszedłszy pewnego ranka do wytwórni świec, kręcił się, wykwintnie ubrany, pośród pudeł ze świecami, wymachując laską ze złotą gałką. Tymczasem biedny Chiński Aster w poplamionej tłuszczem papierowej czapce na głowie i w skórzanym fartuchu zajęty był sprzedażą jednej świecy za jednego pensa pewnej ubogiej pomarańczarce, która z pełną chłodu wyższością klienta-łaskawcy domagała się, aby zawinąć jej świecę starannie w kawałek papieru. Kiedy owa niewiasta wyszła na ulicę, żwawy Storczyk przestał wesoło wymachiwać laseczką i powiedział:

– Kiepski to dla ciebie interes, przyjacielu Chiński Astrze: zbyt mały masz kapitał. Porzuć ten plugawy łój i zaoferuj światu czysty olbrot³⁸. Zaraz ci wszystko wyjaśnię, a na początek otrzymasz tysiąc dolarów. Rzecz w tym, Chiński Astrze, że musisz zarobić pieniądze. Serce mi się ściska, gdy widzę, jak twój synek biega bez butów.

– Niech cię niebo błogosławi za twą dobroć, przyjacielu Storczyku – odrzekł świecarz – ale nie obraź się przecie, że przypomnę słowa mego wuja kowala, który odmówił przyjęcia pożyczki i tak to uzasadnił: „Po mojemu, najlepiej wywijać przy robocie swoim własnym młotem, choćby i lekkim, a nie sztukować go, żeby był cięższy, kawałkiem młota sąsiada, choćby tamtemu młotowi zbywało na ciężarze, bo gdyby nagle ten pożyczony kawałek okazał się potrzebny, to wtedy mogłoby się okazać, że nie da się go odłupać w miejscu złączenia, tylko zanadto w jedną albo drugą stronę”.

– Bzdura, przyjacielu Chiński Astrze, skończ z tą swoją uczciwością, bo twój chłopak chodzi bez butów. A poza tym, w jakiż to sposób bogaty miałby tracić na biednym? Albo jak przyjacielowi może się pogorszyć przez przyjaciela? Boję się, Chiński Astrze, że kiedy dziś rano pochylałeś się nad tymi tutaj kadziami, utopiłeś w nich swoją mądrość. Ani słowa więcej! Gdzież twoje biurko? Aha, tutaj.

Co powiedziawszy, Storczyk wypisał asygnację bankową i natychmiast wręczył ją przyjacielowi ze słowami: – Chiński Astrze, oto masz tysiąc dolarów, a kiedy zrobisz z nich dziesięć tysięcy, jak się też niebawem stanie (albowiem doświadczenie, owo jedyne prawdziwe źródło wiedzy, poucza mnie, że nie ma człowieka, któremu nie dopisałyby szczęście), cóż, wówczas, przyjacielu, możesz przecie zwrócić mi te pieniądze, albo możesz ich nie zwracać. Po prostu zrobisz, jak zechcesz. Tak czy owak jednakże niczym się nie przejmuj, bo nigdy nie zażądam, byś uiścił gotówkę.

– Otóż widzisz, jak z woli dobrych niebios tak już jest, że dla głodnego człowieka chleb stanowi wielką pokusę i dlatego nie wolno go zbyt surowo ganić, jeżeli bierze chleb, którym go hojnie częstują, choć nie wie na pewno, czy kiedykolwiek będzie się w stanie odwdzięczyć, tak samo pieniądze ofiarowane człowiekowi ubogiemu są dlań rzeczą bardzo nęcącą, a najgorsze, co można o nim powiedzieć, jeśli je przyjmie, to właśnie to, co można powiedzieć w przypadku człowieka nękanego głodem. Słowem, pełna skrupułów moralność biednego świecarza uległa pozbawionej skrupułów konieczności, jak to niekiedy bywa. Wziął asygnację i właśnie w chwili kiedy ją starannie odkładał, Storczyk, który znowu jął wymachiwać swą laską zwieńczoną złotą gałką, odezwał się tymi oto

³⁸ wosk znajdujący się w czaszce wieloryba

słowy: – Swoją drogą, Chiński Astrze, nie ma to żadnego znaczenia, ale nic by nie zaszkodziło, gdybyś sporządził jaki małeńki znak dla pamięci. – Zatem Chiński Aster wręczył Storczykowi rewers na tysiąc dolarów płatnych na żądanie. „Fe! Przecież ci mówiłem, przyjacielu Chiński Astrze, że wcale nie zamierzam niczego *ządać*”. Podarł rewers, po czym – między jednym a drugim uderzeniem laską o pudło ze świecami, powiedział: „Pisz: na cztery lata”. I Chiński Aster wręczył Storczykowi rewers na tysiąc dolarów wziętych na cztery lata. „Rozumiesz, że nigdy nie będę niepokoił cię w tej sprawie” – powiedział Storczyk, wsuwając papier do portfela – nie myśl o niczym innym, jak tylko o tym, w jaki sposób najlepiej ulokować swoje pieniądze, przyjacielu Chiński Astrze. Pamiętaj także, com ci wspomniał o olbrocie. Zakrzętnij się przy tym, a ja zakupię u ciebie całe oświetlenie dla siebie – z tymi oto słowami zachęty jak również ze zwykłą sobie gadatliwą życzliwością opuścił zakład.

Chiński Aster stał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie pozostawił go Storczyk, gdy raptem dwóch starszych przyjaciół, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, zaszło doń na pogawędkę. Po owej pogawędce Chiński Aster – w zatłuszczonej czapce i fartuchu – pobiegł za Storczykiem i odezwał się doń tymi słowami: – Przyjacielu Storczyku, niech ci niebiosy wynagrodzą za twe dobre chęci, masz tu jednak swoją asygnację, a zwróć mi mój rewers.

– Nudny jesteś z tą swoją uczciwością, Chiński Astrze – rzekł Storczyk nie bez gniewu. – Nie wezmę od ciebie asygnacji.

– Tedy będziesz ją musiał wziąć z ulicy – odrzekł Chiński Aster i podniósłszy kamień, przycisnął nim asygnację, którą położył na chodniku.

– Chiński Astrze – powiedział Storczyk, przyglądając mu się badawczo – odkąd wyszedłem od ciebie z zakładu, jakież to osioł zdążył już zajrzeć tam i naradzić się z tobą, żeś tak za mną popędził i wyczyniasz podobne błazeństwa? Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby to były te dwa stare osły, którym dzieciarnia nadała przezwiska Szczera Gadka i Stary Roztropek.

– Tak, Storczyku, to byli oni, ale nie nazywaj ich w ten sposób.

– Para starych, kulawych gderaczy. Szczera Gadka miał jędzę za żonę i dlatego zrobił się zrzęda, a Stary Roztropek w wieku chłopięcym potłukł się przy straganie z jabłkami i to go zniechęciło na całe życie. Dla takiego jak ja nie w ciemną bitemo eleganta nie ma lepszej rozrywki niż słuchać, jak Szczera Gadka posapując prawi swoje kwasem zaprawione bajdy, a Stary Roztropek stoi tymczasem wsparty na lasce, kiwa starą łepetyną i skwapliwie przytakuje każdemu zdaniu.

– Jakże możesz mówić w ten sposób o przyjaciółach mego ojca, Storczyku?

– Uchowaj mnie, Boże, od moich przyjaciół, jeśli te dwa stare mruki to byli przyjaciele starego Poczciwiny. Nazywam tak twego ojca, bo wszyscy go tak zwali. Czemu dopuścili, żeby twój ojciec poszedł na starość do przytułku? Odpowiedz mi, Chiński Astrze. Słyszałem nieraz od mojej matki-kronikarki, że ci dwaj staruszkowie wraz ze staruszką Sumieniem, jak przezywali chłopcy nieżyjącego dziś owego zrzędcącego, trzęsącego się starucha, zwykli byli przychodzić we trójkę do twego ojca, kiedy znalazł się w przytułku dla ubogich, i obsiadłszy jego łóżko, wiedli z nim nie kończące się rozmowy, niczym Elifaz, Bildad i Sofar z nieszczęsnym starym nędzarzem Hiobem. Tak, pocieszycielami Hioba byli w wypadku twego ojca Szczera Gadka, Stary Roztropek i staruszek Sumienie. Przyjaciele? Chciałbym się dowiedzieć, kogo nazywasz wrogami? Swoim nie kończącym się nigdy gderaniem i strofowaniem zadreczyli biednego starego Poczciwinę – twojego

ojca – na śmierć.

Usłyszawszy te słowa, które przypomniały mu smutny koniec zacnego ojca, Chiński Aster nie mógł powstrzymać się od płaczu. Storczyk zaś mówił dalej: – Ależ z ciebie, Chiński Astrze, płaczliwe stworzenie. Czemuż nie wyrobisz sobie pogodnego poglądu na życie? Nigdy nie będzie ci się wiodło w interesach, ani w niczym innym, jeżeli nie wyrobisz sobie pogodnego poglądu na życie. Ponure podejście do życia to dla człowieka ruina.

Po czym, wesoło poszturchując Chińskiego Astra laską ze złotą gałką na końcu, zapytał: – No więc czemu nie? Czemu nie jesteś pogodny i pełen nadziei tak jak ja? Czemu brak ci ufności, Chiński Astrze?

– Tego z całą pewnością nie wiem, przyjacielu Storczyku – odparł trzeźwo Chiński Aster – ale może dlatego, że nie wygrałem losu na loterii, może na tym polega różnica.

– Bzdura! Nim się dowiedziałem o wygranej, byłem wesoły jak szczygieł, całkiem tak samo jak teraz. Po prawdzie wyznawałem zawsze zasadę, żeby podchodzić do życia pogodnie.

Chiński Aster spojrzał wówczas na Storczyka odrobinę twardo, prawda była bowiem taka, że dopóki Storczyk nie wyciągnął swego szczęśliwego losu, znany był pod przydomkiem Smutnego Ponuraka, jako że dawniej miał tak tetryczne usposobienie, iż ze swych skąpych zarobków odkładał po kilka dolarów na ów „czarny dzień”, o którym tyle głądził.

– A teraz coś ci powiem, przyjacielu Chiński Astrze – rzekł Storczyk, wskazując na asygnację przyciśniętą kamieniem, a potem uderzył się po kieszeni: – Niech ta asygnacja tam sobie leży, jeśli taka twa wola, ale twój rewers nie będzie jej dotrzymywał towarzystwa. Po prawdzie, Chiński Astrze, jestem zbyt szczerze oddanym ci przyjacielem, żeby wykorzystał przejściowy napad twojej chandry. Zbierzesz żniwo mojej przyjaźni.

Co powiedziawszy, pozapinał migiem guziki przy surducie i oddalił się, pozostawiając asygnację na chodniku.

W pierwszej chwili Chiński Aster chciał ją podrzeć na strzępki, pomyślałszy jednak, że można to uczynić wyłącznie w obecności tego, kto ją wystawił, podumał chwilkę, po czym podniósł ją z ulicy i powłókł się do swego warsztatu, postanowiwszy, że zaraz wieczorem po pracy pójdzie do Storczyka i na jego oczach zniszczy asygnację. Tak się wszelako złożyło, że nie zastał Storczyka w domu, znużywszy się zaś daremnym oczekiwaniem wrócił do siebie, wciąż z asygnacją, ale wciąż jeszcze zdecydowany, by nie zachowywać jej ani dnia dłużej. Wczesnym a jasnym porankiem następnego dnia byłby z pewnością poszedł po raz drugi do Storczyka i niewątpliwie przeprowadziłby rzecz całą, jak sobie był umyślił, zastawszy go w pościeli, albowiem odkąd Storczyk wygrał los na loterii, zrobił się nie tylko weselszy, lecz także cokolwiek leniwy. Los tak jednak zrządził, że tej samej nocy Chiński Aster miał sen, w którym istota o wyglądzie anioła, trzymająca w dłoni coś na kształt rogu obfitości, fruwała ponad jego głową, spuszczając nań deszcz małych złotych dolarów grubości ziarna kukurydzy. „Jam jest Promienna Przyszłość, przyjacielu Chiński Astrze” – powiedział anioł – „i jeśli zrobisz tak, jak ci każe przyjaciel Storczyk, spójrz tylko, co z tego wyniknie”. Co powiedziawszy, Promienna Przyszłość raz jeszcze machnęła rogiem obfitości, obsypując go powtórnie tak gęstym deszczem małych złotych dolarów, że zdawało się, iż zewsząd otaczają go ich stopy, on zaś brodzi wśród monet niczym słodownik w słodzie.

Otóż sny są, jak wiadomo, rzeczą tak zdumiewającą, że niektórzy ludzie wręcz je

przypisują działaniu samych niebios, Chiński Aster natomiast, który we wszystkim zachowywał właściwy umiar, pomyślał pod wpływem owego snu, że może nie będzie od rzeczy poczekać odrobinę, nim znów uda się na poszukiwanie Storczyka. Przez cały dzień myśli Chińskiego Astra krążyły wokół tego snu. Przepelniały go do tego stopnia, że kiedy staruszek Szczera Gadka zaszedł do niego w odwiedzin w porze obiadowej, jak mu się to często zdarzało, gdyż interesował się synem starego Poczciwiny – Chiński Aster opowiedział mu szczegółowo swoje widzenie, dodając, że nie wyobraża sobie, ażeby promieniejący takim blaskiem anioł mógł być oszustem. Mówił o tym wszystkim w taki sposób, że można było pomyśleć, iż uważa owego anioła za jakiegoś wspaniałego człowieka-filantropa. Tak mniej więcej zrozumiał go Szczera Gadka, toteż stosownie do tego przemówił doń na swój prosty a szczerzy sposób tymi oto słowy: – Powiadasz, Chiński Astrze, że zjawił ci się we śnie anioł. Otóż zachodzi pytanie, czy nie oznacza to tyle tylko, że śniło ci się, iż pojawił się przed tobą anioł. Idź natychmiast, Chiński Astrze, i oddaj asygnację, jakem ci wcześniej radził. Gdyby był tutaj kum Roztropek, powiedziałałby ci dokładnie to samo.

Wymówiwszy te słowa, staruszek Szczera Gadka wyszedł poszukać kuma Roztropka, ponieważ jednak nie udało mu się go znaleźć, zawrócił do zakładu sam jeden, gdy tymczasem Chiński Aster, omyłkowo wzięwszy go za pewnego natrętnego wierzyciela, zaryglował w panice wszystkie drzwi i uciekł na tyły zakładu, gdzie nie było słyhać odgłosów pukania.

Z powodu tej żalostnej pomyłki, pozostawszy bez przyjaciół, z którymi mógłby omówić odwrotną stronę zagadnienia, Chiński Aster doszedł w końcu – rozważając swój sen – do wniosku, że nie ma innej rady, jak tylko pobrać gotówkę z tytułu asygnacji i tego samego jeszcze dnia wyłożyć wszystkie pieniądze na zakup sporej ilości olbrotu do wyrobu świec, która to operacja miała mu, jak się spodziewał, przynieść więcej grosza, niż zarobił kiedykolwiek dotąd. W istocie sądził on, że okaże się to podwaliną owej słynnej fortuny, jaką przyobiecał mu anioł.

Robiąc użytek z owych pieniędzy, Chiński Aster postanowił, że regularnie co sześć miesięcy będzie płacił odsetki, dopóki nie zwróci całego pożyczonego kapitału, choć Storczyk nie wspomniał ani słowem o czymś takim. Z drugiej wszakże strony zarówno wedle zwyczaju, jak i podług prawa byłoby istotnie rzeczą uzasadnioną doliczenie do pożyczki odsetek, tym bardziej że rewers nie stanowił przeciwnie. Trudno powiedzieć, czy Storczyk miał, czy też nie miał tego na uwadze, wszystko jednak wskazywało na to, że nie zadał sobie aż tyle trudu, ażeby w ten czy inny sposób pomyśleć o tej sprawie.

Choć przedsięwzięcie z olbrotem przyniosło pełnemu pięknych nadziei Chińskiemu Astrowi raczej rozczarowanie, udało mu się zapłacić odsetki za pierwszych sześć miesięcy i choć jego kolejne przedsięwzięcie okazało się jeszcze gorszym interesem, to jednak – poskapiwszy własnej rodzinie świeżego mięsa, a także – co bolało go jeszcze bardziej – pieniędzy na wykształcenie swych synów – zdołał również zapłacić odsetki za następnych sześć miesięcy, szczerze przy tym zatroskany, iż uczciwość – podobnie jak jej przeciwieństwo, choć nie w tym samym stopniu – niekiedy odrobinę kosztuje.

Tymczasem Storczyk za radą lekarza udał się w podróż do Europy, tak się bowiem złożyło, że odkąd wygrał główny los na loterii, wyszło na jaw, iż nie cieszy się on najlepszym zdrowiem, choć wcześniej nie skarżył się zupełnie na nic, prócz lekkich bólów w okolicy śledziony, o których wówczas nie warto było mówić. Jako że przebywał za granicą, Storczyk nie mógł nic poradzić na to, że Chiński Aster płaci swoje odsetki – a płacił – choćby był temu najbardziej nawet przeciwny, albowiem Chiński Aster wpłaca je

Storczykowemu pełnomocnikowi, który zanadto był z usposobienia człowiekiem interesu, żeby odmówić przyjęcia regularnie wpłacanych procentów od pożyczki.

Nie było wszakże pisane Chińskiemu Astrowi nadmiernie kłopotać owego pełnomocnika z tego właśnie tytułu, nie mając bowiem w sobie owego ducha sceptycyzmu, który każe nie dowierzać klientom, doprowadził do tego że jego trzecie przedsięwzięcie zakończyło się – za przyczyną strasznych długów – niemal całkowitą plajtą, zadając świecarzowi ciężki cios. Ani staruszek Szczera Gadka, ani stary Roztropek nie zaniedbali sposobności, by udzielić mu w przykrych słowach nagany w związku ze skutkami zlekceważenia przezeń ich rady, by trzymał się z dala od pożyczonych pieniędzy. „Jest dokładnie tak, jak przewidywałem”, rzekł staruszek Szczera Gadka, wycierając sędziwy nos w wyblakły ze starości fular. „Ano tak, w rzeczy samej”, przytaknął staruszek Roztropek, stuknął laską o podłogę i oparł się na niej, wpatrzony złowieszczo w Chińskiego Astra. W wielkie zaiste popadł przygnębienie nieszczęsny świecarz, aż nagle któż to przyszedł do niego z promienną miną na twarzy, któż jak nie jego pałający blaskiem przyjaciel-anioł – w następnym śnie? I znowu z rogu obfitości posypały się skarby, którym towarzyszyła jeszcze wspanialsza obietnica. Widzenie przywróciło mu chęć do życia; postanowił nie poddawać się smutkowi, tylko wziąć się w garść i spróbować raz jeszcze, przeciwnie, niż radził staruszek Szczera Gadka – poparty jak zwykle przez swego kompana – który twierdził, że w obecnych okolicznościach najlepiej będzie, jeśli Chiński Aster zwinie swój interes, ureguluje – jeżeli to możliwe – wszelkie swe płatności i najmie się do pracy jako czeladnik. Pozwoliłoby mu to przyzwoicie zarabiać, a tym samym porzucić wszelkie myśli o tym, żeby osiągnąć coś więcej niż stanowisko płatnego podwładnego ludzi zdolniejszych niż on sam, ponieważ przebieg i skutki dotychczasowych poczynań Chińskiego Astra wykazały jasno, iż jest on prawowitym synem starego Poczciwca, który – jak było wszystkim wiadome – nigdy nie zdradzał zbytich talentów do interesu, miał ich w istocie tak niewiele, że często mawiano o nim, iż nie ma on żadnego interesu w tym, żeby prowadzić interes. Te same, wypowiedziane bez ogródek, słowa Szczera Gadka z równą szczerością odniósł teraz do Chińskiego Astra, a staruszek Roztropek zawsze się z nim zgadzał. Cóż z tego, kiedy ów anioł ze snu, na przekór Szczerej Gadce, zaszczepił świecarzowi całkiem odmienne przekonanie.

Jał się on bowiem zastanawiać, co też mógłby zrobić w celu polepszenia swej doli. Gdyby Storczyk nie wyjechał był z kraju, ani chybi przyszedłby mu z pomocą w tych opałach. Zważywszy jednak, że było tak, jak było, zwrócił się do kogo innego, a na tym świecie – choćby niektórzy twierdzili coś wręcz przeciwnego – uczciwy człowiek w niedoli wciąż jeszcze może znaleźć przyjaciół, którzy go wesprą i pomogą mu. W każdym razie tak właśnie stało się w wypadku Chińskiego Astra, któremu ostatecznie udało się pożyczyć od pewnego bogatego starego farmera kwotę sześciuset dolarów na zwyczajny w takich razach procent żądany przez lichwiarzy i pod zastaw tajnego weksla, podpisanego przez samego Chińskiego Astra oraz jego żonę. Weksel ów stanowił, że wszelkie prawa i tytuły do całego majątku, jaki mógłby jej pozostawić jej zamożny i bezdzielny wuj, ułomny garbarz, przeszłyby wraz z całym majątkiem – gdyby Chiński Aster nie zwrócił pożyczonej sumy w oznaczonym terminie – na wyłączną i prawowitą własność osoby udzielającej pożyczki. Zaiste, było to najpewniej wszystko, co mógł zrobić w tych okolicznościach Chiński Aster, ażeby namówić żonę, kobietę ostrożną, do podpisania tegoż weksla, albowiem uważała ona zawsze przyobiecana sobie część fortuny wuja za kotwicę pozwalającą stawić czoło wichrom złych czasów, które zawsze mniej lub bardziej przyginały do ziemi jej męża, odbierając jej w głębi duszy nadzieję, że kiedyś uda

mu się od nich uwolnić. Niejakie pojęcie o miejscu, jakie w sercu i umyśle owej niewiasty zajmował Chiński Aster, można było sobie wyrobić w oparciu o krótkie zdanie wypowiedziane przez jego małżonkę, ilekroć zdarzyło się, że ktokolwiek próbował ją w tym względzie wy badać. Odpowiadała wówczas: „Chiński Aster jest dobrym mężem, ale złym przedsiębiorcą!” W rzeczy samej była ona spokrewniona po kądzieli ze starym Szczerej Gadką. Gdyby jednak Chiński Aster nie zatroszczył się był o to, by wieść o jego układach z leciwym farmerem nie dotarła do uszu starego Szczerej Gadki i staruszka Roztropka, ani chybi w jakiś sposób pomieszałyby mu szyki.

Napomykano, że to przede wszystkim uczciwość Chińskiego Astra była przyczyną, dla której ów lichwiarz dał się nakłonić do wyświadczenia mu przyjacielskiej usługi w tarapatach, i rzeczywiście tak być musiało. Gdyby bowiem Chiński Aster był człowiekiem innego pokroju, mógłby przecież nie uhonorować swego weksla i okazać się tym samym niegodziwcem, tym bardziej że w chwili przygnębienia wywołanego wyrzutami sumienia z powodu narażenia pieniędzy swej żony na tak wielkie niebezpieczeństwo – jego serce mogłoby się okazać zdrajcą podjętego zobowiązania, przy czym było rzeczą ze wszech miar wątpliwą, czy z takim tajnym listem zastawnym i wynikającymi zeń roszczeniami stary farmer miałby w ogóle czego szukać w sądzie, gdyby w ostateczności nic mu już innego nie pozostało. Jedno wszakże zdaje się z tego wszystkiego wynikać: mianowicie to, że gdyby Chiński Aster był kimś innym, niż był, nie zostałyby mu okazane zaufanie, a przeto uchroniłby się wraz ze swą żoną przed nadstawieniem karku pod stryczek lichwiarza. Wszelako byli tacy, którzy utrzymywali, kiedy już wszystko wyszło na jaw, jakoby – w świetle tych okoliczności w takim stopniu – uczciwość świecarza na nic mu się nie zdała. Osoby te wypowiadają tym samym twierdzenie, nad którym każde dobre serce musi ubolewać i którego nie powtórzy żaden roztropny język.

Trzeba dodać, że stary farmer zmusił Chińskiego Astra, aby część swej pożyczki pobrał pod postacią trzech starych wyschniętych krów i jednego kulawego konia, którego stanu nie polepszała nosacizna. Zwierzęta te zostały mu wciśnięte po wcale wysokiej cenie, jako że stary lichwiarz żywił osobliwy przesąd co do wielkiej wartości wszelkiego żywego inwentarza, jaki hodowano na jego farmie. Z ogromnymi trudnościami, ponosząc przy tym jeszcze większe straty, Chiński Aster pozbył się owego bydła na publicznej aukcji, nie znalazł bowiem żadnego prywatnego nabywcy, który dałby się przekonać do takiej lokaty kapitału. I oto tak bardzo pragnąc się dorobić, że harował jak wół od rana do nocy, Chiński Aster koniec końców rozpoczął od nowa, i znowu bez powodzenia. Jednakże tym razem nie próbował swych sił w branży olbrzotowej, tylko – nauczony doświadczeniem – powrócił do łoju. Zakupił sporą jego ilość, nim wszakże zdążył przerobić go na świece, cena łoju spadła tak bardzo – a za nią ceny świec łojoywych – że sprzedawszy swe wyroby, uzyskał ledwie tyle pieniędzy, ile kosztował go surowiec. A tymczasem rósł nie płacony od roku procent od pożyczki Storczyka, lecz Chiński Aster nie troszczył się o Storczykowe odsetki tak bardzo jak o odsetki należne staremu farmerowi. Rad był wszakże, iż owa najważniejsza osoba mogła jeszcze trochę poczekać. Atoli kościsty staruszek przysporzył mu nieco kłopotów, odwiedzając go nieomal codziennie na wychudzonej białej starej szkapie, zaopatrzonej w zbutwiałe ze starości siodło i za pomocą kawałka wyschniętej skóry zmuszanej do przebierania kopytami. Sąsiedzi szeptali między sobą, że to najpewniej sama Śmierć na koniu-widmie depcze po piętach Chińskiemu Astrowi. Okazało się, że mieli poniekąd słuszność, albowiem niedługo potem Chiński Aster popadł w śmiertelne zgoła tarapaty.

Wówczas to dał o sobie znać Storczyk. Wyglądało na to, że powrócił ze swoich

wojaży, potajemnie ożenił się i wiódł teraz na nieco osobliwą modłę żywot w Pensylwanii wśród krewnych swej małżonki, którzy nakłonili go między innymi i do tego, żeby został członkiem kościoła, właściwie zaś półreligijnej sekty ujawniaczy. Co więcej, Storczyk, nie przybywszy osobiście na miejsce, przesłał swemu pełnomocnikowi wiadomość, aby ten zbył część jego majątku w Marietcie i przekazał mu uzyskany ze sprzedaży dochód. Nie minął rok, kiedy Chiński Aster otrzymał od Storczyka list chwalcący go za punktualne zapłacenie odsetek za pierwszy rok, a także wyrażający ubolewanie, iż obecnie jest on (Storczyk) zmuszony skorzystać ze wszystkich swych dywidend, wobec czego ufa, że Chiński Aster nie omieszka uścić odsetek za następnych sześć miesięcy, ma się rozumieć, wraz z zaległymi odsetkami. Równie zaskoczony, co przerażony, Chiński Aster zamyślał udać się w podróż parowcem i odwiedzić Storczyka, ale tego wydatku zaoszczędziło mu niespodziewane przybycie do Marietty samego Storczyka, który pojawił się tam za sprawą owej dziwnej chimeryczności, jaka cechowała go od pewnego czasu. Gdy tylko Chiński Aster dowiedział się o przybyciu starego przyjaciela, pospieszył natychmiast go odwiedzić. Ujrzał przed sobą człowieka w zrudziałym ubiorze, ziemistej cery i stanowczo mniej wesołego i serdecznego w obejściu. Zaskoczyło to Chińskiego Astra tym bardziej, że onegdaj słyszał był nieraz, jak Storczyk oznajmiał mu w swój niefrasobliwy sposób, iż wszystko, czego potrzeba, by stał się człowiekiem całkowicie szczęśliwym, radosnym i dobrodusznym, to podróż do Europy oraz żona, a także swobodny rozwój najgłębiej tkwiących cech jego natury.

Chiński Aster przedstawił swoje położenie, a jego zmarniały przyjaciel milczał czas jakiś, po czym rzekł, iż nie chciałby naciskać na Chińskiego Astra, ale znalazł się oto w wielkiej potrzebie. Czy Chiński Aster nie mógłby dać w zastaw swej wytwórni świec? Jest człowiekiem uczciwym, musi więc mieć znajomych z gotówką. Czy nie mógłby powiększyć ilości sprzedawanych świec? A może dałoby się coś wymóc na nabywcach, choćby odrobinę? Świece powinny przynosić wielkie zyski. Spostrzegłszy, że Storczyk wyobraża sobie, iż branża świecarska jest bardzo intratna, a mając bolesną świadomość, jak bardzo myli się jego przyjaciel, Chiński Aster usiłował wyprowadzić go z błędu. Nie potrafił wszakże skierować go na drogę prawdy, jako że Storczyk był pod tym względem niezwykle mało pojętnym, a przy tym – o dziwo – bardzo podatnym na melancholię człowiekiem. Na koniec Storczyk przeszedł od tego wielce nieprzyjemnego tematu do najmniej spodziewanych rozważań – snuł je ze stanowiska religijnego – o niestałości i omyślności człowieczego serca. Lecz Chiński Aster, w mniemaniu, iż doświadczył czegoś podobnego osobiście, nie przeciwstawił się spostrzeżeniom przyjaciela, powstrzymując się od tego w równym może stopniu w imię uczuć koleżeństwa, jak czegokolwiek innego. Wówczas Storczyk bez szczególnych ceregieli wstał mówiąc, że musi napisać list do żony, i pożegnał Chińskiego Astra, nie uściskawszy mu wszakże serdecznie dłoni, jak czynił był niegdyś.

Zatroskany wielce zaszła przemianą, Chiński Aster zadał sobie trud, żeby ze stosownych źródeł dowiedzieć się, jakież to niesłychane rzeczy wydarzyły się Storczykowi i spowodowały taką rewolucję. Okazało się oto, że poza tym, iż Storczyk wiele podróżował, ożenił się i wstąpił do sekty ujawniaczy, nabawił się także poważnej niestranności i utracił znaczną część majątku skutkiem sprzeniewierzenia, jakiego dopuścił się pewien agent handlowy z Nowego Jorku. Opowiedział o tym wszystkim staremu Szczerzej Gadce, a ów człowiek, znający się trochę na życiu, pokiwał starą głową i oświadczył Chińskiemu Astrowi, że jakkolwiek nie traci nadziei na inny obrót sprawy, to jednak wydaje mu się, iż wszystko, co mu zakomunikował na temat Storczyka, źle wróży na przyszłość, zwłaszcza gdy chodzi o jego wyrozumiałość. Tym bardziej – dodał z

ponurym uśmiechem – jeśli weźmie się pod uwagę, że wstąpił do sekty ujawniaczy, bo gdyby pewni ludzie znali swą najgłębszą naturę, miast wydobywać ją na jaw, staraliby się uczynić wszystko, co w ich mocy, byle tylko pozostała ukryta. Tak właśnie postępują ludzie roztropni. Wszystkim tym zgryźliwym uwagom przytakiwał jak zwykle starzec Roztropek.

Kiedy nadszedł dzień płacenia odsetek, Chiński Aster, pomimo największych wysiłków, był w stanie uiszczyć pełnomocnikowi Storczyka zaledwie drobną część należności, a i to częściowo dzięki pieniądzom, jakie podarował swym dzieciom (Iśniące dziesięciopensówki i nowiutkie ćwierćdolarówki wyciągnięte z małych skarbonek) oraz dzięki temu, że zastawił swe najlepsze ubranie, jak również ubiory żony i dzieci, przez co sprowadził na całą rodzinę utrapienie, jakim była niemożność pójścia do kościoła. Co się zaś tyczy starego lichwiarza, który również jął nań pokrzykiwać – Chiński Aster uiszczył mu odsetki, a także niektóre inne naglące płatności pieniędzmi uzyskanymi z oddania w zastaw wytwórni świec.

Gdy nadszedł kolejny termin spłaty odsetek należnych Storczykowi, nie było skąd wziąć złamanego grosza. Z wielkim smutkiem w sercu Chiński Aster powiadomił o tym Storczykowego ajenta. Tymczasem upłynął też termin spłaty weksła wystawionego staremu lichwiarzowi, a Chiński Aster nie miał żadnych pieniędzy na podorędziu, by tego dokonać. Wszelako, tak jak deszcz zsyłany bywa przez niebiosy zarówno na sprawiedliwych, jak i nikczemników, podobnie za przyczyną korzystnego dla starego farmera biegu wydarzeń zmarł zamożny wuj-garbarz, a lichwiarz wszedł w posiadanie tej części jego majątku, która na mocy testamentu przypadła żonie Chińskiego Astra. Kiedy nadszedł następny termin płatności dla Storczyka, Chińskiemu Astrowi wiodło się tak źle, jak jeszcze nigdy dotąd, albowiem prócz innych kłopotów doszedł mu jeszcze jeden w postaci jego własnej choroby. Tak słaby, że słał się na nogach, powłókł się do pełnomocnika Storczyka i powiedział mu uczciwie, jak mają się sprawy. Wówczas ajent oświadczył mu z dość ponurą miną, że otrzymał od swego chlebodawcy polecenie, aby nie nalegać na uiszczenie odsetek w chwili obecnej, tylko powiedzieć Chińskiemu Astrowi, że z chwilą nadejścia terminu spłaty weksła Storczyk będzie musiał wywiązać się z poważnych zobowiązań finansowych, wobec czego weksel musi zostać w tym czasie spłacony, oczywiście razem z zaległymi odsetkami. Na tym jednak nie koniec, bo Storczyk, który musiał dać procent na długi termin, ma nadzieję, iż tak samo Chiński Aster nie będzie miał nic przeciwko temu, by w zamian za to doliczyć do zaległych odsetków odsetki od ustalonego procentu w stosunku rocznym. Wprawdzie podobne prawo nie istniało, lecz wśród przyjaciół, którzy wzajemnie się wspomagają, był to przyjęty zwyczaj.

Tak się złożyło, że w tej samej chwili kiedy pełnomocnik rozstał się z Chińskim Astrem, wyszli z za rogu staruszek Szczera Gadka i staruszek Roztropek, wpadając prosto na Chińskiego Astra. Czy był to udar słoneczny, czy też dlatego, że przez przypadek się z nim zderzyli, a może dlatego, że tak był osłabiony, lub za przyczyną wszystkich tych okoliczności jednocześnie – nie sposób stwierdzić tego z całą dokładnością – dość, że Chiński Aster runął na ziemię i z taką siłą uderzył w nią głową, że stracił przytomność. Działo się to pewnego dnia miesiąca lipca, dnia tak pełnego słonecznego światła i tak upalnego, jaki znają jedynie brzegi rzeki Ohio w środku lata. Chińskiego Astra zaniesiono na drzwiach do domu, żył jeszcze kilka dni, a jego myśli błądziły i błądziły, aż wreszcie, ciemną nocą, gdy wszyscy mocno spali, duch Chińskiego Astra powędrował na tamten świat.

Starzec Szczera Gadka i stary Roztropek brali zawsze udział w każdym pogrzebie, bo na tym właśnie polegało ich główne zajęcie – obaj też znaleźli się pośród najszczerzej przejętych żałobników, którzy odprowadzili zwłoki syna swego przyjaciela z dawnych lat na miejsce wiecznego spoczynku.

Nie ma sensu rozwodzić się nad tym, co później nastąpiło. Wytwórnia świec została sprzedana przez wierzyciela hipotecznego, Storczyk nie dostał ani grosza ze swej pożyczki, w wypadku zaś biednej wdowy kara została złagodzona przez miłosierdzie, albowiem mimo że pozostała bez grosza przy duszy, zachowała przecież swe dzieci. Niepomna jednak na tę ulgę, do tego stopnia pozwoliła się pastwić nad sobą uczuciu rozgoryczenia z powodu tego, co zniecierpliwiona nazywała okrucieństwem losu i bezwzględnością świata, że nie minęło wiele czasu, jak z mroków niedoli przeniosła się sama do jeszcze głębszej ciemności mogiły.

Ale choć ciężkie tarapaty, w jakich Chiński Aster pozostawił swą rodzinę, nie tylko że mało zdawały się obchodzić świat, lecz również przyćmiły jakby pamięć o uczciwości zmarłej głowy rodziny i choć, jak mogliby niektórzy pomyśleć, nie wystawiało to światu dobrego świadectwa, to jednak w tym wypadku tak się sprawy potoczyły – a podobnie dzieje się w innych przypadkach – że jakkolwiek świat przez czas jakiś sprawiać może wrażenie, iż jest nieczuły na zalety spowite obłokiem, wszakże prędzej czy później odda on szacunek temu, co na szacunek zasługuje. Oto po śmierci wdowy obywatele miasta Marietta, w hołdzie dla Chińskiego Astra i na znak czci, jaką chcieli okazać jego wielkim moralnym zaletom, podjęli uchwałę, zgodnie z którą jego dzieci – dopóki nie osiągną wieku dojrzałego – miały być uważane za honorowych obywateli miasteczka. Nie były to li tylko czcze słowa, jak to bywa w wypadku komplementów ze strony niektórych instytucji publicznych, jeszcze bowiem tego samego dnia osierocone dzieci umieszczono w owym gościnnym przytułku, gdzie ich zacny dziadek, który był przed nimi honorowym obywatelem miasteczka, wydał swe ostatnie tchnienie.

Atoli bywa niekiedy i tak, że pamięć uczciwego człowieka zostaje otoczona szacunkiem, a jednak na jego mogile nie stawia się pomnika. W wypadku świecarza stało się jednak inaczej. Niebawem Szczera Gadka wystarał się o prosty kamień i roztrząsał w myślach treść zwięzłego, złożonego z niewielu słów napisu, jaki miał być umieszczony na nim, kiedy w pustym skądinąd portfelu Chińskiego Astra odnaleziono epitafium, napisane najpewniej w którejś z owych chwil rozpaczki, jakim towarzyszyły mniej lub bardziej nasilone zaburzenia umysłu, nachodzące go tak często podczas ostatnich miesięcy jego życia. Na odwrotnej stronie kartki znajdowała się notatka wyrażająca pragnienie, aby napis tej treści umieszczony został na jego nagrobku. Choć Szczera Gadka poniekąd zgadzał się z uczuciową wymową epitafium, jako że sam miewał niekiedy usposobienie żółciowca – tak przynajmniej twierdzili niektórzy – jednak ów napis wydał mu się zanadto rozwlekły. Naradziwszy się zatem ze starym Roztropkiem, postanowił skorzystać z epitafium, dokonując wszakże pewnych zmian, mających nadać językowi większą zwięzłość. I choć poczyniwszy te zmiany wciąż uważał, że rzecz jest zbyt rozwlekła, to jednak – wychodząc z założenia, iż ponieważ napis ma mówić o nieboszczyku, jedynym uczciwym rozwiązaniem będzie pozwolić przemówić umarłemu we własnym imieniu, tym bardziej że mówi szczerze i że dzięki temu można z tego wyciągnąć jeszcze bardziej krzepiący morał – kazał na nagrobnym kamieniu wykuć następującą, okrojoną inskrypcję:

Tu spoczywają
śmiertelne szczątki
Chińskiego Astra, świecarza

Koleje jego życia są przykładem
tej prawdy Pisma Świętego, jaką
odnajdujemy w pełnej roztropności
filozofii mędrca Salomona
doprowadziło go bowiem do upadku to, że wbrew
własnemu rozsądkowi
dał się przekonać, ażeby kierować się
wyłącznie zaufaniem
oraz
z żarliwym optymizmem zapatrywać się na życie
pomijając zupełnie
te rady, które płyną z wysłuchania
zapatrywań odmiennych

O owej inskrypcji sporo w miasteczku rozprawiano, doczekała się też dość surowej krytyki z ust owego kapitalisty o niezwykle wesołym usposobieniu, który pożyczkę udzieloną Chińskiemu Astrowi zabezpieczył hipotecznym zastawem jego zakładu. Inskrypcja ta wydała się też szkaradną owemu człowiekowi, który pierwszy wystąpił na zebraniu obywateli miasteczka z wnioskiem o uczczenie pamięci Chińskiego Astra, a który to wnioskodawca określił ów napis jako wielce obraźliwy dla świecarza, i to do tego stopnia, że za nic w świecie nie chciał uwierzyć, iż to sam świecarz ułożył jego treść. Przypisał zatem jego autorstwo Szczerzej Gadce, twierdząc, że zawartość inskrypcji dowodzi, iż nikt inny, jak tylko ów zaprawiony w zrzędzeniu starzec mógł być wysmażyć podobną jeremiadę – mimo to nagrobek stanął. Ma się rozumieć, staremu Szczerzej Gadce wtórował we wszystkim stary Roztropek, który wybrał się pewnego dnia na cmentarz w paltocie i kaloszach – bo choć ranek był słoneczny, pomyślał, że w ziemi może się czaić wilgoć po obfitej rosie porannej – i stał długo przed nagrobkiem, wsparty mocno na swej lasce, z okularami na nosie, odczytując epitafium wyraz po wyrazie. Kiedy napotkał potem na ulicy starego Szczerą Gadkę, stuknął z całych sił laską i powiedział: „Kumie Szczera Gadko, znakomity jest ten napis na nagrobku, ale brakuje w nim jednego króciutkiego zdania”. Szczera Gadka odrzekł na to, że jest już za późno, bo epitafium zostało wykute w taki sposób, iż jak to zwykle bywa w wypadku podobnych inskrypcji, nic się już nie zmieści pomiędzy linijkami. „Wobec tego – odparł stary Roztropek – dodam to zdanie w formie postscriptum”. Uzyskawszy zgodę Szczerzej Gadki, kazał następnie wykuć w lewym rogu płyty, tuż u samego dołu te oto słowa:

A przyczyną tego wszystkiego pożyczka przyjaciela.

ROZDZIAŁ XLI

Zakończony odrzuceniem hipotezy

– Jak mogłeś – wykrzyknął Frank, grając nadal swą rolę – opowiedzieć mi podobną historię? Nijak nie mogę się z nią pogodzić, bo gdybym przyjął płynący z niej morał, sam bym sobie usunął spod nóg moją ostatnią podporę, a przeto pozbawiłbym się ostatniego źródła życiowej odwagi. Czym bowiem były owe optymistyczne zapatrywania Chińskiego Astra, jeśli nie pogodną wiarą w to, że jeżeli tylko nie będzie tracił ducha, będzie ciężko pracował i spodziewał się najlepszego, to ostatecznie wszystko ułoży się dobrze? Jeśli,

Charlie, opowiedziałeś mi tę historię, chcąc zadać mi ból, srogi ból, to udało ci się cel ten osiągnąć, ale jeśli chodziło o to, żeby zniszczyć mą najgłębszą ufność, dziękować Bogu, poniosłeś porażkę.

– Ufność?! – wykrzyknął Charlie, który, jak się wydawało, całą duszą wszedł w swoją rolę. – Cóż ma z tym wspólnego ufność? Morał tej historii, który chciałbym polecić twej uwadze, brzmi tak: oto szaleństwo, jakim dla obu stron okazała się pomoc przyjaciela dla przyjaciela. Czyż bowiem owa pożyczka Storczyka udzielona Chińskiemu Astrowi nie była pierwszym krokiem w kierunku oziębienia ich stosunków? I czyż nie doprowadziła w końcu do tego, że Storczyk znenawidził Chińskiego Astra? Powiadam ci, Frank: do prawdziwej przyjaźni, tak samo jak do innych cennych rzeczy, nie można się pochopnie wtrącać. A czy istnieje większe wścibstwo pomiędzy przyjaciółmi niż pożyczka? Toż to istny koniec całej zabawy! Na ile można zaradzić temu, żeby pomagający nie musiał zamienić się w wierzyciela? A czy to możliwe, żeby przyjaciel był zarazem wierzycielem? Nie, i to nawet przy największej wyrozumiałości, boć przecie rzec się z wyrozumiałości swych roszczeń – to nie tyle być przyjaznym wierzycielem, co nie być nim wcale. Nie wystarczy wszakże zawierzyć owej wyrozumiałości, o nie – nawet w przypadku najzacniejszego człowieka – albowiem najzacniejszy człowiek, tak samo jak największy nikczemnik, podlega wszelkim życiowym odmianom losu. Może udać się w podróż, może się ożenić, może wstąpić do ujawniaczy lub jakiejś innej równie przewrotnej sekty, nie mówiąc już o innych rzeczach, w mniejszym lub większym stopniu zdolnych przerobić charakter ludzki. A pomijając to wszystko, któż weźmie odpowiedzialność za ostateczny rezultat tych okoliczności, od których tyle zależy...?

– Ależ Charlie, Charlie...

– Nie, nie, zaczekaj. Na darmo słuchałeś mojej opowieści, jeśli nie rozumiesz, że choćbym ci wydał się nie wiem jak pobłażliwym i przytomnie myślącym w chwili obecnej, nie stanowi to żadnej rękojmi na przyszłość. Czyż zdrowy rozsądek nie powinien ci, mój drogi, odradzić oddania się we władzę osoby o podobnie niewiadomych cechach charakteru, jaką mogę się stać już jutro za sprawą owej zmienności natury człowieczej? Zastanów się. Czy ty sam, będąc w potrzebie, przyjąłbyś z ochotą pożyczkę od przyjaciela, oddając mu w zastaw hipoteczny jako rękojmię własne gospodarstwo i wiedząc na dodatek, że nie ma żadnej pewności, iż ów zastaw nie trafi ostatecznie w ręce wroga? Jednakże różnica pomiędzy tym a tamtym człowiekiem nie jest aż tak wielka, jak różnica między tym, czym ten sam człowiek jest dzisiaj, a tym, czym może być w przyszłości. Nie ma bowiem takiej skłonności serca ani nastawienia myśli, którą człowiek byłby zdolny zachować dzięki nieziennej naturze lub woli. Nawet co się tyczy owych uczuć i sądów uważanych za niemal całkowicie zgodne z wiecznymi prawami i prawdą, jest przecież możliwe, że podobnie jak osobiste przekonania, mogą one stanowić w rzeczywistości jedynie rezultat jakichś przypadkowych drgnień łokcia Losu, miotającego kości do gry. Żeby bowiem nie zagłębiać się w samo sedno sprawy i pomijając ów przypadkowy zbieg okoliczności, wskutek którego za przyczyną naszych rodziców przejawiamy te lub inne nawyki umysłowe – zejźdź poniżej ich poziomu i powiedz mi, czy jeśli zamienisz temu człowiekowi jego przeżycia i doświadczenia, tamtemu zaś jego książki, mądrość każe ręczyć za to, że jego przekonania nie ulegną zmianie? Określony rodzaj strawy wywołuje określone sny, podobnie też określone doświadczenia lub książki rodzą określone uczucia i sądy. Nie chcę dłużej słuchać tego paplania o rozwoju i jego prawach. Nie ma innego rozwoju w dziedzinie mniemań i uczuć, jak tylko ów rozwój związany z biegiem i odmianami czasu. Możesz to wszystko nazwać cczą gadaniną,

Frank, ale sumienie każe mi wyjawić przed tobą, jak zasadniczymi kieruję się powodami, traktując ciebie w ten właśnie sposób.

– Ależ Charlie, drogi Charlie, cóż to znowu za pomysły? Sądziłem, że człowiek nie jest nędznym zielskiem miotany po świecie, jak się wyraziłeś. Sądziłem także, że skoro tak, to zdolny jest posiadać własną wolę, własny sposób postępowania, własne przemyślane sądy i odruchy serca. Lecz oto znów wywróciłeś wszystko do góry nogami, popadając w sprzeczność, która budzi moje największe zdumienie i jest dla mnie wstrząsem.

– Sprzeczność? Phi!

– Teraz znowu odzywa się brzuchomówca! – westchnął gorzko Frank.

Może i rozeźlony ową powtórną wzmianką niezbyt schlebiającą jego oryginalności, choć dobrze świadcząca o jego pojętności – uczeń Marka Winsome'a próbował ją zbyć tym oto wykrzyknikiem: „Tak, dniem i nocą odwracam, nie szczędząc wysiłków, wniosłem stronice mego mistrza i na nieszczęście dla ciebie, mój drogi przyjacielu, nie znajduję tam niczego, co skłaniałoby mnie do myślenia w inny niż dotychczas sposób. Lecz dość na tym: pod tym względem doświadczenia Chińskiego Astra zawierają morał bardziej trafiający w sedno niżli wszystko, co może zaproponować Mark Winsome czy ja sam.

– Niepodobna, byś mógł tak uważać, Charlie, albowiem ani nie jestem Chińskim Astrem, ani nie znajduję się w jego położeniu. Pożyczka udzielona Chińskiemu Astrowi miała się przyczynić do rozwoju jego przedsiębiorstwa, pożyczka zaś, o którą ja zabiegam, ma mi ulżyć w tarapatach.

– Odzienie, jakie masz na sobie, mój drogi Frank, budzi szacunek, a twoje lico nie zdradza ukrytej choroby. Po cóż mówić o tarapatach, kiedy oznaką rzeczywistej niedoli są wyłącznie nagość i przymieranie głodem?

– A jednak potrzebuję wsparcia, Charlie, i to tak rozpaczliwie, że zaklinam cię na wszystko, abyś zapomniał, że kiedyś byliśmy przyjaciółmi, i uważał mnie jedynie za swego bliźniego, którego z pewnością nie odprawisz z niczym.

– Nie uczynię tego. Zdejmij kapelusz, pokłoń się do ziemi i zanieś do mnie prośbę o jałmużnę, tak jak czynią to na ulicach Londynu, a nie na darmo zamienisz się w beczelnego żebraka. Pozwól jednak, że stwierdzę, iż nikt nie wrzuca pieniędzy do kapelusza przyjaciela. Jeśli zamienisz się w żebraka, wówczas ja, na znak czci dla szlachetnej przyjaźni, zamienię się w osobę nieznaną.

– Dosyć! – wykrzyknął tamten, podrywając się z miejsca, i wstrząsnął ramionami, jak gdyby z obrzydzeniem zrywał z rolą przez siebie odgrywaną. – Dosyć. Mam już po uszy filozofii Marka Winsome'a. I choć w teorii może się ona wydać lunatyczną, okazuje się, że w rzeczywistości jest to bardzo praktyczna filozofia, równie skrzętna, winienem stwierdzić, jak jej twórca. Aliści musiałbym być nędznym przedstawicielem mego gatunku, gdybym sądził, że mówił prawdę, stwierdzając – na dowód trafności swego systemu – iż jego zgłębianie prowadzi do takiego właśnie kształtowania charakteru w oparciu o znajomość świata... Pojętny uczniu! Czyż warto marszczyć czoło i marnować oliwę życia, a także i lampy, po to jedynie, by się okazało, że chłód głowy zawdzięcza się wewnętrznym lodom skuwającym serce? To, czego nauczył cię twój znamienity mag-mędrzec, mógł ci być przekazany pierwszy lepszy sepleniący, biedny, stary, strapiony fircyk o skurczonym sercu. Proszę cię, odejdz ode mnie i zabierz ze sobą ostatnie okruchy twej nieludzkiej filozofii. Naści: weź też tego szylinga i na pierwszej przystani kup sobie pieczonych ziemniaków, byś nimi rozgrzał zwarzoną mrozem naturę swoją i twego mistrza.

Wyrzekłszy te słowa, kosmopolita z wielką pogardą odwrócił się na pięcie, zabijając swemu kompanowi ćwieka, gdyż nie wiedział on, czy tamten rzeczywiście zarzucił swą fikcyjną rolę i przybrał postać prawdziwą. O ile przybrał, albowiem kiedy patrzył za odchodzącym kosmopolitą, przyszły mu – w całej swej wyrazistości – do głowy owe znane wersy:

Świat teatrem jest, aktorami ludzie,
Którzy kolejno wchodzą i znikają.
Każdy tam aktor niejedną gra rolę.³⁹

ROZDZIAŁ XLII

Zaraz po ostatniej scenie kosmopolita wchodzi do zakładu balwierza, z błogosławieństwem na ustach

– Bądź błogosławiony, balwierz!

Jako że pora była późna, balwierz był całkiem sam, wyjąwszy ostatnich dziesięć minut, kiedy to doszedłszy do wniosku, że w towarzystwie własnej osoby jest mu raczej nudno, pomyślał, że miło spędzi czas z Soter Johnem i Tomem O'Shanter, inaczej zwanymi Somnus i Morpheus, dwoma bardzo zacnymi jegomościami, choć jeden nie był zanadto bystry, drugi zaś arcyroztrzepaniec, któremu – jakkolwiek byli tacy, co dawali mu spory posłuch – żaden mądry człowiek nie uwierzyłby za nic na świecie.

Słowem, odwróciwszy się plecami do rozjarzonych lamp, jako też i do drzwi, pocziwy balwierz zażywał drzemki na swym krześle. Usłyszawszy zaś nagle powyższe błogosławieństwo, wypowiedziane tonem nie całkiem różnym od głosu anioła, zerwał się z miejsca i na wpół przebudzony wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, ale nie ujrzał niczego, bo nieznajomy stał z tyłu. Za sprawą przeto drzemki, sennych rojeń i oszołomienia ów głos, jaki usłyszał, wydał mu się jakowymś nieziemskim zjawiskiem natury duchowej, toteż dobrą chwilę stał z rozdziawioną gębą, znieruchomiałym wzrokiem i jedną ręką wyciągniętą w powietrzu.

– Cóż to, balwierz, czyżbyś łapał ptaki przy pomocy soli?

– Ach! – odwrócił się balwierz, odzyskując przytomność – więc to tylko człowiek.

– *Tylko* człowiek? Tak jakby być człowiekiem nic nie znaczyło. Ale nie bądźże taki pewny, czym jestem. Zowiesz mnie *człowiekiem*, tak samo jak mieszkańcy miasta nazywali aniołów, którzy w ludzkiej postaci przybyli do domu Lota. Tak samo też żydowscy wieśniacy nazywali czarty, które w ludzkiej postaci straszyły na grobach. Nie możesz niczego wnioskować z człowieczej postaci, balwierz.

„Ale mogę coś wnioskować z takiego mówienia i z takiego przyodziewku” – pomyślał chytrze balwierz, przypatrując się kosmopolicie, kiedy już odzyskał panowanie nad sobą, a przypatrywał mu się nie bez skrywanego strachu, który stąd pochodził, że znalazł się ze swym gościem sam na sam. Mogło się wydawać, że kosmopolita odgadł treść myśli, jakie

³⁹ William Szekspir, *Jak wam się podoba*, akt II, scena VII, przeł. Leon Ulrich.

przebiegały przez głowę balwierz, bo oto odezwał się rozumniej i poważniejszym tonem, jak gdyby spodziewał się, że jego słowa zostaną uważnie wysłuchane:

– Nieważne jednak, do jakich dochodzisz wniosków. Ważne, byś – jak tego pragnę – doszedł do wniosku, że należy mnie porządnie ogolić. – Co powiedziawszy, rozwiązał chustkę na szyi i dodał: – Czy potrafisz mnie porządnie ogolić, balwierz?

– Żaden makler nie potrafiłby lepiej, szanowny panie – odrzekł balwierz, który za przyczyną tego fachowego pytania odruchowo podporządkował swoją opinię o gościu celom wykonywanego przez siebie fachu.

– Makler? A cóż ma makler wspólnego z mydlinami? Uważałem zawsze, że makler to znaczy jegomość, który zajmuje się papierami wartościowymi i kruszcami.

– Hę, hę! – balwierz wywnioskował z tych słów, że ma do czynienia z jakimś oschłym żartownisiem, którego dowcipy, jako że był to klient, należało właściwie oszacować. – Hę, hę! Dobrześ pan uważał. Proszę siadać tutaj – położył rękę na wielkim wyścielanym krześle o wysokim oparciu i wysokich poręczach, obitym karmazynową tkaniną i umieszczonym na pewnego rodzaju podwyższeniu, tak że wydawało się, iż brak tylko baldachimu i czterech części herbowej tarczy, by nadać owemu sprzętowi wygląd tronu. – Proszę tu spocząć, szanowny panie.

– Dzięki – kosmopolita usiadł. – A teraz zechciej proszę objaśnić mię względem tego maklera. Ale, ale, cóż to takiego? – poderwał się z miejsca, wskazując długim cybuchem swej fajki w stronę pozłacanej wywieszki, kołyszącej się pośród różnobarwnych lepów na muchy u sufitu niczym godło gospody. „Kredytu nie udziela się”? Brak kredytu oznacza niedowierzanie, niedowierzanie oznacza brak ufności. Balwierz – zwrócił się do niego głęboko poruszony – z podszeptu jakiejś barbarzyńskiej podejrzliwości wzięło się to haniebne wyznanie? Jak mi życie miłe! – tupnął nogą. – Jeżeli wystarczy oświadczyć byle psu, że nie ma się doń zaufania, by można to było poczytać za psa tego obrazę, jakąż zniewagą jest tedy wodzić w ten sposób za brodę cały dumny rodzaj ludzki! Na Boga, waszmość! Ale z pana przynajmniej człek nielekleiwy, który parszywe usposobienie Tersytyesa⁴⁰ wspiera męstwem Agamemnona.

– Na takim gadaniu to ja się nie bardzo wyznaję – odrzekł balwierz głosem raczej smutnym, gdyż znowu jego klient wprowadził go w przygnębienie, połączone na dodatek z nawrotem niepokoju – nie bardzo się wyznaję – powtórzył z naciskiem.

– Ale wodzenie rodzaju ludzkiego za nos, balwierz, to nawyk, który, jak się niestety obawiam, niepostrzeżenie zrodził u ciebie pogardę dla człowieka. Jakże bowiem pełne uszanowania wyobrażenia jego dotyczące mogą występować pospołu z owym ustawicznym nawykiem wodzenia go za nos? Ale powiedz mi, bo choć i ja rozumiem jasno treść twego ogłoszenia, jednak nie bardzo pojmuję cel, jaki mu przyświeca: co jest tym celem?

– Teraz mówisz pan troszkę po mojemu – odrzekł balwierz, któremu ów powrót do prostej mowy przyniósł niejaką ulgę – uważam to ogłoszenie za bardzo pożyteczne, oszczędziło mi ono wiele pracy, za którą nic bym nie zarobił. Tak, poniosłem spore straty, nim wywiesiłem to ogłoszenie – spojrzął z wdzięcznością w jego stronę.

– Ale jaki jest jego cel? Przecież nie chodzi ci chyba o to, żeby w tych paru słowach powiedzieć, że nie masz ufności? No bo na przykład – odrzucił na bok chustkę, rozpiął kołnierz bluzy i usadowił się wygodnie na owym tronie mistrza nożyc, balwierz zaś

⁴⁰ Tersytes – postać z *Iliady* Homera, wyraziciel najgorszych nastrojów wśród wojsk oblegających Troję.

widząc to odruchowo napełnił miseczkę gorącą wodą, zaczerpnąwszy jej z miedzianego naczynia ustawionego na spirytusowym palniku – bo na przykład przypuśćmy, że zwracam się do ciebie w te słowa: „Balwierz, mój drogi balwierz, niestety nie mam dziś przy sobie drobnych, lecz ogol mnie, a pieniądze otrzymasz w dniu jutrzejszym”. Przypuśćmy, że powiedziałbym coś takiego w tej chwili – uwierzyłbyś mi przecież? Miałbyś ufność?

– Ponieważ to pan mówi – odrzekł grzecznie balwierz, mieszając mydliny – ponieważ to właśnie pan mówi te słowa, pozwolę sobie nie odpowiedzieć na pańskie pytanie. Nie jest to potrzebne.

– Oczywiście, oczywiście, biorąc pod uwagę te okoliczności. Ale przecież miałbyś do mnie zaufanie niejako założone z góry, nieprawdaż?

– Ależ tak, tak.

– No to na co ta wywieszka?

– Ach, proszę pana, nie wszystkie ludziska podobne są do pana – brzmiała gładko odpowiedź balwierza, który jednocześnie, jak gdyby gładko ucinając rozmowę, ją nakładać gładką warstwą mydliny. Wszelako działaniu temu sprzeciwiła się ruchem ręki osoba mu podległa, po to tylko jednakże, by dać upust pragnieniu zareplikowania, co też uczyniła następującymi słowami:

– Nie wszyscy ludzie są podobni do mnie. Tedy muszę być albo lepszy, albo gorszy od większości ludzi. Za gorszego nie mogłeś mnie, balwierz, uznać, o nie, to z pewnością nie mogło być twym zamiarem. A zatem pozostaje tylko ta możliwość, że uważasz mnie za lepszego niż większość ludzi. Ale ja nie jestem aż tak próżnym, by w to wierzyć, choć przyznaję, że nigdy nie zdołał mimo największych wysiłków całkowicie wyzwolić się od próżności, szczerze zaś mówiąc, w głębi duszy wciąż jeszcze trochę mi zależy na... tejże próżności, albowiem, balwierz, jest to tak nieszkodliwa, tak pożyteczna, taką ulgę niosąca i tak przyjemnie niedorzeczna namiętność.

– Święta prawda, panie, święta prawda. Na mą cześć, pięknie pan mówisz, lecz mydliny stygną.

– Lepsze zimne mydliny, balwierz, niżli zimne serce. Skądże ta zionąca chłodem wywieszka? O, nie dziwi mnie, że próbujesz wykręcić się od wyznania. Czujesz w duszy, że napomyka ona o jakże mało szlachetnych rzeczach. A jednak, balwierz, kiedy spoglądam ci w oczy i wyczytuję z nich jakby opowieść o twej matce, która spoglądała w nie z pewnością wiele, wiele razy przede mną – nie waham się stwierdzić, że choć może tak nie uważasz, duch tego ogłoszenia nie da się pogodzić z twoją naturą. Odłóż na chwilę na bok fachowy punkt widzenia, a rozpatrz rzecz w sposób oderwany, czyli – krótko mówiąc – załóż taką na przykład sytuację: Masz oto przed sobą, balwierz, nieznanego, który przypadkowo odwrócony jest od ciebie twarzą, ale widoczna, pozostała część jego postaci nadaje mu wygląd bardzo szacowny. Otóż zapytuję cię, balwierz, zwracając się do twego sumienia i twego miłosierdzia, jakie wrażenie zrobiłby na tobie ów człowiek z moralnego punktu widzenia? Czy dlatego, że byłby ci on całkowicie nie znany, uznałbyś go za skończonego łajdaka?

– Na pewno nie, proszę pana! Bynajmniej! – wykrzyknął balwierz, przepełniony dobroduszną odrazą.

– Czy na podstawie jego twarzy...

– Stój waść – rzekł balwierz – ani słowa o twarzy, bo jak pan pamięta, twarzy nie

widać.

– Zapomniałem o tym. A zatem nie jest wykluczone, że na podstawie jego pleców doszedłbyś do wniosku, że to jakaś zacna osoba, krótko mówiąc, uczciwy człowiek, nieprawdaż?

– Jest to wielce prawdopodobne, proszę pana.

– No a teraz – zaczekajże z tym twoim pędzlem, balwierz! – przypuśćmy, że spotykasz nocą tego uczciwego człowieka w jakimś mrocznym zakamarku statku, gdzie wciąż nie widać jego twarzy, a on cię prosi, żebyś go ogolił na kredyt. Cóż wtedy?

– Tego bym nie zrobił.

– Ale czyż człowiekowi uczciwemu nie należy ufać?

– No ale... ale... owszem, szanowny panie.

– Otóż właśnie! Czy teraz już widzisz?

– Co mam widzieć? – spytał niespokojnie balwierz, nieco rozgniewany.

– No, że sam sobie zaprzeczasz, balwierz, czyż nie tak?

– Nie – odrzekł cierpko balwierz.

– Balwierz – powiedział poważnym głosem kosmopolita po chwili zastanowienia – wrogowie naszego rodzaju powiadają, że nieszczerść jest najbardziej powszechną i najgłębiej tkwiącą w człowieku przywarą, która najmocniej przeszkadza rzeczywistej poprawie, czy to jednostek, czy świata. Czy przez swój upór, balwierz, nie nadajesz teraz rumieńca podobnym kłamliwym oszczerstwom?

– Trele – morele! – wykrzyknął balwierz, tracąc cierpliwość, a także respekt. – Upór? – Następnie zaś, stukając pędzlem o krawędź miseczki, zapytał: – Chce pan, żebym go ogolił, czy nie?

– Balwierz, chcę, żebyś mnie ogolił, i na pewno sprawi mi to przyjemność, ale proszę cię, nie podnoś głosu w ten sposób. Bo jeżeli przejdiesz przez życie zgrzytając zębami, jak czynisz to teraz, nie zaznasz przecie nigdy żadnej przyjemności.

– Zaznamę na tym świecie tyle samo przyjemności co pan lub ktokolwiek inny – wykrzyknął balwierz, którego łagodne usposobienie klienta zdawało się nie tyle końć, ile doprowadzać do rozpacz.

– Pogarda dla skasowania jakiegokolwiek rodzaju nieszczęść stanowi, jak to już nieraz zauważyłem, właściwość określonego gatunku ludzi – rzekł tamten zamyślonym głosem i mówiąc na poły do siebie dodał: – Tak samo jak obojętność wobec tego skasowania, która bierze się z uznania szczęścia za coś pośledniejszego i za mniej ważny przejaw łaski, stanowi wedle mych spostrzeżeń równie charakterystyczną cechę innego rodzaju ludzi. Słuchaj, balwierz – spojrzał nań niewinnym wzrokiem – który z tych gatunków uważasz za doskonalszy rodzaj istot ludzkich?

– Całe to gadanie – krzyknął balwierz, ciągle wzburzony – nie bardzo mi odpowiada, jak panu wspomniałem. Za kilka minut zamykam zakład. Mam pana ogolić?

– Golże, balwierz. Cóż stoi na przeszkodzie? – zwrócił twarz, niczym kwiat, w jego stronę.

Rozpoczęło się golenie. Odbywało się ono w milczeniu, aż wreszcie nadeszła chwila kiedy trzeba było ponownie przygotować trochę mydlin. Dostarczyło to sposobności do podjęcia rozmowy. Jedna ze stron skwapliwie z niej skorzystała.

– Balwierz – rzekł kosmopolita z ostrożną uprzejmością, sondując rozmówcę – balwierz, zdobądź się względem mnie na odrobinę cierpliwości. Wierzaj, że nie chcę cię urazić. Cały czas zastanawiałem się nad tym domniemanym przypadkiem człowieka z odwróconą twarzą i nie potrafię pozbyć się wrażenia, że udzielając przed chwilą sprzecznych odpowiedzi na moje pytania dowiodłeś, iż w gruncie rzeczy zostałeś ulepiony z tej samej gliny, co bardzo wielu innych ludzi, to znaczy: raz masz ufność, to znów nie masz jej wcale. Otóż ja chciałbym cię zapytać o coś takiego: czy uważasz, że to rozsądne, aby rozsądny człowiek stał jedną nogą na ufności, drugą zaś na podejrzaniach? Czy nie sądzisz, balwierz, że powinienesz dokonać wyboru? Nie sądzisz, że logika wymaga, albo żebyś powiedział: Mam zaufanie do wszystkich ludzi, i zdjął tę wywieszkę, albo żebyś powiedział: Nie ufam nikomu, i zatrzymał ją na dawnym miejscu.

Takie beznamienne, nadzwyczaj grzeczne wyłożenie sprawy ani chybi wywarło na balwierzem wrażenie, jako też częściowo go udobruchało. A że cechowała je rzeczowość, sprawiło także, iż balwierz głęboko się zamyślił, bo miał podejść do miedzianego naczynia po wodę, jak zamierzał być uczynić, zatrzymał się w pół drogi, po chwili zaś, trzymając miseczkę w dłoni, powiedział:

– Ufam, że pan by mnie nie skrzywdził. Nie mówię, nie mogę i nie chciałbym powiedzieć, że podejrzewam każdego, ale obstać przy tym, że nieznanym nie można wierzyć, stąd też – wskazał na wywieszkę – kredytu się nie udziela.

– Posłuchaj wszakże, błagam cię, balwierz – odparł tamten błagalnie, nie ufając zbyt zmianie w usposobieniu balwierza – słuchaj: czy z powiedzenia, że nieznanym nie należy wierzyć, nie wynika mniej więcej taki wniosek, że nie można wierzyć rodzajowi ludzkiemu, bo czyż ludzkość wzięta jako zbiorowość to cokolwiek innego niż nieznanymi dla każdego poszczególnego człowieka? Ejże, ejże, przyjacielu – rzekł uprzejmie – wszak tyś nie Tymon, żeby ogół rodzaju ludzkiego uważać za niegodny zaufania. Zdejmij swoją wywieszkę, bo to są słowa mizantropa; bardzo podobne Tymon wypisał węglem drzewnym na czaszce wiszącej nad jego pieczarą. Zdejmijże to, balwierz, zdejmij jeszcze dzisiaj. Spróbuj, ot tak, na próbę, zaufać ludziom podczas tego małego rejsu. A teraz słuchaj: jestem filantropem i dopilnuję, żebyś nie stracił ani centa.

Balwierz pokręcił bez przekonania głową: – Musisz mi pan wybaczyć. Mam rodzinę.

ROZDZIAŁ XLIII

Bardzo uroczy

– A więc szanowny pan jest filantropem – ciągnął balwierz z błyskiem zrozumienia w oczach – wobec tego wszystko staje się jasne. Bardzo to dziwny rodzaj ludzi – filantropi. Pan jest drugim, jakiego spotkałem w życiu. Zaiste, bardzo dziwny rodzaj ludzi, ci filantropi. Wie pan – dodał mieszając w zamyśleniu w miseczce do golenia – obawiam się, niestety, że wy, filantropi, wiecie lepiej, co to jest dobroć, niż czym są ludzie. A potem, przyglądając się mu niczym jakiemuś osobliwemu stworowi w klatce, powtórzył znowu: – A więc szanowny pan jest filantropem.

– Jestem filantropos, czyli miłośnik rodzaju ludzkiego. Na dobitkę, balwierz, ufam ludziom i tym różnię się od ciebie.

Balwierz, przypomniawszy sobie o swym fachu, zamierzał właśnie ponownie napełnić miseczkę do golenia, kiedy jednak przekonał się, że odwiedziwszy ostatnim razem naczynie z wodą, nie postawił go z powrotem na maszynie, naprawił przeoczenie, czekając zaś, aż się rozgrzeje, zrobił się tak towarzyski, jak gdyby grzejąca się woda przeznaczona była na poncz z domieszką whisky, i prawie tak samo uprzejmie gadatliwy, jak uprzejmi balwierze z romansów.

– Panie – rzekł siadając na tronie obok swego klienta (albowiem na podwyższeniu ustawione były rzędem trzy trony, jakby dla trzech królów miasta Kolonii, patronów balwierza) – powiada pan, że ufa ludziom. Cóż, możliwe, że i ja podzielałbym w jakimś stopniu pańską ufność, gdyby nie to, że fach, jakim się trudnię, zbyt często pozwala mi zajrzeć za kulisy.

– Chyba rozumiem – odrzekł tamten, posmutniawszy – i prawie to samo słyszałem także od osób wykonujących inne zawody: od prawników, członków Kongresu, redaktorów, nie mówiąc już o innych, a każda z tych osób z jakąś osobliwą a żalną próżnością domagała się dla swego zajęcia owego wyróżnienia, jakim jest wiara, by móc uwierzyć, że dostarcza ono najpewniejszych dowodów na twierdzenie, że człowiek nie jest ani odrobinę lepszy, niż być musi. Wszelkie podobne świadectwa, jeśli można na nich polegać, usprawiedliwiałyby – mocą wzajemnych potwierdzeń – niejaki zamieszanie w duszy porządnego człowieka. Lecz nie! to pomyłka – wszystko to jest pomyłką.

– Prawda, szanowny panie, święta prawda – przytaknął balwierz.

– Miło mi słyszeć – rozpromienił się tamten.

– Nie tak szybko, panie – rzekł balwierz – zgadzam się z panem co do tego, że prawnicy, członkowie Kongresu i redaktorzy tkwią w błędzie, ale tylko o tyle, o ile twierdzą, jakoby rozporządzali jakowymś szczególnie łatwym dostępem do wiedzy, o jakiej mowa. Prawda bowiem, szanowny panie, polega na tym, że każdy fach czy też każde zajęcie, które pozwala człowiekowi wejść w styczność z faktami – otóż, widzi pan, każdy taki fach albo zajęcie jest także gościńcem wiodącym wprost do tychże faktów.

– W jakiż to mianowicie sposób?

– No bo ja, proszę pana, jestem zdania – a przez ostatnich dwadzieścia lat w wolnych chwilach łamałem sobie nad tym nieraz głowę – że ktoś, kto poznał ludzi, nie może tkwić w błędzie odnośnie do człowieka. Chyba nie jest to mniemanie pochopne, a może się myłę?

– Balwierz, mówisz jak wyrocznia: niejasno, balwierz, niejasno.

– No cóż, szanowny panie – odrzekł balwierz z niejakim zadowoleniem z siebie – balwierzy zawsze uważano za wyrocznię, ale co się tyczy niejasności, nie mogę się z tym zgodzić.

– Aliści zechciej, proszę, wyjaśnić mi, jakąż to mianowicie tajemniczą wiedzę mogłeś osiąść, wykonując swój zawód? Zapewniam cię, że doprawdy, jak to już wcześniej zostało powiedziane, twój fach, nakładający na ciebie konieczność urzędowego niejako wodzenia ludzkości za nos, jest pod tym względem nieszczęśliwy, i to bardzo. Niemniej jednak dobrze nastrojona wyobraźnia winna okazać się odporną nawet na tego rodzaju pobudkę do nieprzystojnych rojeń. Ja jednak chcę się dowiedzieć od ciebie, balwierz, w jakiż to sposób samo tylko zajmowanie się zewnętrzną stroną ludzkich głów doprowadziło cię do nieufania wewnątrz ludzkich serc?

– Poprzestańmy na tym, drogi panie, że zapytam, czyż podobna, by mieć wiecznie do

czynienia z makassarem, farbami do włosów, sztucznymi wąsami, perukami i czubami, a mimo to wierzyć, że ludzie są dokładnie tacy, na jakich wyglądają? O czym to duma – jak pan myśli – zamyślony balwierz, gdy za szczelną zasłoną najpierw goli rzadką, nędzną szczec z głowy, a potem wypuszcza na świat lśniące, kasztanowate kędziory? Wystarczy porównać zawstydzoną minę klienta za zasłoną, lękającego się, żeby go tam przypadkiem nie odkrył jakiś wścibski znajomy, z wesołą pewnością siebie i wyzywającą dumą, jakie promieniują z tego samego człowieka, kiedy ponownie wychodzi na ulicę, oszukańczo pogodny, a jakiś zacny, lecz kudłaty jegomość pokornie ustępuje mu drogi. Ach, szanowny panie, mogą tam sobie gadać o odwadze płynącej z prawdy, ale mój fach nauczył mnie, że prawda bywa czasami bojaźliwa. Kłamstwa, kłamstwa, proszę pana – butne kłamstwa są podobne do lwów!

– Wypaczasz moral, balwierz, strasznie wypaczasz. Bo ujmijmy rzecz w ten na przykład sposób: jakiś skromny człowiek wybiega obnażony na ulicę – czyż nie będzie tym zawstydzony? Wpuść go do domu i przyodziej – czyż nie odzyska utraconej ufności? A czy w obu wypadkach znajdujesz cokolwiek nagannego? Otóż jeśli coś jest prawdą w odniesieniu do całości, to jest także prawdą w odniesieniu do części. Łysa głowa jest nagością, dla której przykryciem jest peruka. Uczucie niepokoju związane z możliwością obnażenia nagości wierzchołka człowieka oraz uczucie ulgi płynące ze świadomości, że owa nagość została przyodziana – otóż uczucia te nie przynoszą ujmy człowiekowi odważnemu, lecz przeciwnie: dowodzą należytego szacunku wobec samego siebie i bliźnich. Co się zaś tyczy oszukaństwa, równie dobrze mógłbyś nazwać oszustwem piękny dach pięknego zameczku, albowiem, podobnie jak piękna peruka, jest on sztucznym przykryciem głowy, i tak samo – dla zwykłego oka – przyozdabia użytkownika. Tak oto zbiłem twe wywody, mój kochany balwierz, pomieszałem ci szyki!

– Wybaczy pan – odrzekł balwierz – ale nie uważam, by pan tego dokonał. Żaden człowiek nie próbuje nikomu wmawiać, że jego płaszcz lub dach jego domu stanowią część jego osoby, łysi natomiast wmawiają jakby, że cudze włosy są ich własnymi włosami.

– Cudze włosy, balwierz? Jeśli ktoś uczciwie nabył włosy, prawo chroni jego własność, nawet przed roszczeniami tej głowy, na której przedtem rosły. Ale niepodobna, byś wierzył w to, co mówisz, balwierz. Gadasz sobie ot, tak – dla żartu. Nie postaloby mi w głowie, żeby przypuszczać, iż ku swemu zadowoleniu posuwasz się sam do oszustw, które potępiasz.

– Och, drogi panie, muszę zarobić na życie.

– A czyż nie możesz tego robić, nie grzesząc jednocześnie przeciwko własnemu sumieniu? Zabierz się za wykonywanie innego zawodu.

– To niewiele by dało.

– Chcesz tedy powiedzieć, balwierz, że pod pewnym względem wszelkie zawody i zajęcia ludzi są sobie równe? Zaiste, zgubne – podniósł rękę – i niewysłowienie straszne jest rzemiosło balwierza, jeśli musi prowadzić do podobnych wniosków. Balwierz – przyjrzał mu się wzrokiem nie pozbawionym wzruszenia – wydajesz mi się nie tyle niedowiarkiem, co człkiem zbłąkanym. Pozwól oto, że cię sprowadzę na właściwą drogę i przywrócę ci utracone zaufanie do natury ludzkiej, a uczynię to dokładnie w ten sam sposób, za którego przyczyną przestałeś jej dowierzać.

– Chodzi panu o to, żebyś spróbował zdjąć tę wywieszkę – balwierz pokazał znów pędzlem w stronę ogłoszenia – do kata! Ja tu sobie ucinam pogawędkę, a tymczasem woda

kipi.

Wyrzekłszy te słowa i przybrawszy ową zadowoloną, chytrą i przymilną minę, która maluje się – jak mówią – na twarzach niektórych ludzi, kiedy sądzą, że ich skromny plan się powiódł – pospieszył w stronę miedzianego naczynia. W chwilę potem jego miseczka zapieniła się białymi banieczkami, niby kufel świeżo nalanego piwa.

Kosmopolita rad ciągnąłby dalej tę rozmowę, aliści sprytny balwierz tak szczerze namydlił go pędzlem, tak obficie nałożył nań pianę, że jego twarz podobna była spienionej grzywie fali i próżno było myśleć o mówieniu spod niej, tak jak nie sposób wyobrazić sobie tonącego księdza, który napominałby grzesznych współbliźnich idących razem z nim na dno. Nic nie mógł poradzić: musiał milczeć. Owa przerwa została niewątpliwie wykorzystana na zastanowienie, kiedy bowiem ostatnie ślady całej operacji zniknęły już z jego twarzy, kosmopolita powstał z fotela i żeby się dodatkowo odświeżyć, umył twarz i ręce, po czym – doprowadziwszy się do porządku – odezwał się do balwierza całkiem, ale to całkiem inaczej niż dotąd. Trudno powiedzieć, na czym dokładnie polegała różnica, można jedynie stwierdzić, że uprzejmy sposób, w jaki przemawiał, miał w sobie coś z czarów, nie różniąc się wiele od zachowania owych legendarnych – i nie tylko legendarnych – istot posiadających zdolność wywierania tak silnego uroku, że istota, która padła ofiarą tych czarów, nie potrafi – mimo przemożnej niechęci, a także najgorętszych sprzeciwów, oderwać wzroku od hipnotyzera. Taki sposób postępowania pozwolił doprowadzić rzecz całą do końca, gdyż ostatecznie, choć wszelkie wywody i wymówki spełzły na niczym, balwierza udało się przecież przekonać, by zgodził się przez pozostałą część rejsu podjąć próbę zawierzenia ludziom, bo tak to obaj określili. Prawda, ratując swój honor wolnego przedsiębiorcy zapewniał on głośno, że wyraził zgodę jedynie ze względu na nowość całego przedsięwzięcia, a także żądał, by kosmopolita – zgodnie ze swym wcześniejszym dobrowolnym zapewnieniem – udzielił mu osobistej rękojmi na wypadek jakichkolwiek szkód, które balwierz mógłby ponieść. Nie zmieniało to wszakże faktu, że zobowiązał się zawierzyć ludziom, czyli uczynić coś, czego – jak przedtem twierdził – robić nie zamierzał, w każdym razie nie bez zastrzeżeń. Żeby więc tym bardziej nie utracić twarzy, nalegał teraz, żeby sporządzić umowę czarno na białym, zwłaszcza w części dotyczącej rękojmi. Kosmopolita nie wzdragał się zbytnio, przyniesiono więc pióro, atrament i papier, on zaś usiadł z solenną miną notariusza, nim jednak wziął pióro do ręki, spojrzął na wywieszkę i powiedział: – Najpierw usuń ten szyld, balwierz, precz z tym szyldem Tymona!

Wywieszka została usunięta – bo tak stanowiła umowa – choć z niejakim ociąganiem się. Na wszelki wypadek złożono ją pieczołowicie w szufladzie.

– A teraz zabierzmy się za pisanie – powiedział kosmopolita, sposobiąc się do tej czynności. – Ach! – westchnął – obawiam się, że kiepski będzie ze mnie prawnik. Pojmujesz, balwierz, nie nawykłem do zajęć, w których puszcza się mimo uszu zasadę honoru, przyjmując, że tylko takie gwoździe trzymają mocno, którym zagina się ostrze po drugiej stronie. Dziwna rzecz, balwierz – uniósł arkusz papieru – żeby coś tak lichego jak ten papier miało się zmienić w takie mocne, a przy tym plugawe cumy. Balwierz – poderwał się – nie spiszę tego czarno na białym. Oznaczałoby to ujmę na naszym wspólnym honorze. Zaufaj memu słowu, a ja zaufam twemu.

– Ale pańska pamięć nie musi należeć do najlepszych. Będzie z pożytkiem dla pana, jeżeli spisemy to czarno na białym. Wie pan, chodzi o coś w rodzaju znaku dla pamięci.

– Rzeczywiście! Tak, tym bardziej że dopomogłoby to także i twojej pamięci, balwierz, nieprawdaż? Bo ośmielę się stwierdzić, że też masz małe kłopoty z

pamięcią. Kochany balwierz! Jakże jesteśmy przemysłni, my – istoty ludzkie, i z jaką życzliwością wyświadczamy sobie wzajemnie drobne grzeczności, czy nie tak? A czy nie dowodzi to najlepiej, że jesteśmy dobrymi, roztrópnymi istotami, które odnoszą się do siebie z poczuciem braterstwa, nie uważasz, balwierz? Ale do rzeczy. Chwileczkę. Jak twoja godność?

– William Cream, proszę pana.

Podumawszy wprzódy, kosmopolita począł pisać, a naniósłszy pewne poprawki, przechylił się do tyłu i odczytał na głos tekst następujący:

UMOWA
POMIĘDZY
FRANKIEM GOODMANEM, FILANTROPEM,
OBYWATELEM ŚWIATA, A
WILLIAMEM CREAMEM, BALWIERZEM,
NA PAROWCU „*FIDÈLE*”,
KURSUJĄCYM PO MISSISIPI,
NA MOCY KTÓREJ PIERWSZY Z WYŻEJ WYMIENIONYCH ZGADZA SIĘ
NAPRAWIĆ DRUGIEMU WSZELKIE SZKODY, JAKIE MOGĄ WYNIKNĄĆ Z
ZAWIĘZIENIA PRZEZEŃ RODZAJOWI LUDZKIEMU W ZWIĄZKU Z
WYKONYWANYM PRZEZEŃ ZAWODEM W TRAKCIE POZOSTAŁEGO
JESZCZE DO ODBYCIA REJSU, **POD WARUNKIEM**, ŻE WILLIAM CREAM
USUNIE Z WIDOKU PUBLICZNEGO, NA CZAS OZNACZONY, OGŁOSZENIE O
TREŚCI **KREDYTU NIE UDZIELA SIĘ**, A TAKŻE W ŻADEN INNY SPOSÓB,
NAJMNIEJSZYM NAPOMKNIENIEM ANI WZMIANKĄ, NIE BĘDZIE PRZEZ
CZAS WYŻEJ OKREŚLONY USIŁOWAŁ ZNIECHĘCAĆ LUDZI UBIEGAJĄCYCH
SIĘ, W ZWIĄZKU Z WYKONYWANYM PRZEZEŃ ZAWODEM, O JEGO
ZAUFANIE, LECZ WPROST PRZECIWNIE PRZY POMOCY WSZELKICH
STOSOWNYCH I ROZSĄDNYCH SŁÓW, GESTÓW, SPOSOBÓW ZACHOWANIA
I SPOJRZEŃ BĘDZIE DAWAŁ DOWODY CAŁKOWITEGO I PEŁNEGO
ZAUFANIA DO WSZYSTKICH LUDZI, A ZWŁASZCZA OSÓB NIEZNAJOMYCH,
W PRZECIWNYM RAZIE UMOWA NINIEJSZA ZOSTANIE UZNANA ZA
NIEBYŁĄ.
ZAWARTA W DOBREJ WIERZE DNIA PIERWSZEGO KWIETNIA
18.. ROKU O GODZINIE BEZ KWADRANSU DWUNASTEJ PRZED PÓLNOCĄ, W
ZAKŁADZIE POMIENIONEGO WILLIAMA CREAMA, NA POKŁADZIE
POMIENIONEGO PAROWCA *FIDÈLE*.

– Czy tak dobrze, balwierz?

– Dobrze – odrzekł balwierz – tylko niech pan teraz podpisze.

Kiedy oba podpisy znalazły się już na papierze, balwierz jął się zastanawiać, kto powinien trzymać pieczę nad owym dokumentem, sam wszakże kwestię tę rozstrzygnął, występując z propozycją, by obaj udali się razem do kapitana i złożyli dokument w jego ręce. Balwierz nadmienił, że będzie to bezpieczny tok postępowania, jako że kapitan jest oczywiście stroną nie zainteresowaną, ponadto zaś z natury rzeczy nie może nic skorzystać na sprzeniewierzeniu się umowie. Kosmopolita przysłuchiwał się tym słowom z niejakim zdziwieniem i z troskaniem.

– Ależ balwierz – rzekł – nie uważam tego za właściwe. Ja osobiście mam zaufanie do

kapitana po prostu dlatego, że jest człowiekiem, ale on nie ma przecież nic wspólnego z naszą sprawą, bo jeśli ty mi nie ufasz, balwierz, to ja ufam tobie. Proszę, zatrzymaj ten papier u siebie – wręczył mu wielkodusznie dokument.

– Doskonale – odrzekł balwierz – pozostaje mi tylko przyjąć gotówkę.

Mimo że wypowiedzeniu tego słówka lub któregoś ze szczególnie licznych jego odpowiedników, graniczącemu przecież z zagarnięciem czyjegoś trzosa, towarzyszy mniej lub bardziej zauważalna zmiana wyrazu ludzkiego oblicza, która w wielu wypadkach objawia się nagłym spochmurnieniem, u innych powoduje tak silne wykrzywienie lub skurczenie rysów, że aż przykro patrzeć, jeszcze u innych siną bladość i straszne przerażenie – oblicze kosmopolity nie zdradzało najmniejszych śladów tego rodzaju oznak, jakkolwiek trudno było sobie wyobrazić coś bardziej zaskakującego i niespodziewanego niż żądanie balwierza.

– Mówisz o gotówce, balwierz. Za pozwoleniem – jakież to ma związku ze sprawą?

– Chyba bliższy, proszę pana – odrzekł mniej słodko balwierz – niż w wypadku tego człowieka o uprzejmym głosie, który chciał kiedyś, żebym go ogolił na kredyt, bo jest jakimś tam moim dalekim krewnym.

– Doprawdy? I coś mu odpowiedział?

– Powiedziałem: „Bardzo mi miło, proszę pana, ale nie widzę związku”.

– Jak mogłeś w tak nieuprzejmy sposób odpowiedzieć komuś o uprzejmym głosie?

– Mogłem, bo przypomniałem sobie, co mówi syn Syracha w Księdze Prawdy: „Nieprzyjaciel ma słodycz na wargach”⁴¹. Zrobiłem tedy to, co syn Syracha radzi w podobnych wypadkach: „Nie dałem wiary jego wielu słowom”⁴².

– Czyżbyś chciał, balwierz, powiedzieć, że tak nikczemne słowa znajdują się w Księdze Prawdy, czyli – ma się rozumieć – w Biblii?

– Owszem. Podobnych rzeczy jest tam całe mnóstwo. Niech pan tylko poczyta Księgę Przysłów.

– Bardzo to dziwne, balwierz, bom nigdy nie natrafił na te ustępy, które przytaczasz. Nim się dziś wieczór udam na spoczynek, sprawdzę to w Biblii, którą spostrzegłem dzisiaj na stole u siebie w kajucie. Pamiętaj jednak, że nie wolno ci w ten sposób cytować Księgi Prawdy ludziom, którzy tu zachodzą. Byłoby to bowiem jawnym pogwałceniem zawartej umowy. Nie masz wszakże pojęcia, jak się cieszę, żeś przynajmniej na jakiś czas wycofał się z tego wszystkiego.

– Ależ nie, proszę pana, chyba że pan wyłoży gotówkę.

– Znów o pieniądzach! Co masz na myśli?

– Jak to co? Przecież, o tu, na tym papierze, stoi napisane, że się pan podejmujesz zabezpieczyć mnie przed wszelkimi możliwymi stratami i...

– Możliwymi? Czy to naprawdę tak bardzo *możliwe*, że poniesiesz straty?

– Niewykluczone, że i tak można rozumieć ów wyraz, ale nie o to idzie. Mam na myśli *możliwe* straty, pojmujesz asan: MOŻLIWE straty. Jakież wobec tego pożytek z tego, żeś pan sam napisał i powiedział, iż mnie ubezpieczysz, jeżeli wprzód nie złożysz pan na moje ręce kaucji pieniężnej temu właśnie celowi służącej?

⁴¹ Mądrość Syracha, 12, 16

⁴² Mądrość Syracha, 13, 11

– Rozumiem: kaucja gotówką.

– Tak. I nie żądam wiele: powiedzmy – pięćdziesiąt dolarów.

– Któż to widział, żeby zaczynać w ten sposób? Zobowiązałeś się, balwierz, że przez określony czas będziesz wierzył ludziom, będziesz miał do ludzi zaufanie. Tymczasem pierwszym twym krokiem jest żądanie, zdradzające, że nie ufasz ani odrobinę właśnie temu człowiekowi, któremu to przyrzekłeś. Ale pięćdziesiąt dolarów to jest nic i z radością bym ci ofiarował tę kwotę, tylko tak się nieszczęśliwie składa, że akurat mam przy sobie wyłącznie drobne.

– Ale przecież ma pan pieniądze w swym kufierku?

– Ma się rozumieć. Rzecz w tym, balwierz, że doprawdy musisz się trzymać jednego. Nie, nie dam ci teraz pieniędzy. Nie pozwolę, żebyś w ten sposób naruszał istotę naszej umowy. Życzę ci więc dobrej nocy i do zobaczenia.

– Zaczekaj waszmość – mruknął balwierz – zapomniałeś pan czegoś.

– Chusteczki? Rękawiczek? Nie, niczemu nie zapomniał. Dobranoc.

– Zaczekaj waszmość. A... golenie?

– Ach, istotnie, o tym zapomniałem. Atoli pomyślałem oto, żem ci w tej chwili nie powinien płacić. Zjrzyj do umowy: musisz ufać. Ot co! Posiadasz rękojmię na wypadek straty. Dobrej nocy, kochany balwierz.

Co powiedziawszy, oddalił się, balwierz zaś wytrzeszczył za nim oczy, zbity z pantaląku.

Niemniej jednak zarówno w odniesieniu do zauroczenia, jak i w dziedzinie filozofii naturalnej pozostaje prawdą, że nic nie może działać tam, gdzie nie jest obecne, toteż balwierz rychło odzyskał przytomność umysłu, czego pierwszym dowodem było być może to, że wy dobył swe ogłoszenie z szuflady i zawiesił je na poprzednim miejscu, umowę natomiast podarł na strzępy. Przyszło mu to tym łatwiej, że odnosił głębokie wrażenie, iż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znanego ludziom – nigdy więcej nie ujrzy już osobnika, który ją sporządził. Nie wiadomo, czy przekonanie to było, czy nie było uzasadnione. Kiedy wszakże zacny balwierz opowiadał później swym przyjaciołom o przygodzie, jaką przeżył tamtej nocy, nazywał zawsze swego niesamowitego klienta „zaklinaczem ludzi” – wzorem tych, co niektórych mieszkańców Indii wschodnich zowią zaklinaczami węży – wszyscy zaś jego przyjaciele uważali zgodnie, że był z tego człowieka PRAWDZIWY ORYGINAŁ.

ROZDZIAŁ XLIV

**W którym dwa ostatnie słowa poprzedniego rozdziału
stanowią przedmiot rozważań, jakie z pewnością zaciekawia
w mniejszym lub większym stopniu tych czytelników,
co poświęcą im uwagę**

PRAWDZIWY ORYGINAŁ – zwrot częściej używany, jak sądzimy, przez ludzi młodych czy też nieuczonych albo mało bywałych, niż przez ludzi starych, odczytanych albo takich,

którzy odbyli podróż dookoła świata. Najdoskonalej rozwinięty zmysł oryginalności posiada niewątpliwie małe dziecię, najslabiej natomiast ci chyba spośród ludzi, którzy zgłębili wszelkie możliwe dziedziny wiedzy i poznania.

Co się tyczy oryginalnych postaci literackich, wdzięczny czytelnik, raz się z taką postacią zetknąwszy, będzie obchodził odtąd rocznice tego wydarzenia. Prawda, że słyszymy niekiedy o autorze, który za jednym zamachem stworzyć zdołał dwa lub trzy tuziny takowych postaci. Może to być. Jest wszelako rzeczą prawie niemożliwą, by były to postaci oryginalne w takim rozumieniu, w jakim są nimi Hamlet, Don Kichot lub Szatan Milтона. Znaczy to, że ściśle rzecz biorąc – nie są one wcale oryginalnymi. Są niezwykle, osobliwe, uderzające bądź zachwycające, czyli też posiadają wszystkie te cztery cechy jednocześnie.

Pewniejszym jest to, że są one, jak to mówią, niesamowite, wszelako nie stają się przez to bardziej oryginalnymi niż owo zjawisko określane mianem niesamowitego geniuszu. A nawet gdyby były oryginalne, skąd się wzięły? Albo skąd je wziął autor powieści?

Skąd bierze swe postaci którykolwiek z pisarzy? Najczęściej z miasta – to rzecz pewna. Każde wielkie miasto jest swego rodzaju wystawą ludzi. Tam też kieruje się powieściopisarz w poszukiwaniu swego inwentarza, tak samo jak rolnik na wystawę bydła. Na tym drugim targu nowe gatunki czworonogów nie są wcale większą rzadkością niż na tym pierwszym nowe gatunki typów ludzkich, czyli postaci oryginalnych. Jest to tym bardziej zrozumiałe, że o ile postaci li tylko osobliwe związane są jedynie, by tak rzec, z osobliwością formy, o tyle postaci oryginalne wiążą się zaiste z oryginalnością instynktów.

Słowem – właściwe pojęcie o tym, co sądzić o tego rodzaju osobliwości w krainie zmyślenia, kazałoby dopatrywać się w niej nieomal cudu, podobnie jak jest nim w rzeczywistych dziejach jakiś nowy prawodawca, dokonujący przewrotu filozof albo twórca jakowejś nowej religii.

U wszystkich prawie oryginalnych postaci, niejasno za takie uznanych w dziełach wyobraźni, da się wyróżnić coś, co wiąże się przede wszystkim z danym miejscem lub czasem, która to okoliczność, wydawałoby się, sama przez się czyni nieważnym powyższe stwierdzenie – sądząc wedle zasad tutaj wyłożonych.

Zwłaszcza jeśli zważyć, że to, co zgodnie z mniemaniem ogółu pozwala określić postaci z utworów literackich mianem oryginalnych – jest tylko jakąś cechą osobistą i niczym więcej. Cechy charakteru takiej postaci nie promieniają na jej otoczenie, gdy tymczasem postać oryginalna – oryginalna z samej swej istoty – podobna jest obracającej się lampie wodorotlenowej, co rzuca z siebie snop blasku na wszystko dookoła: każda rzecz jest przez nią oświetlana, każda rzecz wyrywa się ku niemu (zauważcie, jak to wygląda u Hamleta), tak że w niektórych umysłach skutek, jaki pociąga za sobą trafne wyobrażenie takiej postaci, pokrewny jest na swój sposób temu, który w Księdze Rodzaju towarzyszy początkowi wszechrzeczy.

Dla teje samej przyczyny, dla której po jednej orbicie krąży tylko jedna planeta, w jednym wymyślonym dziele może wystąpić jedna tylko oryginalna postać. Dwie spowodowałyby konflikt prowadzący do chaosu. A zatem stwierdzenie, że w jednej książce jest ich więcej niż jedna, pozwala słusznie mniemać, że nie ma ich tam wcale. Co się wszak tyczy postaci nowych, osobliwych, uderzających, niesamowitych, ekscentrycznych, a także zabawnych i pouczających – dobry utwór może być ich pełen. By stworzyć takie postaci, autor poza wszystkim innym musi spełnić jeden warunek: że

mianowicie wiele widział i wiele przejrzał na wylot. Żeby zaś mógł stworzyć choćby jedną postać oryginalną, musi mieć szczęście.

Wydaje się, że istnieje jedna cecha wspólna łącząca zjawiska tego rodzaju w dziełach literackich ze zjawiskami wszelkiego innego rodzaju: nie mogą się one zrodzić w wyobraźni autora, ponieważ tak samo w literaturze, jak i w zoologii jest prawdą, że wszelkie życie powstaje z jaja.

Próbując wykazać – w miarę możliwości – niestosowność wyrażenia „prawdziwy oryginał”, w rozumieniu takim, jak to miało miejsce w wypadku przyjaciół balwierza, mimowolnie wdaliśmy się w rozważania graniczące z nudziarstwem, być może także spowiliśmy nasz wywód kłębam dymu. Jeśli tak, to najlepszym użytkiem, jaki można z tego dymu uczynić, będzie powrócenie pod jego osłoną, w możliwie dobrej kondycji, do naszej opowieści.

ROZDZIAŁ XLV

Kosmopolicie przybywa odwagi

Kajutę owego dżentelmena oświetlała lampa wisząca u sufitu, a osłonięta toczonym szkłem. Rzucane przez nią światło w wymyślny sposób rozsiane było przez coś na kształt rogatego ołtarza, z którego tryskały płomienie, na przemian z postacią człowieka w długiej szacie i aureoli nad głową. Światło owej lampy spadało olśniewającą kaskadą blasku na okrągłą płytę śnieżnobiałego marmuru przykrywającą stolik stojący pod nią na środku pomieszczenia, a potem rozpryskiwało się we wszystkich kierunkach, tracąc coraz bardziej na jasności, aż w końcu jego promienie, niczym kręgi na wodzie powstałe po wrzuceniu kamienia, gasły raz na zawsze w najodleglejszych zakamarkach kajuty.

Tu i ówdzie, wierne swemu miejscu, lecz nie przeznaczeniu, kołysały się inne lampy, jałowe planety, które albo zgasły z wyczerpania, albo też zgaszone zostały przez tych użytkowników koi, których drażniło światło lub którzy chcieli spać, a nie patrzeć.

Złośliwiec zajmujący kaję nie opodał byłby zgasił również i tę jedną lampę, gdyby nie to, że zabronił tego okrętowy steward, który powiedział, że zgodnie z rozkazem kapitana lampa ma się palić aż do chwili, kiedy nie zluzuje jej naturalne światło dnia. Steward ten – człek jak wielu jego kolegów po fachu lubiący mówić czasem bez ogródek – za przyczyną knąbrności owego pasażera poczuł się zmuszony przypomnieć mu nie tylko o opłakanych skutkach, jakie mogą niekiedy wyniknąć z pozostawienia kajuty w ciemnościach, lecz także i o tej okoliczności, że uporczywe domaganie się, by w miejscu pełnym obcych ludzi zapanowała ciemność, jest – mówiąc najłagodniej – rzeczą niestosowną. Tak więc owa lampa – ostatni niedobitek spośród wielu innych – paliła się dalej, w skrytości serca błogosławiona przez jednych, przez innych zaś w skrytości serca przeklinana.

Trzymając samotną straż przy samotnej lampie oświetlającej książkę, którą był rozłożył na stole, siedział schludny, przystojny starzec z głową śnieżnobiałą jak marmur i o wyglądzie podobnym do tego, jaki wyobraźnia przypisuje zacnemu Symeonowi w chwili, gdy spojrzawszy po raz ostatni na Mistrza Wiary pobłogosławił mu i oddalił się w pokoju duszy. Sądząc po wrażeniu zdrowej świeżości w środku zimy oraz po opaleniznie na jego rękach, nabytej wyraźnie nie tyle ostatniego lata, ile nawarstwionej w ciągu minionych pór

letnich – starzec ów mógł przypominać z wyglądu zamożnego farmera, co po życiu pełnym zapobiegliwej krzątaniu przeniósł się ku swemu zadowoleniu z pól uprawnych przed kominek – jeden z tych ludzi, którzy mając siódmy krzyżyk na karku zachowują w sercach świeżość piętnastolatka i dla których ustronna samotnia większym jest dobrodziejstwem niżli wszelka wiedza. Za jej też sprawą idą oni na koniec do nieba, nie skalani światem, bo go nie poznali i nic o nim nie wiedzą, w czym podobni są bardzo przybyłemu do Londynu wieśniakowi, co zatrzymawszy się w londyńskim zajeździe ani razu nie ruszył się stamtąd, żeby pooglądać miasto, i opuścił stolicę, nawet jeden raz nie zgubiwszy się w londyńskiej mgłę i nie ubrudziwszy londyńskim błotem.

Rozsiewając wonny zapach zakładu balwierza, niczym pan młody pomykający do komnaty panny młodej, i zdając się przy tym zwiastować pogodnym wyglądem nadejście poranka w środku nocy – wszedł kosmopolita, spostrzegłszy wszakże owego starca, tak bardzo zajętego, pomiarkował się i miękko stąpając zbliżył się do stołu, usiadł naprzeciwko i milczał. Sprawiał jednak wrażenie, jakby na coś czekał.

– Drogi panie – rzekł starzec, który chwilę przyglądał się mu ze zdziwieniem – drogi panie, człowiek gotów pomyśleć, że to kawiarnia i że mamy wojnę, ja natomiast posiadam jedyny egzemplarz gazety przynoszącej wielkie nowiny – z taką gorliwością przygląda mi się pan ze swojego miejsca.

– Bo też posiadasz asan dobre nowiny, najlepsze z dobrych nowin.

– Zbyt dobre, żeby były prawdziwe – dobiegły słowa zza zasłony przy jednej z koi.

– Słyszysz pan? – zapytał kosmopolita. – Ktoś mówi przez sen.

– Owszem – odparł starzec – a pan, pan zdaje się śnić na jawie. Czemuż to mówisz pan o nowinach i tak dalej, kiedy widzisz dobrze, że ta księga, którą mam przed sobą, to Biblia, a nie gazeta?

– Wiem o tym, a kiedy waszmość skończysz – ale ani chwilę wcześniej – będę wdzięczny za jej wypożyczenie. Jest to, jak sądzę, własność tego statku, podarunek od Towarzystwa Żeglugowego.

– Ach, bierz ją pan, proszę bardzo!

– O nie, łaskawy panie, nie chciałem bynajmniej pana urazić. Powiedziałem to po prostu dlatego, by wytłumaczyć fakt, iż tutaj czekam, nic ponadto. Proszę, niech pan czyta dalej, bo inaczej będzie mi przykro.

Owa grzeczność nie pozostała bez skutku. Zdjąwszy okulary i stwierdziwszy, że właśnie skończył był czytać wybrany przez się ustęp, starzec uprzejmie podał mu księgę, która została przyjęta z równie uprzejmym podziękowaniem. Oddawszy się lekturze na przeciąg pewnego czasu, nim na jego twarzy skupienie nie ustąpiło miejsca powadze, powaga zaś wyrazowi boleści, kosmopolita powoli odłożył księgę na bok, po czym zwracając się do starca, który przypatrywał mu się przez cały czas z życzliwą ciekawością, rzekł:

– Czy mógłby pan, mój sędziwy przyjacielu, rozwiązać pewną moją wątpliwość, przykrą wątpliwość?

– Są takie wątpliwości, drogi panie – odparł starzec, a jego oblicze zmieniło wyraz – są takie wątpliwości, których, jeśli ma je człowiek, inny człowiek rozwiązać nie jest w stanie.

– To prawda, lecz proszę posłuchać, na czym polega moja wątpliwość. Należę do ludzi, którzy mają dobre zdanie o człowieku. Miłuję człowieka. Ufam człowiekowi. Cóż jednak powiedziano mi nie dalej jak pół godziny temu? Powiedziano mi, że znajdę tu te oto

słowa: „Nie dowierzaj jego wielu słowom. Nieprzyjaciel ma słodycz na swoich wargach”. Powiedziano mi także, że ta księga zawiera bardzo wiele podobnych wypowiedzi. Nie myślałem, że to możliwe, więc przyszedłem tutaj, by się samemu przekonać, i cóż czytam? Nie tylko te słowa, którym właśnie przytoczyłem, lecz także – tak jak mi obiecano – rzeczy jeszcze dobitniej mówiące to samo. Na przykład: „Przez swoje wielomówstwo wystawi cię na próbę, uśmiechać się będzie do ciebie, przemawiać pięknymi słowy, owszem, spyta «Czego potrzebujesz?» Jeśli będziesz tamtemu pożyteczny, wykorzysta ciebie i wyniszczy cię, a sam się nawet nie zmartwi. Zapamiętaj to sobie, uważaj pilnie. Słuchając tego, zbudź się z twego snu”⁴³.

– Któż tam opisuje oszusta, co podstępem pozyskuje zaufanie ludzi? – zapytał ponownie głos z tej samej koi.

– Ten już się zbudził ze swego snu, nieprawda? – powiedział kosmopolita, rzucając znowu zdziwione spojrzenie w tamtą stronę. – Ten sam głos co przedtem, nie? To ci dopiero osobliwy marzyciel. Która koja jest jego?

– Daj mu spokój, panie – odrzekł zaniepokojony starzec – powiedz mi za to, czy istotnie wyczytałeś to w tej księdze, którą przed chwilą wzięłeś ode mnie?

– Tak jest – kosmopolita zmienił się na twarzy – i jest mi to żółcią i piołunem, bo ja wierzę w ludzi. Jestem filantropem.

– Ależ – rzekł starzec mocno poruszony – nie chcesz asan powiedzieć, że powtórzone przez pana słowa naprawdę się tu znajdują? Czytałem tę zacną księgę chłopcem i mężczyzną przez lat siedemdziesiąt, i nie przypominam sobie, bym napotkał w niej coś podobnego. Pozwól, że zajrzę do środka – poderwał się ochoczo i obszedł stolik, zbliżając się do kosmopolity.

– Proszę bardzo: tutaj... i tu... i tutaj – kosmopolita przewracał stronicę wskazując jedno zdanie po drugim – proszę: wszystko z Księgi Mądrości Jezusa, syna Syracha.

– Ach! – wykrzyknął starzec i znów się rozpogodził. – Już wiem. Słuchaj waść – tak długo przewracał tam i z powrotem stronicę, aż wreszcie cały Stary Zakon spoczął płasko po jednej, cały zaś Zakon Nowy po drugiej stronie, on natomiast ujął pionowo w palce tę część książki, która oddzielała od siebie oba Testamenty – słuchaj waść – wszystko, co po prawej stronie, jest najprawdziwszą prawdą, wszystko po lewej też jest najprawdziwszą prawdą, ale to, co trzymam w palcach, jest apokryfem.

– Apokryfem?

– Tak. O, tu ma pan ten wyraz czarno na białym – wskazał palcem. – A co oznacza ten wyraz? Oznacza on mniej więcej tyle, co „brak poręczenia”. Cóż bowiem powiadają o czymś takim uczeni mędrzy? Powiadają, że to apokryf! Sam zaś ten wyraz, który niekiedy słyszałem z kazalnicy, każe się dorozumiewać braku pełnego zaufania. Jeśli więc powodem pańskiego niepokoju jest coś zawartego w tym apokryfie – ponownie ujął w palce odpowiednie stronicę księgi – to wcale nie musisz się pan o to martwić, bo to apokryf.

– A cóż powiecie o Apokalipsie? – odezwał się po raz trzeci głos z koi.

– Ten znowu ma teraz widzenie, czyż nie? – rzekł kosmopolita, raz jeszcze rzucając spojrzenie w stronę natręta. – Wszakże, drogi panie – podjął wątek – nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczny za to, żeś mi przypomniał o tym tu apokryfie. Przez

⁴³ Mądrość Syracha, 13; w porównaniu z oryginałem porządek wierszy zmieniony.

chwile bowiem zapomniałem o jego istnieniu. W rzeczy samej, kiedy wszystko razem daje się do oprawy, może to niekiedy być powodem nie lada konfuzji. Część książki niezgodną z kanonem należałoby oprawić osobno. Kiedy myślę teraz o tym wszystkim, muszę przyznać, że bardzo słusznie postąpili owi uczeni doktorowie, którzy odrzucili całą tę księgę Syracha. Nigdy nie czytał niczego, co w równym stopniu miałoby na celu zniszczenie ludzkiej ufności. Ten syn Syracha powiada nawet – zauważyłem to przed chwilą – „Słuchaj uważnie swych przyjaciół”, uważasz pan? Nie mówi: swych rzekomych przyjaciół, obłudnych przyjaciół, fałszywych przyjaciół, tylko – swych *przyjaciół*, swych prawdziwych przyjaciół, czyli daje do zrozumienia, że nie należy ufać nawet najlepszemu przyjacielowi pod słońcem. Czyż Rochefoucauld może się z tym równać? Nie zdziwiłbym się, gdyby jego poglądy na naturę ludzką – podobnie jak poglądy Machiavellego – były zaczerpnięte z tej księgi syna Syracha. Że też zowią to mądrością – Mądrością syna Syracha! To ci mądrość! Jakimż szkaradzieństwem musi być mądrość! Co do mnie – wolę już głupotę, od której robią się czarujące dołeczki w policzkach, niż mądrość ścinającą krew w żyłach. Lecz nie! Nie! Toć przecie nie mądrość, jeno apokryf, jak waść powiedziałeś. Jakże bowiem może być godzien zaufania ten, kto uczy podejrzliwości?

– Słuchajcie no, wy dwaj, co wam powiem – wykrzyknął ten sam głos co przedtem, tylko że z mniejszą domieszką kpiny – skoroście zbyt tępi, żeby spać, dajcie przynajmniej usnąć mądrzejszym od siebie. A jeśli chcecie się dowiedzieć, czym jest mądrość, idźcie poszukać jej pod swymi kocami.

– Mądrość? – wrzasnął inny głos z irlandzkim akcentem. – Że też te dwa gąsiory muszą tyle paplać o mądrości! Kładźcie się spać, wy czorty, i żebyście sobie nie poparzyli palców tą waszą mądrością.

– Musimy mówić ciszej – rzekł starzec. – Obawiam się, żeśmy rozdrażnili tych zacnych ludzi.

– Byłoby mi bardzo przykro, gdyby mądrość miała kogoś rozdrażnić – odparł kosmopolita – ale będziemy mówić ciszej, skoro pan sobie tego życzy. Podsumowując: przy takim podejściu do rzeczy, jakim zaprezentowałem, czy dziwi pana, że taki niepokój wzbudziła we mnie lektura fragmentu, do tego stopnia przepojonego duchem nieufności?

– Nie, szanowny panie, nie dziwi mnie – odrzekł starzec i dodał: – Z pańskich słów wnoszę, że myśli pan w sposób nieco zbliżony do mojego. Uważa pan, że podejrzliwość wobec stworzenia oznacza właściwie podejrzliwość wobec Stwórcy. A cóż to, mój młody przyjacielu? Dość to późna pora, byś jeszcze nie spał. Czegóż chcesz ode mnie?

Pytania te skierowane były do chłopca odzianego w szczątek starej płóciennej kapoty, pożółkłej i obszarpanej, który stąpając boso po miękkim dywanie wszedł do środka z pokładu przez nikogo nie usłyszany. Fruwające strzępy czerwonej, flanelowej koszuli tego małego jegomościa mieszały się z fruwającymi łachmanami jego żółtej kapoty, otaczając go płomiennym blaskiem podobnym do płomieni pokrywających na malowidłach szaty ofiar autodafe. Również jego twarz powleczone była błyszczącą warstwą zastarzałego brudu, w której błyszczały jego podobne do tarek oczy, miotające iskry jak świeżo wydobyta lśniąca bryła węgla. Był to młodociany komiwojażer, czyli *marchand*, jak mogliby go nazwać uprzejmi Francuzi, który handlował artykułami ułatwiającymi podróżowanie. Nie posiadając wyznaczonego miejsca do spania, wędrował po całym parowcu, toteż spostrzegłszy przez oszklone drzwi owych dwóch pasażerów w kajucie, wszedł do środka, mimo że pora była późna, gdyż uznał, że nigdy nie jest za późno, żeby zarobić parę groszy.

Wśród wielu rzeczy, jakie z sobą nosił, znajdowała się pewna osobliwość – miniaturowe drzwi z mahoni, przytwierdzone zawiasami do futryny i zaopatrzone we wszystko, co potrzeba, z jednym małym wyjątkiem, o czym mowa będzie później. Tę właśnie miniaturę z rozmysłem podsunął on pod oczy starcowi, ten zaś przyjrząwszy się jej przez chwilę rzekł:

– Odejdź, dziecko, razem z swoją zabawką.

– Żebym też nigdy w życiu nie był taki stary i mądry – wybuchnął chłopak śmiechem spod swego brudu, ukazując przy tym rząd lamparcich zębów, co czyniło go podobnym do dzikich małych żebraków Murilla.

– Czarty znów się śmieją, no nie? – zaśpiewał z irlandzka głos z koi. – Cóż was tak śmieszy w mądrości, hę, czarty? Kładźcie się spać i żebym was więcej nie słyszał, czarcie nasienie!

– No widzisz, dziecko, rozgniewałeś tamtego pana – rzekł starzec. – Nie wolno ci się więcej śmiać.

– Ejże – powiedział kosmopolita – proszę tak nie mówić. Niech nie myśli, że biedny śmiech zbiera na tym świecie razy jak jaki głupiec.

– No cóż – powiedział starzec do chłopca – w każdym razie powinienes mówić znacznie ciszej.

– To może i nie zawadzi – rzekł kosmopolita – ale, ale, mój kochany, zdaje się, że chciałeś coś powiedzieć temu oto memu sędziwemu przyjacielowi. Co mianowicie?

– Och – odrzekł chłopiec ściszone głosem, flegmatycznie otwierając i zamykając swoje miniaturowe drzwiczki – tyle tylko, że kiedy otwarłem stragan z zabawkami na targu w Cincinnati zeszłego miesiąca, zarobiłem więcej niż niejeden stary handlarz na dziecinnych grzechotkach.

– Nie wątpię w to – powiedział starzec – sam często kupuję takie rzeczy moim wnuczętom.

– Ale ci starzy, o których mówię, to byli starzy kawalerowie.

Starzec przyglądał mu się chwilę, po czym szepnął do kosmopolity: – Dziwny chłopak z niego. Wygląda na prostaka. Niewiele umie, hm?

– Niewiele, bo inaczej nie chodziłbym w łachmanach.

– Ależ ty masz wyostrzony słuch, dziecko! – wykrzyknął starzec.

– Gdybym miał bardziej przytępiony, mniej bym słyszał przykrych rzeczy o sobie.

– Wyglądasz na całkiem rozsądnego, mój zuchu – rzekł kosmopolita – czemuż nie sprzedasz swej mądrości i nie kupisz sobie płaszcz?

– Święte słowa – odparł chłopak – tom dziś właśnie uczynił i oto płaszcz, jaki nabyłem za cenę swej mądrości. Ale może dobilibyśmy targu? Rzecz w tym, że to nie drzwiczki chcę sprzedać: noszę je z sobą tylko na wzór. Niech pan patrzy – postawił miniaturę na stole – przypuśćmy, że te drzwiczki wiodą do pańskiego apartamentu. A oto – otwarł drzwiczki – udaje się pan na nocny spoczynek. Zamyka pan drzwi za sobą – o, tak. Pytam: czy wszystko bezpieczne?

– Przypuszczam, że tak – odrzekł starzec.

– Wszystko bezpieczne. Dobrze. A teraz, około drugiej nad ranem, nadchodzi miękko jegomość o miękkich dłoniach i bada tę oto gałkę – o, tak. Mój jegomość o miękkich dłoniach zakrada się do środka i... czary mary! Cóż się stało z miękka gotówką?

– Rozumiem, rozumiem, moje dziecko – powiedział starzec – twój prześwietny dżentelmen jest znakomitym złodziejem, a przy twoich drzwiczkach nie ma żadnego zamka, który by go powstrzymał – co rzekłszy przyjrzał się miniaturce uważniej niż dotychczas.

– No proszę – chłopiec znów obnażył swe białe zęby – proszę, proszę, niektórzy starszankowie znają się wcale dobrze na rzeczy... ale oto mamy wielki wynalazek – wydobył małe urządzenie ze stali, niezwykle proste, lecz pomysłowe, które przymocowane do wewnętrznej strony drzwiczek zabezpieczało je niczym rygiel. – Proszę bardzo – z uwielbieniem w oczach wyciągnął ów przedmiot na odległość ramienia – proszę bardzo, niechże teraz jegomość o miękkich dłoniach próbuje sobie miękko kręcić tą maleńką gałką, niechże sobie próbuje, aż się przekona, że ma głowę równie miękką co ręce. Kup pan podróżny zamek patentowy za jedynych dwadzieścia pięć centów.

– Do licha! – wykrzyknął starzec. – To przewyższa wynalazek druku! Owszem, dziecko, kupię od ciebie taki zamek i spożytkuję go jeszcze tej nocy.

Chowając flegmatycznie jak stary bankier drobne monety do kieszeni, chłopiec zapytał z kolei kosmopolitę:

– Panu też dać?

– Wybacz, kochany, ale nie korzystam nigdy z wyrobów ślusarskich tego rodzaju.

– Ci, którzy przyczyniają ślusarzowi najwięcej roboty, rzadko to czynią – odparł chłopiec mrużąc znacząco powiekę, jak gdyby przemawiała przezeń jakaś bliżej nieokreślona wiedza, intrygująca u kogoś w jego wieku. Starzec wszakże nie zauważył owego mrugnięcia, nie spostrzegł go także, wedle wszelkich oznak, i ten, dla którego było ono przeznaczone.

– A zatem – rzekł chłopiec zwracając się ponownie do starca – kiedy dziś w nocy założy pan swój podróżny zamek, będzie się pan uważał za całkowicie zabezpieczonego, nieprawdaż?

– Chyba tak, dziecko.

– Ale co z oknem?

– Ojej! Okno! Moje dziecko! Nigdy bym o tym nie pomyślał. Muszę tego dopilnować.

– Niechże się pan nie martwi o okno – powiedział chłopiec – ani, jak mi honor miły, o zamek podróżny (bo też cieszę się, że go sprzedał), tylko niech pan kupi jeden z tych oto zabawnych drobiazgów – wydobył kilka przedmiotów podobnych z wyglądu do szelek i pomachał nimi starcowi przed oczami – pasy na pieniądze, szanowny panie, za jedynych pięćdziesiąt centów.

– Pasy na pieniądze? Pierwszy raz słyszę o czymś takim.

– Rodzaj pularesu – powiedział chłopiec – tylko bezpieczniejsze. Doskonale w podróży.

– Aha: pulares. Dość to jednak dziwnie wygląda jak na pugilares. Pularesy są chyba krótsze i węższe?

– Zakłada się je wokół bioder, proszę pana – powiedział chłopiec – drzwi mogą być otwarte lub zamknięte, możesz pan biegać sobie zwawo po świecie albo spać w łóżku jak suseł: z pasem na pieniądze nie uda się pana ograbić.

– Rozumiem, rozumiem. Rzeczywiście, trudno byłoby zrabować taki pas na pieniądze. Powiedziano mi dzisiaj, że Missisipi słynie z rzezimieszków. Ile kosztuje?

– Tylko pięćdziesiąt centów, proszę pana.

– Wezmę jeden. Oto pieniądze.

– Dzięki. A teraz podarunek dla pana – z tymi słowy chłopiec wydobył z za pazuchy zwitek małych arkuszy papieru i cisnął jeden z nich w stronę starca, który rzuciwszy nań okiem odczytał głośno nagłówek: „Wykrywacz fałszu”. – Świetna rzecz – rzekł chłopiec. – Dostają to ode mnie wszyscy nowi klienci, z którymi utarguję towaru za siedemdziesiąt pięć centów. Nie istnieje lepszy prezent. Kupi pan pas na pieniądze? – zwrócił się do kosmopolity.

– Wybacz, kochany, ale nigdy nie korzystam z takich rzeczy. Pieniądze noszę luzem.

– Luźna przynęta to dobra rzecz – powiedział chłopiec – myślisz, że kłamstwo, a prawda. Pan gwizdzesz na „Wykrywacza fałszu”, co nie? A może pan sądzisz, że wieje wiatr od wschodu?

– Dziecko – rzekł starzec, nieco zatroskany – nie powinienes dłużej przesiadywać po nocy, bo ci to szkodzi na rozum. Idźże już, idź się położyć.

– Położyłbym się, gdybym się mógł położyć na mózgownicach niektórych ludzi – odrzekł chłopiec – ale na deskach twardo, sam pan wiesz.

– Zmykaj, dziecko, zmykajże!

– Dobrze, dziecko, już zmykam – odparł chłopiec, przedrzeźniając łobuzersko starca, po czym – jako że został odprawiony – szurając twardymi stopami po tkanym w kwiaty dywanie, tak samo niemal jak psotny byczek, co majową porą grzebie rogowym kopytem na pastwisku, zawrócił, wywinął zamasyście kapeluszem – który podobnie jak reszta jego obszarpanego stroju z powodu ciężkich czasów nie odpowiadał jego wiekowi, choć odpowiadał jego doświadczeniu, gdyż był to kapelusz bobrowy wyrzucony przez jakiegoś dorosłego – i z miną młodego Kafra opuścił kajutę.

– To ci dziwny chłopiec – rzekł starzec spoglądając za nim. – Ciekawym, kim jest jego matka i czy wie, że jej dziecko tak późno kładzie się spać?

– Bardzo możliwe – zauważył kosmopolita – że jego matka nie wie o tym. Ale czy pamiętasz pan, coś mówił, kiedy chłopiec panu przerwał wyciągając swoje drzwiczki?

– Mówiłem... Niech się zastanowię – przez chwilę zapomniał o poczynionych zakupach – cóż to chciałem powiedzieć? Cóż to mówiłem? A może pan pamięta?

– Niezbyt dobrze, szanowny panie. Ale jeśli się nie mylę, to mniej więcej coś takiego: wyraził pan nadzieję, że nie żywi podejrzeń wobec stworzeń, gdyż oznaczałoby to podejrliwość wobec Stwórcy.

– Tak. Mniej więcej o to chodziło – mechanicznie i prawie bezmyślnie starzec skierował wzrok na swoje sprawunki.

– Za pozwoleniem, czy chce pan jeszcze tej nocy umieścić pieniądze w swoim pasie?

– Tak byłoby najlepiej, nieprawdaż? – drgnął lekko starzec. – Na ostrożność nigdy nie jest za późno. „Strzeż się rzezimieszków” – głoszą napisy w każdym zakamarku parowca.

– Owszem. To na pewno syn Syracha lub jakiś inny chory nikkzemnik tam je poumieszczał. Ale nie w tym rzecz. Skoro nosi się pan z takim zamiarem, niech mi wolno będzie służyć panu pomocą w założeniu pasa. Sądzę, że nam obydwu uda się uzyskać przy jego użyciu pełne bezpieczeństwo.

– Ależ nie, nie, nie! – wykrzyknął starzec, nieco poruszony. – Nie, nie, za nic w świecie nie narażałbym pana na podobny kłopot – zwinąwszy zaś nerwowo pas dodał: – Nie będę

także na tyle niegrzeczny, żeby robić to samemu w pańskiej obecności. No ale skoro już o tym mowa – tu zrobił pauzę, po czym z odległego zakątka kieszeni w kamizelce wydobyl ostrożnie mały zwitek – mam tu dwa banknoty, które dali mi wczoraj w St. Louis. Na pewno nic im nie brakuje, ale ot, dla zabicia czasu, porównam je z tym oto Wykrywaczem. Niech Bóg błogosławi chłopca za ten prezent. Toż to istny dobroczyńca ludzkości, ten chłopczyk!

Starannie położył Wykrywacz przed sobą na stole, następnie zaś – przybrawszy minę woźnego prowadzącego za kołnierz parę winowajców za zakratowane miejsce dla podsądnych – umieścił oba banknoty obok Wykrywacza, po czym przystąpił do badania. Trwało to jakiś czas, jako że zadał sobie niemało trudu, prowadząc owo śledztwo z wielką czujnością, a palec wskazujący jego prawej dłoni zdradzał wyraźnie, że jego właściciel posiada prawniczą zgoła biegłość w żmudnym przedzieraniu się przez zebrane dowody, obojętne, w którą kierował się stronę.

Kosmopolita przypatrywał mu się dłuższą chwilę, po czym zapytał urzędowym głosem:

– No i cóż pan powie, panie Foreman: winny czy niewinny? Pewno niewinny, co?

– Nie wiem, nie wiem – odparł starzec z zakłopotaniem – tyleż tu znaków wszelkiego rodzaju, które trzeba wziąć pod uwagę, że cała sprawa staje się niejasna. Niech pan popatrzy na ten tu – dotknął banknotu, o którym mówił – wygląda na to, że jest to bilet bankowy na sumę trzech dolarów, wystawiony na Kredytowo-Ubezpieczeniową Spółkę Bankową w Vicksburghu. Otóż zgodnie z tym, co mówi Wykrywacz...

– Ale po cóż w tym wypadku zawracać sobie głowę Wykrywaczem? Kredyt i ubezpieczenie! Czegóż więcej pan chce?

– Tak, ale Wykrywacz wylicza tutaj pięćdziesiąt różnych rzeczy, a między innymi i to, że prawdziwy banknot powinien zawierać cieniutkie czerwone wężyki pogrubiające tu i ówdzie papier, z jakiego został wykonany. Powiada także, że powinny one przypominać w dotyku jak gdyby jedwab, ponieważ są zrobione ze skrawka chustki do nosa z czerwonego jedwabiu, który wytwórca papieru dorzuca do zawartości, swej kadzi, bo papier wyrabiany jest na zamówienie tej spółki.

– No dobrze. A czy...

– Chwileczkę. Wykrywacz dodaje jednak dalej, że na tym znaku nie zawsze można polegać, ponieważ niektóre prawdziwe banknoty są tak zużyte, że owe czerwone wężyki ulegają zupełnemu zatarciu. Tak właśnie przedstawia się sprawa z moim banknotem – proszę zauważyć, że jest bardzo stary – w przeciwnym razie jest on fałszywy albo też – nie widzę dobrze – albo też... Boże! Boże!... nie wiem, co o tym myśleć.

– Ale sobie pan napytał biedy przez ten swój Wykrywacz. Wierzaj mi pan – ten banknot jest prawdziwy, niechże się pan wyzbędzie tych strasznych podejrzeń. To wszystko jest dla mnie dowodem, że – jak zawsze sądziłem – brak ufności, jaki panuje obecnie, wynika w znacznym stopniu z tego, iż dziś na każdym biurku i na każdym kontuarze widzi się „wykrywacze fałszu”. Zmusza to ludzi, by nie dowierzali prawdziwym banknotom. Błagam, niech pan to wyrzuci, choćby dlatego, że przysparza panu tylu kłopotów.

– Nie. Jest trochę kłopotliwy, ale chyba go zatrzymam. Zaraz, zaraz: jest tu jeszcze jeden znak. Piszą, że jeśli banknot jest prawdziwy, w jednym jego rogu, tuż przy winiecie, musi znajdować się rysunek gęsi, maluteńki, właściwie mikroskopijny, dla większego bezpieczeństwa umieszczono także rysunek przedstawiający Napoleona przesłoniętego przez drzewo. Nie można go zauważyć, nawet pod lupą, chyba że zwrócono nań naszą

uwagę. Staram się jak tylko mogę, ale nie widzę tej gęsi.

– Nie widzisz pan gęsi? A ja widzę. A jest to gęś słynna. O, proszę – wyciągnąwszy rękę ponad stołem, kosmopolita wskazał jakąś plamkę na winiecie.

– Nie widzę. O Boże! Nie widzę żadnej gęsi. Czy to prawdziwa gęś?

– Jak żywa. Śliczna.

– Boże, Boże! Nie widzę.

– Więc powtarzam: wyrzuć pan ten Wykrywacz do śmieci, bo inaczej całkiem pan oślepniesz. Przecież to polowanie na dzikie gęsi przypomina wyprawę z motyką na słońce. Banknot jest prawdziwy. Precz z tym Wykrywaczem.

– Nie. Może i nie jest taki dobry, jak myślałem, ale muszę jeszcze zbadać drugi banknot.

– Jak pan sobie życzy, ale sumienie zabrania mi towarzyszyć w tym panu, a zatem proszę mi wybaczyć, że zajmę się czym innym.

Tak więc starzec oddał się z powrotem swojemu mozolnemu zajęciu, kosmopolita zaś, by w niczym mu nie przeszkadzać, powrócił do lektury. Nareszcie, widząc, że jego towarzysz porzucił beznadziejne wysiłki i znowu jest wolny, skierował doń garść uwag dotyczących księgi, którą miał przed sobą, a potem, przybierając coraz poważniejszy wyraz twarzy odwrócił powoli ów wielki tom leżący na stole na drugą stronę i usiłował odcyfrować szczątki tłoczonego złotymi literami napisu, podającego nazwę towarzystwa, które ofiarowało księgę dla statku, po czym rzekł:

– Pomyślałem sobie, szanowny panie, że choć wszyscy powinni odczuwać zadowolenie na myśl o tym, iż ta właśnie książka dostępna jest w miejscach publicznych, to jednak jest coś, co pomniejsza owo zadowolenie. Proszę się przypatrzeć temu egzemplarzowi: na wierzchu poobijany jak stara waliza w przechowalni bagażu, natomiast w środku – dziewiczo biały, niczym wewnątrz kwitnącej lilii.

– W rzeczy samej, w rzeczy samej – rzekł smutno starzec, po raz pierwszy zwracając uwagę na tę okoliczność.

– Nie po raz pierwszy – ciągnął kosmopolita – widzę takie Biblie do użytku publicznego na statkach i w hotelach. A wszystkie w podobnym stanie: stare na wierzchu, nowe w środku. Prawda, że można w tym widzieć znamieny symbol wewnętrznej świeżości, będący najlepszym dowodem prawdy, choć prawdy starożytnej. Z drugiej wszakże strony nie świadczy to zbyt dobrze – jak można by sobie tego życzyć – o szacunku, jaki ta zacna księga wzbudza w duszach podróżnych. Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że byłoby inaczej, gdyby podróżni pokładali w niej więcej ufności.

Z miną całkiem odmienną aniżeli ta, z jaką pochyłał się nad Wykrywaczem, starzec dumiał czas jakiś nad słowami swego towarzysza, by wreszcie – rzuciwszy nań szybkie spojrzenie – odpowiedzieć:

– A przecież to nie kto inny jak podróżni właśnie powinni pokładać największą ufność w owym protektoracie, o którym dowiadujemy się z tej księgi.

– Zaiste, zaiste – przytaknął zamyślony kosmopolita.

– Można by też sądzić, że tego właśnie pragną i byłiby z tego bardzo radzi – ciągnął uprzejmie starzec – albowiem podczas wszystkich tych naszych wędrówek po ziemskim padole jakże to przyjemny mimo wszystko obowiązek odczuwać, że nie musimy podrywać się przerażeni, nawet jeśli trąbią najdziksza pobudkę, ani zabezpieczać się przed

najdzikszym złem, gdyż pokładając ufność w owej Potędze, która nie tylko jest władna, lecz i pragnie nas ochraniać, wierzymy, że tak właśnie uczyni, kiedy nie będziemy umieli obronić się sami.

Zachowanie starca wywołało podobną zmianę zachowania kosmopolity, który pochylił się w jego stronę i rzekł zasmucony:

– Choć podróżni rzadko rozprawiają o tej sprawie, wyznam panu, że i mnie nieobce jest owo poczucie bezpieczeństwa, o którym pan mówił. Wielem jeździł po świecie, a jednak ono mnie ciągle nie opuszcza, mimo że w tym kraju, zwłaszcza zaś w tych jego okolicach, opowiada się niekiedy historie o parowcach i kolejach żelaznych mogące człowieka odrobinę przerazić. Muszę wszakże powiedzieć, że ani na lądzie, ani też na wodzie nie odczuwam nigdy poważnego niepokoju, choć bywa, że przejściowo czuję się nieswojo. Tak jak szanowny pan wierzę bowiem w istnienie jakowegoś Komitetu Bezpieczeństwa, zbierającego się ustawicznie na potajemne posiedzenia i pełniącego niewidzialną wartość, najczujniejszą wtedy, gdy sobie smacznie śpimy, a której rewir obejmuje zarówno lasy, jak i miasta, zarówno rzeki, jak ulice. Słowem, mam zawsze w pamięci ów ustęp Pisma Świętego, gdzie powiedziane jest: „Twoją ufnością będzie Jahwe”. Na jakież straszne obawy wystawiony być musi podróżnik, któremu brak tego rodzaju pewności, i na jakie daremne, krótkowzroczne zabiegi jest on zdany, kiedy chce zatroszczyć się o siebie.

– Tak właśnie – przytaknął cicho starzec.

– Jest pewien ustęp – ciągnął kosmopolita, sięgając ponownie po książkę – który, jeśli pan pozwoli, muszę panu odczytać. Tylko że ta lampa, choć to lampa słoneczna, zaczyna gasnąć.

– Owszem, owszem – odrzekł starzec ze zmienioną miną. – Boże! Musi być strasznie późno. Najwyższy czas, żebym się położył! Zaraz, zaraz – wstał i jał się uważnie rozglądać dookoła; najpierw po stołkach i kanapach, potem po dywanie – chwileczkę, chwileczkę: czym czego nie zapomniał? Zapomniał? Coś jakbym sobie mgliście przypominał. Coś, co mój syn – człek ostrożny – powiedział mi dziś rano przy odjeździe. Coś, czego miałem dopilnować, nim położę się spać. Co to mogło być? Coś związanego z bezpieczeństwem. Ach, ta moja biedna pamięć starego człowieka!

– Proszę pozwolić, że będę zgadywał. Przyrząd ratowniczy?

– Tak jest. Powiedział mi, żebym nie omieszkął sprawdzić, czy mam u siebie w kajucie przyrząd ratowniczy. Ponoć zaopatrują w te przyrządy pasażerów. Ale gdzie one są? Nigdzie ich nie widzę. Jak one wyglądają?

– Wydaje mi się, że mniej więcej w ten sposób – rzekł kosmopolita, podnosząc brązowy zydeł z przegrodą z zakrzywionej blachy u spodu. – Tak, proszę pana, to chyba jest ów przyrząd ratowniczy, i to doskonały, nie waham się twierdzić, choć przyznaję, że niewiele wiem o tych przyrządach, bom ich nigdy sam nie używał.

– A to dopiero! Kto by pomyślał, że coś takiego jest przyrządem ratowniczym! Przecież to ten sam stołek, na którym cały czas siedziałem, nieprawdaż?

– Tak jest. A dowodzi to tego, że ktoś troszczy się o życie tych ludzi, co sami się wcale o nie nie troszczą. Każdy z tych oto stołków utrzyma pana na powierzchni wody, gdyby statek nadział się na jakąś przeszkodę albo zatonął w ciemnościach. Ale skoro pan chce mieć taki przyrząd u siebie w kajucie, proszę wziąć ten – podał mu stołek. – Sądzę, że mogę go panu polecić. Ta blaszana przegroda – zastukał w blachę kłykciami – jest w idealnym stanie. O, jaki pusty dźwięk wydaje!

– Ale czy na pewno w takim idealnym? – starzec włożył skwapliwie okulary i badał ją z bliska wzrokiem. – Czy aby dobrze zlutowana? Rzeczywiście mocno spojona?

– Powiedziałbym, że tak, proszę pana, choć, jak już mówiłem, sam nigdy nie korzystałem z takiego przyrządu. Mimo to uważam, że w razie katastrofy możesz pan być pewien, iż ten stołek będzie szczególnie opatrnościowym środkiem ochrony przed belkami o ostrych końcach.

– A zatem dobrej nocy, dobranoc, i niech Opatrzność ma nas obu w opiece.

– Z pewnością będzie miała – kosmopolita popatrzył z sympatią na starca stojącego przed nim z pasem na pieniądze w ręce i przyrządem ratowniczym pod pachą. – Z pewnością tak właśnie będzie, gdyż my obaj, pan i ja, podobnie jak człowiekowi, zawierzyliśmy też Opatrzności. Lecz co to? Już prawie toniemy w ciemnościach. Tfu! I jeszcze ten odór!

– Oj, jakże ja dojdę? – wykrzyknął starzec, wytrzeszczając oczy. – Jakże ja dojdę do mojej kajuty?

– Ja mam wzrok nie najgorszy i wskażę panu drogę, ale przedtem, dla dobra płuc wszystkich tutaj, proszę pozwolić, że zgaszę tę lampę.

Chwilę potem niknące światło skonało, a razem z nim malejące płomienie rogatego ołtarza i blednąca aureola nad czołem człowieka w długiej szacie. Zapadła ciemność, w głąb której kosmopolita wiódł uprzejmie starca. Może nastąpi jeszcze ciąg dalszy owej Maskarady.

OD TŁUMACZA

Oszust Hermana Melville'a ukazał się drukiem w roku 1857. Był to – jeśli nie liczyć napisanego pod sam koniec życia autora *Billy Budda* – ostatni utwór prozą w jego twórczości. Nie stanowi on jednak jakiegoś zwieńczenia pisarstwa autora *Moby Dicka*, jest raczej kolejną przedsięwzięciem przez niego literacką, intelektualną i duchową wyprawą w Nieznane. Tym razem jednak nie wyprawia się on na morza południowe, nie rusza w podróż statkiem wielorybniczym, lecz pozostaje w ojczyściej Ameryce. Pisze powieść współczesną, czerpiącą obficie z ówczesnej – równie wielokształtnej i wielobarwnej co dzisiejsza – rzeczywistości, a przecież w tak oczywisty sposób metaforyczną. Już pierwsze zdanie wyczuła czytelnika na ów wymiar alegoryczny – dowiadujemy się oto, że akcja powieści toczy się pierwszego kwietnia, a więc w dzień „wszystkich głupców”, na pokładzie parowca jak na ironię zwanego się *Fidèle*, a jej bohaterem jest ów tytułowy Oszust – *confidence-man* – czyli człowiek podstępnie pozyskujący zaufanie innych ludzi, by później wykorzystać to na ich szkodę. Sceneria to typowo Melville'owska – sceneria wielkiej alegorii.

Tematem powieści – w pierwszym przybliżeniu – może być, skądinąd fascynujący bogactwem obserwacji, kolorytem, precyzją szczegółu, opis społeczeństwa amerykańskiego w połowie XIX wieku, a więc tuż przed wielkim przełomem historycznym, jakim dla Amerykanów była wojna domowa 1861 roku. W owym opisie uderza łatwość, z jaką pasażerowie parowca dają się oszukać głównemu protagoniście. Każe nam to – jeśli uprzytomnimy sobie przy tym, jak niewielkie są *materialne* korzyści Oszusta – domniemywać istnienia kolejnej warstwy znaczeniowej. Kontekst amerykański traci wówczas na znaczeniu, *Fidèle* staje się alegorycznym „statkiem głupców” z poematu Sebastiana Branta czy obrazu Hieronima Boscha, a rejs metaforą wędrówki ku nieznanemu przeznaczeniu, czyli ludzkiego życia. Akcenty satyryczne, zjadliwa krytyka przeróżnych wad i słabości ówczesnych Amerykanów (głównie – naturalnie – naiwności) – wszystko to schodzi na dalszy plan, socjologia zaś i psychologia ustępują miejsca metafizyce i teologii. Bez ufności nie ma przecież wiary: ufność pozwala oprzeć się na Bogu w obliczu niepewnej przyszłości. Trudno też wyobrazić sobie praktyczny sens chrześcijańskiej miłości w oderwaniu od jakiegoś rodzaju zaufania okazywanego bliźnim. Tymczasem Oszust – w tej zaś perspektywie Kusiciel – wystawia wędrowców na próbę, a rezultat tych zmagania, przedstawionych niekiedy z iście szekspirowską siłą wyrazu – jest zgola dwuznaczny. Nie ma bowiem w powieści wyraźnej odpowiedzi na zasadnicze pytania, z których najważniejsze brzmi: Czym więc jest ostatecznie ufność – mądrością czy głupotą? Czy jest rzeczą rozsądną zawierzyć komu – i czemukolwiek? A jeśli tak – to komu lub czemu? Można raczej odnieść wrażenie – podsuwa to także infernalny finał powieści – że ostatecznym triumfatorom jest właśnie Kusiciel, któremu autor zdaje się pozostawiać pełnię władzy nad światem ludzkim, nad światem historii. Jak bowiem można się uratować przed oszustem i jego machinacjami? Tylko w jeden sposób: przez wycofanie się ze świata społecznego, ze świata historii, bo tylko dystansując się od ludzi, od

wspólnoty, od biegu wydarzeń wciągających w swój wir całą społeczność, można zmniejszyć ryzyko klęski, oddalić groźbę nadużycia zaufania, jakim ów świat łatwowiernie się obdarzyło. Rację miałby zatem Czesław Miłosz, który w owym odwróceniu się od historii dopatruje się rysu antychrześcijańskiego. Spod kart tej fascynującej żarliwością dociekań powieści przeziiera wielki niepokój duchowy, w którym można doszukać się oznak nadciągającej katastrofy narodowej (secesja), ale można również rzutować ów niepokój na płaszczyznę transcendentną, na której ów spór pomiędzy pogańsko-stoicką ataraksją i judeo-chrześcijańskim urzeczeniem historią trwa w pewien sposób do dzisiaj.

Adam Szostkiewicz